

CIĄG TAJEMNICZYCH WYDARZEŃ,
KTÓRYCH NIEMYM ŚWIADKIEM JEST PEWNA LATARNIA

PRÓBA SIŁ



T.S. TOMSON

NOVAE RES

T.S. TOMSON

PRÓBA
SIŁ



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

PROLOG

I. BIEL OKRYTA CZERNIĄ

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

II. DROGA I GWIAZDY

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46

III. PRÓBA SIŁ

ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59
ROZDZIAŁ 60
ROZDZIAŁ 61
ROZDZIAŁ 62
ROZDZIAŁ 63
ROZDZIAŁ 64
EPILOG

...I rzekł Bóg do szatana:

- Skąd przychodzisz?

Szatan odrzekł Panu:

- Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej...

Hiob 1 ,7-8

Książka ta nie powstałaby, gdybym nie mógł jej napisać, chowając się pod skrzydłami mojego osobistego anioła stróża.

Za bezpieczeństwo, wiarę i bezkresną miłość, dziękuję Ci, Tato.
T.S.

PROLOG

Luizjana, 16 grudnia 2015

Tensas przypominało małe miasteczko w kryształowej kuli, posypywane śniegiem, ilekroć ktoś wprowadził ją w ruch.

W tym roku zima była wyjątkowo śnieżna, co stanowiło nie lada problem dla jego mieszkańców, gdyż pługi, od lat nieużywane, spełniały bardziej wymogi formalne aniżeli praktyczne potrzeby.

Miasteczko było wyjątkowo ciche, tak za dnia, jak i nocą. Tutejsza społeczność żyła w zgodzie i względnym pokoju (nie licząc barowych bójek, które jak niepisana reguła wszechświata nakazuje, muszą się czasem zdarzyć).

Oprócz barów, gdzie znudzeni mieszkańcy przesiadywali wieczorami przy piwie, rozsiewając nowe plotki, znajdowało się tu parę sklepików, kościół, komisariat pod wodzą szeryfa Malloneya, (piastującego ten urząd nieprzerwanie od ośmiu lat), dwie szkoły, mały szpital oraz jeden motel, w którym przejezdni mogli się zatrzymać, choć Bóg jeden wie po co i ten sam Bóg świadkiem, że nie było ich dotąd zbyt wielu.

Święta Bożego Narodzenia dostarczały tu od zawsze impulsu, który pobudzał do życia mieszkańców, pompując w ich serca radość i ekscytację. Już w pierwszych dniach grudnia dawało się odczuć rosnący entuzjizm, szczególnie u dzieci (to następna reguła wszechświata, prawda?), a większość domowych, jak i sklepowych szyb zdobiły miniaturowe choinki stojące na parapetach, otoczone migającymi lampkami, które dotrzymywały kroku Migotce, wyjątkowej latarni, usadowionej przy głównej ulicy – Lane Street.

Migotka była dobrze znana mieszkańcom, choć nikt nie potrafił wyjaśnić jej fenomenu. Latarnie postawiono już w latach trzydziestych i do dzisiaj bezbłędnie oświetlają schludne i nienagannie czyste chodniki, lecz od zawsze żarówka Migotki świeci

przez chwilę, by po jakimś czasie mrugnąć parę razy i zgasnąć, powtarzając ten cykl do rana, jakby nadawała tylko sobie znany sygnał, niczym latarnia morska. Dawniej w mieszkańcach wzbudzało to skrajną irytację i niejednokrotnie służby naprawcze próbowały walczyć z kapryśną latarnią, jednak od ponad czterdziestu lat – zawsze na próżno. Coś fascynującego i uroczonego było w tym „miejskim cudzie” (jak to określała pani Willis, znana była małżonka bardziej znanego z niewyjaśnionych, jak dotąd, tajemnic męża), toteż mieszkańcy dali sobie spokój i na swój sposób polubili ten fenomen.

Gdy słońce kończyło swą zmianę, latarnie oświetlały ulice, kładąc długie cienie na przydrożne domy i trawniki, tak jak w tym właśnie momencie. Mróz raz po raz przecinał ostry wiatr, uderzając w szyby domów i porywając płatki śniegu do tańca. Na zegarach mieszkańców wkrótce wybije północ.

Sygnał Migotki rozświetlał skromny, drewniany dom pani Rose, gdyż latarnia usadowiona była dokładnie naprzeciwko niego. Podczas gdy nadawała swój szyfr, Rose, tak jak reszta jej sąsiadów, spała już głębokim snem.

Gdyby ktoś z nich wyjrzał teraz przez okno, to może dostrzegłby coś dziwnego. Jedni uznaliby to za halucynacje, inni mogliby pomyśleć, że ktoś zwariował.

Jednak tej nocy nikt niczego dziwnego nie dostrzegł, bo zobaczyć to mieli wkrótce tylko nieliczni.

I

BIEL

OKRYTA CZERNIĄ

ROZDZIAŁ 1

Nadchodził zmierzch, a z nim podmuchy mroźnego wiatru. Okna domów zaczynały rozjaśniać pierwsze światła lamp, głównie w pokojach jadalnianych i kuchniach, gdzie rodziny zasiadały do kolacji po ciężkim dniu pracy. W jednym z szeregu domów stojących w miarę równych odstępach wszystkie światła były o tej porze zgaszone od kilkunastu lat. Mieszkała tu Rose Abrams, matka i współzałożycielka jedyne go już kościoła w miasteczku, obecnie wdowa.

Rose uwielbiała spokój swojej okolicy. Uwielbiała też swój mały ganek, który zrobił wiele lat temu jej mąż. Lubiała tu czytać gazety, palić papierosy i wspominać godzinami. Nawet w zimie (pomimo licznych protestów jej córki, Katie) wkładała kurtkę, strzepywała śnieg z fotela i siadała na chwilę przy filiżance herbaty, pogrążając się w zadumie. Albo raczej w nieprzerwanej żałobie, jak często sądziła. Lubiała tu być, gdyż tutaj najmocniej czuła jego aurę.

Czasami do niego mówiła, jakby wciąż czytał swoje ukochane powieści z nieodłączną fajką, na swoim ulubionym fotelu, i chociaż tak często kłócili się o to, że pali niczym smok (a upór jego był niesamowity i często doprowadzał ją do szału), oddałaby większą część serca, by znowu tu był, chociaż na chwilę, uśmiechnął się do niej i powiedział jak setki tysięcy razy: „Nie przeszkadzaj mi teraz, Rosie”. Wiedział, że się wścieknie, ale zanim wrócił do czytania, zawsze mrugał do niej, uśmiechając się tajemniczo spod kopczącej się, aromatycznej fajki.

Odkąd się pobrali, zawsze zdrabniał jej imię, co było słodkie i przyjemnie kontrastowało z jego poważną osobowością. Czuła się przy nim bezpiecznie. Był staromodny, ale ona kochała tę jego szarmanckość. Kochała jego perfumy (zawsze ten sam rodzaj), dbałość o detale, pedantyzm i wiele innych, z pozoru błahych cech.

Wspominała często ich pierwszy taniec (na jej balu maturalnym), pierwszy pocałunek (po jej balu maturalnym na mostku w parku Queensbridge, ach, co to był za pocałunek!).

Charlie był chłopakiem z ubogiej rodziny, zamkniętym w sobie. I gdy na balu podszedł do niej (już wtedy swoim dostojnym krokiem) i zapytał, czy z nim zatańczy, nie potrafiła ukryć zdumienia. Zgodziła się, chociaż ze wstydem ukryła fakt, że po prostu nie chciała być nieuprzejma. W szkole nie zwracała na niego uwagi, lecz podczas tego tańca, nieśmiały, cichy Charlie oczarował ją, jakby rzucił na nią jakiś urok, którego nie potrafiła pojąć. Oczarowała ją także jego odwaga, gdy po tańcu, ot tak, po prostu pocałował ją w usta. Niedługo potem pobrali się i szybko zdecydowali się na potomstwo. Wtedy pojawiły się pierwsze trudności.

Długo starali się o dziecko, w pewnym momencie porzucając wszelkie nadzieje. Pewnego dnia wydarzył się jednak cud. Bóg spojrział na nich łaskawym okiem. Pamiętała ten upalny dzień, który ogrzewał całą Luizjanę. Był to dzień jej urodzin, dwudziesty szósty sierpnia. Kończyła trzydzieści pięć lat i mijał sześćdziesiąty siódmy dzień od jej ostatniego krwawienia. Gdy doktor zapytał ją, którą wiadomość woli, dobrą czy bardzo dobrą, okazało się, że obie były cudowne.

Pierwsza brzmiała, że jest przy nadziei, druga – że to będzie prawdopodobnie córka, której pragnęli. Gdy wychodziła ze szpitala, stopy niosły ją niemal w powietrzu po wtedy słabo jeszcze zaludnionym miasteczku. Pamiętała wszechobecny pot, wymieszany z łzami, gdy dopadła Charlesa, który akurat impregnował bale drewna do budowy kościoła. Nie potrafiła wydobyć słów z radości, lecz nie musiała. On już wiedział. Klęknął, całując ją w brzuch. Tkwili tak, stojąc na ogromnym polu, w którym powstawał ich drugi dom.

Byli szczęśliwi do czasu, gdy Bóg dokonał transakcji, nie pytając Rose o jej warunki. W zamian za ich córkę, Katie, zabrał Charliego. Nie pamiętała samego wypadku. Wiedziała tylko, że zawinił nie Charles, a ciężarówka, pędząca z dwukrotnie większą prędkością, niż

była dozwolona. Uderzyła prosto w nich. Cena była wyższa, niż się spodziewała, gdyż oprócz męża Bóg zabrał jej także czucie w nogach, oznajmiając to przez tego samego doktora, który sprowadził na świat ich córkę. Co za ironia losu, pomyślała.

Kolejną ironią było to, iż Charles w cierpieniu odchodził ze świata w tym samym miejscu, w którym ich córka do niego weszła. Nie zdążył jej przywitać ani pożegnać.

Po tym zdarzeniu Rose nie prosiła już Boga o nic więcej. Uznała go za kiepskiego partnera do interesów. Jednak miała Katie, która po skończeniu dwudziestu lat obdarowała Rosę wnuczką, Amy.

Od tamtej pory ta dwójka była jej całym światem. Kochała je mocno i żyła ich problemami często bardziej niż one same. Oczywiście nigdy nie była nachalna i potrafiła zachować powściągliwość. Męża Katie, Stephena, szybko pokochała jak syna i całym sercem wspierała go w prawie wszystkich jego działaniach. Zresztą widziała w jego oczach dobro, odkąd pierwszy raz go zobaczyła na rodzinnym obiedzie. Gdyby istniał Bóg, byłby świadkiem, że potrafiła czytać ludziom z oczu. On również ją pokochał, z czasem coraz mocniej, niczym swą rodzoną matkę, której nigdy nie miał.

Rozmyślając tak o przeszłości, dokończyła papierosa, wrzuciła niedopałek do słoika przy drzwiach i udała się pod schody, gdzie zamontowany był specjalny mechanizm, który transportował ją z wózkiem na górę. Gdy już wjechała na piętro, skierowała się do sypialni. Podjechała do łóżka, na które musiała się wczołgiwać, i położyła się.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio przespala więcej niż pięć godzin w ciągu doby. Była dopiero za kwadrans siódma. Postanowiła na chwilę zamknąć oczy.

• • •

W tym śnie miała sprawne nogi i szła przez centrum Dashville. Był upalny dzień, po drugiej stronie ulicy zamiast sklepu Duckeya stał

namiot, a odgłosy dobiegające ze środka przekonały ją, że to cyrk. Nagle jakiś niski chłopiec chwycił jej dłoń i kazał iść szybkim krokiem w stronę namiotu. Był niezwykle podekscytowany.

- Musisz to zobaczyć Rose, musisz!

- Co takiego? - odparła.

- Chodź, on zaraz zacznie. Zaraz będzie przedstawienie! - krzyczał rozentuzjasmowany chłopak.

- Kto zacznie? - spytała, lecz zanim zdążyła dokończyć, znalazła się wewnątrz. Tylko że namiot przybrał rozmiar ogromnej hali po brzegi wypełnionej ludźmi. Chłopak mocno ciągnął ją za rękę, przedzierali się przez podekscytowany tłum schodami w dół i gdyby to nie był sen, zastanowiłaby się, jakim cudem schodzą coraz niżej w głąb. Ludzie skandowali, by zacząć przedstawienie, krzyczeli. Łatwo było się domyśleć, iż spektakl się opóźnia. Było parno i duszno, Rose czuła zapach potu mężczyzn, kobiet oraz dzieci. Wszyscy byli mokrzy, w namiocie musiało być ponad pięćdziesiąt stopni.

Przedarli się przez gęsty tłum pod samą arenę. Nagle zgasły światła i tylko jasny, szeroki promień padał na środek sceny, która wyglądała jak w teatrze. Gdzieś zagrała perkusja, wybijając szybkie, rytmiczne wejście i zza kotary wyłonił się mężczyzna. Wszedł wolnym, teatralnym krokiem. Był niski i krępy, odziany w czarny smoking. Na głowie miał wysoki kapelusz, a dłonie zdobiły mu białe rękawiczki. W jednej z nich trzymał mikrofon.

Na trybunach zapadła cisza, wszyscy usiedli na swoich miejscach. Rose też zajęła jedno z nich i wtedy spostrzegła, że młody chłopak gdzieś zniknął.

- Witam was, moi drodzy - powiedział cicho do mikrofonu mężczyzna w smokingu, po czym nagle jego szept przeszedł w ekscytację i krzyk: - CZY JESTEŚCIE GOTOWI NA PRZEDSTAWIENIE?!

Tłum zawrzał.

- TAK! - Zgodnie skandowali ludzie -ktoś krzyknął z głębi trybun:

- CHCEMY PRZEDSTAWIENIA! - krzyczały dzieci, niektóre płacząc z nerwów, ekscytacji i niecierpliwości.

- Dobrze. - Mężczyzna uniósł dłoń, by gestem uciszyć publiczność, i ta jak na komendę umilkła. -Dobrze. Zatem zacznijmy. Niech moja dzielna trupa wprowadzi naszego bohatera!

Zza kotary wyłoniły się dwie czarnoskóre kobiety w białych maskach, na których wymalowany był sztuczny uśmiech. Jedna z nich ciągnęła wózek, na którym siedziała jakaś postać, ale chociaż Rose była najbliżej sceny, nie potrafiła dostrzec szczegółów. Nie była pewna, ale chyba widziała łańcuchy krępujące ręce i nogi tego człowieka. Zobaczyła, że wózek był przeznaczony dla inwalidów. Odruchowo spojrzała w dół, dostrzegając ze zdziwieniem, że znowu ma władzę w nogach. Druga kobieta wniosła skrzynię przykrytą czarną chustą. Widząc to, tłum ponownie ożył. Ludzie zaczęli gwizdać, niektórzy rzucali w scenę butami i puszkami po piwie. Zewsząd dobiegały przekleństwa, pełne wściekłości i nienawiści. Rose nie wiedziała, o co tutaj chodzi, ale poczuła dreszcz strachu.

Mężczyzna ponownie, jednak z lekkim rozbawieniem, uciszył ludzi ruchem dłoni w powietrzu. Rose zaczęła dostrzegać więcej szczegółów. Na wózku inwalidzkim siedział najprawdopodobniej mężczyzna, nieruchomo, z odchyłoną do tyłu głową.

- Bracia i siostry! Ten mężczyzna chce wyzbyć się swoich grzechów! Chce wejść do królestwa niebieskiego, by mógł dostąpić miejsca obok Pana. Czy powiecie: alleluja?

- Alleluja! - odparł radośnie tłum.

Rose dostrzegła teraz, że prowadzący to przedstawienie mężczyzna ma na sobie czarną, błyszczącą sutannę zamiast garnituru, w którym był wcześniej. Czarnoskóre kobiety natomiast miały suknie zamiast spódniczek, lecz maski się nie zmieniły, były upiorne i nie pasowały do pięknych, białych sukni. Dostrzegła także, że tłum nie był już tak rozjuszony jak wcześniej. Większość ludzi trzymała w górze ręce z otwartymi dłońmi. Wielu miało przymrużone

oczy i nuciło jakąś melodię. Byli w transie. Rose czuła, że jako jedyna tutaj ma trzeźwy umysł.

- Bracia, siostry! Dajmy temu człowiekowi wolność, dajmy mu ukojenie! -Kaznodzieja chodził po scenie w tę i z powrotem, był pobudzony, a jednocześnie skupiony na tym, co robi. - Niech członki jego wolne będą od grzechu! Zaprawdę powiadam wam, lepiej wejść bez nich do królestwa niebieskiego niż z nimi być wrzuconym do piekła, czyż nie? Ten mężczyzna obraził Pana! - Tak! - krzyknął ktoś z oddali, a kilka głosów wnet mu zawtórowało.

- Poznajmy go! - Kaznodzieja energicznym ruchem wskazał na postać na wózku. Poznajmy jego oblicze!

Jedna z kobiet szybkim ruchem ściągnęła mężczyźnie worek z głowy i Rose poczuła, jak zamiera jej serce. To był Charles. Jej Charlie. Jej mąż. Zobaczyła, jak druga kobieta bierze wiadro z wodą i wylewa mu ją na twarz. Ocknął się, krztusząc wodą.

- Charles! - krzyknęła Rose, wyrывая się, ale kobieta obok chwyciła mocno jej rękę, zaciskając dłoń.

Rose jęknęła z bólu. Mężczyzna z drugiej strony gwałtownie chwycił ją w ten sam sposób. Nie mogła się wyrwać. W międzyczasie mimochodem zauważyła, że znowu mają po dwadzieścia kilka lat. Nie pamiętała go już takim. Był silny i młody, a teraz także przerażony. Śmiertelnie przerażony.

- Moi kochani, ten człowiek naszedł mnie dzisiaj, gdy w świetle promieni, w Domu Pana zażywałem oczyszczającej kąpieli. Oczyszczała mnie z brudu i grzechów tego świata. Mężczyzna ten zobaczył to i zapragnął tego samego. Dlatego właśnie jest z nami tutaj! Powiedział mi: „Ojcze pragnę być czysty!” - wykrzyczał do mikrofonu kaznodzieja.

Po krótkiej pauzie, powiedział cicho, prawie szeptem: Czy powiecie: alleluja?

- Alleluja! - wybuchnął tłum.

Rose spostrzegła, że to już nie była hala, a pełnowymiarowy stadion i setki tysięcy osób. Tłum wiwatował coraz głośniej.

Po chwili zapadła cisza. Rose dyszała mocno, jej czoło było złane potem. Serce biło w piersi, jakby miało zaraz wybuchnąć. Chciała krzyczeć, lecz nie mogła, głos uwiązał jej w gardle.

- Bracia i siostry, ten człowiek, ta istota niedoskonała chce zbliżyć się do Pana. Jeśli chce mu spojrzeć jeszcze kiedykolwiek w oczy, musi sam oczyścić się z grzechu!

Nagle jedna z kobiet zdjęła swoją maskę i założyła ją mężczyźnie na wózku. Przerazoną twarz zakryła maska z wielkim uśmiechem i wąskimi oczami. Twarz kobiety bez maski była smutna i jakby nieobecna. Jej ruchy wyuczone i mechaniczne, jakby nie czuła nic. Zdjęła z drugiego wózka chustę i w górę wzbiło się stado czarnych ptaków. Po chwili zorientowała się, że to kruki.

- Jesteśmy świadkami narodzin nowego człowieka, alleluja!

Tłum wtórował kaznodziei.

- Niech nastanie czystość! - wykrzyczał kaznodzieja.

- Czystość! Czystość! Czystość! - skandował rytmicznie tłum.

Rose próbowała się wydostać, ale trzymali ją mocno, odzyskała głos, krzyczała, ile sił w płucach, ale nie była w stanie przekrzyczeć tłumu.

-Charles!! Zostawcie go! - Po policzkach lały się jej łzy.

Kaznodzieja zaczął wymawiać jakieś dziwne słowa i ptaki zaczęły otaczać Charlesa. Mężczyzna w sutannie wykonywał ruchy rękami w lewo i prawo, wciąż coś przy tym mówiąc. Był odwrócony do widzów plecami. Nagle ptaki, jeden po drugim obległy Charlesa. Był skrępowany i wymachując energicznie głową, bezskutecznie próbował je odpędzić. Kaznodzieja wciąż mówił, gdy nagle wykonał błyskawiczny ruch ręką i wtedy kruki zaczęły rozszarpać swoją ofiarę. Dzioby kęsały raz po raz szyję, czoło, policzki i wkrótce oczy. Rose szarpała się, krzycząc razem ze swoim mężem. Tylko kruki były ciche, zbyt zajęte swoją pracą. Twarz Charlesa była już nie do poznania, naznaczona wieloma ranami, ociekała krwią. Kaznodzieja wciąż wyrzucał z siebie potok dziwnych słów, machając przy tym rękoma, jakby odprawiał rytuał. Zachowywał się jak dyrygent, lecz

nie dyrygował orkiestrą, tylko ptakami. Sterował każdym z nich z osobna, jakby nimi był.

Nagle Rose spostrzegła, że wszyscy ludzie wokół mają takie same maski z takim samym, absurdalnym, sztucznym uśmiechem. Teraz wszyscy patrzyli na nią. Charles już się nie ruszał. Kruki odleciały. Jego głowa zwisała bezwładnie, a z oczodołów skapywała krew. Rose chciała zamknąć oczy, ale nie mogła. Ludzie nadal śpiewali i cieszyli się, byli już jednak spokojniejsi. Dostali to, po co przyszli. Trwali w ekstazie. Wpatrywali się w nią, śpiewając coraz głośniej.

Po chwili tłum zaczął skandować: Ro-sie! Ro-sie! Wpierw nieliczni, po chwili wszyscy. Spojrzała na scenę. Charles leżał na wózku, martwy. Mężczyzna w sutannie teraz wpatrywał się w nią i krzyczał:

- Czy moja Rosie była dzisiaj grzeczna?

- Ro-sie! Ro-sie! RO-SIE! -Dźwięk był ogłuszający. Maski, krew, ogromny hałas.

Ruszyła pędem na oślep w gąszcz tłumy i odnalazła drzwi.

Biegła przez ciemny hol, aż zobaczyła ogromne wrota. Pchnęła je z całych sił, wpadając do środka. Zobaczyła, że znajduje się w jakiejś katedrze, wyglądem przypominającej jej kościół.

Pierwsze, co dostrzegła, to ogromny, złoty krzyż, a pod nim niewyraźny, zamazany kontur człowieka. Pomyślała wpierw, że to Charles, jednak mężczyzna był niższy, poza tym podświadomie czuła, że to nie on.

- Kim jesteś? - spytała rozpaczliwie.

Chciała podejść do niego, ale upadła, tracąc kompletnie czucie w nogach. Przypominała syrenę wyrzuconą na brzeg. Odruchowo poszukała wózka, ale go nie odnalazła. Opierając się bezsilnie na rękach, próbowała spojrzeć na mężczyznę w oddali, ale dostrzegła tylko dolną połowę jego oblicza. Jej uwagę zwróciły buty - eleganckie i idealnie wypolerowane, widoczne z oddali. Wszystkie hałasy ucichły, cisza była niemal namacalna i złowroga jak ten, który stał w oddali przed nią. Usłyszała, jak w końcu rusza w jej stronę spokojnym

krokiem. Lśniące, gustowne buty stukały o zimną posadzkę z marmurowych płyt, położonych na całej powierzchni tego mrocznego miejsca. Był coraz bliżej, choć szedł bardzo powoli.

Stuk... stuk... stuk. Bliżej i bliżej. Wszystko wokół było zamazane i niewyraźne, było niesamowicie gorąco. Widziała tylko sylwetkę mężczyzny odzianego w czarne spodnie i płaszcz.

Gdy wydawało się, że zaraz nadejście na jej dłonie, stanął. Echo ostatniego stuknięcia zakończyło swe rozbrzmiewanie wśród starych, zakurzonych obrazów zdobiących surowe mury katedry, ustępując znów miejsca ciszy. Zdyszana i lepka od potu, oddychała ciężko, patrząc na jego buty. Zamknęła oczy. Nie odważyła się spojrzeć w górę. Nie chciała znów patrzeć w te ciemne, puste oczy, które widywała w swoich snach, jednak zrobiła to. Podniosła głowę do góry, a jej włosy zawisły w powietrzu, podczas gdy jej pełne przerażenia i strachu oczy napotkały jego spojrzenie.

Patrzyli na siebie i po chwili dostrzegła, jak mężczyzna otwiera powoli usta, nienaturalnie szeroko, a z ich głębi zaczyna wydobywać się niski pisk, przechodzący w potężny ryk. Powietrze zaczęło drgać, hałas był przeraźliwy i przeszedł w jazgot. Uszy Rose zaczęły krwawić z bólu, który otworzył jej usta, jednak nie była w stanie wydać z nich nawet jęknięcia. Czuła, jak umiera. Po chwili mężczyzna zaczął łamać swoje kości w rękach i nogach. Tak samo złamał szczękę, co sprawiło, że jego twarz została nienaturalnie zniekształcona. Wśród jego ryku słyszała tylko głucho trzaski kości. Zacisnęła powieki.

Pragnęła umrzeć tak bardzo jak nigdy dotąd.

• • •

Nastąpiła całkowita cisza i ciemność. Bolały ją oczy. Czuła, jak zaciska je do granic możliwości. Musiało to trwać dłuższą chwilę. W końcu zrozumiała, że się obudziła.

Znowu śniła o Nim. Nie umiała go nazwać ani opisać. Zawsze był niewyraźny i nigdy się jej nie przedstawił. Po raz pierwszy pojawił się w jej w snach około dwóch miesięcy temu, od tej pory śniła prawie

codziennie. Obudziła się zdyszana i lepka od potu. Odsunęła kołdrę od siebie, budzik elektryczny wskazywał za kwadrans dwunastą. Wciąż była wstrząśnięta, dygotała z zimna. A może ze strachu. Najprawdopodobniej z powodu obu naraz.

Zaczęła płakać. To były łzy, które od dawna czekały na uwolnienie. Łzy samotności, pustki i przygnębienia. Łzy tęsknoty i bezsilności. Sny powracały coraz częściej i coraz bardziej mieszały się z rzeczywistością. Potrzebowała pomocy. Nie wierzyła w psychologów i ich bełkot. Wierzyła, że mechanik naprawi samochód, lekarz wyleczy gripę, ale nie w to, że człowiek naprawi czyjś umysł. Nie chciała też uciekać w farmakologię. Więc tylko płakała zgięta w pół z twarzą ukrytą w dłoniach.

Aż nagle coś mocno uderzyło w szybę.

Rose sięgnęła po kule, dźwignęła się na nich, po czym usiadła na swoim wózku. Deski parkietowe delikatnie zaskrzypiały pod ciężarem jej kruchego ciała. Powoli podjechała do okna i wyjrzała na ulicę. Przetarła zaparowaną szybę rękawem. To, co zobaczyła, wprowadziło ją w osłupienie. Na początku pomyślała, że ma omamy, toteż sięgnęła po okulary leżące na kredensie, zrzucając przy tym niechcący wazon z kwiatami. Nie przejęła się tym. Po części dlatego, że wciąż nie wiedziała, czy to aby nie kolejny sen. Założyła okulary i jeszcze raz wyjrzała przez okno.

Z okna jej sypialni na pierwszym piętrze widać było dokładnie całą Lane Street biegnącą wzdłuż miasta na północ. Na środku tej drogi, na wprost jej okna, stała dziewczynka. Na oko Rose miała może osiem do dziesięciu lat. Stała tak na ośnieżonej drodze i po prostu patrzyła na nią. Odziana była w białą sukienkę sięgającą do kostek. Miała lśniące czarne włosy prawie do pasa i ciemną karnację, mocno kontrastującą z bielą sukni. Twarz była poważna, a oczy przenikliwie patrzyły na Rose, która myślała, że wciąż śni. Na zewnątrz hulał wiatr, było poniżej dziesięciu stopni na minusie. Dziewczynka nawet nie drgnęła. Rose odczuwała pewien dziwny spokój, patrząc na to dziwne zjawisko.

Po chwili dziewczynka lekko uniosła rękę i palcem wskazującym zaczęła coś kreślić powoli w powietrzu. Rose zauważyła, że szepcze przy tym coś do siebie, lekko się przy tym uśmiechając. Gdy skończyła, odwróciła się powoli. Długie włosy spływały jej na ramiona. Dziewczynka lekko rozłożyła ręce, rozstawiając luźno dłonie. Zaczęła iść powoli przed siebie z lekko pochyloną głową. I wtedy zdarzyło się coś, czego Rose nigdy nie zdoła wytłumaczyć.

Dziewczynka szła dokładnie środkiem ulicy, między stojącymi po obu stronach latarniami. Nagle dwie z nich zgasły w wyniku spięcia, zatapiając w mroku tę część Lane Street. To samo stało się z kolejnymi latarniami, kiedy je mijała. I następnymi. Gdy tak odchodziła powoli, Rose poczuła ukłucie tęsknoty. Chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle, nie mogła się ruszyć.

Patrzyła bezsilnie, jak dziewczynka odchodzi w dal, zabierając ze sobą światła latarni.

• • •

Drżącą ręką ściągnęła okulary i odłożyła na kredens. Podjechała do łóżka i weszła na nie, delikatnie się chwiejąc. Była spokojniejsza, chociaż wiedziała, że po raz kolejny musi zmierzyć się z nocą, która mogła mieć wobec niej różne plany. Leżała tak, patrząc w sufit, i zastanawiała się, czy zwariowała do reszty.

Nagle pokój rozświetlił oślepiający blask. Popatrzyła w okno. To Migotka się zapaliła, prawdopodobnie razem z resztą innych lamp. Jednak nie to wprawiło ją w osłupienie. Lamy świeciły tak mocno, że wyglądało, jakby na zewnątrz był słoneczny dzień. Zobaczyła też na szybie napis. Wcześniej go nie dostrzegła, gdyż stała zbyt blisko. Napis był jakby wyrysowany palcem. Teraz wiedziała, co dziewczynka kreśliła w powietrzu.

Na szybie napisane było dużymi literami:

- NIE BÓJ SIĘ.

ROZDZIAŁ 2

Vernon, 16 grudnia 2010

Była już zmęczona, ale to miał być ostatni klient, Tony jej to obiecał. Nie zawsze dotrzymywał obietnic, Tony był niesłowny. Tony był skurwysynem, ale był także jej szefem. Był też jej wybawcą i ostatnią deską ratunku.

Taksówka przywiozła ją na miejsce dokładnie o 21.45. Znajdowała się przed hotelem Marriott w centrum. Dała taksówkarzowi napiwek, po czym wysiadła. Nie bywała często w tych rejonach, ale zawsze podziwiała to sporych rozmiarów miasto. Nawet o tak późnej godzinie ulice były zatłoczone, przepełnione dźwiękami silników i klaksonów samochodów, a w powietrzu czuło się świąteczną atmosferę.

Piesi niespiesznym krokiem przechadzali się pasażami sklepowymi naprzeciwko hotelu. Można było dostrzec przekrój całego społeczeństwa. Naćpani nastolatki, zakochane i niezakochane pary, ubodzy, zamożni, biznesmeni, maklerzy... Niczym jedna wielka, miejska mieszanina farb na płótnie.

Śnieg prószył z wolna, a Sam miała na sobie tylko żakiet, toteż czym prędzej wyrwała się z zadumy i przekroczyła próg hotelu. Poczowała zazdrość. Święta były urokliwe, dopóki ktoś na Ciebie czekał w domu. Ona nie miała tego komfortu.

Otwarcie wielkich, masywnych drzwi wymagało nie lada wysiłku, tym bardziej dla Samantha, która była drobnej budowy. Gdy jej się to już udało, szła po eleganckim, czerwonym dywanie. Stała naprzeciwko recepcji, za którą stała pogodna, elegancko ubrana kobieta.

- Dobry wieczór, witamy w hotelu Marriott. - Uśmiechnęła się szeroko, choć była to wymuszona uprzejmość.

Samantha doskonale знаła wymuszone uśmiechy.

- Czym mogę służyć? - zapytała recepcjonistka.

- Dobry wieczór, rezerwacja na mojego męża, nazwisko Stroker - odparła Sam.

- Proszę chwilę poczekać.

Recepcjonistka wystukała nazwisko, po czym spytała:

- Pan Martin Stroker? Pokój o podwyższonym standardzie, dwuosobowy?

- Dokładnie - odparła Sam.

- Dobrze, poproszę dokument tożsamości.

Sam podała go recepcjonistce, która wprawnymi palcami wystukiwała coś na klawiaturze. Zaczęła rozglądać się po przestronnym holu. Widziała już wiele hoteli, ale ten szczególnie wyróżniał się na ich tle. Z zamyślenia wyrwała ją recepcjonistka:

- Wszystko załatwione, Panno Mori.

No tak. Przecież w prawie jazdy miała swoje prawdziwe nazwisko. Recepcjonistka zachowała pozory, chociaż wiedziała, że Sam kłamie i wręczyła z szerokim uśmiechem kartę chipową oraz poinstruowała dokładnie, jak dostać się do pokoju, by nie zabłądzić w tym wielkim budynku.

Trafiła bez problemu, po drodze podziwiając każdy metr kwadratowy hotelu.

- I oto jest, pokój numer 354 - powiedziała cicho do siebie, po czym wsunęła kartę do czytnika, w odpowiedzi słysząc szcęk otwieranych drzwi. Po prawej stronie na wysokości barku zobaczyła kolejny otwór na kartę, który uruchamiał instalację elektryczną. Włożyła ją i po chwili zapaliło się światło, ukazując przestronny salon apartamentu.

Pokój zrobił na niej jeszcze większe wrażenie niż hotelowy hol. Wszystko było idealnie czyste. Na wielkim łóżku w sypialni zobaczyła wręcz symetrycznie ułożone ręczniki. Czuła zapach lawendy i świeżej pościeli.

Była 19.10 i według planu miała jeszcze około dwudziestu minut. Wzięła szybki prysznic, uważając na włosy i twarz, po czym podeszła do umywalki. Chwyciła ręcznik i patrząc w lustro, zaczęła się wycierać. Po chwili zastygła, przyglądając się sobie.

Miała piękne, opalone ciało i gładką skórę, szczupłe nogi, idealny brzuch, w którym tkwił diamentowy kolczyk. Lśniące, kasztanowe

włosy opadały jej na krągłe, niewielkie, choć równie idealne piersi. Stała tak, patrząc sobie głęboko w oczy i zastanawiała się, kim jest. Czy wciąż jest sobą. Czy wciąż jest człowiekiem? Czy pomagało jej okłamywanie się? Sama już nie wiedziała, co myśleć. Zadzwoił jej telefon, na którym wyświetlił się napis: „szef”.

- Mam nadzieję, że to nie będzie jakiś dupek? - spytała bez ogródek.

- Wiesz, że dobieram ci klientów z klasą - odparł sarkastycznie. - Jesteś już w pokoju?

- Tak. Czekam. Kiedy się zobaczymy? Chciałabym porozmawiać, Tony, i nie chcę tego dłużej odwlekać.

- Spokojnie. Wkrótce. A tymczasem bądź grzeczna. To ważny klient.

Usłyszała krótki sygnał, który oznaczał koniec rozmowy. Całkiem w jego stylu.

- No dobra, Sammy - powiedziała do lustra. - Już niedługo. Już niedługo.

Odwiesiła ręcznik, założyła ekskluzywną bieliznę oraz szlafrok. Spięła włosy, pomalowała usta i wyszła z łazienki. Podeszła do okna. Roztaczała się z niego piękna panorama miasta, pokrytego dziś białym puchem. Mimo całego tego komfortu cieszyła się, że spędzi tutaj tylko godzinę. Modliła się o niewybrednego klienta, który szybko załatwi sprawę, co pozwoli jej co prędzej wrócić do mieszkania, otworzyć wino i delektować się ciszą. Włączy też płytę winylową ze starymi kawałkami Sinatry i poukłada sobie w głowie resztę życia. Dzisiaj kupi najdroższe wino, jakie tylko będzie w sklepie. Tak postanowiła, patrząc na ogrom światełek, które widziane z tej wysokości, niczym małe świetliki zdobiły miasto.

Gdy tak rozmyślała, usłyszała dźwięk otwieranego zamka. Punktualnie. Wyszła mu na spotkanie.

Pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, to jego wymiary. Musiał ważyć dobre sto kilo przy wzroście 185 cm. Pod garniturem rysowały się potężne ramiona. Był zadbany, wysportowany i bardzo przystojny.

Sam domyślała się, że nie ma problemu z kobietami, toteż zastanawiała się, co on tu w ogóle robi.

- Cześć - powiedziała, uśmiechając się.

Mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę, jakby taksował towar, chcąc ocenić, czy stan faktyczny zgadza się z zamówieniem.

- Jesteś czysta?

Początkowo Sam nie załapała, o co chodziło, pomyślała o narkotykach.

- Tak - odpowiedziała od razu. Co nie było do końca zgodne z prawdą

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Znała ten typ. Byli to ludzie z kasą, którzy nie lubili najmniejszego sprzeciwu. Mieli dostać to, czego chcą, i wszystko powinno być wykonywane według ich woli.

- Dobrze. To nie potrwa długo - powiedział, po czym zdjął płaszcz. Mięśnie uwydatniły się jeszcze bardziej spod obcisłej koszuli.

Sam zastanawiała się, co nie potrwa długo. Miała nadzieję, że chodzi o ich spotkanie. „Nie potrwa długo”. Tak, na pewno chodzi o spotkanie.

Nie wiedziała, jak bardzo się myliła.

Wszedł z łazienki po niecałych dziesięciu minutach, przepasany tylko białym ręcznikiem.

- Nazywam się Natalie - powiedziała, siadając na łóżku. Próbowwała jakoś rozluźnić atmosferę. Poły szlafroka odsłoniły jej gładkie udo. - A jak tobie na imię?

- To chyba i tak nieważne, bo twoje jest fałszywe, prawda? - Stał nad nią, patrząc z góry. - Poza tym nie przyszedłem tutaj rozmawiać. - Dotknął jej włosów, bardzo nieśmiało, i zaczął gładzić ją po głowie.

Spojrzała na niego i poczuła dziwny strach. Oczy zdradzały napięcie.

Wstała, ignorując jego dotyk, i podeszła do lustra, ściągając szlafrok. Była już w samej czarnej, idealnie dopasowanej bieliźnie.

- Tysiąc dolarów za godzinę, ale to chyba wiesz, prawda? -
Zmieniła ton na bardziej ostry i zaraz tego pożałowała.

Mężczyzna podszedł do niej energicznym krokiem. Sam się cofnęła, ale skończyła się jej przestrzeń. Przyparł ją do ściany i uderzył mocno dłonią w twarz. Zachwiała się i świat zaczął jej wirować przed oczyma.

-Masz tupet, dziwko. Naprawdę masz tupet - odezwał się mężczyzna. Dostrzegła w jego spojrzeniu lekką satysfakcję. Jakby to skarcenie przyniosło mu ulgę. Bardziej od uderzenia zszokowała ją ta nagła zmiana nastroju. Płynne przejście od uprzejmości do brutalnego, agresywnego zachowania. Poczowała jeszcze większy lęk.

- Tu się z Tonym zgadzam, za to mogę zapłacić. - Zaśmiał się w dziwny sposób, taksując jej ciało z góry na dół. - Podobno mogą cię deportować. To prawda?

Sam dłonią zasłoniła twarz, odruchowo broniąc się przed kolejnym uderzeniem. Nie podobało jej się to pytanie. Skąd wie? Czy Tony mu o tym mówił? Złamał swoją obietnicę? Nie chciała w to wierzyć. Czowała, że wpatruje się w nią i jego oddech staje się coraz szybszy.

- Odejdź, proszę - szepnęła. - Nic nie powiem Tony'emu, tylko mnie zostaw.

Mężczyzna cofnął się i patrzył na nią przez chwilę. Wydawało jej się, że to zadziało.

- Uklęknij - powiedział stanowczo.

- Proszę, ja...

- UKŁĘKNIJ, TY GŁUPIA DZIWKO!

Ponownie zdzielił ją w twarz, tym razem odczuła to mocniej, zachwiała się.

Uklękła. Po części dlatego, że cios był tak mocny i nogi odmówiły jej posłuszeństwa, ale przede wszystkim zdała sobie sprawę, że jest już zdana na niego i ślepy los.

• • •

Obudziła się, gdy zegar na ścianie wskazywał 23.30. Po drugiej godzinie od spotkania co chwilę traciła przytomność, po czym ją odzyskiwała, by za chwilę znowu stracić. W trzeciej godzinie nie pamiętała nic.

Samo otwarcie powiek kosztowało ją wiele wysiłku i bólu. Ten ból akurat nie był fizyczny. Leżała tak na podłodze z otwartymi oczyma i patrzyła na ramę łóżka. Minęło dobrych paręnaście minut, gdy doszła do siebie.

Spróbowała się podnieść. Nie potrafiła wstać, nogi uginały się pod nią. Każdy jej mięsień protestował. Ból rozsadzał jej głowę. Czuła pieczenie na twarzy.

Po chwili udało się jej wstać i utrzymać równowagę. Założyła ręcznik na nagie, obolałe ciało. Spróbowała przejść krok w stronę łazienki, znowu upadła. Odpoczęła chwilę, po czym znów wstała.

Dopęzła do drzwi łazienki. W ustach czuła cierpki smak krwi, splunęła nią do umywalki. Spojrzała w lustro. Krew nabiegła jej do oczu, rozcięte wargi były napuchnięte i traciła ostrość widzenia.

Przyjrzała się i zobaczyła to, czego nie chciała. Twarz miała rozciętą od oka w dół policzka. Jeszcze raz wypluła krew, czuła w płucach coś ciężkiego i to coś bulgotało przy każdym oddechu. Złamane żebra, pomyślała. Nie mogła się całkiem wyprostować. Dotarła po chwili do kabiny prysznicowej, odkręciła kurek z zimną wodą i zapominając o szlafroku, weszła do kabiny. Musiała zmyć z siebie cały brud. Woda cuciła ją silnym, lodowatym strumieniem.

Siedziała z podkulonymi nogami, twarzą do płytek, a krew wpijała się w szlafrok, kapiąc na podest prysznic. Czas się zatrzymał. Nie płakała. Ani jedna łza nie poleciała z jej oczu, gdy ją upokarzał, bił i gwałcił. Pamięta, że krzyczała w poduszkę, ale tylko przez pierwszy kwadrans.

Zakręciła kurek. Opanowała już drzenie nóg. Ostatnie zmały rozrzedzonej z wodą krwi spłynęły w odmęty kanałów, wirując delikatnie wokół odpływu prysznic. Wstała i delikatnie otarła ciało ręcznikiem, ale każdy dotyk był bolesny, jakby była poparzona. Jej

ciało, jeszcze trzy godziny temu bez skazy, zdołało teraz paręnaście
sinych okręgów.

Ubrała się z wielkim trudem. Zobaczyła banknoty na szafce przy
łóżku. Dostrzegła, że było ich więcej, niż powinno. Podeszła do nich
i w milczeniu, jak zahipnotyzowana, wbiła w nie wzrok, po czym
włożyła do torebki.

Wyszła z pokoju wolnym krokiem, starając się utrzymać
równowagę oraz pozory normalności. Z całych sił próbowała być
wyprostowana, ale nie mogła, płuca jej nie pozwalały. Za kontuarem
wciąż siedziała młoda blond recepcjonistka. Sam położyła kartę na
blacie i ukrywając twarz za kołnierzem płaszcza, udała się w stronę
wyjścia.

Recepcjonistka spojrzała na nią zdezorientowana.

- Dobranoc i zapraszamy ponownie - powiedziała, lecz Sam nie
słyszała już ostatnich słów.

Wyszła na zewnątrz. Mroźny wiatr uderzył w jej twarz.

Zachwiała się delikatnie i utykając, szła przed siebie. Zataczała
się. Ludzie patrzyli na nią, ale nie zważała na to. Znów czuła cierpki
smak krwi na języku. Sam wypluła wydzielinę na chodnik. Czuła się
jak puszka, którą ktoś deptał wielokrotnie, po czym wyrzucił do
śmieci.

Weszła w boczną alejkę i po paru krokach oparła się o mur.
Zaczęła płakać. Po krótkiej chwili płacz przerodził się w szloch. Łkała,
nie mogąc złapać powietrza. Osunęła się powoli po chłodnym murze.
Popatrzyła w niebo, płatki śniegu spadały jej wprost na twarz. Na tę
piękną twarz o idealnie zielonych oczach, za którymi szaleli chłopcy
w dawnych latach, teraz tak mocno pokiereszowaną i napuchniętą.
Było jej zimno, wiedziała, że będzie chora, ale nie dbała o to. Chłód
pomagał, maskując prawdziwy ból i tylko to było ważne.

Patrzyła tak w niebo i gwiazdy, a do oczu napływały coraz to
nowsze łzy, gdy nagle poczuła czyjąś obecność. Opuściła wzrok
i zobaczyła dziewczynkę. Była bosa i Sam nie mogła uwierzyć w to, co

widzi. Dziewczyna była piękna, jej ciemnozielone oczy wpatrywały się w nią z powagą.

- Kochanie, gdzie masz buty? I jakąś kurtkę? - spytała Sam, przecierając oczy, a każde słowo wymagało od niej wysiłku. - A w ogóle co ty tutaj robisz sama o tak późnej porze? - Próbowwała udawać, że wszystko jest w porządku, nie chcąc przestraszyć małej.

Dziewczynka tylko wpatrywała się w nią. Nagle Samantha uświadomiła sobie, że ludzie przechodzą obok małej całkowicie obojętnie, nieznacznie ją omijając. Nikt nie zauważył paroletniej dziewczynki, bosej na mrozie, odzianej tylko w sukienkę? Sam miała wrażenie, że traci zmysły.

- Kochanie powiedz coś. Szukasz rodzi...

Nagle dziewczynka, wciąż taksując ją wzrokiem, zrobiła powolny, lecz zdecydowany krok naprzód i weszła między nogi Sam, która siedziała oparta o ścianę. Sam przestraszyła się, ale dziewczynka uklękła i delikatnie, z wyczuciem ujęła jej twarz w dłonie. Były ciepłe i delikatne.

Sam zamknęła oczy. Czowała, jak dłonie tej małej istoty dotykają jej włosów. Po chwili dziewczynka opuszkami palców, delikatnie dotknęła jej świeżych rozcięć oraz powiek, schodząc w dół przez szyję i między piersi. Fale ciepła i ulgi przechodziły przez ciało Sam. Nigdy nie doznała czegoś podobnego. Dłonie zatrzymały się na chwilę przy brzuchu. Sam czuła przechodzącą, dziwną energię. Jakby ta mała była jakimś elektronem. Otworzyła oczy i spojrzała na dziewczynkę. Ujrzała na jej twarzy dziwny wyraz zatroskania oraz... niezrozumienia? Samantha nie wiedziała, co myśleć, ale nadal czuła, jak jej ciało falowało ciepłem emitującym od głowy po stopy.

Dziewczynka powoli ujęła ją za dłonie. Sam jeszcze raz popatrzyła na nią. To samo skupienie na twarzy. Po chwili dziewczynka popatrzyła w niebo, mrużąc oczy, jednak nie przed spadającymi płatkami śniegu. Sam zrobiła to samo.

- Co tam widzisz? - spytała zdezorientowana. - Kim jesteś?

Dziewczynka, zamiast odpowiedzieć, zaczęła coś pisać na chodniku. Sam dostrzegła jakieś cyfry.

- Co to za cyfry? To numer telefonu? Mam tam zadzwonić? - spytała kompletnie zbita z tropu.

Gdy dziewczynka skończyła, wstała i ostatni raz spojrzała na Sam, która chciała się ruszyć, zatrzymać ją, lecz nie potrafiła.

Patrzyły na siebie tak przez chwilę, którą zakłócił dźwięk klaksonu. Sam odruchowo popatrzyła w tym kierunku. Dostrzegła taksówkarza, który przeklinał głośno przez uchyloną szybę, po czym z piskiem opon pojechał dalej. Sam znów spojrzała w kierunku dziewczynki, ale jej już nie było. Na chodniku zobaczyła tylko cyfry, które powoli przykrywał już świeży śnieg:

32 52 90 T.

Samantha dotknęła policzka i stwierdziła, że nie ma tam już żadnej rany.

ROZDZIAŁ 3

Niebo było pochmurne, lecz słońce prześwitywało co jakiś czas, gdy były łaskawe chmury ustąpić mu miejsca.

Rose obudziła się wcześniej, rześka i wyspana. Pomyślała, że sen, który miała tej nocy, był pierwszym dobrym snem od dawna.

Ta dziewczynka w bieli była tak realna. Zateśniła za nią. Sen był piękny, czego nie można było powiedzieć o dzisiejszej pogodzie. Leżała jeszcze przez chwilę, wpatrując się w szybę, na której wczoraj widziała napis, z uczuciem zawodu jednak stwierdziła, że zniknął.

Rosie, Rosie, taka stara, a taka głupiutka jesteś. Zachichotała i dźwignęła się z łóżka, gdy zorientowała się, że coś w pokoju nie grało. Rozejrzała się po nim raz jeszcze i odpowiedź przyszła do niej sama, po cichu jak małe, figlarne dziecko skradające się na paluszkach.

Z jednej strony chciała zobaczyć to, co zobaczyła, z drugiej jednak nie była tego pewna.

Przy skraju łóżka dostrzegła odłamek zbitego wazonu. Biały, skruszony, spoglądający na nią ukradkiem tak jak ona na niego.

Rose, głupia babo, widocznie spadł z okna nocą, pomyślała. Jednak mimo najszczerzej chęci nie zdołała do końca się oszukać. Pomyśli nad tym później. Teraz czas na papierosa. Och tak, papieros.

Wstała z łóżka, usiadła na swój wózek, odbezpieczyła kółka, podjechała do okna i nagle zamarła.

Zobaczyła Barneya i Chucka stojących przy latarni. Palili papierosy i gestykulowali, śmiejąc się, jak się domyślała, z najnowszych sprośnych, okolicznych żarcików.

Znała dobrze tych dwóch i to nie ich widok tak ją zaskoczył. Chuck i Barney naprawiali większość rzeczy w mieście. A dzisiejszego ranka jakaś awaria sprowadziła ich na Lane Street. Zauważyli ją. Z wysiłkiem uśmiechnęła się i uniosła rękę, a ci zaraz jej ochoczo odmachali.

Ubrała się szybko (jakkolwiek definiować szybkość w jej przypadku), zjechała wózkiem na dół i lekko drżącą dłonią otworzyła drzwi.

Lekki podmuch wiatru omiół jej twarz. Wytoczyła wózek na ganek. Barney, przysadzisty mężczyzna o twarzy i duszy dziecka podbiegł zaraz do niej.

- Pani Rose, dzień dobry. Pomóc pani?

- Dziękuję młody, przystojny człowieku, jestem staruszką, ale jeszcze będzie czas, by przenieśli mnie na rękach. Co się stało?

Rose zjechała z drewnianego podestu, przystosowanego pod jej wózek.

- Coś dziwnego, nie wiemy jeszcze dokładnie, ale w tej części aż do końca ulicy nastąpiło zwarcie sieci elektrycznej.

Rose spojrzała na latarnie. Wszystkie żarówki dosłownie eksplodowały na tysiące małych szklanych cząsteczek porzucanych teraz po chodniku.

- Oczywiście kogo wysyłają do najgorszej roboty? - zapytał Barney, a Rose odparła, że oczywiście ich, na co on przytaknął

dumnie.

Odlamki szkła trzeszczały, gdy Chuck, rozmawiając przez telefon, chodził w tę i we w tę.

- Barney, jak to możliwe? - zapytała zamyślona Rose i spojrzała w miejsce, gdzie w nocy widziała dziewczynkę. Na śniegu

było trochę śladów stóp, ale żadnych, które wskazywałyby na obecność małego dziecka.

- Ciężko stwierdzić, wie pani, że te rejony są najbardziej awaryjne. Chociaż tak dużego i rozległego spięcia jeszcze nie widziałem, a robię w tym już trochę. Można by rzec, że od skończenia ogólniaka, więc jakies... Szlag, robię w tym już ponad dwadzieścia pięć lat.

Gdy Barney trzymał papierosa przy ustach i z coraz większą trwogą uświadamiał sobie, jak długo już pracuje w zawodzie elektryka, Rose spojrzała w swoje okno. Czy to był sen? Czy to mogło być coś innego niż sen połączony ze zwykłym zbiegiem okoliczności?

Chuck podbiegł do nich, kończąc rozmowę słowem „czekaj”, które sugeruje, żeby nie kończyć rozmowy, po czym wyłączył telefon.

- Dzień dobry, pani Rose. Proszę wybaczyć, kierownik zawraca nam głowę od rana, jakbyśmy pracowali co najmniej dla pogotowia czy coś. Zimno, co?

- Cześć, Chuck. Tak, zimno jak diabli - odparła.

Jednak Rose nie było zimno ani trochę. Podjechała bliżej ulicy, wpatrując się w drogę, którą pokrywał śnieg. Nadal wypatrywała śladów małych stópek, jednak wciąż bezskutecznie. Najwięcej pozostawili chłopcy swoimi ciężkimi butami.

Stali tak lekko niepewni, patrząc na nią, aż w końcu ciszę przerwał Barney.

- Pani Rose, wszystko w porządku? Nie wygląda pani najlepiej.

- Gdzie to przesilenie się skończyło? - spytała, wpatrując się w dal.

- Cóż, ostatnie spalone przewody w latarni wskazują na dom pana Willisa. A tak w ogóle, słyszała pani, co się stało?

- Nie. - Rose przeszedł dreszcz. Nie chciała wiedzieć, co się stało. Wtrącił się Chuck, jakby nie mógł doczekać się oznajmienia tej nowiny.

- Stary Willis popełnił samobójstwo tej nocy.

- George? George Willis? Jak?

- Nie wiemy - odparł Barney. - Policja okręgowa zabezpieczyła miejsce. Wilma mówi, że to nie samobójstwo, bo wtedy policja nie zabezpiecza tak miejsca, ale Wilma różne rzeczy już mówiła. Nie zdziwiłbym się, gdyby zobaczyła pieprzonego Mikołaja z reniferami.

Chuck szturchnął go w ramię.

- Przepraszam - odrzekł zawstydzony Barney. - Podobno napisał coś na szybie, ale policja i to zdążyła zakryć, więc nie wiemy, czy to prawda - dokończył zasmucony.

- Co napisał? - Rose czuła, jak krew szybciej płynie jej w żyłach.

- Nie wiemy. Ale to był całkiem fajny gość. - Chuck rzucił przed siebie niedopałek papierosa. - Gówniana sprawa... - rzekł.

Teraz Barney trącił go łokciem, po czym Chuck dopowiedział:

- ...za przeproszeniem.

Rose czuła, jak słabnie, jednak nie dała po sobie nic poznać. Czy to możliwe, że to ona? Ale w takim razie dlaczego? Jak? Zbyt dużo pytań, zbyt mały umysł, Rosie, pomyślała.

- Chodźcie, chłopcy, zrobię wam pysznej herbaty. Należy się wam. Może nie zatańczę z wami swinga, ale herbatę umiem zrobić. - I obdarowała ich najpiękniejszym uśmiechem, na jaki w tym momencie było ją stać.

Z nieskrywaną ochotą skorzystali z propozycji. Pomogli jej dostać się na ganek i w głąb domu.

Pili herbatę, powtarzając okoliczne plotki, jak to mieli w zwyczaju mieszkańcy Tensas o poranku. Rose śmiała się i wysłuchiwała ich problemów z troską, jednak myślami była gdzieś indziej. Napis na szybie. Spięcia latarni. Samobójstwo Willisa. O co tu chodzi, Rose?

ROZDZIAŁ 4

Stephen palił papierosa i patrzył na swój dom. Był wczesny, słoneczny poranek. Obok, z prawej strony stała jego żona, Katie, a z lewej córka, Amy. Stali tak we trójkę, patrząc w milczeniu, które przerwała Katie:

- Kochanie, odwlekałeś to równy tydzień, a za trzy dni są święta. Musisz to zrobić.

-Tatusiu, ulepimy dzisiaj bałwana? - spytała podekscytowana Amy. Jej szeroko otwarte oczy świeciły w blasku słońca i oczekiwały twierdzącej odpowiedzi.

- Kotku, najpierw tatuś obwiesi domek lampkami, żeby był równie piękny jak u sąsiadów - ucięła Katie. - Prawda?

To było pytanie retoryczne i Stephen wiedział o tym.

- Ale tatuś obiecał mi, że ulepimy dzisiaj bałwana - odrzekła z grymasem na twarzy Amy.

- I tak się stanie. Zaraz po tym, jak zawiesi lampki.

- Więc zawiesi lampki po tym, jak ulepi bałwana - powiedziała Amy, podnosząc zadziornie twarz. Miała to po Kate.

- Bałwan nie ucieknie, a pogoda może, dlatego nie dyskutuj - odpowiedziała Kate, urywając tę dyskusję.

Stephen zorientował się, że w całej tej konwersacji nie odezwał się nawet słowem. Tak było często, więc przywykł. Jednak teraz poczekał na odpowiedni moment i postanowił od razu go wykorzystać.

- Kochanie, nie wiem, Eddie mówił wczoraj, że coś go zbiera i może się dzisiaj nie wyrobić - rzekł do żony. -A bałwan to deklaracja zobowiązująca. - Mrugnął okiem do córki.

- A co to jest deklaracja zająca? - Amy zmarszczyła czoło.

Zanim zdążył odpowiedzieć, na podjazd zajechał niebieski, wyblakły ford mustang i przez otwarte okno usłyszeli głośne „czołem, rodzinka”.

- Wujek! - zawołała Amy i podbiegła do auta, by rzucić mu się w ramiona.

- Cześć, łobuzie! - powiedział Eddie, po czym podrzucił ją na rękę. Byłaś grzeczna?

Stephen popatrzył na Kate. Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Eddie, byku, miałeś leżeć w łóżku! - krzyknął Stephen.

- Czemu? - odrzekł Eddie, otwierając bagażnik, z którego wyskoczyła ociążale Scarlett.

- Scar! - krzyknęła Amy, podbiegając do psa.

Stephen posłał Eddiemu delikatny uśmiech, po czym odwrócił się do żony.

- Gdzie są lampki? - zapytał, nie patrząc na dom, by uniknąć spojrzenia żony, które zawsze mówiło: „może kiedyś uda ci się mnie okłamać”.

Kate wspięła się na czubki butów i delikatnie musnęła go ustami w policzek, szeptem mówiąc na ucho: - W garażu, zwinięte przy piecu. Bawcie się dobrze. - Cmoknęła go w policzek.

- Mamusiu, mogę pomóc tacie i wujkowi?

- Jasne, kochanie, tylko uważaj na siebie i nie przeszkadzaj im, mają dzisiaj szczytny cel do osiągnięcia. I pamiętaj, że masz tylko dziesięć lat.

- Dobrze! - ucieszyła się Amy, nadal tuląc psa.

Scarlett była suką rasy rottweiler, starą już, i chociaż Eddie ją kochał, wiedział, że długo nie pożyje. Była sporym psem jak na swoją rasę i pomimo agresji, którą odziedziczyła w genach, miała nadzwyczaj łagodne usposobienie. Nigdy nie zaatakowała nikogo, nawet prowokowana, co z początku irytowało Eddiego, po pewnym czasie jednak zaakceptował wszelkie słabości swojego psa. Scarlett lubiła towarzystwo ludzi, a szczególnie dzieci, toteż pomachała szybko ogonem, gdy zobaczyła, że Amy się zbliża.

Kate, kołysząc biodrami, skierowała się ku drzwiom i zgrabnym krokiem ruszyła przez ogród do domu. Pomimo skończonych trzydziestu lat można było powiedzieć, iż czas obchodził się z nią nadzwyczaj łagodnie. Miała doskonałe nogi i pośladki, wąską talię i - co kochał w niej najbardziej- piękne, doskonałe oczy, które

odziedziczyła ich mała córka. Stephen kochał ją, była dla niego całym światem. Jego drugą, bratnią duszą. Brakującą połową, którą odnalazł kiedyś, gdzieś. A dokładniej w klubie, z którego ledwo uszedł z życiem. Uratowała go wtedy i potem jeszcze nie raz. Tylko dzięki niej wychodził jakoś z opałów. Tylko ona miała tyle siły, by kierować rozsądnie jego krokami i czuł, że wszystkie te najlepsze cechy ma po swojej matce.

Obaj z Eddiem odprowadzili ją wzrokiem.

- Podać wam coś, bohaterowie? - spytała, będąc już przy drzwiach.

- Ja raz to, co Stephen. - Pokazał na Kate. - Gdzie takie można dostać? - Eddie wyszczerzył zęby i wyciągnął cygaro, które włożył do ust.

- Nie wiem gdzie, ale może Steve ci pożyczy. - Uśmiechnęła się zalotnie.

- Steve, pożyczysz? - zapytał Eddie.

- Nie pożyczam tylko wozu i grilla. Resztę bierz.

- Doprawdy? - odrzekła Kate. - Więc musisz pożyczyć dzisiaj inne łóżko. - Posłała mu całusa i weszła do domu.

Mężczyźni stali przez chwilę i patrzyli na miejsce, w którym zniknęła.

- Ale serio, mogę? - spytał po chwili Eddie.

- Chrzań się - odrzekł Stephen i sięgnął do kurtki Eddiego, z której wyciągnął paczkę cygar.

- Nie były tanie - zauważył Eddie.

- A ty miałeś być chory - odparł Stephen i pomachał żonie, która sprzątała kuchnię, uśmiechając się szeroko. Odmachała mu z uśmiechem, co miało prawdopodobnie dodać mu otuchy przed trudnym zadaniem.

- Pójdę po narzędzia - powiedział Eddie, gładząc wolno cygaro, jak to miał w zwyczaju.

- Ja po lampki - odparł Stephen i pokiwał wolno głową, jakby ten pomysł był naprawdę dobry.

Stali tak jeszcze przez chwilę, po czym zabrali się do roboty.

Pracowali przy wesołych dźwiękach świątecznych piosenek dobiegających z małego, przenośnego radia. Blask słońca topił śnieg na ulicach i rozświetlał ich pogodne twarze. Amy pomagała przez pierwsze dziesięć minut, po czym zajęła się czymś ciekawszym. Bawiła się ze Scarlett, rzucając jej patyk i w nagrodę co chwilę karmiąc smakołykami. Oczywiście w tajemnicy przed wujkiem. Często musiała robić przerwy, gdy Kate kazała się jej ogrzać w domu i wtedy wywracając oczami, szła ze spuszczoną głową, nie mogąc doczekać się, kiedy będzie już dorosła.

Stephen czuł się wspaniale. Raz po raz rzucali sobie z Eddiem cięte żarty, które tylko oni rozumieli. Chociaż często pracowali w ciszy, nie czuli przy tym dyskomfortu. Byli przyjaciółmi, facetami, którzy rozumieją się bez słów. Dogadywali się świetnie już od szkolnych lat. Eddie był strasznym skurwysynem, ale jeśli chodziło o bliskich i rodzinę, był w stanie poświęcić swoje życie i Stephen o tym wiedział. Od lat zresztą traktowali go jak członka rodziny. Eddie prowadził kiedyś podobne życie jak on sam. Zajmował się przez krótki czas windykacją długów oraz pracował jako ochroniarz. Łatwo dostawał takie posady, gdyż miał nienaturalnie potężną posturę. Teraz, gdy skończył trzydzieści lat, jego mięśnie z braku treningu doznały lekkiego zaniku, a czas nie był dla niego tak łaskawy jak dla Kate czy nawet Stephena.

Jednak jego sylwetka wciąż budziła podziw i był największym człowiekiem, jakiego Stephen znał, a przy tym miał łagodny charakter i Stephen często myślał, że musi coś w tym być, iż pies upodabnia się do pana. A sporo czasu miał, by się upodobnić. Kobiety w życiu Eddiego były nietrwałym elementem, ale pies, którego kochał i dzielił z nim życie już ponad osiem lat – tak.

I teraz tak patrząc na Eddiego (który akurat przeklął coś pod nosem, gdy upuścił gwóźdź, a przekleństwa w jego ustach były naturalną składową języka), pomyślał, że ten do szczęścia potrzebuje niewiele. Stephen również cieszył się z życia i niczego więcej nie

pragnął. Miał trzydzieści lat, był w dobrej formie i otoczony ludźmi, którzy skoczyliby za nim w ogień. Po chwili, nucąc melodyjkę z radia (po których najczęściej Phil Convoy piskliwym, radosnym i niepasującym do radia głosem, który znany i przeklinany był już w całej Ameryce wtrącał swoje „Iiii taaak, już święęętaa”), Stephen wrócił do pracy.

Skończyli przed zachodem słońca.

Na skrzynce na listy napisane było: *Stephen, Kate i Amy Abrams*. Wiatr poruszał wiatrakiem, który Amy zrobiła ojcu na urodziny i który co chwilę wirował i obracał się wokół własnej osi.

Słońce zachodziło powoli, by udać się na spoczynek, ostatnimi promieniami oświetlając las, który sąsadował z domem Abramsów. Radio wciąż grało. Temperatura szybko spadła poniżej zera.

Jakąś godzinę temu Scarlett straciła chęć do zabawy. Ignorowała Amy, ilekroć ta próbowała skupić na sobie jej uwagę. Pies po prostu, siedząc na trawniku, w pewnej chwili zaczął gapić się w las.

- Wujku, co się stało Scarlett? - spytała niezadowolona Amy.

Eddie przybijał ostatnie gwoździe i mając jednego w ustach, odparł:

- Nie wiem, może chce odpocząć?

Mrugnął do niej okiem, po czym zagwizdał na psa.

- Scar! Chodź tu!

Gwizdnął, ale pies nie ruszył się z miejsca.

Tylko czasami podnosił na moment uszy. Patrzył przed siebie jak zahipnotyzowany półotwartymi oczyma.

- Pewnie odpoczywa - powiedział Eddie, chociaż znał swojego psa i wiedział, że to nieprawda. Scarlett odczuwała jakiś niepokój.

- Chodźmy lepiej zanieść te narzędzia do szopy, co? - Poprawił jej szalik i czapkę.

Szopa znajdowała się dobre dwieście stóp od domu, idąc w dół ogrodu, nieopodal lasu. Amy, której nie trzeba było nigdy długo

namawiać, chwyciła również jedną skrzynkę, ledwo utrzymując równowagę, i udała się za wujkiem.

- Uważajcie tam, w szopie jest bałagan! - krzyknął Stephen, widząc ich z góry. Siedział na drabinie, zbierając ostatnie narzędzia z dachu.

- Wiem przecież, tato - odkrzyknęła Amy i wywróciła oczyma.

- A jeszcze raz powiedz, że to ja mam burdel w samochodzie! - dodał Eddie.

- Samochód to nie szopa - odparł Stephen - I owszem, masz - skwitował. W odpowiedzi zobaczył środkowy palec Eda.

Szli stromym zejściem, słysząc odgłosy butów wbijających się w zamarznięty śnieg. Przed nimi rozciągał się potężny las, a w nim wydeptana była niewielka dróżka, którą Eddie, Scarlett i reszta rodziny niejednokrotnie urządzali sobie spacer. Za dnia las wyglądał pięknie, ale teraz, gdy dzień dobiegał końca, było tu trochę strasznie.

Doszli do szopy i położyli narzędzia. Eddie otworzył drewniane drzwiczki, które zaskrzypiały przeciągle, i weszli do środka. W szopie panował mrok. Eddie pomyślał, że jeszcze kwadrans i nie byłby w stanie tu nic zobaczyć.

- Kiedy ten twój staruszek tu posprząta? - spytał, układając narzędzia na półkach. Chociaż było to raczej pytanie retoryczne. Sam sobie odpowiedział, po czym stanął wyprostowany i popatrzył jeszcze raz na wnętrze. - Naprawdę niezły bajzel. - Otarł czoło z potu. - Wiesz, Amy, czasami zastanawiam się, po kim masz te dziwne nawyki i chyba wiem. Dlatego nigdy nie przejmuj się uwagami swoich rodziców, a szczególnie swojego ojca. - Mówiąc to, obrócił się w jej stronę z uśmiechem na ustach i zamarł.

Amy była odwrócona do niego plecami, patrzyła przed siebie. Dostrzegł, jak trzęsą się jej ręce. Wstrzymał oddech. Przed nimi stało kilka wilków. Parę młodych i kilka potężnych. Eddie słyszał, że czasami niektórzy spotykali pojedyncze okazy w tych rejonach, przeważnie przy polowaniach. Jednak zwierzęta te nigdy nie wychodziły z lasu.

- Amy - szepnęła. - Amy! Nie ruszaj się. Stój spokojnie.

Wilki z przodu zaczęły delikatnie warczeć i obnażać kły.

Eddie rozejrzał się dookoła. Słońce już prawie zaszło, w szopie panowała ciemność. Szukał jakiejś broni i obmyślał gorączkowo plan działania. Wilki były zbyt blisko i jakakolwiek impulsywna reakcja wydawała się zbyt ryzykowna. Zobaczył, że z głębi lasu wyłaniają się kolejne. Dostrzegł obłoki pary unoszące się z ich pysków. Wszystkie wilki miały ciemną, prawie czarną sierść, kontrastującą ze śniegiem. Było ich teraz na oko ponad piętnaście. Szczyrzyły zęby, ślina skapywała im na ziemię. Zwężone źrenice podkreślały pełne nienawiści oczy. Oczy głodu? Eddie nie wiedział, ale nie miał czasu, by myśleć o tym teraz.

Dostrzegł sekator i powolnym ruchem sięgnął po niego. Wilki zauważyły to i podeszły bliżej, cofnął więc rękę. Te z tyłu zaczęły wyć. Eddie jedną rękę położył dłoń na ramieniu dziewczynki. Poczuł, jak bardzo mała się boi. Przysunął ją bardzo powoli do siebie. Wilki zaczęły wyć, kierując pyski do nieba, robiły się coraz bardziej nerwowe.

Eddie zdawał sobie sprawę, że Stephen nie widzi zajścia, gdyż szopa nie była widoczna z domu. Jednak był pewny, że słyszy skowyt wilków. Przynajmniej modlił się o to w duchu. Miał już małą blisko, teraz bardzo powolnym ruchem przesunął się, ustawił ją za sobą. Dziewczynka dygotała coraz bardziej. Lewą rękę powoli wyciągnął w kierunku drzwi szopy. Wilki szczyrzyły kły, a ich pyski ziały parą.

To był moment.

Wilk, który był najbliżej Eddiego, skoczył na niego, jednak nie dotarł do celu, chociaż dzieliły ich centymetry. Gdy Eddie zamknął oczy i podniósł rękę, by zasłonić twarz, coś przecinając powietrze, z ogromną prędkością uderzyło w bestię. Wilk zaskomlał. Po chwili Eddie się zorientował. To była Scarlett.

Ogłuszając pierwszego wilka, w mgnieniu oka doskoczyła do drugiego, złapała go za szyję i z potworną siłą (jakiej Eddie jeszcze nie widział u niej) wyrwała mu kręgi szyjne. Padł trupem i suka

błyskawicznie dosięgła trzeciego, najbliższego obok, po czym zatopiła zęby w jego pysku. Wilk wydał skowyt, krew poląła się na trawę. Eddie otrząsnął się z szoku, wziął Amy w ramiona i wybrał jedyne możliwe rozwiązanie.

Pobiegł co sił w kierunku domu. Kątem oka zauważył, że jeden z największych wilków puścił się w pogoń za nimi. Eddie dostrzegł, jak z oddali Stephen patrzy i nie wie, co się dzieje, by po chwili zobaczyć jak ten z wolnego truchtu przechodzi w sprint.

Amy! – krzyknął i biegł z całych sił – AMY!!

Wilk pędził za Eddiem, był już o krok. Za nim pędziła mocno pokiereszowana Scarlett. Cztery wilki leżały martwe, reszta ruszyła w pościg za psem. Gdy wilk doganiał Eddiego, Scarlett, pędząc niczym pocisk, zrównała się z nim i doskoczyła mu do gardła. Dwa obroty zgodnie z prawami fizyki wyrzuciły zwierzęta w bok, gdzie zaczęły ze sobą walczyć. Stephen dotarł do nich i wziął córkę w ramiona. Eddie zawołał psa i odwracał się, by po niego biec, ale Stephen mocno go chwycił za ramię.

– Już po niej. Chodź!

Eddie zobaczył, jak Scarlett niknie pod watahą wilków, które raz po raz kąsały ją śmiertelnie. Po chwili, która trwała dla nich wiecznie, popędzili do domu.

– SCARLETT! – Amy płakała i krzyczała, szlochając za suką, której nie było już widać. – SCARLETT, CHODŹ TU!! – Panicznie wołała, mając nadzieję, że pies za nimi pobiegnie. Ale Scarlett nie przybiegła.

Dotarli do domu i zamknęli drzwi na zamek. Zdyszany Eddie usiadł na podłodze, opierając się o ścianę, krople potu lśniły mu na wielkim czole. Stephen przyciskał do siebie córkę, która wciąż szlochała i nie mogła złapać oddechu.

Z kuchni wybiegła Kate.

– Co się stało? – spytała osłupiała. – Kochanie o co chodzi? – Podbiegła do nich i kucnęła, wciąż nic rozumiejąc.

– Scarlett – wyszlochała Amy. – Zabiły Scarlett. – Powiedziała i wtuliła się w Stephena, łkając.

Kate popatrzyła na Eddiego, który również miał w oczach łzy. Patrzył w sufit i milczał. Zszokowana, spojrzała pytająco na Stephen'a.

- Kto zabił Scarlett? - spytała przerażona.

Stephen tylko patrzył na nią, głośno oddychając.

Siedzieli tak w milczeniu. Tylko już cichszy szloch Amy przerywał ciszę.

W odpowiedzi na pytanie w oddali zawyły wilki.

ROZDZIAŁ 5

Sam weszła do mieszkania i poczuła silną sosnową woń.

Zatrzasnęła drzwi, rzuciła torebkę na podłogę i zorientowała się, że ma na sobie tylko płaszcz i buty. Nie zapaliła światła. Ta ciemność była dobra. Teraz nikt jej nie widzi. Nikt jej nie słyszy. Jakby nie istniała.

Stała tak przez chwilę, po czym udała się wolnym krokiem do łazienki. Szła, jakby to był nieprzyjemny obowiązek, którego nie może już odwlekać. Odgłos stuku obcasów niósł się echem przez całe mieszkanie. Znała je doskonale, cal po calu. Mieszkała tu od dwóch lat.

Otworzyła drzwi łazienki, wciąż nic nie widząc i podeszła do lustra. Twarz miała skierowaną w dół. Uniosła powoli dłoń i położyła ją na włączniku światła. Z zamkniętymi oczyma podniosła powoli głowę. Nabrała oddechu w płuca, ból był znacznie mniejszy niż przed godziną. Patrzyła przed siebie, na lustro, które pokazywało teraz jedynie bezkresną czerń. Usłyszała wibracje telefonu. Dioda zaczęła migać cyklicznie, rzucając światło niczym stroboskop, raz po raz ukazując w lustrze na ułamek sekundy jej oblicze. Patrzyła tak jak niedawno w hotelu, tylko że wtedy miała w sercu nadzieję, teraz obawiała się, że nie ma nawet serca. Wstrzymała oddech i włączyła światło.

Ślad po rozcięciu całkowicie zniknął. Oprócz rozmazanego makijażu i tuszu na policzkach oczy były normalne, tak samo jak usta.

Szybkim ruchem rozwiązała płaszcz i zrzuciła go z siebie. Ciało, pomijając niedomyte ślady krwi, miała takie jak o poranku. Tylko na jej ręce widniały cyfry napisane czerwoną szminką. Gdy patrzyła tak na siebie, wciąż nie mogła zrozumieć, co się stało. Nie potrafiła pojąć tego, jak jej życie mogło się zmienić w jeden wieczór. Została skrzywdzona i uzdrowiona, tylko że cokolwiek uzdrowiło jej ciało, nie uzdrowiło skrzywdzonej psychiki. Wysypała wszystko z torebki do umywalki i spośród stosu banknotów, różnych przyborów i telefonów wygrzebała szminkę, którą na idealnie czystym lustrze przepisała szyfr z ręki.

Wyszła z łazienki i zapaliła główny włącznik światła. Mieszkanie rozjaśniło mnóstwo ledowych świateł. Zobaczyła znany jej przestronny salon. Na lustrze wisiała samoprzylepna karteczka.

Panno Mori, posprzątałam wszystko, mam nadzieję, że jest Pani zadowolona. Proszę zadzwonić, gdy będzie Pani chciała ponownie skorzystać z moich usług.

Marie.

P.S. - Pozwoliłam sobie wyrzucić wszystkie przeterminowane produkty z lodówki. Mam nadzieję, że się Pani nie gniewa.

Sam zmięta kartkę i rzuciła na podłogę. Jej bose stopy ogrzewały ciepłe płytki mieszkania. Poszła do sypialni i położyła w łóżku. Kuląc nogi, przyjęła taką pozycję jak dzieci, które mają się wkrótce urodzić. Ale ona czuła się zgoła przeciwnie. Wiedziała, że coś w niej umarło. Patrzyła w kierunku łazienki, gdzie dioda co chwilę migotała i gasła na przemian. Patrzyła, a jej powieki z coraz większym trudem utrzymywały się w górze.

I gdy tak hipnotyzujące światło układało ją do snu, w pewnym momencie zrozumiała, co musi zrobić. A raczej, czego chce. Była coraz spokojniejsza, jej serce zwalniało.

Błysk diody migał z wolna, odbijając się w oczach Sam. Po chwili zasnęła.

ROZDZIAŁ 6

Siedzieli przy stole w kuchni i pili herbatę, każdy pogrążony w swoich myślach. W domu panowała całkowita cisza. Tylko dźwięk palonego drewna dobywał się z kominka w salonie, gdzie spała Amy.

- Idę po nią - powiedział Eddie, wstając po raz kolejny od stołu.

- Eddie, proszę cię, nocuj u nas. Z samego rana pójdziecie ze Steve'em, przecież ona i tak... - Katie ugryzła się w język. Widziała ból, który skrywał, a który tak bardzo chciał w końcu znaleźć gdzieś ujście. Wiedziała, jak musiał cierpieć, i współczuła mu głęboko. Był dla niej jak brat.

- Nie mogę - zająknął się Eddie. - Nie mogę jej tam zostawić, ona...

- Ed - powiedział spokojnie Stephen. - Obiecuję ci, że jak tylko pierwszy promień słońca wychyli się znad horyzontu, będziemy już za drzwiami. Widziałeś, ile ich było? Cała kurewska wataha!

- Nie obchodzi mnie to! - ryknął, po czym przepaszająco popatrzył w stronę salonu, gdzie spała Amy. - Przepraszam, ja... Pójdę tam sam, nie chcę narażać nikogo, ale nie zostawię jej w tym pieprzonym lesie. - Włożył kurtkę i czapkę. - Masz jeszcze Remingtona?

Steve bezradnie spojrzał na Kate, a ona wiedziała, że tak jak Eddie nie dał wyboru im, tak Stephen nie da żadnego jej, i decyzja zapadła.

- Poczekaj, idę po kurtkę - powiedział Stephen.

- Ani się, kurwa, waż - odrzekł Eddie.

- To mnie zastrzel. Inaczej stąd sam nie wyjdiesz.

Ed podszedł do niego i przez chwile Stephenowi wydawało się, że ten go uderzy, ale zamiast tego objął go tylko, a Steve poczuł się jak w ramionach niedźwiedzia.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział drżącym głosem Ed.

- Tylko mnie nie zabij - wydusił z siebie Steve, ledwo łapiąc oddech, i poklepał przyjaciela po plecach.

- Jeden warunek - wtrąciła ostrym tonem Kate i podeszła do nich.

- Jesteście cały czas na linii telefonicznej albo sama odstrzelełam wam

tyłki. Jasne?

- Zgoda - odparł Steve. - Pójdę po pistolet i latarkę, zaraz wracam. - Po czym pobiegł schodami na piętro.

- Przyjdziemy cali i zdrowi, nie martw się - przerwał ciszę Eddie.

- Lepiej, żeby tak było, Ed - powiedziała chłodno. - Lepiej, żeby tak było. - Spojrzała na niego, po czym poszła do salonu, w którym Amy spała niespokojnym snem.

Wyszli na taras, którym weszli, a raczej wbiegli do domu. Było ponad dziesięć stopni na minusie i Steve już żałował, że nie wziął czapki.

Żarówka paliła się słabo - jakby dopiero co ktoś ją zbudził ze snu - oświetlając drobny pył śniegu unoszący się w powietrzu. Stali obok siebie, patrząc w kierunku szopy i nasłuchując jakichkolwiek dźwięków, ale wokół panowała cisza.

- Gotowy? - spytał Steve i popatrzył na przyjaciela.

- Tak, chodźmy.

Dreptali po śniegu w dół zbocza. Panującą dokoła ciemność przecinał tylko snop światła latarki.

Eddie sprawdzał broń, podczas gdy Steve połączył się z Katie. Włączył tryb głośnomówiący i włożył telefon do kieszeni kurtki na piersi. Już po pierwszym sygnale usłyszał mocny, stanowczy głos swojej żony. Głos, który już nieraz w mroku rozświetlił mu drogę i jak tylko o tym pomyślał, coś błysnęło w oddali. Spojrzeli obaj i nawet Ed się uśmiechnął. Efekt ich całodniowej pracy świecił teraz tysiącem małych lampek.

- Szkoda, że Amy tego nie widzi, cieszyłaby się - powiedział Eddie, próbując się uśmiechać.

- Kate, słyszysz mnie? - spytał Steve, lekko dysząc do telefonu.

- Tak, słyszę dobrze. Lampki działają czy znowu schrzaniliście coś?

- Działają - odrzekł Steve, nachylając głowę w stronę telefonu i ścisząc głos. - Są równie piękne nocą jak ty o poranku, kochanie.

- Och, zamknij się - ucięła Kate, a Steve wiedział, że jego żona uśmiecha się teraz pod nosem, więc sam też się uśmiechnął.

Stali tak, a dom rozświetlał im twarze, migotając różnymi kolorami.

Po chwili skierowali się z powrotem w dół ścieżki. Steve nie wpadł na pomysł z lampkami, ale ponownie w duchu dziękował za to, że Kate o tym pomyślała, gdyż było im teraz znacznie raźniej.

Jednak im dalej szli, tym bardziej ciemność wracała na szlak. Zupełnie jakby miejsce, gdzie odbyła się walka, wymagało stosownego nastroju i barwy. Barwy adekwatnej do tego, co się tu wydarzyło. Po chwili znowu panowała ciemność, a światło latarki natrafiło na miejsce, w którym Scarlett odparła ostatni atak, gdzie śnieg spijał wielką plamę krwi, na której leżała. Eddie podszedł powoli do niej, po czym padł na kolana w naznaczonym śmiercią kręgu. Steve podszedł do niego i położył mu dłoń na potężnym ramieniu. Las wokół spowijała całkowita ciemność, a szron omiótł drzewa niczym drapieżnik ofiarę. Steve pomyślał, że tak właśnie teraz wygląda serce Eda.

- Wszystko ok? - przerwała ciszę Kate.

- Znaleźliśmy ją. Nie żyje.

Zapadła cisza.

- Przykro mi - odrzekła cicho. - Wracajcie już, dobrze?

- Musimy ją pochować - powiedział nagle i stanowczo Eddie. - Pomożesz mi?

Stephen zerknął odruchowo na las. Wydawało się spokojnie. Wziął telefon do ręki i udał się w stronę szopy. - Kate, pochowamy Scarlett i zaraz będziemy. - Po czym zwrócił się do Eddiego: - Idę po łopatę, zaraz wracam.

- Poczekaj! - krzyknął Eddie, a Steve dostrzegł, jak ten ociera ukradkiem łzy. Pójdę z tobą, na wypadek, gdyby pojawiły się te skurwysyny. - Po czym przeładował broń.

Po drodze natknęli się na truchła wilków. Na całej przestrzeni walki widać było sporo zaschniętej na śniegu krwi. Ich ciała, niektóre

znacznie większe od Scarlett, leżały bezwładnie z licznymi ranami. Początkowo Eddie naliczył cztery zabite przez sukę wilki, ale teraz dostrzegł ich co najmniej sześć.

Było wciąż spokojnie. Steve odnalazł łopatę i zabrali się do roboty.

Po krótkim namyśle postanowili pochować ją dokładnie tam, gdzie umarła. Lód był twardy, ale nie stanowiło to dla Eddiego przeszkody. Steve czuł, że przez twardą, zbitą ziemię pomaga Eddiemu przedostać się ból oraz smutek, otulające złość. Trzydzieści minut później stali nad miejscem pochówku.

- To był dobry pies. Dobry przyjaciel - powiedział Eddie.

- Tak. A teraz jest na wielkich zielonych łąkach i dostaje najlepsze przekąski, na które ty mu skąpiłeś - powiedział Stephen i poklepał go po ramieniu.

- Spoczywaj w spokoju, Scar - rzekł Ed i otarł policzki z łez. - Dziękuję, Steve. Wracajmy już.

- Nie, Eddie, to ja dziękuję - powiedział Steve i popatrzył mu w oczy. - Uratowałeś nam córkę. Gdyby nie ty... - urwał. - Gdybyśmy ją stracili, Ed...

- Nie ja ją uratowałem - wtrącił Ed i popatrzył na grób Scarlett.

- Gdyby nie ty i Scar... - poprawił się Steve. - Nie chcę nawet o tym myśleć.

- W porządku przyjacielu - odparł Ed. - Wiesz, nie pojmuję tego. - Wpatrywał się w miejsce pochówku Scarlett, jakby wciąż tam była. - Steve, ona miała ponad osiem lat. Nie miała już sił na spacer. Nie potrafiła się nawet dobrze podrapać po tyłku, a tutaj zabija z miejsca kilka wilków, ot tak? Nie potrafię tego wytłumaczyć. - Oczy znowu zasły mu łzami. - Nie potrafię, stary.

- Ja także - przyznał Steve. I naprawdę nie wiedział, jak to było możliwe. Spodziewał się, że któregoś pięknego dnia w najbliższym czasie Eddie zadzwoni do niego z wiadomością o śmierci towarzysza. Nigdy nie widział zdrowego, pełnego sił psa w takim ferworze walki, a co dopiero tak starego.

- Wracacie? - przerwała ich rozmyślenia Kate. - Steve był pewien, że już się rozłączyła. Zapewne większość kobiet by tak zrobiło, ale nie Kate. Kate musiała mieć pełną kontrolę i sprawy dopięte na ostatni guzik.

- Tak, będziemy za chwilę - powiedział Steve i gdy już się mieli odwracać, zobaczyli, jak ścieżką od strony lasu ktoś idzie. Eddie podniósł broń i wymierzył w przechodnia.

Mężczyzna, nic sobie z tego nie robiąc, zbliżał się do nich pewnym krokiem, utykając przy tym na jedną nogę.

Był siwy, niski i szczupły, na oko Steve'a miał może sześćdziesiąt lat, może trochę więcej. Co najbardziej zwróciło jego uwagę, to ubiór. Miał na sobie tylko stary sweter, sztruksowe spodnie i niskie buty.

- Spokojnie, spaceruję sobie tylko - powiedział mężczyzna pretensjonalnie.

- Spacer w lesie w takiej temperaturze w całkowitych ciemnościach? - spytał podejrzliwie Eddie, po czym splunął. Spojrzał na zegarek i po chwili zorientował się, że wskazówki są nieruchome i wskazują za kwadrans 21.00 - Jeszcze o tej godzinie. Czego pan tu szuka? To prywatna posesja.

Eddie opuścił broń.

- Doprawdy? - zdziwił się starzec. „Prywatna posesja”, zaczął powtarzać to słowo raz po raz szeptem i coraz szybciej, jakby próbował sobie przypomnieć jego znaczenie i miał je na końcu języka.

- Proszę mi wybaczyć, nie widziałem żadnej stosownej tabliczki informującej o tym, iż jest to „prywatna posesja” - wyartykułował ostentacyjnie.

- Pierwszy raz w tych stronach, co? - wtrącił Stephen, próbując rozładować napięcie.

Mężczyzna podszedł do jednego z wilków, schylił się i z czułością zaczął gładzić jego futro.

- Bywam tu czasami - odparł po chwili nieznajomy z dozą smutku, wciąż gładząc futro martwego wilka. - Piękne zwierzęta - powiedział z podziwem. - Szkoda, że musiały zginąć, prawda? - dodał starzec,

a Stephen od razu zrozumiał, że jest to pytanie retoryczne. – Mądre, waleczne i silne – rzekł tamten, wciąż głaszcząc truchło wilka.

– Chyba niewiele pan wie o okolicznościach, w których zginęły, co? – powiedział Eddie, po czym splunął ponownie.

Steve znał ten odruch. Zwiastował kłopoty.

– Chodź, Ed – wtrącił Stephen. – Wracamy. – Po czym zwrócił się do mężczyzny: – Proszę opuścić posesję.

– Oczywiście, młody człowieku – odrzekł nieznajomy, nieco skrępowany tym ostrym tonem, powoli wstając na nogi.

Steve trochę mu współczuł. Mężczyzna ten wyglądał na chorego. Jednak coś w tym człowieku było nie tak. Steve pomyślał, by zaprosić go do środka, ale czuł jakąś dziwną aurę w powietrzu, odkąd ten facet wyłonił się z lasu. Pomyślał również, że dopiero teraz, po dwóch latach, zorientował się, że jego dom nie był w żaden sposób odgradzony od otoczenia. Każdy mógł sobie tędy przechodzić, a nawet patrzeć mu w okna na parterze, z tym że po prostu nigdy się im nic takiego jeszcze nie przytrafiło. Postanowił, że jutro zorientuje się w cenie ogrodzenia. Tak na wszelki wypadek. Ponownie także przypomniał sobie, że Kate wielokrotnie mu o tym przypominała.

Stephen i Ed odwracali się, gdy mężczyzna ponownie się odezwał:

– Nie macie przypadkiem ognia? Zapaliłbym, a wiecie, ciężko znaleźć ogień w pustym lesie. – Zaśmiał się, co wywołało w jego płucach mocne charczenie. Dusząc się przez chwilę, wypluł flegmę.

Steve czuł w powietrzu napięcie, niezidentyfikowany lęk, jednak odruchowo poszukał zapalniczki. Podszedł do mężczyzny, który w ustach trzymał już papierosa, wciąż kaszląc.

– Może pora już rzucić? – zasugerował, odpalając zapalniczkę i przybliżając do twarzy mężczyzny.

– Kiedyś trzeba umrzeć, prawda? – powiedział mężczyzna, po czym odsłonił w uśmiechu swoje żółte zęby, a mówiąc to, wziął w dłonie dłonie Steve'a i ten poczuł jego lodowaty dotyk. Gdy starzec nachylił się, by odpalić papierosa, Steve dostrzegł, że siatkówki oczu starca były czarne niczym otchłań kosmosu. Wpatrywali się w siebie

przez ułamek sekundy, a Steve czuł, jakby trwało to znacznie dłużej. Coś hipnotyzującego było w spojrzeniu tego mężczyzny. Hipnotyzującego i... niebezpiecznego? To głupota, pomyślał. Przecież ten człowiek niebawem umrze. Gdy tak trzymał ogień, chłód dotyku promieniował coraz dalej na ręce. Steve czuł, jak jego żyły zamarzają, a krew płynie w nich coraz wolniej. Trwało to tylko chwilę i Stephen- gdy nieznajomy odpalił już papierosa- od razu zabrał ręce, a zapalniczka wypadła mu z rąk.

- Dziękuję Panu. Do zobaczenia - rzekł mężczyzna i udał się z powrotem w stronę lasu.

Odczekali chwilę, patrząc, jak starzec znika w ciemnościach. Po chwili słyszeli już tylko odgłos deptanego śniegu.

- Dokąd on poszedł? Tam nie ma nic prócz drzew - zauważył Ed.

- Możliwe, że pójdzie przełęczą i dotrze do River Lake. Zresztą, jak widać, nie ma chyba domu.

Przypatrywali się jeszcze przez chwilę, jak starzec znika, po czym wrócili do domu.

• • •

Pomimo nalegania Stephena i Katie, Ed pojechał do swojej kwatery. Umówili się ze Stephenem, że rano posprzątają teren z martwych wilków.

Kominek trzaskał świeżym drewnem. Katie ostrożnie i powoli podniosła Amy z sofy i oparła jej głowę o ramię. Poszła na górę, skąd dochodził dźwięk odkręconej wody prysznic. Otworzyła stopą drzwi do pokoju Amy i położyła ją na łóżku.

- Mamusiu, czy ona jest w niebie?

Kate była pewna, że córka śpi, jednak podejrzewała, że dzisiejsze wydarzenia dość mocno odbiły się jej na psychice. Postanowiła ją uspokoić.

- Tak, kochanie, jest - szepnęła, po czym pocałowała ją w czoło. - A teraz śpij. Nic nam już nie grozi. - Uśmiechnęła się do niej promiennie.

Patrzyła tak teraz na nią i widziała cząstkę siebie i swojego męża. Jednak przede wszystkim zauważyła, jak jej córka stawała się coraz dojrzała. Jak silną osobowością była i jak wielka siła biła z jej oczu. Czasami inteligencja Amy zdumiewała Stephena i ją samą. Chociaż była dla córki surowa (w przeciwieństwie do Steve'a, który rozpieszczał ją na każdym kroku), to często nie potrafiła być dość stanowcza i ulegała Amy. Była z niej dumna i kochała ją najmocniej na świecie. Nie wyobrażała sobie, by mogło jej kiedykolwiek zabraknąć.

Amy patrzyła na nią przez chwilę, po czym bez słowa odwróciła się i zamknęła oczy.

Katie siedziała tak jeszcze przez kilka minut, upewniając się, że mała zasypia.

Patrzyła na jej włosy, rozrzucone na poduszce, i gdy upewniła się, że oddech córki miarowo unosi jej koszulkę, skierowała się do drzwi. Nie chciała jej już budzić. Mała już dosyć przeżyła w tym dniu.

Gdy zamykała drzwi, usłyszała głos Amy i zamarła. Nie jej głos ją przeraził, a treść wypowiedzianego zdania.

- Dobrze, że pochowali Scarlett, mamó. Nie powinna tam leżeć - powiedziała dziewczynka, jakby przez sen.

Kate próbowała sobie przypomnieć, czy Amy mogła słyszeć ich rozmowę w kuchni. Pomyślała, że pewnie tak. Nie była do końca pewna, jednak było to najrozsądniejsze wytłumaczenie.

- Tak, a teraz śpij już. Porozmawiamy jutro - Odpowiedziała, chociaż wiedziała, że mała już zasnęła.

ROZDZIAŁ 7

Katie siedziała na łóżku w samym szlafroku, wcierając balsam w nogi, a z telewizora dobiegały odgłosy filmu.

Stare westerny miały swój urok, pomyślała, gdy z łazienki wyszedł Stephen, przepasany tylko ręcznikiem, ze szczoteczką w zębach. Wiedziała dokładnie, że idzie po świeże bokserki do garderoby, gdyż nigdy nie brał ich przed pójściem pod prysznic. Znała

ten schemat doskonale i zdążyła do niego przywyknąć. Widziała wtedy jego ciało, które zmieniło się na przestrzeni tych lat. Kiedyś tak bardzo wyrzeźbione, teraz po czasie wciąż silne i zdrowe, jednak już nie tak doskonałe.

Nie robiło jej to różnicy, prawdę powiedziawszy, nie tym tak bardzo jej zawsze imponował.

Stephen pochodził z ubogiej rodziny, mieszkającej na obrzeżach miasteczka, ona z zamożnej – w centrum Tensas (jeśli Tensas mogło mieć jakieś centrum).

Był introwertykiem, ona przeciwnie – wyrażała na głos każdą swoją myśl. Zmieniła się pod jego wpływem na przestrzeni lat, trochę uspokoiła, ale wciąż tak jak nad córką, tak nad nim – musiała dominować i twardą ręką, a raczej rękoma, trzymać ich w ryzach.

Różnili się diametralnie pod każdym względem, a jednak w jakiś sposób uzupełniali. Na początku nie potrafili się dostroić. Niczym zepsuta stacja nadawcza i nieosiągalny w pobliżu odbiornik.

Wiedziała, że wstydział się swojego pochodzenia. Niezależnie od tego, jak bardzo ona i jej rodzina próbowali zatrzeć różnice między nimi, Stephen bronił się przed tym na wszystkie możliwe sposoby. Narkotyki, bójki i alkohol skutecznie utrudniały adaptację.

Mogła mieć każdego w liceum i zdawała sobie z tego sprawę. Z jej bystrością oraz aparycją mogła mieć wszystko. Świat stał przed nią otworem i krzyczał: „bierz mnie”. Podobnie krzyczały jej koleżanki w autach na bocznych alejach Wood Hills, by nazajutrz chwalić się, kogo przeleciały (oraz w jaki sposób, co Kate nigdy szczególnie nie interesowało, no bo w jaki, do cholery, inny sposób – niż przez danie dupy – mogły tego dokonać?).

Rose od zawsze dawała jej wolną rękę i mówiła, że chociaż taty nie ma przy niej, to jest pewna, że i on pozwoliby jej wybrać to, co słuszne, w każdym aspekcie jej życia.

Zawsze mówiła, że jeśli nie będzie wiedziała, co zrobić, „ma słuchać serca, które jest blaskiem płomienia, rozjaśniającym

wątpliwości rozumu na rozstaju dróg”.

I tak też Katie czyniła.

Nigdy nie miała parcia na wystawne kolacje, piękne samochody czy drogie ciuchy. Mimo że pochodziła z zamożnej rodziny, nie była rozpieszczana i po latach doceniła to, jak została wychowana.

Gdy pierwszy raz przyprowadziła Stephena na kolację, bała się bardzo, co powie jej mama. Jak zareaguje na człowieka w podartych spodniach i o delirycznym spojrzeniu.

Bała się tego wieczoru i myślała o nim długi czas, bo chociaż kochała Stephena, to zdanie jej mamy było dla niej równie znaczące. Obawy okazały się jednak nieuzasadnione. Już w pierwszej minucie Kate ulżyło, gdyż Rose przywitała go ciepło, goszcząc i zwracając się do niego tak, jakby był jej synem.

Wtedy Kate pierwszy raz widziała u niego szok, dezorientację i wzruszenie. Jednak nie trwało to długo. Steve przypominał człowieka, który idąc pięknym parkiem, zachwyca się nim, dopóki nie znajdzie kałuży z błotem, bo gdy już znajdzie, czuje nieodpartą potrzebę tarzania się w niej. Tym błotem było otoczenie, w którym się wychował, i handel narkotykami, do których miał dostęp. Wtedy jakkolwiek park nie byłby cudowny, błoto było atrakcyjniejsze. Po kilku miesiącach bezskutecznych prób wyrwania go z rynsztoka, obrała inną taktykę.

Pewnego ranka nie odezwała się. Zaczęła żyć swoim życiem, zamykając ten rozdział, gdy ponownie złamał obietnicę i wrócił do dawnych, podejrzanych interesów.

Chociaż jednak mówiła sobie, że jest już inaczej i to koniec, cały czas czuwała przy telefonie w nadziei, że tym razem to on zadzwoni. Że odczuje jej brak.

I gdy po paru dniach zaczęła tą nadzieję zakopywać w ziemi, przeklinając się w duchu, dlaczego do cholery z wszystkich mężczyzn na świecie musiała pokochać właśnie jego, zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu pojawiło się jego imię. Dzwonił, a ona już po pierwszym sygnale miała przesunąć palcem po ekranie, by odebrać połączenie,

jednak w ostatniej chwili jej palec zawisł milimetr nad ekranem i nie poruszył się w żadnym kierunku. Wpatrywała się weń, czując tylko wibracje w dłoni. Nie odebrała ani tego dnia, ani następnego. Nie odpisywała na wiadomości. Cierpiąc ogromnie, powiedziała sobie, że jeśli jest dla niego coś warta, to będzie walczył do końca.

Aż pewnego słonecznego dnia, gdy siedziała, pisząc prace magisterską (a raczej wmawiając sobie, że ją pisze), Rose zapukała do jej pokoju, mówiąc z wymownym uśmiechem, że ma gościa.

Kate zeszła po schodach i nie wierzyła własnym oczom. Nie wiedziała, czy aby na pewno dobrze widzi.

Mężczyzna, który stał przed drzwiami, miał czyste spodnie i koszulkę, która musiała być kupiona w tym samym dniu, a Kate mogłaby się założyć, że w tej samej godzinie. Podkrążone oczy świadczyły o nieprzespanej nocy (a bardziej nocach). W jednej ręce trzymał kwiaty (co w ogóle było do niego niepodobne). Miał czapkę z daszkiem i pot spływał mu po skroniach, a ona zdawała sobie sprawę z tego, ile kosztować musiała go ta podróż. Słońce raziło go w oczy i wiedziała, że był na detoksie. Unikał jej wzrokiem, gdy stali tak w milczeniu przez chwilę, po czym powiedział: „przepraszam” i spuścił wzrok, a w wyciągniętej ręce tkwił bukiet kwiatów. Wzięła je od niego i rzuciła na ziemię, żałując tego w tym samym momencie.

-Myślisz, że tak po prostu kupisz kwiaty i będzie wszystko w porządku? - warknęła. Stała na wyciągnięcie ręki. On wciąż miał wzrok wbity w swoje buty. -Dość się namęczyłam, Stephen. Nie potrzebuję dziecka. Potrzebuję mężczyzny, którym ty chyba nigdy nie zdołasz być. Przykro mi. - Stała z założonymi rękami, zaciskając pięści. Chociaż mówiła chłodno i stanowczo, w głębi siebie drżała jak dziecko.

Stephen stał jak zbity pies i zaczął szlochać. Wiedziała, że jest rozdarty, że nie potrafi poradzić sobie z samym sobą, a ten trud, który włożył, by przyjechać do niej, kosztował go sporo sił.

I gdy odwracał się zrezygnowany, podeszła do niego i ujęła jego twarz w dłonie. Nie potrafiła już dłużej go męczyć. Sama też miała

dosyć, pragnęła go w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do pokoju, w którym położyli się na łóżku. Leżeli twarzą w twarz, czuła jego oddech, widziała, jak łyżki wysychają na jego policzkach. Leżeli tak bez słowa długi czas i patrzyli sobie głęboko w oczy. Czuła, że jego płacz był zakończeniem pewnego rozdziału w życiu, oczyszczającym duszę katharsis, i ostatnią prośbą o ratunek, jego przyjazd natomiast, dobrowolnym oddaniem życia w jej ręce.

Został u niej na noc, a Rose nie protestowała, gdy Steve nie wyszedł z pokoju. Kate przemyślała wszystko i wiedziała, że jedynym ratunkiem dla Steve'a jest odcięcie go od jego dotychczasowego życia, więc postawiła mu warunek, na który on przystał. Miał od razu porzucić wszystko w Vernon i zostać u niej, pójść do pracy i zapewnić im godny byt. Nie było to łatwe, jednak Steve ostatecznie wziął się w garść, nie doprowadzając w życiu do powstania deszczu, który tworzył kałuże. Odbił się wyżej niż sądziła. Po krótkim czasie wynieśli się z jej rodzinnego domu i wybudowali swój własny, z dala od świata, a ona powiła mu córkę. Wtedy właśnie stał się dla niej mężczyzną, trzymając Amy na rękach i patrząc na nią, jakby dostał drugie życie.

I teraz znowu go widziała, w ręczniku, siedem lat później. I chociaż kiedyś targały ją wątpliwości, teraz siedząc tu na łóżku i patrząc, jak szuka czystych bokserów ponownie nie tam, gdzie zawsze były, czuła, że jej miejsce jest właśnie tutaj. Z nim i ich córką. Nie zamieniłaby tego na nic.

- Druga szuflada, kotku. - powiedziała, po czym dodała: - Pojedziesz jutro z nami po choinkę? Amy nie da ci żyć, wiesz o tym.

- Mhm - wymamrotał, szorując zęby i podszedł do szuflady, w której miał bieliznę.

- Kosz z czystym praniem - powiedziała, uprzedzając jego pytanie o koszulkę, po czym kontynuowała, jak to miała w zwyczaju: - Chciałabym też podjechać do mamy, zresztą Amy tak samo się upomni.

- Mhm - wymamrotał znowu jakby automatycznie, po czym skierował się do kosza z praniem.

- Pamiętasz o prezentach? Zostawimy Amy z mamą i pojedziemy coś kupić, bo wkrótce zamkną sklepy, wiesz o tym.

- Mhm. -Wszedł do łazienki i wypluł pianę z ust. - Martwię się o Eda. Nie dał znać, że dojechał.

- Ed jest dużym chłopcem, Steve. Wiem, że przeżył koszmar. A raczej przeżyliście. Jednak musi sobie z tym poradzić, to w końcu tylko pies.

- Wiem, ale znasz go. Chciałbym jutro z nim wyskoczyć na piwo.

- Dobrze - powiedziała, po czym wstała i udała się do łazienki. - Jak załatwisz choinkę i mamę.

Steve patrzył na jej gładkie, nabalsamowane nogi oraz szerokie uda. Tak seksowne jak siedem lat temu. Gdyby nie ciąg dziwnych zdarzeń, wzięłby ją nawet teraz, w łazience, tam, gdzie stoi. Jednak wciąż dochodził do siebie, więc tylko podziwiał Kate za to, jak szybko potrafiła sprawić, że życie wróciło na normalne tory. Jakby nic się nie stało. Była ich murem, gdy cokolwiek próbowało dostać się do ich świata. Wpuszczała tylko dobre rzeczy, starając się jak najskuteczniej blokować całym ciałem złe.

Zgasiła światło, tylko telewizor rzucał nikłą poświatę na łóżko. Poczul woń jej balsamu. To koło jego zmysły, jak zawsze.

Położyła się i wyłączyła telewizor. Zapanowała ciemność, tylko śnieg odbijał światło nocy i wlewał białą poświatę do sypialni.

Położył się obok niej, a ona wtuliła się w jego ramiona. W tej chwili to ona potrzebowała opieki, i Steve o tym wiedział. Wiedział także, że Kate zaśnie szybciej, niż zamknie powieki. Przysunął ją bliżej i pocałował w głowę.

- Dobranoc, kochanie. Nie myśl już o tym wszystkim. Zaśnij - powiedziała, wtulając głowę w jego klatkę piersiową.

Zamknął oczy, lecz już po chwili je otworzył i gapił się w sufit. Cały czas coś go trapiło i zastanawiało. Nie to, że Scarlett ich uratowała dzisiaj. Nie to, że dała radę powstrzymać stado wilków

i uczyniła coś, co było niemożliwe. Nie to, że omal ich córka nie zginęła. Spokoju nie dawało mu coś innego.

- Katie, słyszałaś, co mówił ten starszy gościu? Że zobaczymy się niedługo?

- Kto? - spytała, a Stephen wiedział, że mówi już, będąc nogą w krainie czarów i niebytu.

- Ten starszy gość - powiedział zamyślony, bardziej do siebie.

- Jaki gość, Steve? Jesteście z Amy jak dwie krople wody, wiesz? - Podniosła się i ucałowała go w policzek, po czym odwróciła się na drugi bok. - Nie zapomnij nastawić budzika. I śpij.

Steve leżał z szeroko otwartymi oczyma i nie oddychał. A przynajmniej tak myślał. Zastanawiał się, czy komórka Kate była w tym czasie wyłączona i starał się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz rozmawiali ze sobą na głośniku. Nie pamiętał. Pamiętał jednak oczy tamtego starca. Ciemne jak kosmos. Błyszczące w blasku zapalniczki.

Po chwili wstał. Zegar pokazywał 23:27. Włożył bluzę i spodnie, po czym wyszedł z sypialni i zajrzał do pokoju Amy. Dziewczynka spała. Wszystko było w porządku. Więc co nie było? Wrócił do sypialni. Coś tu nie pasowało.

Spojrzał w okno, w noc, która była bezkresna i cicha. Po chwili zszedł na dół i włożył kurtkę oraz buty. Musiał coś sprawdzić. To nie dałoby mu spokoju, a rano mogło być za późno. Wziął z szafy strzelbę i otworzył kluczem zamek w drzwiach, po czym wyszedł na mroźne powietrze.

Noc, niczym otchłań studni, pogrążona była w żałobnej ciszy. Śnieg nie padał, łatwo więc mógł to sprawdzić. Poszedł śladami, którymi szli z Eddiem w stronę lasu.

Po krótkim marszu czuł, jak odmarzają mu nogi i był wdzięczny, że Kate nie widzi, jak wychodzi na zewnątrz w spodniach od pizamy. W blasku latarki odnalazł miejsce, gdzie pochowali Scarlett. Steve dygotał z zimna, a cisza potęgowała jego strach, jednak musiał się

upewnić. Skierował snop światła w miejsce, w którym wypadła mu zapalniczka i dostrzegł to. A raczej nie dostrzegł i to był problem.

Steve wstrzymał oddech i poczuł głęboki strach. Starał się jeszcze raz przeanalizować to, co widzi, wciąż jednak jego oczy nie chciały zmienić zdania. Stało się tu coś niezwykłego, czego nie umiał wyjaśnić. Nie zaśnie już i teraz, był tego pewny.

ROZDZIAŁ 8

Eddie jechał ośnieżoną drogą i już w aucie wyciągnął ze schowka broń.

Broń, po którą dawno nie sięgał, a która doprowadziła go niemal do śmierci. Tą bronią była whisky.

Chociaż gdy sięga pamięcią wstecz, to nie whisky doprowadziła go niemal do śmierci, tylko jego żona. Gdyby wgłębić się w to jeszcze bardziej, to nie żona, a coś lub ktoś, kto zdecydował o jej śmierci. A dzisiaj ta sama persona postanowiła odebrać mu kolejną część jego wielkiego serca, z którego niewiele już zostało.

Scarlett była ostatnim prezentem Megan.

Eddie pamiętał dzień, w którym zwolnili ją ze szpitala. Przyjechał po nią, zabrał do domu i postanowił zrobić wszystko, by nie myślała o chorobie. Kupił wielki telewizor, wypożyczył kilkanaście filmów.

Uwielbiali to. Leniwe popołudnie pod kocem, stos filmów, a w przerwach seks. Czasem namiętny, a czasem delikatny. W ostatnim okresie jej życia tylko ten drugi wchodził w grę, a i to było dla nich bardziej utrapieniem niż przyjemnością, jednak potrzebowali tego, potrzebowali siebie. Lekarz zabronił jej wysiłku fizycznego w każdej formie. Przez ostatni miesiąc nie kochali się w ogóle, bo spędziła go w szpitalnej sali. Pewnej nocy, gdy leżała wycieńczona, a w krew wlewała się morfina, zapytała: „Eddie, obiecasz mi coś? Ale tak naprawdę?”.

„Oczywiście kochanie, wszystko czego zapragniesz”, odparł i ujął jej dłonie w swoje.

„Proszę, weź ze schroniska psa. Tego, który będzie najcichszym, najbrzydszym i najslabszym. Tylko żeby nie był za stary. Zabierz go stamtąd i dbaj o niego. Jeśli zdołam, chcę go zobaczyć”.

Eddie nie przepadał za zwierzętami, ale jej prośba była dość wymowna, on natomiast nie chciał się godzić na to, co sugerowała jej prośba. Pomimo to odparł: „Oczywiście, pojedę z rana i przyjadę z nim do ciebie”.

Tak też uczynił. Wybrał się do pomniejszego schroniska i zgodnie z życzeniem Megan znalazł po chwili psa pasującego do jej opisu.

- A ten? - spytał pracownika schroniska, który oprowadzał go między boksami.

- Złapaliśmy ją wczoraj, błąkała się przy supermarkecie. Stała po prostu przed wejściem i czekała, trwało to kilka godzin, właściciel się nie zgłosił - odpowiedział zniecierpliwiony mężczyzna, a Ed podejrzewał, że śpieszy się na przerwę obiadową.

Eddie przyglądał się psu. Podczas gdy większość innych czworonogów była ożywiona, ten siedział w kącie, patrząc tylko gdzieś przed siebie. Nie był najbrzydszym psem. Eddie pomyślał, że raczej jest jednym z ładniejszych tutaj, jednak co nie ulegało wątpliwości, to że był tu najsmutniejszy. Zdecydował, że go weźmie.

Obsługa wyszorowała dokładnie futro zwierzaka. Pies nie miał imienia, toteż miła pani zajmująca się rejestracją czworonogów spytała, jak mu dać na imię. Eddie nie pomyślał o tym, zadzwonił do Megan.

„Jakie imię kochanie?”, spytał. „To suka”, dodał, spoglądając na psa, który wpatrywał się spokojnie i ufnie w Eddiego.

„Pamiętasz, jakie imię miała nosić nasza córka?”, spytała niemal od razu cichym, zmęczonym głosem. „Tak” - odparł Eddie. „Dobrze. Będziemy niebawem”. Rozłączył się i powiedział do pani, że odtąd pies będzie wabił się Scarlett.

Pani uśmiechnęła się, po czym wpisała imię do rejestru.

Gdy Eddie wracał do szpitala, czuł zmęczenie. Czuł, jak macki snu próbują przejąć nad nim kontrolę. Czuł się wykończony, fizycznie

i psychicznie. Zdeptany przez życie. Spojrzał na szczenię obok, które ciekawie obwąchiwało siedzenie, na którym siedział.

Po chwili Scarlett odnalazła jego wzrok i wtedy poczuł, że w końcu, chociaż było to absurdalne, ma swojego towarzysza niedoli. Kogoś, kto w jakiejś części będzie towarzyszył mu w smutku.

- Teraz będziemy we trójkę, musisz się zachowywać, wiesz o tym - powiedział Ed, jakby pies dokładnie wiedział, o czym on mówi, ale ten tylko patrzył na niego wciąż smutnym, nieobecny wzrokiem.

Wysiadł na parkingu przed szpitalem i wziął go na rękę. Ordynator nie chciał się zgodzić, by wnieść go na oddział, ale gdy Eddie go poprosił, a w jego zmęczonych oczach było tylko wyczerpanie, lekarz wyraził zgodę na dziesięciominutową wizytę z psem. A może nie ze względu na oczy Edwarda Ronsona, tylko Megan Ronson, której wzrok był coraz bardziej spokojny, a każde uniesienie powiek niepewne.

Eddie otworzył drzwi pokoju Megan. Przywitał go znajomy dźwięk maszyny monitorującej jej życie. Spała, a może miała tylko zamknięte oczy. Nigdy nie był tego do końca pewien. Położył psa na podłodze, a ten od razu zaczął obwąchiwać wszystko na swej drodze.

Słyszał, jak maszyna wydaje ciche pikanie. Równo co pięć minut opaska pompowała powietrze, by mierzyć na jej wychudzonej ręce ciśnienie. Usiadł na brzegu łóżka, zapalił i jak zawsze pocałował ją w policzek.

Byli sami. Odkąd stan Megan się pogorszył, ordynator przydzielił jej prywatną salę. Eddie nie przyjął tej wiadomości z entuzjazmem. To był raczej cichy wyrok wydany na ich los, z czego zdawał sobie z tego sprawę.

Jej blada twarz, naznaczona bólem, ukazywała teraz sieć zmarszczek i zapadnięcia w policzkach. Była krucha, jak samotny domek z kart stojący przy oknie, za którym szalała burza, a które lada moment ktoś mógł otworzyć.

- Kochanie, jesteśmy - szepnął jej do ucha. - Poznaj Scarlett.

Otworzyła powoli oczy. Jedyłą część jej ciała, którą oszczędziła choroba.

- Pokaż mi ją - powiedziała cichym głosem, dźwigając się na rękach.

Eddie wziął szczenię z podłogi i posadził na kolanach. Megan wyciągnęła rękę i pogładziła psa po głowie. - Jest śliczna, Eddie. - Zakaszlała mocno. - Będziesz go pilnowała, co mała?

Eddiemu zaczęły drżeć ręce, zamknął oczy, powstrzymując łzy. - Przestań tak mówić. - Powiedział najostrzejszym tonem, na jaki było go stać.

- Och, to ty przestań już, Ed. Jestem gotowa. - Mówiła to spokojnie, bez emocji. Uśmiechała się, a Scarlett lizała jej dłoń. - I ty także masz być, rozumiesz? - Mówiąc to, ujęła jego podbródek, każąc mu tym samym spojrzeć jej w oczy i potwierdzić.

- Spotkało mnie więcej cudów, niż mogłam sobie wymarzyć. A teraz nakazuję ci opiekować się Scarlett tak, jak opiekowałeś się mną. Masz żyć, Eddie. - Patrzyła mu głęboko w oczy, wymawiając te słowa, jakby w ogóle już nie była chora. Eddie nie przytaknął jej, patrzył i zaciskał dłonie, nie chciał pogodzić się z tym, co miało się stać.

- Cholerny, uparty osioł - powiedziała Megan, po czym ponownie zamknęła oczy, a blask życia, który przed chwilą tak ją ożywił, przygasł.

Umarła dwa dni później, dokładnie wtedy, gdy Eddie pojechał nakarmić Scarlett. Odeszła we śnie. Po tym, jak Eddie odebrał telefon z wiadomością, stał tylko bez ruchu w kuchni, z której dochodził jedynie szum odkręconej wody. Stał długo, nieruchomy, po czym usiadł na podłodze i zapłakał, ściskając Scarlett, jakby to była Megan.

A teraz był tu, w samochodzie bez ogrzewania, jednak nie czuł zimna.

Dom Stephena położony był na wysokiej górze, toteż mustang Eddiego nie miał łatwych warunków do zjazdu. Drogi były ośnieżone

i strome, a ujemna temperatura zdążyła wytworzyć lodową powłokę na asfalcie.

Już w samochodzie zaczął pić. Odruchowo popatrzył na siedzenie obok, gdzie powinna siedzieć Scarlett, jednak miejsce pasażera było puste.

Gdy zbliżał się do końca drogi, kątem oka dostrzegł coś dziwnego. Wydawało mu się, że widzi tego samego mężczyznę, którego spotkali ze Stephenem przy lesie. Wydawało mu się, że ten schodził z góry i machał mu, uśmiechając się. Eddie zwolnił, po czym całkiem zatrzymał auto. Nie dlatego, że chciał starca podrzucić, tylko dlatego, że niemożliwym było, żeby ten mężczyzna zdążył w tych warunkach i w tym wieku zejść już tak daleko.

Cofnął samochód, włączając światła awaryjne. Spojrzał w miejsce, gdzie dostrzegł mężczyznę, jednak nikogo już nie było. Popatrzył dookoła. Tylko ciemność otaczała go zewsząd. Żółte światła migają wolno i gasły. Eddie pomyślał, że wstrzyma się z alkoholem do powrotu.

Śnieg padał intensywniej. Eddie wpatrywał się w Scarlett, która stała naprzeciw jego samochodu. Silnik pracował na niskich obrotach, wydając przyjemny, usypiający dźwięk, przenoszący delikatne drgania na fotel. Wycieraczki unosiły się i opadały, zbierając świeży śnieg z szyby, skrzypiąc przy tym cicho.

- Co, do cholery? - szepnął Eddie, wpatrując się w oczy psa. Było w nich coś magnetycznego, spokojnego. Eddie czuł, że jego głowa staje się coraz cięższa, podobnie jak powieki. Oczy Scarlett były nieruchome, tak jak tego popołudnia, gdy wpatrywała się w dal, w stronę szopy. Eddie powoli sięgnął ręką do klamki, gdy pies zaczął głośno szczeleć na niego. Eddie spojrzął za siebie i zrozumiał, dlaczego Scarlett ujadła, chociaż nie rozumiał, skąd się tam wzięła. Do samochodu zbliżało się kilkanaście wilków i zaczynało otaczać samochód.

- Skurwysyny - mruknął Eddie, po czym odwrócił głowę z powrotem przed siebie, jednak Scarlett już nie było. Usłyszał melodię z oddali. Ocknął się i skierował wzrok na siedzenie, na którym spoczywał telefon. To był Steve. Spojrzał jeszcze raz za siebie, wilki podchodziły coraz szybciej. Eddie wrzucił bieg i ruszył przed siebie, widząc, jak zwierzęta znikają w oddali.

- Steve. - Odebrał telefon.

- Ed, wszystko gra? Jesteś w domu? - zapytał Steve.

Eddie jechał przed siebie i starał się zrozumieć, co zaszło przed chwilą na drodze, ale nie chciał niepokoić Steve'a.

- Tak, przyjacielu. Wszystko gra, wkrótce będę w domu. A jak nie masz co robić, to zajmij się żoną albo przyjadę i ja to zrobię.

W słuchawce była cisza. Eddie wiedział, że Steve nie dał się nabrać na jego pogodny ton. Zbyt długo się znali.

- Eddie, słuchaj... - zaczął Steve.

- Steve, pogadamy rano. Wracam już do domu, miałem ciężki dzień, tak jak i ty - powiedział Eddie, przyglądając się, jak wycieraczki zostawiają smugi po każdym ruchu.

- Jasne, widzimy się rano. Nie śpiesz się, Ed. Odpocznij - powiedział Steve.

- Pewnie. Do zobaczenia. - Eddie już chciał się rozłączyć, kiedy usłyszał głos Steve'a: - Ed, jedź do domu.

- Wiem, Steve. Nie musisz się martwić - Eddie się rozłączył.

ROZDZIAŁ 9

Obudziła się przed południem. Gdyby jej życie toczyło się normalnym trybem, w pośpiechu, z dozą paniki zorientowałaby się, że jest spóźniona na zajęcia z fitnessu. Jednak jej życie nie było już takie samo, toteż nieśpiesznym krokiem podeszła do wielkich, przesuwanych drzwi garderoby.

Gdyby jej życie toczyło się normalnym trybem, starannie dobrałaby dzisiaj swój ubiór, następnie nabalsamowała swoje ciało,

zrobiła makijaż i wyszła, zostawiając za sobą idealny porządek. Jednak dzisiaj to wszystko było nieistotne.

Wzięła szybki prysznic, założyła na siebie pierwsze lepsze spodnie oraz T-shirt. Związała włosy w kucyk i zrobiła szybki makijaż. Na lustrze wciąż widniały cyfry, których ani trochę nie rozumiała, jednak tę sprawę zostawiła na później. Teraz miała do załatwienia inną, równie ważną. Podeszła do łóżka i zrzuciła pościel na podłogę, po czym rozpięła zamek materaca. Wyciągnęła z niego całą gotówkę, którą tam ukrywała, i włożyła do największej torebki, jaką znalazła w szafie. Z dozą rozbawienia spostrzegła, że torebka była warta jedną trzecią gotówki, którą przed chwilą do niej włożyła.

- Idiotka - powiedziała do siebie, po czym nagle wybuchła śmiechem. Śmiała się tak, opierając o łóżko i pomyślała, że wszystko, co robiła, zaczęła robić, by zmienić swoje życie. By w końcu stanąć na nogi, zbierać kasę i otworzyć swój własny interes. Chciała zamazać przeszłość. Wierzyła, że to możliwe. A teraz, po dwóch latach wyrzeczeń zorientowała się, że cały jej dobytek mieścił się tutaj. W ogromnym łóżku, szafie pełnej ubrań, kosmetykach z najwyższej półki, perfumach i najdroższym czynszu w mieście, a wszystko, co odłożyła, to ten marny plik banknotów, który mieścił się w torebce za ponad pięć tysięcy dolarów.

Śmiała się głośno, a łzy leciały jej po policzkach. Samantha Mori, biznesmen roku, pomyślała, widząc oczyma wyobraźni swoją twarz na okładce „The Timesa”, co wywołało jeszcze bardziej gwałtowny atak śmiechu. Zdała sobie sprawę, że gdyby ją teraz ktoś widział, pomyślałby, że postradała zmysły. I niewiele by się pomylił, jak sądziła.

Wciąż się śmiejąc, udała się do łazienki i poprawiła makijaż, rozmazany od łez. Nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek będzie się śmiała. Szkoda tylko, że musiałam śmiać się z samej siebie, pomyślała.

Włożyła resztę pieniędzy z umywalki do torebki. Niektóre banknoty były ubrudzone krwią. Jakie to wymowne, pomyślała,

starając się teraz odgonić dramatyczne wspomnienia. Musiała być silna, nie mogła się rozklejać.

W umywalce oprócz wszelkiej maści kosmetyków leżały dwa telefony - prywatny, w którym miała zapisany tylko jeden numer, na którym jej zależało oraz ten z pracy, od Tony'ego. Zobaczyła trzydzieści jeden połączeń i kilkanaście wiadomości tekstowych. Nie odczytała ich. Podniosła deskę i wrzuciła telefon do środka, wkładając do torebki tylko swój prywatny. Przepisała cyfry z lustra na kartkę, którą starannie złożyła i umieściła w portfelu.

Włożyła buty, kurtkę i ostatni raz spojrzała na swoje mieszkanie. Na rozdział, który właśnie dobiegał końca.

Zamknęła drzwi.

II

DROGA

I GWIAZDY

ROZDZIAŁ 10

Gdy Rose zasypiała, a jej noc miała być pierwszą spokojną od kilku miesięcy, dziewczynka w białej sukience podskakiwała z nogi na nogę, bawiąc się światłem latarni i śpiewając radośnie jakąś, znaną tylko sobie, piosenkę.

Szła środkiem drogi, wiedząc, że żaden samochód nie nadjedzie. Miasteczko było nieruchome, jakby zastygło w czasie. Tylko płatki śniegu tańczyły swój taniec.

Dziewczyna wykonała dłonią gest, ożywiając wszystkie latarnie wzdłuż ulicy, które przed chwilą wyłączyła. Znowu było jasno. Szła tak radośnie, po chwili jednak przystanąła, a jej piosenka urwała się, jakby ktoś nagle wstał i wyłączył zbyt głośne radio.

Stała tak wyprostowana, patrząc w dal, po czym powoli skierowała głowę w lewo, a jej twarz spoważniała. Wiatr smagał jej sukienkę, gdy tak stała nieruchomo. Patrzyła na dom, który niczym szczególnym nie wyróżniał się spośród innych domów w tym rzędzie, jednak na widok tego właśnie budynku z jej oka popłynęła nieśmiała łza.

Z naprzeciwka usłyszała głos chłopca, który sądząc po jego barwie, był w jej wieku. Śpiewał piosenkę, kontynuując od miejsca, w którym ona skończyła, fałszując przy tym delikatnie. Skierowała wzrok w jego stronę.

Był ubrany w krótkie spodenki, które trzymały szelki. Na nogach dostrzegła sandały, włosy miał przystrzyżone na krótko, a pulchną twarz zdobiły piegi. Wyglądem bardziej przypomniał młodszą wersję Johna Lennona niż współczesne dziecko.

Stali tak naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem. Twarz dziewczynki była bez wyrazu, jej wzrok przeszywał chłopca, który był uśmiechnięty i podekscytowany, jakby za chwilę miał dostać najlepszy prezent w życiu. Za chłopakiem panował mrok, a wszystkie latarnie

były wyłączone, jakby on także się nimi bawił, lecz zapomniał je włączyć z powrotem. Tylko od strony dziewczynki wszystkie się paliły i doświetlały ulicę ciemnożółtym blaskiem.

- Nie masz tu żadnej władzy - powiedział chłopiec całkiem innym, teraz niskim, basowym głosem, wciąż szeroko się uśmiechając, lecz jego głos nie należał do chłopaka, który stał przed nią. Był głosem chłopca i starca, kobiety i mężczyzny, dziewczynki i starej kobiety jednocześnie.

Dziewczynka milczała, wciąż wpatrując się w niego. Jej spojrzenie było chłodne i przenikliwe.

- Tym razem nie masz jej tutaj i dobrze o tym wiesz - kontynuował chłopak głosem wielu, a kiedy wypowiadał te słowa, pojawiły się za nim wilki. Jeden po drugim wyłaniały się z mroku, stając w jednej linii z chłopakiem. Były ich setki i wszystkie wpatrywały się w dziewczynkę w białej sukience.

Wilki zaczęły obnażać kły, kłapiąc pyskami i chodząc niespokojnie wokół chłopca, jakby także nie mogły się czegoś doczekać.

Chłopak nadal się uśmiechał, wpatrując się w nią, podczas gdy dziewczyna powoli, lecz pewnie, postąpiła naprzód. Szła tak, aż zatrzymała się kilka centymetrów od chłopca. Byli podobnego wzrostu. Ich głowy niemal stykały się w prostej linii, patrzyli sobie w oczy. Dziewczyna lekko przechyliła głowę, jakby myślała nad czymś ważnym. Uśmiech chłopaka zaczynał powoli gasnąć, a w jego miejsce pojawił się wyraz bólu, nagły i silny tak bardzo, że chłopak się odsunął. Dziewczyna stała nadal, patrząc przed siebie, jakby chłopak nie zasługiwał już na jej uwagę, a wilki jeden po drugim usuwały się jej z drogi, gdy szła między nimi.

Zniknęła w ciemności.

ROZDZIAŁ 11

Dochodziła dwunasta. Śnieg topił się w słońcu. Miasto żyło swoim codziennym życiem, chociaż dawało się odczuć, że mieszkańcy nieco

zwolnili tempo przed zbliżającymi się świętami.

Sammy stała przez chwilę przed budynkiem, gdzie niegdyś było jej mieszkanie, i uświadomiła sobie, jak bardzo była samotna. Nie miała nikogo, z kim mogłaby spędzić święta, ale to nie było już istotne. Teraz najważniejsze dla niej było zrozumieć znaczenie cyfr. A potem niech los zadecyduje co dalej. Mogła nawet zniknąć.

Ostatnia noc uświadomiła jej, kim była. Marną zabawką tego świata. Wypranym z emocji robotem. Jej rodzice sprzedali ją, gdy była dzieckiem, a później ona sprzedawała się dalej, myśląc, że coś się kiedyś zmieni. Ale koniec końców wiedziała, kim była. Dziwką. Cieniem, który mieszkał w drogim apartamencie i udawał ważnego człowieka.

I chociaż to mężczyzna z hotelu odebrał jej wolę życia, raniąc kawałek po kawałku jej serce oraz duszę, odpowiadając na pytanie, kim ona tak naprawdę jest i ile znaczy, wiedziała kto był za to odpowiedzialny. I kto za to musi ponieść konsekwencje.

Zastanawiała się też, czy to wszystko nie było snem, czy nie popadła w paranoję, ale krew na jej ciele, którą dzisiaj zmyła, była realna. Tak jak wspomnienia.

Ruszyła chodnikiem, kierując się do pobliskiej kawiarni, w której czasem przesiadywała.

- Chwalmy Pana, który wkrótce się narodzi ponownie! - Zobaczyła uśmiechniętego mężczyznę. Wręczył jej ulotkę, na której widniał jakiś kościół i wiele różnych zdań określających wielkość i chwałę Pana. - Czy jesteś gotowa na jego przyście? Sam wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym oznajmiła: „Oczywiście, nie mogę się doczekać”. Powiedziała to beznamyślnie i zgmiotła ulotkę, odrzucając ją na bok.

- On ci wybaczył, pani - krzyknął za nią.

- Ale ja jemu nie - odpowiedziała cicho Sam, bardziej do siebie niż do mężczyzny, po czym weszła do kawiarni.

Jej oczom ukazał się wielki bar z drewna, a nad nim podświetlone logo Caffé and Cookies. Zobaczyła kilka zajętych stolików, jednak

większość była pusta. Za barem stał właściciel, który zawsze uśmiechał się, gdy tylko ją zobaczył, i próbował postawić kawę.

Tego Sam nie znosiła. Wiedziała, jak jest atrakcyjna. Niemal każdy mężczyzna próbował o nią zabiegać, co było dla niej męczące. Uświadomiła sobie, że pomimo iż mogłaby mieć każdego mężczyznę na tym świecie (pewnie też i kobietę, ha ha, pomyślała), nie znalazł się żaden, którego chciałaby ona. Do tego grona zaliczał się również barista Barry. „Barrista Bary”. Jakie to głupie, pomyślała i zachichotała. Zauważyła, że śmieje się z coraz głębszych rzeczy. Pomyślała, że naprawdę jej odbija.

- Witaj, Barry. Jak się miewasz? - powiedziała tonem, który wskazywał, że ma to gdzieś, jednak Barry tego nie zauważył. A raczej nie chciał.

- Dzień dobry, panno Mori! Wyśmienicie. To co zawsze dla pani? Chociaż nie ukrywam, że polecam dzisiaj naszą herbatkę pomarańczową z dodatkiem laski wanilii. Sam wymyśliłem! - Uśmiechnął się, jakby wynalazł co najmniej nowy pierwiastek.

Był wysoki. Na jego czole widać było oznaki łysienia, a gdy się uśmiechał, widoczne było jego całe uzębienie. Pomimo tego nie był taki zły. Gdyby tylko miała dzisiaj inny nastrój.

- Dobrze, może być - powiedziała beznamiętnie, po czym skierowała się do najbardziej kameralnego miejsca, w samym rogu na końcu sali.

- Już się robi - odrzekł z entuzjazmem Barry.

Gdy była w połowie drogi, cofnęła się i podeszła do niego jeszcze raz, zdobywając się tym razem na uśmiech.

- Barry, czy miałbyś może pożyczyć laptopa? Potrzebuję coś sprawdzić w Internecie.

- Niestety, nie posiadam w lokalu - odrzekł, szczerze zasmucony, że nie może jej pomóc.

- W porządku, nie kłopotz się tym. Poradzę sobie jakoś. - Gdy już się odwracała, Barry krzyknął:

- Momencik! Proszę chwilę poczekać. - Po czym zniknął za zasłonką, która prawdopodobnie oddzielała zaplecze od baru.

Wrócił po chwili z jakimś przedmiotem w dłoni.

- To nie laptop, ale dopiero co kupił mi to bratanek, żebym miał z nim kontakt przez jakiś program. Jest tu przeglądarka i Internet, na pewno będzie lepsze niż telefon - powiedział i dał jej urządzenie. Sam wiedziała, że to tablet, którego ten nie umiał nazwać i pomyślała, że urządzenie do kawy musi stanowić dla niego szczyt możliwości w dziedzinie technologii.

- Dzięki, Barry, to mi wystarczy. - Uśmiechnęła się i pomachała tabletem, jakby podkreślając, za co dziękuje.

- Nie ma sprawy, panno Mori, do usług. - Wyszczrzył zęby, a Sam mogłaby przysiąc, że potrafiłaby je teraz dokładnie policzyć.

Usiadła przy stoliku i położyła tablet przed sobą, po czym wcisnęła przycisk zasilania. Dioda zapaliła się i po chwili widoczne było logo Windows. Poszukała karteczki w portfelu, mając w duchu nadzieję, że to jednak był sen, a karteczki nie ma, jednak już po chwili trzymała ją w dłoni. Otworzyła i zobaczyła 32 52 90 T napisane wyraźnie ołówkiem.

Gdy tablet był gotowy do pracy, uruchomiła przeglądarkę i przepisała cyfry do okienka Google. Po chwili ładowania wyświetliło się jej 103.293 pasujących wyników. Super, pomyślała i zaczęła palcem przesuwając po ekranie dotykowym, szukając odpowiedzi na dręczące ją pytanie.

Wyniki były różne, od numerów telefonów, z których żaden nie pasował do cyfr, przez usługi budowlane po produkty odzieżowe. Spróbowała wpisać cyfry bez spacji, ale wynik był ten sam. Nic nie pasowało do cyfr.

- Proszę bardzo, herbatka dla zjawiskowej panny Mori. - Barry przyniósł kawę do stolika, choć zawsze robiły to kelnerki. Jednak nie zdziwiło to Sam.

- Dziękuję, Barry.

- Gdybyś czegoś potrzebowała...

- Tak, wiem, zgłoszę się do ciebie. - Mrugnęła do niego.

- Dokładnie - odrzekł, po czym odchrząknął (na co Sam z irytacją uniosła oczy) i powoli, od niechcienia skierował się w stronę baru.

Sam myślała intensywnie, o co może chodzić z numerami. Czuła, że to wie, ale nie potrafiła sobie przypomnieć. Odpowiedź była gdzieś w głowie, ale umiejętnie się przed nią schowała. Gdy tak rozmyślała, naprzeciw niej wchodzili i wychodzili klienci. Słońce zaczęło prześwitywać, rażąc ją w oczy.

Po chwili zamarła. Zdawało się jej, że widzi Tony'ego w kolejce do kasy, lecz zorientowała się, że mężczyzna, a raczej chłopak ten jest jednak niższy, choć lepiej zbudowany. Jego ciemne, krótko przystrzyżone włosy kontrastowały z niebieskim swetrem. Z postury wyglądał jak żołnierz. Sam odetchnęła z ulgą, że to nie jej były szef i wróciła do rozmyślań. Zdawała sobie sprawę, że jest bezsilna. Nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Spojrzała z powrotem na żołnierza, który odnalazł ją wzrokiem, i od razu odwróciła głowę. Wiedziała z doświadczenia, że nie minie pięć minut, kiedy ten podejdzie do niej, proponując drinka. Co bardziej wyrafinowani zapraszali na kolację. On wyglądał jednak na tego od drinka.

Dostrzegła kątem oka, że zmierza w jej kierunku i pomyślała, że ten jest szybszy niż większość i gdy już obmyśliła w głowie zdanie: „Wybacz, jestem teraz zajęta, ale zostaw swoją wizytówkę, w razie czego zadzwonię”, ten minął ją i usiadł dwa stoliki dalej.

Odetchnęła.

Wsypała zawartość dwóch saszetek cukru do szklanki, wyjęła laskę wanilii i z irytacją odłożyła na podstawkę. Nawet to ją denerwowało. A najbardziej irytował ją fakt, że stoi w miejscu z tymi cholernymi numerami.

Odwróciła się i spojrzała na chłopaka w swetrze, który obracał w dłoniach kostkę Rubika. Kolory kostki były pomieszane. Nawet z tej odległości Sam dostrzegła jego niebieskie, jasne jak neon oczy, których odcień dodatkowo podkreślał kolor swetra. Dziwiło ją, że chłopak jeszcze do niej nie podszedł, jednak najbardziej dziwiło ją to,

że nawet na nią nie zerkał. Stanowiła idealny cel. Sama, tylko jeden napój przed nią, sugerujący, że zamówienie zostało już zrealizowane i raczej nikt do niej nie przyjdzie.

Nie wyglądał jak model, jednak jego postura wskazywała na dużą pewność siebie. Sam zauważyła, że jest zamyślony. Nadal obracał w dłoniach kostkę, ale nie poruszył żadnym jej elementem. Oglądał ją tylko z każdej strony, powoli obracając, jakby myślał dokładnie nad pierwszym ruchem.

Rozejrzała się po kawiarni. Kilka zajętych stolików. W większości starsi ludzie, czytający poranne gazety. Matka z córką na lodach, samotna kobieta z książką. Sam szybkim ruchem wzięła karteczkę z dziwnym numerem, wstała i podeszła pewnym krokiem do chłopaka w swetrze.

Stanąła naprzeciw niego z karteczką i gdy miała się odezwać, ten powiedział: „Dzięki, nie jestem zainteresowany”, nawet na nią nie patrząc. Stała, nie wiedząc, co odpowiedzieć, podczas gdy on nadal obracał w dłoniach kostkę. Była pewna, że nie wie, że to ona stoi naprzeciw niego.

- Chciałam cię o coś zapytać.

Uniósł wzrok i spojrzał na nią.

- Ja także. Powiedz - uniósł kostkę - kto do cholery wymyśla takie durne rzeczy?

Zignorował ją. Nie chciała jego adoracji, ale pierwszy raz zobaczyła obojętność względem swojej osoby. Nie licząc mężczyzn o odmiennej orientacji. Co do tego chłopaka nie była pewna, ale jeśli tak było, to dla niej lepiej. Unikną niezręcznej sytuacji, gdy ona mu odmówi. Nie lubiła nigdy mężczyzn, a po ostatniej nocy nienawidziła ich. Jednak mężczyźni z kręgów homoseksualnych byli w większości łagodniejsi. W mieście musieli się dobrze kamuflować, ale Sam potrafiła ludziom czytać z oczu. Widziała różne sekrety innych, może dlatego, że sama skrywała kilka.

- Ta kostka jest najmniejszą z dwunastościanów - odparła Sam.

- Chcesz mi powiedzieć, że są większe?

- Chcę ci powiedzieć, że ta jest dla przedszkolaków.

Chłopak zmarszczył się i przybliżył kostkę do oczu, jakby chciał jej przekazać tym gestem, jak bardzo go rozczarowała tym faktem.

- Skąd wiesz? - zapytał, nie przenosząc wzroku na Sam.

- Bo wiem - ucięła, zirytowana jego arogancją. Czy wiesz, co to mogą być za numery? - Przysunęła mu kartkę na stole.

- Chyba wiem - odrzekł po chwili zastanowienia. - To twój numer telefonu? Może zadzwonię, ale nie obiecuję. - Mrugnął do niej okiem i wycelował w nią palec, jakby był kowbojem i imitował wystrzał.

- Wiesz co, zapomnij o tym. - Szarpnęła karteczkę i usiadła przy swoim stoliku. Głupi arogancki szczeniak, pomyślała Sam. Włączyła tablet. Po chwili ponownie odpaliła się przeglądarka. Cursor migał, sygnalizując gotowość na wpisanie fraz. Gdy Sam tak patrzyła w ekran, głośne stuknięcie sprawiło, że podskoczyła. Popatrzyła na kostkę, która wylądowała na stole, a po chwili chłopak usadowił się przed nią.

- Umiesz ją ułożyć? - zapytał, jakby nic się nie wydarzyło.

- Nie - odpowiedziała, spuszczać wzrok na tablet. Czowała, że chłopak przypatruje się jej z tym swoim irytującym uśmiechem.

Zobaczyła, jak swoją dużą dłonią stuka w karteczkę.

- Wiem, co to za numer.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że po raz pierwszy on przygląda się jej badawczo. Nie była pewna, czy znowu sobie żartuje, więc nie dawała po sobie poznać, że interesuje ją jego odpowiedź. Uniosła brwi do góry w pytającym geście.

- To współrzędne. Brakuje tam stopni, ale ciąg cyfr oraz odstępy między nimi wskazują na jakieś miejsce.

No tak! Współrzędne! Nie wpadła na to w ogóle. Chociaż nie rozumiała, jak ta mała dziewczynka mogła rozumieć coś takiego jak współrzędne, to żadne inne lepsze rozwiązanie tej zagadki nie przychodziło jej do głowy.

- A ta literka?

- Tego nie wiem. Może potwierdzać nazwę miejscowości, w której ulokowany jest ten obiekt. Skąd masz te namiary?

- Od wujka.

- Zakopał tam skarb? - Znowu uśmiechnął się swoim cwaniackim uśmiechem.

- Tak, setki kostek Rubika. Jakim sposobem mogę namierzyć te dane?

- Najłatwiej GPS-em, tak sędzę. A teraz wybacz, ale muszę zbierać się do pracy. Miło było poznać. - Znowu wycelował w nią palec, którym wystrzelił, po czym wstał i ruszył do wyjścia.

Sam siedziała jeszcze przez chwilę, myśli kotłowały się jej w głowie. Zobaczyła przez szybę, jak chłopak otwiera auto. Był to biały samochód dostawczy. Nadal zniesmaczona była całym tym incydentem. Jednak mimo aroganckiej i bezczelnej postawy chłopaka Samantha w jakiś sposób mu zaufała. Może dlatego, że nie zabiegał o nią w żaden sposób? Wręcz zniechęcał swoim zachowaniem. Patrzyła, jak wsiada do auta. Silnik zapalił, chłopak spojrział na nią i ponownie wymierzył palec, szczerząc przy tym zęby, po czym założył okulary przeciwsłoneczne. Co za idiota, pomyślała Sam, po czym wstała szybko i pobiegła do samochodu, który właśnie cofał. Zapukała w szybę. Słońce świeciło już w pełni, topiąc śnieg na dachach.

- Już ci mówiłem, nie jestem zainteresowany, chociaż rozumiem i doceniam twój upór. Może kiedyś - powiedział do niej poważnym tonem, odkręcając szybę, Samantha jednak to zignorowała.

- Posłuchaj, zapłacę ci dużo pieniędzy, ale potrzebuję dostać się w to miejsce. Potrzebuję, żebyś mnie tam zawiózł.

Chłopak patrzył na nią przez chwilę i Sam zobaczyła swoje odbicie w jego ciemnych okularach.

- Zdajesz sobie sprawę... - Przerwał i ściągnął okulary. - ...że to może być każdy zakątek świata?

- Nie będzie. To będzie bliżej - odparła pewnie.

- Skąd niby to wiesz?

Sam zawahała się i spojrzała w lewą stronę, na kawiarnię. Chłopak miał rację. Skąd wie?

- Czuję to - odparła.

- A skąd wiesz, kim jestem? Może porywam samotne dziewczyny? Tego też nie wiedziała.

- Wątpię w to.

- Dasz mi kilka kostek Rubika, jak znajdziemy ten skarb?

- Dostaniesz wszystkie, będziesz mógł patrzeć na nie do woli.

- Kiedy chcesz tam wyruszyć?

Sam patrzyła na niego i zagryzła wargę.

- Jak najszybciej - odrzekła.

ROZDZIAŁ 12

Tony siedział w samochodzie i czuł, jak zalewa go pot. Nie dlatego, że było mu gorąco, chociaż to również. Nie dlatego też, że ustawił auto tak, że słońce padało wprost na niego. Chodziło o coś innego.

Ściągnął czapkę i przetarł czoło.

- Cholerne papierosy - powiedział do siebie, odpakowując gumę z nikotyną.

Mówili mu, że najgorsze zaczyna się w drugim tygodniu. Pomyślał, że ten kto wymyślił palenie, był genialny. Pokiwał na tę myśl głową i włożył gumę między zęby. Otworzył okno i splunął. Smak gumy był gówniany. Ale ten, kto wymyślił rzucanie palenia, był jebanym bezdusznym skurwysynem, dokończył poprzednią myśl. Wtedy zadzwonił telefon.

Głośno mlaskając, odebrał.

- No i? - rzucił do słuchawki, drugą ręką drapiąc się nerwowo po głowie. Zastanawiał się, czy to może być kolejny symptom rzucenia papierosów.

- Nadal nieuchwytna, szefie. W telefonie nie ma sygnału. Podejrzewamy, że albo wyłączyła, albo wyrzuciła.

- Doprawdy? - zapytał, jakby dowiedział się, że wygrał konkurs w radiu. - A więc jesteście pierdolonymi geniuszami! Brawo! - Przytrzymał ramieniem telefon i zaczął klaskać głośno w dłonie.

- Szeffie... - zaczął skonsternowany rozmówca.

- Czy byliście w jej mieszkaniu, Joe? - zapytał, tym razem całkiem spokojnie, lecz stanowczo, Tony.

- Tak. Nie widziano jej wczoraj ani dzisiaj.

- Sprawdźcie okoliczne szpitale. Popytajcie, czy policja wie cokolwiek. Macie ją znaleźć.

- Tak jest, Sze...

Tony się rozłączył.

Otworzył kontakty w telefonie, wpisał w wyszukiwarkę literę S. Klikał w dół, aż znalazł hasło „sprzątaczką”. Nacisnął na niego, a telefon zapytał, czy na pewno ma połączyć z tym numerem. Tony zastanawiał się przez chwilę. Z wszystkich kontaktów w telefonie z tym właśnie numerem najbardziej nie chciał się połączyć. Odczekał dłuższą chwilę, po czym nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył telefon do ucha. Otworzył okno i wypluł gumę. Ludzie przy markecie chodzili w tę i w tę, niosąc zakupy i szukając aut. Po trzech sygnałach w telefonie odezwał się poważny głos:

- Umawialiśmy się. Brak telefonów. Czego tu nie rozumiesz?

Tony przybrał poważny głos, starając się opanować jego drżenie. Ten człowiek napawał go strachem, a Tony niewielu ludzi się bał. Wiedział jednak, że w tym wypadku musi zachować ostrożność. Jego wujek powtarzał mu o szacunku do ludzi wpływowych i potężniejszych. Powtarzał mu również, że honor to sprawa najważniejsza i to on definiuje prawdziwych graczy. Dlatego właśnie Tony postanowił zadzwonić.

- Czy moja dziewczyna żyje? Nie odzywa się od wczoraj, odkąd do niej przyjechałeś.

- Twoja dziewczyna... - powiedział szorstko mężczyzna, jakby zastanawiał się, co to zdanie znaczy. - Chyba masz wiele dziewczyn, co? - Zaśmiał się szyderczo.

Tony nadal się pocił, był prawie pewny, że lada chwila odpali papierosa. Jego dłonie powędrowały w kierunku szyi, poluzował kołnierz koszuli, zza którego widoczne były tatuaże.

Nienawidził koszul, ale dzisiaj musiał ją nosić. Czasem jego fach tego wymagał.

- Nazwij to, jak chcesz - odparł Tony.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty - uciął ostro mężczyzna. - Prawda?

Tony zagryzł zęby i zamknął oczy.

- Tak, panie Martin. Bardzo przepraszam.

- Co do twojej uroczej dziewczyny, nie mam pojęcia, co z nią. Gdy wychodziłem, oddychała. Umowa była jasna, jest moja. Zresztą słono mnie to kosztowało.

- Nie odzywa się od wczoraj - przypomniał Tony.

- I co? Tęsknisz za nią? To tylko kurwa. Może zdechła, nie mam pojęcia. - Mężczyzna wziął oddech i Tony słyszał, jak odpala papierosa. Poczł zazdrość. - Przyzwoliłeś na to. Dostałeś ponad dziesięć patyków. Więcej niż za pięć takich kurew. Więc nie wkurwiał mnie. - Rozmówca uniósł głos i Tony odczuł, że ten traci cierpliwość.

- Panie Martin, jeżeli ona zmarła, stracę stałe źródło dochodu, a ten przekracza wartość mojego wynagrodzenia od pana.

- Zadzwoń do mnie jeszcze raz w tej sprawie, a żadnego wynagrodzenia już w życiu nie zdołasz przyjąć. - Trzy krótkie sygnały w słuchawce poinformowały Tony'ego, że rozmowa jest zakończona.

- Kurwa! - krzyknął Tony i uderzył rękami w kierownicę. - Kurwa, kurwa, kurwa! - zaklął, z każdym słowem uderzając w kierownicę.

Wysiadł i zatrzasnął drzwi, które wydały głuchy trzask. Oparł się o samochód i wziął głęboki wdech. Czuł, jak serce bije mu w piersi. Czy możliwe, że ją zabił? Jeśli tak, policja wkrótce połączy numer z jej smartfona i zlokalizuje jego własny. Ostatnie połączenie między nim a nią wskazywałoby na silne koneksje. Poza tym wszystkim nie wiedział dlaczego, ale Samantha była dla niego w jakiś sposób

wyjątkowa. Jasne, wiedział, do czego były dziwki. Były tylko narzędziami, które generowały pieniądze. Tylko i aż tym.

Pamiętał, jak wujek wprowadził go w szeregi mafii. Było to dokładnie dziesięć lat temu, gdy skończył dwadzieścia jeden lat.

Wyprawił mu huczne urodziny w klubie, który należał do elity stanu, której przewodził jego wujek. To w tym klubie Tony narodził się po raz drugi.

Wujek podjechał po niego na strzelnicę, w której Tony przesiadywał godzinami po wykładach. Uwielbiał to. Słuchawki na uszach. Wycelowanie, wstrzymanie oddechu, strzał. Bach, bach, bach, ręka-okno-cel. To dawało mu prawdziwą wolność i nie zmieniło się do dziś.

Tego wieczoru wujek podjechał po niego swoją limuzyną i kazał wsiąść, co Tony wykonał bez żadnych pytań.

- Synu - powiedział, gdy stali na skrzyżowaniu. Pierwszy raz jego wujek powiedział do niego: „synu”. - Chcesz być w życiu owcą czy wilkiem? - kontynuował. - Jeśli owcą, skręcę w lewo i odwiozę cię do domu. - Spojrzał w lewo na stojące auta. - Jeśli wilkiem - ciągnął dalej, wskazując na drogę w prawo - przekażę ci moje dziedzictwo, ale musisz się określić w tym momencie i nie będzie odwrotu.

Tony siedział bez słowa. Wiedział, że właśnie na tym skrzyżowaniu w tym momencie ważą się jego losy. Już miał powiedzieć, że chce wrócić do domu, ale wypowiedział tylko: „Chcę być wilkiem”. Wujek patrzył na niego przez chwilę. Zapaliło się zielone światło i skręcili w prawo. Po kwadransie dojechali na miejsce. Przed wejściem panował tłok, ponad kolejką młodych (a Tony podejrzewał, że niekiedy dużo zbyt młodych) osób widniał wielki, oświetlony szyld klubu Rosso. Dźwięki basu wibrowały przez kamienne ściany. Tony poczuł nieskrywaną dumę, gdy ochroniarze wprowadzili ich bez kolejki.

Wewnątrz neonowe podświetlenia rzucały na nich czerwone światło. Sztuczny dym unosił się wszędzie, pełzając po ścianach

niczym węże, i Tony poczuł się nieswojo. Czuł się źle w zamkniętych, zatłoczonych pomieszczeniach.

Muzyka była coraz głośniejsza. Szeroki hol doprowadził ich do głównej sali. Tony zobaczył szereg klatek, w których tańczyły kobiety w różnym wieku, o różnej urodzie. Klub wewnątrz był ogromny. Stroboskopy i lasery przecinały twarze młodych nastolatków szukających przygód tej nocy.

Klub dzielił się na dwie części - taneczną oraz „hotelową”, o której wiedzieli wszyscy w mieście. Sprawa była prosta. Dziewczyny wewnątrz lokalu były także prostytutkami, które po zainkasowaniu odpowiedniej opłaty kierowały ochotników (a nawet ochotniczki) do odpowiednich pomieszczeń.

Klaustrofobiczne korytarze były niczym pajęcza sieć. Nie bez powodu, domyślał się już wtedy Tony. Gdy policja robiła naloty, sygnał docierał do wszystkich w mgnieniu oka, co pozwalało na szybką ewakuację. Chociaż zdarzało się to wyjątkowo rzadko, gdyż klub był chroniony i odpowiednio opłacany, co zapewniało mu względną nietykliwość.

Tego wieczoru wszyscy ważniejsi członkowie siedzieli w loży, w specjalnym pomieszczeniu przeznaczonym tylko dla zarządu. Miejsce to było widoczne z każdej strony klubu. Jego wujek lubił dbać o każdy szczegół oraz mieć kompletną kontrolę nad tym, co się dzieje. Weszli na górę przez szklane drzwi. Pokój był zadymiony od papierosów i cygar.

Pamiętał duży, szklany stół, na którym znajdował się tort z jedną zapaloną świeczką.

Tony przywitał się z każdym z osobna, podając rękę.

- To jest mój bratanek - oznajmił wujek i wskazał na niego. - Od dzisiaj jest jednym z nas. - Tony naliczył ich siedmiu. Wszyscy popatrzyli po sobie z konsternacją. Zapadła cisza. - Komu się to podoba, cieszy mnie. - Mówiąc to, odpalił cygaro, po czym wypuścił powoli dym, odchylając głowę. - Komu nie, niech podniesie rękę. - Cisza wciąż trwała i każdy patrzył na Tony'ego. Nikt się nie odezwał.

- Doskonale - dokończył. - Usiądź, synu. - Wskazał mu miejsce, siadając obok.

W większości byli to już starsi ludzie, toteż Tony czuł się wśród nich jak nowa rybka w starym, gęsto zarybionym akwarium.

Nietrudno było domyślić się, że członkowie tej grupy władali większą częścią budżetu miasta. Koneksje każdego z nich obejmowały Vernon i okoliczne miasta, a całe ich dziedzictwo przechodziło na potomków z pokolenia na pokolenie. Tak samo on uzyskał miejsce w hierarchii. I chociaż czuł, że większości starszych nie podobał się jego szybki awans, wiedział, że dopóki żyje jego wujek, nic mu nie grozi. Wiedział również, że jego wujek nie był nieśmiertelny i jeśli Tony szybko nie pojmie praw rządzących tym biznesem, skończy w trumnie. Jeśli dobrze pójdzie.

Siedział, nie do końca wiedząc, jak się zachować, starając się nie dać po sobie nic poznać. Od dziecka był raczej spokojnym chłopakiem z przenikliwym, leniwym spojrzeniem. Rodzice podejrzewali go o flegmatyzm, jednak lekarz odrzucił tę hipotezę, stwierdzając, że po prostu taki był. Lubił przemyśleć sytuację, wyciągnąć chłodne wnioski. Kalkulował i ważył słowa. Swoje oraz czyjeś.

Poczuł rękę na ramieniu, odwrócił się i zobaczył, jak wujek wpatruje się w niego swoimi ciemnymi, małymi oczyma.

- Synu, z okazji inicjacji chciałbym przekazać ci dzisiaj jedną, ważną lekcję.

Tony patrzył na niego chłodno. Cały czas czuł zaciśniętą rękę na barku, powyżej której widział złoty zegarek, warty prawdopodobnie roczną wypłatę przeciętnego mieszkańca miasta.

- Twój ojciec nie wie, że tutaj jesteś i niech tak zostanie, dobrze?

Tony wciąż wpatrywał się w pomarszczoną twarz swojego wujka i jego siwe włosy. Starzec był o głowę niższy od niego, bardzo drobnej postury, co wiązało się z włoskim pochodzeniem. Jednak jego wzrok i ton głosu potrafił elektryzować wszystkich wokół.

- Jasne - odparł krótko Tony.

- A więc, wracając do tematu... - Starzec sięgnął po cygaro, które tliło się w popielniczce, po czym powiedział coś na ucho starszemu, siwemu mężczyźnie obok, na co ten wstał i poszedł do drugiej sali.

Po krótkiej chwili mężczyzna wrócił, a za nim szły dwie dziewczyny, które Tony widział na podestach. DJ rozkręcał imprezę, coraz więcej osób tańczyło do szybkiej muzyki, której Tony nie znosił. To był chyba rave. Muzyka dla ćpunów i degeneratów, czyli idealna dla tego miejsca, pomyślał Tony.

Oprócz mężczyzny i dziewczyn przyszła również kobieta, na oko Tony'ego miała około trzydzieści lat. Była „opiekunką”, jak sądził. Tak to się tu nazywało.

Dziewczyny były poddenerwowane, ale wesołe, kobietę coś trapiło. Jakby wyczuwała w powietrzu, że wezwanie to różnie mogło się skończyć.

- Panie Fontane - zwróciła się do wujka, pochylając głowę. - Czy jeszcze pan sobie czegoś życzy? - zapytała.

- Dziękuję, Sophie. Poradzę sobie już - odrzekł, zachęcając dziewczyny gestem dłoni, aby podeszły bliżej.

Sophie ukloniła się ponownie i po chwili wahania poszła w stronę baru. Według Tony'ego dziewczyny nie miały skończonych dwudziestu lat. Jedna była wysoka i miała lekką nadwagę oraz czarne, farbowane włosy, a raczej perukę, druga znacznie niższa o ciemnej skórze i drobnej, szczupłej, elfiej twarzy i kręconych włosach. Miały na sobie tylko kuse spódniczki i staniki z literą R - uformowaną w logo klubu.

- Spójrz na nie, Tony. Czyż nie są piękne? - zapytał wujek, a dziewczyny zaczęły się podśmiechiwać do siebie.

Tony patrzył na nie, a wujek kontynuował, jakby przyjmując za oczywiste, że bratanek zgodził z tym faktem. Wszyscy w loży milczeli, większość paliła i z uśmiechem przyglądała się scenie.

- Jak się nazywacie? - zapytał pan Fontane, wypuszczając dym nosem.

- Ja jestem Mandy - odrzekła wyższa dziewczyna - A to jest Zuri.
- Wskazała na ciemnoskórą.

- A Zuri nie ma języka, że nie może się przedstawić? - zapytał łysy mężczyzna, którego brzuch wyglądał, jakby miał zaraz pęknąć.

Dziewczyna o kręconych włosach spojrzała na stopy. Po chwili wyższa odparła:

- Plemię Zuri odcięło jej język, gdy uznało, że pochodzi z nieczystego poczęcia.

Po krótkiej ciszy odezwał się następny mężczyzna:

- Powinienem tam wysłać swoją starą.

Wszyscy eksplodowali śmiechem. Ich koszule, w większości wypełnione tłustym sadłem, podskakiwały w rytm śmiechu. Nagle wujek wstał i krzyknął:

- Cisza! Zamiast rechotać, durnie, spójrzcie na nie. - Podeszedł do dziewczyn i ujął ich twarze w dłonie, gładząc policzki, i ścierając z twarzy ciemnoskórej dziewczyny łzę. - Zatańczcie dla nas! Pora się trochę rozweselić. - Był ożywiony jak dziecko, które zobaczy za chwilę w cyrku tygrysa skaczącego przez płomienie.

Dziewczyny spojrzały na siebie poddenerwowane, wciąż jednak się uśmiechając.

- No, dalej! - zachęcał je radośnie wujek, energicznie ponaglaając ręką. - Pokażcie, co umiecie. - Uśmiechnął się ciepło, a dziewczyny, widząc to, zaczęły delikatnie ruszać biodrami. Wyższa, ta o imieniu Mandy, uniosła głowę Zuri i posłała jej ciepły uśmiech.

- Tak jest - powiedział wujek. Żarzące się cygaro rozświetlało mu twarz w półmroku. Dziewczyny coraz śmielej tańczyły przed nimi, ruszając krągłymi biodrami. Nagle wujek przerwał kłaśnięciem dłoni, na co te wzdrygnęły się wystraszone.

- Pocałujcie się - powiedział po chwili zastanowienia, przeczesując ręką włosy. Wciąż był podekscytowany.

Dziewczyny spojrzały na siebie i na niego zmieszane.

- No, nie mówcie, że robicie to pierwszy raz - dodał, rozczarowany, rozkładając ręce. - No dalej! - zachęcał, machając rękami, jakby miał coś w powietrzu dłońmi.

Mandy uśmiechnęła się i ujęła twarz Zuri, po czym skierowała swoje usta do jej ust. Niższa odwzajemniła pocałunek, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Tak jest, brawo! Panowie, oklaski! - Wujek zachęcił pozostałych, którzy zaczęli klaskać ochoczo, wydając przy tym sprośne dźwięki.

Tony wciąż tylko przyglądał się wszystkiemu, nie poruszając się przy tym wcale.

- Dziewczyny, spójrzcie. To jest mój bratanek, Tony. Przystojny? - Wujek wskazał na niego palcami, między którymi tliło się cygaro. Dziewczyny zachichotały nieśmiało, kiwając głowami. - Ma dzisiaj urodziny i chce, byście nam potowarzyszyły. - Uśmiechnął się do nich szeroko, odsłaniając białe zęby, pasujące do idealnej białej koszuli, a one odwzajemniły uśmiech, obejmując się.

Tony wyczuwał w powietrzu jakieś dziwne napięcie. Muzyka wciąż grała głośno. Bum, bum, bum. Szklane, grube ściany pomieszczenia jakoś zdołały tłumić dźwięki i Tony przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób.

- Chcielibyśmy was poczęstować tortem i poznać trochę, co wy na to?

Ponownie popatrzyły na siebie.

- Jasne, czemu nie. Bardzo nam miło - odrzekła, uśmiechając się wciąż nieśmiało, dziewczyna w ciemnej peruce.

Wujek usiadł w łoży, a dziewczyny stały, czekając, aż ktoś ustąpi im miejsca, jednak nikt tego nie zrobił, co wprowadziło je w konsternację.

- Na co tak patrzycie? - spytał wujek. Siadajcie. - Ton starszego mężczyzny nie był już tak serdeczny jak przed chwilą. Był stanowczy i zimny. Tony wiedział, że dopiero teraz jego wujek jest sobą. Jest prawdziwym Fontane, z krwi i kości. Dziewczyny po chwili usiadły na podłodze, krzyżując nogi pod sobą. Błat stołu sięgał ponad ich wzrok. Tony zauważył, jak Sophie z oddali obserwuje wszystko, udając, że czyści szklanki przy barze.

- Poczęstujcie się tortem, dziewczyny - rzekł pan Fontane.

- Nie, dziękujemy - odrzekła Mandy.

Zapadła cisza, którą przerywała muzyka z zewnątrz. Ktoś z łoża zakaszał. W pomieszczeniu wentylacja nie radziła sobie z taką ilością dymu. Tony czuł się słabo.

- Widzisz, złotko, problem w tym... - Pan Fontane wstał powoli i skierował się do nich, po czym stanął między obiema. - Problem w tym, że ja nie proszę o to. - Delikatnie chwycił kręcone włosy dziewczyny lewą dłonią, prawą sięgając do tortu, po czym wziął garść masy i cisnął dziewczynie w twarz. Tony zobaczył, jak część ciasta skapuje na piersi i brzuch dziewczyny, a ta odchyła się w odruchu bezwarunkowym w tył i napotyka opór w postaci dłoni jego wujka.

- Widzisz, Tony, jeśli chcesz się utrzymać w tym biznesie - kontynuował pan Fontane, nabierając kolejną porcję tortu i powoli wcierając w twarz dziewczyny - musisz od razu ustalić hierarchię.

Ciemnoskóra dziewczyna próbowała dłońmi bezskutecznie uwolnić się z uchwytu wierzgając przy tym bezładnie nogami. Druga dziewczyna zaczęła łkać, odwracając wzrok. Tony dostrzegł, jak drżą jej usta. Tony patrzył, siedząc w bezruchu, i jedynie mruganie jego oczu było oznaką, że żyje. Ciemnoskóra nie miała twarzy, tylko jasną plamę z ciasta. Tony dostrzegł, jak zaciska pięści.

- Podejź tu - rzekł do niego wujek, a w jego głosie nie usłyszał prośby.

Wstał i podszedł do nich. Czuł na sobie spojrzenia reszty.

- Daj tę samą lekcję tej kurwie. - Powiedziawszy to, wytarł rękę z tortu o włosy dziewczyny, której twarz zniknęła pod jednolitą masą i wrócił do stolika.

Tony spojrzał na przestraszoną dziewczynę, która patrzyła w dół i starała się nie wybuchnąć płaczem.

Pamięta, że nie czuł nic. Ani strachu, ani euforii. Coś targało nim w środku, ale jeżeli miał wątpliwości, były za słabe, by go powstrzymać. Niczym melodia w radiu, ledwie słyszalna pod wodą. Nie prosił o wejście do tego świata, ale czuł, że ten świat prosił o wejście do niego.

Imponował mu szacunek, który był w zasięgu jego ręki dzięki pozycji jego wujka. Mógł być Tonym Fontane. Musiał tylko coś udowodnić. Byłby nietykalny w tej części stanu. Chciał kontynuować tradycję, chciał mieć władzę.

Dlatego właśnie teraz znajdował się pod taflą wody, przez którą widział, jak falowało niebo, a ktoś na brzegu gra melodię. Słyszał tylko jej słabe dźwięki, które były coraz cichsze, podczas gdy jego ciało powoli opadało w dół. Widział promienie słońca przebijające się przez chmury. Woda rozmazywała obraz. Docierały do niego już tylko wybiórcze fragmenty granej melodii. Było coraz ciemniej.

Wziął w dłoń głowę dziewczyny, sięgnął po cygaro z popielniczki i wbił je w jej policzek. Dziewczyna wierzgała nogami, krzycząc z bólu i szarpiąc się. Poczul woń spalonej skóry. Woń, której nigdy nie czuł, a on sam czuł niewiele. Chyba tylko tyle, że melodia ucichła całkowicie. A może to on wszedł głębiej w wodę.

Dziewczyna zemdląła, puścił jej włosy. Z cygara nie unosił się już dym, a na policzku Mandy pozostała głęboka rana. Popatrzył na twarz starszyny. Podobało mu się to, co widzi.

Ten widok był piękniejszy niż jakakolwiek melodia, którą mógł usłyszeć.

ROZDZIAŁ 13

Gdy wszedł do mieszkania, zastała go pusta miska Scarlett.

Ściągnął kurtkę i podszedł do szafki w kuchni. W mieszkaniu panował bałagan. Wyciągnął ulubiony przysmak Scar i wysypał całą zawartość do miski, chociaż nie wiedział po co. Psie ciasteczka w kształcie kostek zapełniły potężną miskę.

Patrzył tak na nią przez dobre pięć minut, po czym włożył kurtkę i czapkę. Wyszedł, zatraskując drzwi.

Było kwadrans po 22.00, padał gęsty śnieg. Eddie pomyślał, że nie pamiętał jeszcze takiej zimy. Jego mieszkanie znajdowało się niedaleko centrum, toteż postanowił przejść się piechotą. Wiedział, że

to nie będzie spacer. Człowiek, spacerując, nie ma przeważnie konkretnego celu podróży. Eddie natomiast potrzebował się dostać w pewne miejsce.

Odpalił cygaro i ruszył przed siebie, zostawiając na śniegu ślady wielkich butów (które musiał zamawiać, gdyż przeważnie sklepy nie posiadały na stanie jego rozmiaru). Dziecko mogłoby pomyśleć, że szedł tędy wielki potwór.

Po prawej stronie znajdował się dom Pani Rose. Eddie lubił tę starszą babkę. Zauważył, że w jej oknie pali się lampka. Zauważył też Migotkę, która tym razem paliła się jednostajnym światłem. Skierował się w boczną alejkę Lane Street i po chwili zauważył w gąszczu padającego śniegu oświetlone szyldy lokali, które swój obrót robiły właśnie w tych godzinach.

W tej części miasteczka w dni weekendowe można było spotkać trochę ludzi. Młodzi próbowali swoich sił, upajając dziewczyny z liceum, a starzy przychodzili wspominać, jak sami kiedyś tego próbowali.

Eddie widział, jak przy sklepie Duckeya pijany nastolatek wymiotuje przytrzymywany przez swojego kumpla, który starał się go dopingować. Eddie nie wiedział jednak, co było celem dopingowania i postanowił nie myśleć o tym dłużej.

Ze względu na posturę Eddiego oraz groźny na pierwszy rzut wygląd wielu ludzi, widząc go, usuwało mu się z drogi, przeważnie spuszczać głowę i przypominając sobie, że jednak szli chodnikiem po drugiej stronie i jakimś cudem zeszli z kursu. Eddie przywykł i nie przeszkadzało mu to wcale. Tej nocy zdawał sobie sprawę, że wygląda jak niedźwiedź w czapce oraz kurtce przykrytej śniegiem. Podrapał się po gęstej, czarnej brodzie i przystanął przed barem. Dawno tu nie był, a w tym czasie lokal został poddany renowacji.

Gdy stał tak, dopalając cygaro i zdając sobie sprawę, że wkrótce nie będzie w stanie zapalić następnego, drzwi baru otworzyły się i wypadł z niego młody mężczyzna szczupłej postury o bujnych, kręconych, ciemnych włosach. Podeszedł, prawie spadając ze

schodków, i spojrzał na Eda. Rozdziawił usta w szerokim zdumieniu i wpatrywał się w niego.

- Siemasz, brachu - powiedział nastolatek, zataczając się i łapiąc z trudem równowagę. - Ale sypie, co?

Eddie popatrzył na niego, ale ten rozglądał się wokół, jakby pierwszy raz widział miasto.

- Masz może papierosa? - zapytał młody, a Eddie z irytacją wspomniał starego człowieka proszącego o ogień.

- Niestety, nie - odrzekł.

Chłopak patrzył na niego, wciąż próbując utrzymać równowagę.

- Ale palisz przecież - bardziej wybełkotał, niż powiedział.

- To cygaro - odpowiedział znudzony rozmową Eddie. Wiedział, że ta do niczego nie prowadzi. - Trzymaj. - Wręczył chłopakowi swój niedopałek, po czym ruszył po schodkach.

- Heeej, dzięki brachu! Jesteś naprawdę *cool*. - Pijany chłopak uniósł cygaro i niezdarnie się zaciągnął, po czym zakaszłał.

Cholerne dzieciaki, pomyślał Eddie, wchodząc przed siebie i nagle usłyszał coś dziwnego:

- Wkrótce porozmawiamy dłużej, brachu. I nie zdoła was już nic ochronić.

Eddie odwrócił się i spojrzał na nastolatka, który chuchał w cygaro i przyglądał się temu z wielką fascynacją.

- Co powiedziałeś? - zapytał Eddie.

Chłopak zignorował jego pytanie lub nie usłyszał. Eddie zszedł po schodach ciężkim krokiem i chwycił chłopaka za bark swoją potężną dłonią. Zacisnął ją i chłopak skrzywił się z bólu.

- Pytam, co powiedziałeś.

- Dzięki, brachu, czy jakoś tak - jęknął. - Stary, to boli. - Chłopak wypuścił cygaro z dłoni i bezskutecznie próbował zdjąć z siebie rękę Eda.

Eddie pomyślał, że może traci już zmysły. Czuł się jak we śnie i zastanawiał się, czy to może szok spowodowany stratą psa. Miał

urojenia? Nie był pewien. Puścił chłopaka, który nadal krzywiąc się z bólu, udał się po schodkach na górę.

Nad drzwiami rozległ się dźwięk dzwonka, gdy Ed przekroczył próg baru. Wewnątrz panował półmrok. Dostrzegł kątem oka lokalne wiadomości w telewizji, w których pokazywano plugi śnieżne na drogach. Przeplatały się z prognozą pogody i wywiadami z obywatelami miasta. Przy barze siedziało kilku stałych bywalców, a przy stolikach kilku młodych, prawdopodobnie kolegów chłopaka, którego Eddie spotkał przy wejściu. Lokal był mały, lecz przytulny. Kilkanaście lamp rzucało leniwą poświatę żółtawego światła, które kontrastowało ze smugą dymu papierosowego. Dzięki Bogu tutaj nie dotarły te głupie restrykcje dotyczące palenia w miejscu publicznym, pomyślał Eddie.

Podszedł do baru, przy którym stały hokery. Z trudem usadowił się na jednym z nich i ściągnął czapkę, otrzepując ją ze śniegu.

- Eddie! - Usłyszał uradowany kobiecy głos i spojrzał w kierunku, z którego dochodził. To była Laura, młodziutka barmanka, która pomagała swojemu ojcu. Poznali się nie tak dawno temu, gdy Eddie robił w barze elektrykę. Wtedy to, porzucając styl życia, który określał w rozmowach jako „niezbyt chlubny” zaczął zajmować się tym, co potrafił. A raczej co pamiętał. Laura rzuciła się na niego, śmiejąc się radośnie.

- Witaj, skarbie. - Eddie uśmiechnął się i odwzajemnił uścisk. Zauważył, że dziewczyna nadal miała tę swoją przypadłość - asymetrię oczu. Pamiętał, jak widział ją pierwszy raz. Miała mieć robioną korekcję, ale widocznie coś poszło nie tak lub zabieg nie doszedł do skutku. Los skarał ją również lekką nadwagą i niezbyt urodziwą twarzą.

- Zimno, prawda? W telewizorze mówią, że padać ma przez cały tydzień i że od stuleci nie było w tym stanie takiej zimy - powiedziała, szczerze zasmucona tym faktem. Po czym, ponownie rozpogodzona, spytała: - Co będzie dla ciebie?

- Coś najmocniejszego - odparł Eddie.

- Hmm, specjalnie dla ciebie otworzę brandy, która zalega już jakiś czas w piwnicy. Chyba czekała na ciebie, Eddie! - odrzekła uradowana i spojrzała na niego.

- Dziękuję, kochanie, będzie dobra. - Uśmiechnął się do niej, po czym dziewczyna zniknęła na zapleczu.

Eddie stukał palcami w blat w oczekiwaniu na balsam, który miał przynieść ulgę świeżej ranie na jego sercu. Zaraz obok tej większej, nadal niezagojonej.

Rozejrzał się raz jeszcze po lokalu i zauważył, że wśród grupki młodzieży siedzi jakiś mężczyzna w średnim wieku, który w ogóle do nich nie pasuje. Nauczyciel? Eddie wątpił, bo niby co miałyby tam robić z nimi. Mężczyzna siedział tylko i nie odzywał się do nich w ogóle, a oni również go ignorowali.

Eddie podrapał się po brodzie. Rozpoznał również młodego Ivana, syna rosyjskiego przedsiębiorcy, który jako jedyny w tym stanie prowadził swoje legalne i (przede wszystkim) nielegalne interesy. Eddie pamiętał starego Andreja Bizkovicha z czasów, gdy sam działał w podziemiu.

Z tego, co słyszał, młody w przeciwieństwie do swojego starego lubił rzucać się w oczy. Mimo że ledwo ukończył dwadzieścia lat, zdążył już skompletować swój mały gang, który terroryzował okolicznych przedsiębiorców. Ploty musiały być prawdziwe, gdyż Eddie od razu zauważył, jak ten ostentacyjnie zachowuje się wśród reszty, pozostając w centrum uwagi.

- Wszystko przez to pieprzone globalne ocieplenie. - Eddie spojrzał na faceta obok niego. O ile się nie mylił, był to Wilkins, posterunkowy. Zbliżał się już do emerytury, a kiedyś dane im było spotkać się w mniej przyjemnych okolicznościach. Chociaż było to dawno temu, Eddie nie wątpił, że Wilkins go kojarzył. Był wręcz pewien. Gliniarze mają doskonałą pamięć do twarzy. Tego był pewien jeszcze bardziej.

- Taa - odrzekł Eddie, nie mając pojęcia, o czym ten mówi.

- Samochody, spaliny, smog, cholerne autobusy szkolne. - Policjant uniósł piwo na wysokość oczu. - Powiadam ci, przyjacielu, matka natura w końcu się wkurwi. A to jej pierwsze ostrzeżenie. - Mężczyzna wskazał kuflem telewizor, po czym pociągnął spory łyk swojego piwa, a Eddie zastanawiał się, co ten miał do autobusów szkolnych, że znalazły się na jego czarnej liście. - Wiesz, co jest w tym wszystkim jednak dziwne? - zapytał Wilkins.

- Nie - odrzekł Eddie.

- Że to w Tensas są najgorsze warunki pogodowe. Podczas gdy my możemy lepić już pieprzone igloo, Teksasńczycy nadal gryzą słomki, otrząsając kurz ze swoich kapelusików.

Eddie nie wiedział, czy ten nie przesadza, i zanotował, że oprócz autobusów stary posterunkowy nie lubił także Teksasńczyków. Przestało go to wszystko obchodzić, gdy usłyszał stuknięcie szklanki o mahoniowy blat.

Odgłos nalewanej brandy był najprzyjemniejszym dźwiękiem w tym dniu.

- Proszę, Eddie! - Laura, dumna z siebie, uśmiechała się do niego zza lady. - Gdybyś czegoś potrzebował, daj znać.

Eddie wyciągnął plik banknotów i położył na blacie, po czym przechylił szklankę i jednym haustem opróżnił całą jej zawartość.

- Lej do pełna, ilekroć zobaczysz ją pustą, tylko tyle - powiedział, po czym przesunął w jej stronę banknoty.

- Eddie, te pieniądze starczyłyby na kilka butelek - zaśmiała się niepewnie Laura.

- Wiem. Rób, co mówię, kochanie.

Laura popatrzyła przez chwilę skonsternowana, jednak zaraz znowu się roześmiała, mówiąc tylko: „oczywiście”.

Nagle między Eddiego a Wilkinsa wpadł ktoś, prawie wytrącając temu drugiemu kufel z ręki.

- Ślicznotko, czekamy już bardzo długo, aż do nas łaskawie podejdziesz. Ale jeżeli to jakiś problem, będziemy czekać dłużej. W końcu to twój lokal, prawda?

Z tyłu dobiegał głośny śmiech. Eddie nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że to właśnie Ivan w całej swojej krasie.

Kątem oka dostrzegł złoty zegarek na jego szczupłej ręce oraz sygnet na palcu.

- Proszę mi wybaczyć, już idę - rzekła wystraszona Laura.

- Nie śpiesz się, maleńka - powiedział spokojnym głosem Ivan.

Laura w pośpiechu wyszła zza lady i poszła do stolika, z którego nadal słychać było śmiech.

Cała trójka przez chwilę się nie odzywała, po czym ciszę przerwał Ivan, zwracając się do Eddiego:

- Zdaje się, że zdążyłeś się poznać z moim kolegą przy schodach - powiedział, patrząc na Eddiego, który właśnie upijał łyk ze swojej szklanki. Po chwili dodał wolno: - Zdaje się również, że nie było to zbyt przyjemne powitanie, sir.

- Ivan - wtrącił się Wilkins. - Pijemy sobie tylko i nie szukamy problemów - powiedział, na co Ivan odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

- Czasami problemy szukają innych - odrzekł i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Wilkins jako pierwszy odwrócił wzrok, a Ivan wrócił do stolika, chwiejąc się lekko.

Eddie patrzył w pustą szklankę, po czym uniósł butelkę i nalał sobie kolejkę, nie czekając na Laurę.

- Te dzieciaki to nowotwór tego miasta - powiedział Wilkins. - Uważaj na tego młodego.

Z tyłu znowu dobiegł głośny ryk śmiechu i dźwięk stłuczonego szkła. Po chwili Laura weszła za bar, a jej radość zastąpiła mina smutku i rozgoryczenia. Nalewała do kufla piwo i patrzyła w dół. Ramieniem przetarła policzek.

Eddie zerknął za siebie. Czuł, jak alkohol rozchodzi się po jego ciele, czuł tę błogą lekkość. Czuł też, że jeśli nie opuści tego lokalu w tym momencie, to wieczór nie skończy się spokojnie. Tylko Megan potrafiła go trzymać w ryzach, tylko ona umiała poskromić jego agresję i lęk. Alkohol wpływał u niego na obie te cechy. Pierwszą

maksymalizował, drugą zaś redukował, co często było fatalne w skutkach.

Zobaczył, jak młodzi zerkają na Laurę i zataczają się ze śmiechu. Wszyscy byli już mocno pijani. Dostrzegł też Ivana i przyjrzał się mu bliżej. Był szczupły, z irokezem na głowie, wyglądał jak wokalista punkrockowej kapeli. Na szyi zawieszony miał złoty łańcuch z krzyżem. Wąskie oczy i pociągła twarz sprawiały, że do złudzenia przypominał swojego ojca. Myślał, że może ten młody gangster będzie oryginalny i nie zaczerpnie stylu z filmów, ale znowu się pomylił. Spotkał już wielu młodych przestępców, ale każdy z nich popełniał ten sam błąd. Wszyscy oni za bardzo rzucali się w oczy.

Było tam czterech chłopaków i dwie dziewczyny. Żadne z nich nie skończyło dwudziestu pięciu lat. Nie dostrzegł natomiast starszego faceta, który z nimi był. Może już poszedł, a może była to kolejna halucynacja.

Laura zaniosiła młodym piwo i wróciła za bar. Gdy Eddie kończył opróżniać trzecią szklankę swojego trunku, kątem oka przy szafie grającej zauważył mężczyznę, który chwilę wcześniej siedział z Ivanem i resztą. Wrzucił właśnie monetę i po chwili w barze rozległ się cichy dźwięk ballady Johnny'ego Casha - *She Used To Love Me A Lot*. Był to kawałek jego i Megan.

Ed zamknął oczy, świat zawirował. Dlaczego ze wszystkich piosenek ten gość musiał wybrać właśnie tę. Niech go diabli. Eddie nalał kolejną szklankę i zauważył, że w butelce została już tylko połowa brandy. Uczucie smutku i nostalgii zastąpił gniew. Sięgnął po cygaro i zorientował się, że jego ręka jest cięższa. Spojrzał w kierunku szafy grającej, ale mężczyzna gdzieś zniknął.

Gdy Laura czyściła kufle, Ivan podszedł do baru i znów głośno uderzył dłońmi o blat. Eddie czuł coraz większy gniew.

- Kochanie, zatańczysz ze mną? Błagam, jesteś najpiękniejszą kobietą jaką widziałem.

Laura uniosła wzrok i popatrzyła na niego.

- Najpiękniejszą, jaką widziałem w ciągu tych pięciu sekund.

Z tyłu rozległ się ryk śmiechu. Laura zacisnęła usta i Eddie wiedział, że nie ze złości, tylko by nie wybuchnąć płaczem.

- Na co się tak, kurwa, gapisz? Nalej mi jeszcze piwa. Albo może od razu dwa, będzie ci łatwiej.

Piosenkę ponownie zagłuszyły salwy śmiechu. Tym razem Ivan śmiał się najgłośniej.

- Niech będzie jedno dla mnie i jedno dla mojego nowego kolegi.

- Ivan spojrzał na Eddiego.

- Nie jestem twoim kolegą - powiedział ten, patrząc wciąż na szklanekę ze złotym płynem. Powiedział to cicho, jednak dostatecznie głośno, by Ivan go usłyszał.

- Słucham? - zapytał chłopak, unosząc rękę, na co momentalnie z tyłu wstała reszta. W barze zapanowała cisza, kawałek Johnny'ego także dobiegł już końca.

- Jesteś głuchy? - Eddie dopił brandy i pierwszy raz popatrzył na Ivana, przy którym stanęli koledzy. Jeden z lewej, drugi z prawej strony. Dziewczyna Ivana wciąż siedziała na swoim miejscu.

- Jestem...- zaczął Ivan, na co wtrącił się Eddie: - Wiem, kim jesteś. Jesteś jednym z wielu, którzy wykorzystują swoją przewagę, dręcząc słabszych. A więc jesteś głównie frajerem, który nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy. Jednak teraz, kimkolwiek byś nie był, wszedłeś na moje terytorium. A ja mam kurewsko zły dzień, więc masz kilka sekund, żeby stąd wypierdalać. Ty i twoi koledzy.

Ivan stał, patrząc w ciemne oczy Eddiego. Wyglądał, jakby zobaczył śnieg w sierpniu. Eddie czuł, że nikt jeszcze nie odezwał się do młodego w ten sposób i ten był skonsternowany.

- Hej, Iv. Kojarzę tego gościa - odezwał się jeden z goryli Ivana, który musiał być najstarszym z nich i był najlepiej zbudowany. Jego akcent i rysy wskazywały na korzenie meksykańskie. Eddie wiedział, że to on musi być wyeliminowany jako pierwszy. Stara zasada bitwy ulicznej. -Ty jesteś Edward Waller. Słyszałem o tobie. Tobie i tym drugim, jak mu było... - Myślał chwilę, po czym skierował wzrok na Ivana. - Ivy, odpuść. Tym razem nie warto.

- Czy wy, kurwa, postradaliście rozum?! - ryknął ten w stronę swoich kolegów, którzy momentalnie spuścili głowy. - Chuj mnie obchodzi, kim on jest, rozumiecie? Znieważył mnie i ma za to zapłacić albo sam wam ukręcę łby - krzyczał w szale, a strużki śliny leciały z jego ust na wszystkie strony.

Ivan szybkim ruchem wyciągnął nóż zza pleców i podszedł do Eddiego, po czym przyłożył mu go do gardła.

- Zginiesz, wiesz o tym? - wysyczał Ivan, a z jego oczu wylewała się nienawiść.

Eddie pomimo noża przy gardle odwrócił głowę w stronę butelki i nalał sobie kolejkę. Zauważył, że Wilkinsa nie było. Został tu sam, nie licząc Laury, która stała sparaliżowana za barem.

Przypomniawszy sobie stare czasy. W takich sytuacjach nie czuł strachu, zachowywał zimną krew, która wyciągnęła go z niejednej sytuacji bez wyjścia.

- Mam propozycję. Z nożem każdy jest mocny, a ty chyba masz większe ambicje, co? - powiedział, czując na szyi zimno stali.

- Słucham cię więc, tylko szybko, bo kurwa, nie mam za wiele czasu, zanim ta cipa za barem zadzwoni na policję i ją też będę musiał zaszlachtować - odrzekł Ivan, rzucając spojrzenie wystraszonej Laurze.

- Zrobmy tak. Was trzech na mnie. Powinniście dać radę bez noża, co?

Ivan drżał z nerwów. To kolejny problem młodych, pomyślał Eddie. Są zbyt emocjonalni i to także ich gubi.

- Dobra! - krzyknął nagle Ivan, szybkim ruchem chowając nóż za pasem. - Zrobimy inaczej. - Popatrzył w stronę największego kolegi. - Paco, ty się tym zajmiesz. Płacę ci, więc rób, co do ciebie należy. Ten frajer ma już nie wstać z podłogi, rozumiesz?

Paco pokiwał głową.

- Jasne, szefie. - Po czym ściągnął kurtkę i wyszedł na środek baru.

Eddie odpalił cygaro, zaciągnął się i ustawił je w popielniczce. Siwy dym ulatywał leniwie w górę, a Eddie wstał z hokera.

Paco był wysokim, umięśnionym chłopakiem, ale gdy Eddie wstał, ogarnęło go przerażenie. Dopiero teraz wszyscy zobaczyli, z kim musieli się zmierzyć. Ed był od niego wyższy o dwie głowy i szerszy o co najmniej ramię.

- Zaczynamy, drogie panie - powiedział Eddie, po czym Paco od razu rzucił się z pięściami.

Eddie nie zareagował, pięść Meksykanina z całym impetem wylądowała na twarzy Eddiego, a kolejne dwa ciosy otrzymał w tułów. Wyglądało to, jakby Paco uderzał w worek treningowy, tylko że worki treningowe chwieją się od uderzeń. Eddie stał jak ściana.

- Co ty robisz, kurwa! Bijesz jak moja jebana siostra! - krzyknął Ivan i wybuchnął śmiechem.

Eddie potarł policzek i poruszał szczęką, po czym ponownie odsłonił się cały. Paco zadał dwa ciosy, ale Eddie wiedział, że ten nie bił się zbyt często, gdyż uderzenia technicznie były słabe, a Eddie pragnął ich, działały lepiej niż brandy. Uśmiechnął się, co zdezorientowało Paco, jednak zaatakował ponownie. Tym razem jedno niskie kopnięcie wylądowało na udzie Eddiego, kolejny cios pięścią dosięgnął brzucha, a następny przepony. Paco włożył w te uderzenia całą swoją siłę i już tracił oddech, toteż cofnął się i dysząc lekko, oparł ręce na kolanach.

- Paco, kurwa, wracaj tam i dokończ to! - Ivan wziął kufel i z nerwów rozbił go o podłogę. - Ty jebany frajerze, za co ci, kurwa, płacę?!

Z wargi Eda popłynęła strużka krwi. Musiał rozciąć ją sygnet chłopaka. Otarł ją dłonią. Wiedział, że jutro odczuje wszystkie te uderzenia, może nawet jeszcze dzisiaj, jednak w tym momencie czuł się niezniszczalny.

Paco zaatakował po raz kolejny, mierząc w szczękę Eddiego, jednak ten błyskawicznie zrobił unik i z gracją boksera wyprowadził

hakiem cios prosto w żebra Paco, który momentalnie osunął się na kolana i zgiął się w pół.

- Wstawaj - powiedział Eddie, jakby mieli wykonać jakąś ważną pracę, po czym podszedł do baru i zaciągnął się cygarem.

Paco podniósł się powoli z podłogi i wciąż zgięty w pół, trzymał się ręką w miejscu, gdzie dosięgnął go potężny cios Eddiego. Ten zaś podszedł do niego i stanął naprzeciw. Ciemne włosy Meksykanina opadały na jego spocone czoło. Paco dyszał i ciężko mu było złapać oddech. Zamachnął się ręką w stronę Eddiego, ale ten od razu chwycił ją w przegubie i skontrolował drugą, uderzając pięścią prosto w nos chłopaka, który runął na ziemię.

Wtem stało się to, co Eddie przeczuwał. Cała reszta bandy pognała w jego stronę. Ed błyskawicznie wymierzył proste uderzenie w twarz najbliższego. Okazał się nim chłopak, którego spotkał przed wejściem. Cios był celny i jego twarz zalała się krwią. Chłopak upadł na podłogę, trzymając się za nos. Eddie, nie zwlekając, wycofał się krok w tył, ledwo unikając następnego uderzenia.

Miał jeszcze trzech, jednego przed sobą, podobnego do Meksykanina chłopaka z lekką nadwagą, po prawej chłopaka, którego nie zauważył wcześniej i Ivana za nimi. Rzucili się na niego, Eddie w mgnieniu oka uskoczył w tył i chwycił pierwszego z brzegu za gardło, po czym przysunął szybkim ruchem do siebie, uderzając w twarz łokciem trzykrotnie. Gdy go puścił, chłopak padł na ziemię jak kłoda.

Kolejny patrzył na niego niepewnie i gdy Eddie do niego podchodził, poczuł nagle, że traci grunt pod nogami, a w jego głowie rozbłysło światło, po czym upadł na kolano. Ból był ogromny i wtem zrozumiał, że ktoś ogłuszył go z tyłu. Odwrócił się. To była dziewczyna z grupki Ivana, która trzymała w ręce butelkę. A raczej to, co z niej zostało. Kolejny błysk pojawił się nagle, chłopak przed nim wymierzył cios kolanem prosto w jego szczękę. Eddie upadł na podłogę.

- Zostawcie go!! - krzyczała Laura. - Dzwonię po policję!

- Spróbuj, dziwko, a wydłubię ci tym nożem twoje piękne oczka. - Ivan przyłożył nóż do swojego policzka, po czym roześmiał się gromko. - I co, Goliat. Jednak jest na ciebie sposób. - Pokazał w stronę dziewczyny, która chwiała się na nogach z szyjką od butelki w jednej ręce i z papierosem w drugiej. - Moja dziewczynka! Ivan posłał jej całusa, a ta zwymiotowała na podłogę.

- Nieważne, skarbie. - Machnął ręką. - Kończymy z nim.

Gdy tylko Ivan dokończył zdanie, wykonując krok w stronę Eddiego, poczuł, jak ktoś klepie go po ramieniu.

- Przepraszam...

Ivan odwrócił się i w tej chwili potężny ból eksplodował w jego brzuchu. Zgiął się w pół. Ktoś objął jego szyję ramieniem i trzymał go, nie pozwalając mu się wyprostować. Ivan nie widział kto, widział tylko podłogę i nie mógł złapać oddechu. Zamachnął się nożem na oślepa, ale ręka człowieka, który go dusił, od razu przechwyciła jego ramię i poczuł, jak kciuk wbija się mu w przegub ręki. W barze rozległ się dźwięk upadającego noża.

- Zostaw mnie... kurwa... wiesz, kim... wiesz, kim jestem? - próbował wydusić z siebie Ivan, jednak dopływ tlenu zmniejszył się coraz szybciej. Nagle poczuł kolejną eksplozję bólu w brzuchu. To było kopnięcie kolanem w miejsce, w które przed chwilą dostał z pięści. Ivan osunął się na ziemię, a z jego ust popłynęła krew. Kolejne uderzenie, którego Ivan już nie dostrzegł, spowodowało, że stracił przytomność.

Wszystko później potoczyło się bardzo szybko. Eddie widział jak przez mgłę, jak ktoś masakruje ostatniego chłopaka z grupki. Zamknął oczy, a świat wściekle wirował w jego głowie. Widział ciemność i setki małych, jasnych kropeczek. Pomyślał, że umiera, a przynajmniej taką miał nadzieję, po czym usłyszał znajomy głos.

- Ty tępy skurwysynu, musiałeś, co? Wstawaj.

Eddie podniósł rękę i chwycił dłoń. Podniósł się powoli, deski lokalu zaskrzypiały. Pisk w uchu ustępował i powoli odzyskiwał świadomość. Poczuł lepką krew za kołnierzem podkoszulki. Dotknął

tego miejsca i zobaczył na palcach krew zmieszana z ciemnym płynem.

- Zmarnowali taką brandy - powiedział Ed i popatrzył na Stephena. - Kurwa. - Zmierzył go wzrokiem powoli, mrużąc oczy. - Mogłeś chociaż przebrać się z piżamy.

- A ty mogłeś mnie posłuchać, chociaż raz. - Stephen obrócił się w stronę Laury. - Zadzwoń na policję, dasz radę? - Laura skinęła nerwowo głową i chwyciła słuchawkę, po czym zaczęła wybierać numer.

- Nie możemy jej tutaj zostawić, Steve. Mogą się jej dobrać do dupy.

- Jutro nad tym pomyślimy. - Odwrócił się w stronę Laury. - Jak tylko przyjedzie policja, jedź do domu. Jutro przyjedziemy do ciebie, a póki co zamknij lokal do odwołania, rozumiesz?

- Tak, proszę pana. - Laura nerwowo pokiwała głową.

- I najważniejsze. Powiedz, że nie wiesz, kogo tu widziałaś. Nikogo nie znasz ani nigdy nie widziałaś, rozumiesz? Nie potrafisz też opisać sprawców, byłaś w szoku.

- Tak, proszę pana - odrzekła Laura, trzymając telefon przy uchu. - Eddie!

Eddie popatrzył na nią okiem, które nie zdążyło jeszcze napuchnąć.

- Dziękuję. - Laura się rozplakała, a Eddie pokiwał głową.

- Idziemy stąd. - Stephen wziął pod ramię przyjaciela i z trudem wyprowadził na zewnątrz. Opady śniegu przybrały na sile, wiatr był mroźny.

- Poczekaj tu chwilę - powiedział Stephen, po czym wrócił do baru.

Eddie usiadł na oblodzonych schodach i popatrzył w niebo, mrużąc oczy przed wiatrem. Czuł na karku mokrą brandy, która była lodowata, ilekroć wiatr uderzał w to miejsce. To uczucie łagodziło jego ból głowy.

- Co ja narobiłem, Megan - powiedział cicho w stronę ledwo widocznych gwiazd.

Ulice były puste, dachy sklepów uginały się pod ciężarem śniegu. Tylko w oddali migają pomarańczowe światła ostrzegawcze pługów śnieżnych. Eddie popatrzył w lewo. Dostrzegł latarnię morską. Skąd, do cholery, ona się tu wzięła, pomyślał. Jednak szybko zorientował się, że to była Migotka. Migotała tak szybko, jakby rozpaczliwie chciała przed czymś ostrzec. Eddie usłyszał dźwięk dzwonka.

- Chodźmy, szybko, zanim wstaną - powiedział Stephen, po czym narzucił Eddiemu jego płaszcz i naciągnął czapkę na głowę.

Była 02.23 nad ranem.

• • •

Wiatr się uspokoił, opady śniegu straciły na intensywności, choć nie ustały całkowicie. Śnieg chrupał pod nogami Stephena i Eddiego, gdy zmierzali w kierunku Lane Street. Z każdym krokiem Eddie trzeźwiał i uświadamiał sobie, jak wielki błąd popełnił. Czuł wyrzuty sumienia wobec Steve'a, gdyż na tym świecie tylko on i jego rodzina mieli dla Eddiego jeszcze jakieś znaczenie. Tylko dzięki nim chciało mu się żyć. A teraz ich zawiódł. Toteż szli przed siebie, nie odzywając się w ogóle.

Eddie nie widział już na jedno oko, a ból w głowie pulsował stałym rytmem.

- Przepraszam, Steve. Znowu nawaliłem. Nie mogę sobie z tym poradzić - powiedział Eddie, kulejąc, po czym wyrzucił z siebie: - Po co tam wchodziłeś, teraz będą szukać nas obu. Mogliby mnie zabić i byłby spokój. Jestem pieprzonym zerem. - Mówiąc to, otarł nos.

Szli w ciszy i Eddie dostrzegł, że Stephen jest zamyślony.

- Pamiętasz tego dzieciaka w szkole, jak mu było...

Eddie nie wiedział którego, szedł dalej.

- Super. - Stephen pokiwał głową na potwierdzenie. Szedł wolno, by dotrzymać kroku osłabionemu przyjacielowi - Tak, Super. Pamiętam to jak dzisiaj. Czasy, w których jointy palili nawet nauczyciele w kiblach. Pamiętasz, jak się poznaliśmy?

- Jak przez mgłę - odrzekł po chwili namysłu Eddie.

- Ja pamiętam to bardzo dobrze - powiedział Stephen i zamyślił się na chwilę. - Nie byłeś wtedy jeszcze tak duży, chociaż wyróżniałeś się już z tłumu. Pamiętam, że wszyscy mieli swoje kliki. Każdy jeden należał do jakiejś grupy, tylko nie my. Mijałem cię na korytarzu setki razy. Ja byłem niedożywionym chudzielcem z patologicznej rodziny, a ty przerośniętym dziwakiem, chodzącym w jednych spodniach. Byliśmy do siebie podobni, chociaż tak różni. Pod koniec drugiej klasy ogólniaka regularnie dostawałem baty od Supła i jego ekipy. Wymyślałem najróżniejsze powody, by nie iść do szkoły, ale moi rodzice mieli to w dupie. Nawet jeśli te powody były prawdziwe, miałem opuszczać dom, żeby oni mogli w spokoju opróżnić butelki. Popadłem przez to w depresję, a rankiem moje łóżko było mokre od łez i moczu. Nie wiem, czy był to wynik stresu czy uszkodzonego przewodu moczowego, ale nie przyznawałem się nikomu. Pamiętasz, dlaczego kolesia nazywali Supeł?

Eddie pamiętał bardzo dobrze.

- Lubił dusić ludzi - powiedział.

- Żeby tylko ludzi. Jego brat przyznał się, że gdy gnojek skończył dwanaście lat, dostał na urodziny kota. Po kilku dniach zwierzak był już przywiązany do rogu łóżka nylonową linką od roweru. Skurwiel zacisnął pętlę na jego szyi, a gdy ten chciał się uwolnić, linka zaciskała się coraz mocniej i kot się udusił. Było to dla niego na tyle normalne, że nie odwiązał zwierzaka jeszcze przez kilka dni. Po tym fakcie nawet jego starszy brat się go bał. Gdy ta informacja rozeszła się po szkole, młody znalazł sobie kilku takich jak on i zaczął doskonalić rzemiosło.

- Zupełnie jak Ivan - skostatował Eddie.

- Tylko że Ivan jest mocny, bo ma za sobą starego. Supeł był szalony na tyle, że nie potrzebował niczyjego wsparcia, aby siać terror.

Po drodze minął ich jedyny pojazd na całej Lane Street - był to pług śnieżny. Eddie odchrząknął i splunął krwią na śnieg.

- Supeł obrał sobie kilka ofiar, wyszukując te najbardziej bezbronne, więc szybko znalazłem się na jego liście - kontynuował Stephen. - Jego ulubieńców można było poznać po cienkim śladzie linki na szyi. Pewnego wieczora kończyliśmy lekcje wyjątkowo późno, pogoda była podobna do tej teraz, za oknem było ciemno. Pamiętam, jak wpatrywałem się w przystanek, na którym ludzie wsiadali do autobusów. Patrzyłem tam prawie przez całą lekcję, czując jak ten młody psychopata obserwuje mnie z kolegami. Słyszałem ich śmiech i wiedziałem, że mam kłopoty. Pamiętam, że siedziałeś wtedy w pierwszym rzędzie. Tę lekcję prowadziła nasza wychowawczyni. Pamiętasz ją?

- Tak. Pani Wyars. Albo Wyers? - odrzekł Eddie.

- Chyba Wyers. W każdym razie postanowiłem, że spróbuję po lekcji pogadać z nią na tyle długo, żeby tamci sobie gdzieś poszli. Oczywiście nie poszli, czekali cierpliwie, jednak z tego całego wieczora pamiętam głównie dwie rzeczy. Zadałem jej pytanie, bardzo proste, jak wtedy myślałem; dlaczego jedni ludzie są dobrzy, a inni źli. Wiesz co mi odpowiedziała?

Eddie milczał.

- A dlaczego jedne jabłka są robaczywe, a inne nie, Steve? - spytała, pakując notatki do torby.

- Bo na niektóre rzeczy nie mamy wpływu? - odrzekł po chwili namysłu.

- Nie, Steve. - Spojrzała na mnie i rzeczowo stwierdziła: - Po prostu tych jabłek nikt nie odrobaczał.

Zapadła cisza, jakby trawili te słowa w umyśle.

- Robaczywe jabłka. To porównanie było trafne, Ed, bo u tego małego gnojka robaki musiały wychodzić z każdej strony. Gdy wyszedłem z sali, widziałem cię przy szafkach, zmieniałeś buty. Tamci czekali na mnie przy wyjściu i do dzisiaj nie wiem, dlaczego ty miałeś spokój. Zazdrościłem ci tego. Potem pamiętam głównie kilka rzeczy; zapach butów wymieszany z plastikową torbą, brak tlenu, opętańczy śmiech, głuchy trzask i krew na swoich palcach, gdy ściągałem tę

torbę z głowy. To była torba na buty Supła. Pamiętam, jak łapałem oddech, nie wiedząc jeszcze, co się dzieje. Kątem oka dostrzegłem osłupiałą panią Wyers. Roztrzaskałeś krzesło na głowie Supła i pobiłeś go prawie na śmierć, pamiętasz?

Eddie milczał.

- Dlaczego to wtedy zrobiłeś? Miałeś spokój, mogłeś skończyć szkołę i uniknąć tych całych konsekwencji, które cię czekały. Mimo to stanąłeś w mojej obronie, Ed. Ten wieczór zmienił całe moje życie. Tak jak i twoje. Pamiętam nieprzytomnego Supła w kałuży krwi, a potem twój wzrok. To samo spojrzenie, które dzisiaj widzę, Ed. Uratowałeś mnie. Więc nie waż się nigdy mówić, że jesteś zerem, rozumiesz? - Steve wziął jego głowę w dłonie i zmusił do spojrzenia w oczy. - Pytam, Ed.

- Rozumiem - powiedział Eddie i wyglądało to, jakby ojciec upominał przerośnięte dziecko.

- Wtedy sami wpuściliśmy robaki w nasz krwiobieg, Steve.

- Wiem, Ed, ale nie cofniemy czasu. Możemy tylko naprawić to, co zdołamy. A teraz posłuchaj i nie chcę słyszeć sprzeciwu. Jedziemy do mnie, przenocujesz tam, a rano pomyślimy nad kolejnym ruchem.

Eddie się nie sprzeciwił, wiedział, że nawet gdyby mieli się tu pobić, Stephen zawlecze go do samochodu.

Dotarli do auta i odjechali, a ich auto było jedynym, które tej nocy przecinało ulice Tensas.

ROZDZIAŁ 14

W przeciwieństwie do schludnego i czystego ubioru chłopaka, samochód w środku przypominał nie do końca opróżniony kontener na śmieci.

Właściciel musiał być fanem fantastyki, gdyż wszystkie te bezużyteczne i użyteczne jeszcze przedmioty miały z nią związek. Puszki z podobiznami bohaterów *Władcy Pierścieni*, drzewko zapachowe z *Gwiezdných Wojen* i koszulka z postacią, której nie

kojarzyła, ale z pewnością nie była ona realna, utwierdziła ją mocno w tym przekonaniu.

- Wsiadasz?

Pytanie wyrwało ją z zamyślenia.

- Tak, zastanawiam się tylko na którą plamę, tę po kawie czy może tę po piwie.

- Czy zawsze zaraz po tym, jak poprosisz o pomoc, zaczynasz tę osobę krytykować?

- Dobra, już dobra - westchnęła i usiadła na zakurzonej fotelu, który sądząc po zapachu i kolorze, służył zapewne również do przewozu cementu i piasku. Zamknęła drzwi, ale zbyt słabo, więc poprawiła raz jeszcze. Tym razem zawiasy weszły poprawnie.

- Zapytam tylko tak kontrolnie... - zaczęła Sam.

- ...Tak, to jedyne auto, jakie posiadam - odpowiedział chłopak, uprzedzając pytanie. - A tak w ogóle nazywam się Rob. - Pociągnął łyk kawy.

- Samantha. Potrzebuję broni - dodała spokojnie, jakby to było coś oczywistego. Słyszając to, Rob zakrztusił się kawą.

- Słucham?

Samantha patrzyła na wchodzących do kawiarni ludzi.

- Ciepło tu - stwierdziła nagle i zdjęła kurtkę.

- Czy możesz powtórzyć, bo nie jestem pewny, czy aby dobrze słyszałem.

- Ciepło tu. - Popatrzyła na niego i dodała: - Potrzebuję broni.

- Właśnie. Oczywiście, broń. Poczekaj, miałem tu kilka sztuk. - Zaczął szukać w schowku po stronie kierowcy. - Gdzie one się podziały? - Podrapał się w głowę.

Sam patrzyła na niego bez wyrazu.

- Skończyłeś?

- Tak, ale widzę, że ty się rozkręcasz.

- Posłuchaj ... - zaczęła powoli. Zapomniała, że niektórym jeszcze zależy na swoim życiu, w przeciwieństwie do niej. - Będę szczerą. Jesteś jedyną osobą na tej planecie, która mi została, co jest dziwne,

biorąc pod uwagę fakt, że znamy się jakiś kwadrans. Nie musisz mi pomagać, ale zapłacę ci ekstra. Obiecuję, że nie wciągnę cię w nic poważnego. Połowę pieniędzy dam ci przed moją pierwszą sprawą do załatwienia. Dobrze?

Rob myślał przez dłuższą chwilę i Samantha była pewna, że nic z tego nie będzie. Na co liczyła? Że obcy chłopak będzie jej szoferem, a w dodatku partnerem w zbrodni? Już zaczęła wkładać z powrotem kurtkę, gdy usłyszała jego głos:

- Dobra. Ale wezmę te pieniądze od razu, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Jasne. - Samantha wyciągnęła z torebki portfel i przeliczyła plik banknotów, po czym wręczyła mu równe tysiąc dolarów.

- Znam jednego gościa, który może mieć doświadczenie do broni - powiedział Rob, wsuwając pieniądze do schowka. Wpierw jednak też muszę załatwić pewną sprawę.

- W porządku. Tak naprawdę ze swoją sprawą muszę poczekać do wieczora. Gdy ją załatwię i wszystko pójdzie dobrze, pojedziemy w miejsce, na które wskazują współrzędne.

- A jeśli nie pójdzie dobrze?

Samantha patrzyła na dziewczynkę, która dostała kulka śnieżną w twarz, zapewne od brata, i płakała w niebogłose.

- Wtedy weźmiesz moje pieniądze i pójdziesz w swoją stronę.

Zaparkowali na małym podjeździe, dwadzieścia minut drogi od kawiarni. Przez ten czas Rob zdążył zadać ponad dwadzieścia pytań i sam sobie odpowiedzieć na większość z nich. Połowa z tych pytań dotyczyła filmów, o których Samantha nie miała pojęcia. Nie interesowała jej fantastyka ani kinematografia sama w sobie, toteż kiwała tylko głową, myśląc o tym, co ją czeka.

Słońce wciąż roztopiało śnieg, a Sam czuła mdłości. Wysiedli przed małym, szeregowym budynkiem, który czasy świetności miał dawno za sobą.

- Co tutaj jest? - spytała Sam.

- Jesteś blada. Wszystko dobrze?

- Tak, nie musisz się mną przejmować. Co tutaj masz do załatwienia?

- To moje mieszkanie. Chodź.

Zeszli małymi schodkami w dół, po czym Rob otworzył drzwi. Sam zorientowała się, że to musiała być piwnica. W jej nozdrza uderzył potężny odór, jednak nie potrafiła określić czego. Zapach uryny i suszonych liści to pierwsze, co przyszło jej na myśl. Mdłości przybrały na sile i teraz ledwo się powstrzymywała przed wymiotowaniem.

Hol był mały i ciemny, zakładała, że mieszkanie również takie będzie. Chociaż nie była pewna, czy nie trafiła na psychopatę i jej żywot nie dokona się w tym miejscu. To byłoby komiczne - poprosić przypadkową osobę o pomoc i trafić na świra.

Od dawna nie była w tak obskurnym miejscu. Przypomniało się jej dzieciństwo. Nad wejściem dostrzegła zawieszony mały, drewniany krzyż z umęczonym Jezusem. W holu zapalonych było kilka świeczek zapachowych, jednak woń palonego wosku nie była dość silna, by zabić smród.

Gdy przeszli przez drzwi holu, odór przybrał jeszcze bardziej na sile. Sam zauważyła, że nad wejściem do każdego pomieszczenia wisiał drewniany krzyż. Po paru krokach weszli do kuchni, w rogu której siedział młody, nagi chłopak ze świeczką. W kuchni, tak jak w całym mieszkaniu, panował półmrok, blask świeczki rzucał światło na połowę twarzy chłopaka, który tylko patrzył w płomień.

Przy stole, wśród kilku opróżnionych butelek po piwie siedział starszy, krępy mężczyzna.

- Danny, na litość boską! Tato, dlaczego on siedzi tu nagi, do cholery?

- Bóg nie ma litości. A na pewno nie tutaj, więc nie chrzań, synku- odezwał się niskim głosem starszy mężczyzna.

- Usiądź tutaj. - Rob wskazał jej miejsce w przy stole, a sam poszedł gdzieś szybkim krokiem, po czym wrócił z kocem i okrył nim

chłopaka, który wciąż wpatrywał się w płomień.

- Zrobiłeś mamie zastrzyk? - zapytał Rob, a Sam dostrzegła cienką żyłkę, która pulsowała mu na szyi.

- Matka ma Boga, niech on zrobi jej zastrzyk - wybełkotał mężczyzna. - Ja tymczasem muszę się odlać. - Mężczyzna wstał, po czym runął na stół, w ostatnim momencie łapiąc równowagę.

Gdzieś z głębi domu dobiegał jęk.

- Nienawidzę cię - wysapał Rob, po czym udał się w kierunku zawodzącego dźwięku.

Sam usłyszała skrzypienie drzwi i jęk przez krótką chwilę był głośniejszy, by nagle znowu ucichnąć wraz z trzaskiem zamykanych drzwi.

Pomyślała, że wolałaby jednak zostać w aucie. Nie zapomni podziękować Robertowi za to miłe doświadczenie.

Postanowiła patrzeć w grzałkę umieszczoną w blaszanym kubku, która musiała służyć do gotowania wody.

Zdobyła się jednak na odwagę i spojrzała na mężczyznę, który teraz rozwalony na stole, zaczynał zapadać w drzemkę, a stare krzesło pod jego naporem skrzypiało w geście protestu, ilekroć ten przesuwiał się bezwładnie w stronę podłogi. Sam pomyślała, że powinna go ostrzec, ale ostatecznie stwierdziła, że na nic by się to nie zdało, gdyż musiał ważyć co najmniej sto dwadzieścia funtów.

- I zachowaj nas od... - bełkotał mężczyzna, śliniąc przy tym łokieć - i wybacz nam, kurwa, coś tam, amen. Pieprzone... - Mężczyzna wydał z siebie beknięcie. - ...brednie - dokończył, a Sam nie wiedziała, czy stracił przytomność, czy zasnął.

Popatrzyła w kierunku chłopaka ze świeczką i dostrzegła, że ten już nie wpatruje się w płomień świeczki, a w nią.

Miał ciemne, prawie czarne oczy, a jego twarz zdobiły piegi niczym luźno usiane ziarnami trawy połacie ziemi. Ciemne, rozczochrane włosy opadały mu na gładkie, blade czoło. Wyglądał na niecałe dziesięć lat. Sam podejrzewała, że mógł być bratem Roba, jednak nie był do niego w ogóle podobny. Wychudzona

z niedożywienia twarz uwydatniała kości policzkowe. Koc, który narzucił na niego Rob, zsunął się do pasa i odsłonił wychudzone, równie blade, piegowate ciało.

- Co słyszeć? - zagadała Sam, nie bardzo wiedząc, czy to pytanie ma jakikolwiek sens.

W pomieszczeniu panowała cisza, nie licząc tła, jakie stanowiło pojękiwanie kobiety z pokoju obok i zegara ściennego.

- Płomienie - powiedział chłopak, wpatrując się w Sam. - Spójrz.

Sam popatrzyła na świeczkę, której nierówny płomień miał w sobie jakąś grozę wymieszaną z magnetyzmem. Patrząc nań, czuła jednocześnie strach i spokój, niczym dwa przeciwległe bieguny. Zapach palonego wosku przybrał na sile, tłumiąc odór moczu i alkoholu. Półmrok przeszedł nagle w mrok, niczym ciemne chmury, wchodzące na błękitne niebo. Powietrze stało się chłodniejsze.

- Zostałaś wybrana. Umiłowana i przeklęta. Obdarowana i oszukana.

Chłopak zaczął powoli przesuwając dłoń nad świeczką, w lewo i prawo. Lewo, prawo. Spód dłoni tłamsił delikatnie ogień, ilekroć ta znajdowała się w jego centralnym punkcie. - Czeka cię wędrówka, Samantha Mori. Łzy zmyją strach, lecz nie zdołają ukoić cierpienia. To musi się stać.

- Powiedz mi więcej - zażądała, wpatrując się nadal w płomień. - Skąd wiesz, kim jestem? - Pragnęła zadać wiele pytań. Była tu i teraz całym ciałem. Czuła ponadastralną siłę, która wytworzyła się w tym małym, brudnym, ciemnym pomieszczeniu. Czuła więź z chłopakiem, który wciąż przesuwał dłoń nad świeczką. Jakby byli ze sobą związani od narodzin.

- Jesteś wybranką, lecz jeszcze nie wiem, do kogo należysz. Nic więcej nie widzę.

- Poczekaj - jęknęła Sam.

- Wszystko okay?

Samantha odwróciła wzrok i zobaczyła zdziwioną twarz Roberta.

Spojrzała na chłopaka ze świeczką, ale ten wpatrywał się w płomień tak jak wtedy, gdy przeszła przez próg kuchni.

- Kim jesteś? - zapytała chłopaka.

- Niestety, nie odpowie ci. Cierpi na autyzm - wtrącił się Rob. - Dobrze się czujesz?

- Muszę do łazienki - odrzekła Samantha, łapiąc się za brzuch.

- Prosto i na lewo.

Samantha pobiegła i zwymiotowała. Bolał ją brzuch, czuła, jakby miała w nim garść żyletek. Łazienka była równie obskurna jak kuchnia. Odkręciła wodę, ale minęło dobrych kilka sekund, nim ta przemierzyła drogę przez rury i spadła na jej dłonie. Patrzyła przez chwilę, jak ciurkiem przelatuje przez jej palce. Była lodowata, jak wtedy, gdy zmywała z siebie brud, który zostawiła na niej tamta noc.

Przepłukała usta, omiotła twarz i zakręciła kurek.

Usłyszała, jak przez drzwi frontowe ktoś wchodzi. Mieszkanie było na tyle małe, że gdyby się skupiła, mogłaby usłyszeć pomruk lodówki.

- Zalegasz mi za trzy doby, pokaż pieniądze albo wychodzę - odezwał się damski, niski głos.

- Spokojnie - powiedział Rob. Usłyszała odgłos wyciąganych banknotów, a potem liczenie. - Tu masz za trzy doby plus premia, płacę ci też z góry za trzy kolejne doby. - Znów dał się słyszeć szelest odliczanych pieniędzy. - A tutaj masz na jedzenie. Schowaj przed ojcem.

Samantha stwierdziła, że jej przedłużająca się wizyta w toalecie jest już zbyt podejrzana, postanowiła więc wyjść.

- A to kto? - zapytała kobieta i Sam zobaczyła czarnoskórą, sporych rozmiarów Latynoskę.

- To... moja partnerka biznesowa, Samantha.

- Doprawdy? - Kobieta ostentacyjnie zmierzyła Sam wzrokiem z góry na dół i wykonała dłonią gest, który mówił: „och, proszę, tylko nie te brednie”. - A jakie to interesy, Robbie?

Samantha zauważyła, że kobieta lubowała się w tanim złocie, którym była obwieszona od stóp do głów. Ciemne, masywne stopy wylewały się przez sandały, a spod sukienki widoczne były potężne łydki.

- Muszę wyjechać na trzy dni. - Rob zignorował jej pytanie.

- Trzy dni?! Chcesz mnie tu zostawić na trzy dni, czy ja dobrze słyszę, młodzieńcze? - Mówiąc to, przy każdym słowie kiwała głową w różne strony.

Z pokoju znów zaczęły dobiegać jęki. Słyszac je, wszyscy umilkli.

- Rooobbbiiieeee.... - zawył błagalnym tonem damski głos.

- Simone, zapłacę...

- Zapłacisz? - wtrąciła się i wykonała znowu gest potężną dłonią.

- A może po prostu się zamkniesz?

Wielka Simone ściągnęła sandały i założyła kapcie.

- Gdzie ten stary, zapijaczony pryk? Daję słowo, że mogę go wywęszyć. - Simone wtoczyła się do kuchni. - Witaj, Danny. Pozwolisz, że wezmę twojego starego na szybką rozmowę.

Z kuchni dobiegł odgłos rozbitej butelki i łupnięcia. Po chwili zobaczyli, jak Simone wlecze za nogę starszego, pijanego w sztok mężczyznę i wnosi go sama łazienki.

- Ty stary śmierdzielu, znowu mamy do pogadania, co? - mówiła Simone potężnym głosem.

Ojciec Roba był bezwładny i wyglądał przy niej jak worek z ziemniakami. - Pięćdziesiąt lat na karku i dalej tępy jak rzep z mojego sandała. - Włożyła go do łazienki, gdy ten zaczął mówić coś pod nosem.

- Co tam seplenisz tą swoją pijacką gębą? - spytała Simone, która już była w kuchni i ubierała Danny'ego.

- Chodźmy - powiedział Rob i skierował się w stronę drzwi.

- Zostawisz ich tak? A zresztą, muszę na zewnątrz - powiedziała Samantha.

Wyszli. Na zewnątrz powietrze było świeższe i czystsze, więc Samantha poczuła się lepiej.

- Och, doprawdy? - Usłyszeli przez drzwi potężny ryk Simone. - Więc to Danny wlał w ciebie tych KILKA butelek, stary, niedołączny pryku? - Samantha widziała oczyma wyobraźni, jak Simone gestykuluje przy każdym słowie.

Wyszli na ulicę, Sam zaciągała się powietrzem.

- Lepiej? - spytał Rob, wpatrując się w nią swoimi niebieskimi oczyma, które pod światło miały barwę oceanu.

- Tak. Powiedzmy. - Zrobiła krótką przerwę - Ten twój brat. Co to autyzm?

- Zaburzenie mózgowe. Nie mówi od urodzenia lub mówi pojedyncze, dziwne wyrazy, których nie da się zrozumieć.

Samantha zaczęła pocierać skronie.

- O co chodzi? - spytał dezorientowany Rob.

- Ja po prostu... - zaczęła Sam. - Nie wiem, co się dzieje. A reszta? Kim była osoba w zamkniętym pokoju?

Rob zamyślił się, a na jego twarzy dostrzegła smutek.

- Pogadamy o tym później.

- Dobrze. W takim razie jedźmy.

Rob kiwnął głową i poszli do samochodu.

- Jeśli przeżyję wieczór, przed podróżą pojedziemy wysprzątać ten syf - powiedziała ostrym tonem Sam i trzasnęła z hukiem drzwiami.

ROZDZIAŁ 15

Nie znosił tego robić, ale odkąd został sam, nie miał wyboru. Zaobserwował, że drżenie rąk przybiera na sile z każdym dniem. Minimalnie, ale jednak.

Wziął do ręki sztyft z proszkiem i przy pomocy pędzla rozrobił z wodą, uzyskując piankę.

Pogładził dłonią szyję. Wyczuł zmarszczki, ale czego się spodziewał. Miał już skończone sześćdziesiąt lat.

Patrzył w lustro, nie wiedział, dlaczego goli się o tak późnej porze. Dochodziła druga w nocy. A może już trzecia? Nie pamiętał.

Każda noc była taka sama.

„Wiedziałam o tym, George. Wiedziałam o wszystkim”.

Patrzył wciąż na swoje odbicie. Ciemne, gęste włosy wychodziły spod koszulki na ramiączkach, opinającej ciało, które jak na swój wiek było w całkiem niezłej formie. Lata treningów zrobiły swoje.

- O niczym nie wiedziałaś - powiedział do siebie. - Niczego nie rozumiesz, byłaś chora.

Nałożył pędzlem piankę na brodę, dokładnie wcierając ją w każde miejsce na szyi. Szorstki głos wydobył się spod pędzla, gdy wcierał ją w podbródek. Kiedyś często się zacinał, ale tak bardzo lubił golić się brzytwą, że doszedł w tym do niebywalej wprawy. Gdy skończył, namoczył brzytwę i przystawił do szyi. Kiedy miał już wykonać pierwsze cięcie, usłyszał dzwonek do drzwi. Najpierw zastanawiał się, czy nie wydawało mu się to tylko, gdyż jego słuch znacznie ucierpiał w ostatnich latach, jednak zaraz po pierwszym usłyszał następny dźwięk.

Postanowił nie zmywać pianki. Drżącą ręką odłożył brzytwę na półkę pod lustrem i wyszedł z łazienki.

Gdy doszedł do drzwi wejściowych, spojrzał przez wizjer, ale nikogo nie zobaczył. Pomyślał, że pewnie jakieś gnojki robią sobie żarty i dzwonią do każdych drzwi. Tak już było wielokrotnie od czasu, kiedy wydarzyła się ta cała afera, po której jego życie uległo zmianie. Gdy miał już odchodzić, dzwonek rozległ się znowu i sprawił, że George Willis zadrżał. Szybkim ruchem przekręcił zamek i otworzył drzwi na oścież, chcąc posłać żartownisiom kilka najlepszych przekleństw, jakie przyszły mu na myśl.

- Czy jest pan Świętym Mikołajem?

Spojrzał w dół, na małego chłopca, który miał na sobie letnie ubranie. Chłód omiół Willisa, musiało być kilkanaście stopni na minusie.

- Słucham? - zapytał George, nie wiedząc, czy przypadkiem nie śni mu się ta absurdalna sytuacja.

- Wygląda pan jak Święty Mikołaj z białą brodą - powiedziała chłopiec i uśmiechnął się szeroko. - Czy rozdaje pan prezenty?

- Co tutaj robisz, chłopcze, o tak późnej porze?

- Zgubiłem się. Czy mogę zadzwonić od pana do rodziców?

Willis patrzył na chłopaka, który przestępował z nogi na nogę bardziej w geście znudzenia niż z powodu dojmującego zimna.

- Oczywiście że tak, proszę, wejdź.

Chłopak wszedł. Sięgał Willisowi do pasa i musiał mieć około dziesięciu lat.

- Jak zgubiłeś rodziców o tej porze? Skąd jesteś?

- Dlaczego ma pan taką dziwną brodę? Czy takie brody mają mikołaje? - odpowiedział pytaniem chłopak.

Willis patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- To nie broda, tylko pianka. Muszę się ogolić.

- Czyli nie jest pan Świętym Mikołajem? - dopytywał zasmucony chłopiec. - Gdy pana zobaczyłem, byłem pewny, że tak. Myślałem, że są tu renifery. I mnóstwo prezentów dla innych dzieci. - Mówiąc to, chłopak się rozpromienił. Był podekscytowany. - Myślałem, że elfy robią tu czekolady. Tak bardzo bym zjadł czekoladę! - Oczy chłopaka rozpromieniły się nagle.

- Mam czekoladę. Jak ci na imię? - Willis zdobył się na najbardziej promienny uśmiech, jaki zdołał.

- Nie pamiętam - odrzekł chłopak i znowu się zasmucił, po czym spuścił głowę.

- W porządku - odrzekł mężczyzna - chodźmy na czekoladę i zadzwonimy do twoich rodziców, co?

Chłopak ponownie się rozpromienił.

- Jasne! Czekolada!

Mężczyzna zaprowadził chłopaka do kuchni, po czym z szafki wyciągnął tabliczkę czekolady i kilka cukierków Bon Bons. Otworzył lodówkę i wyciągnął mleko.

- Zrobię ci ciepłe kakao, żebyś się trochę ogrzał.

- Świetnie! Cukierki też mogę? - zapytał uradowany chłopak.

- Oczywiście, że tak. Jedz, ile chcesz.

Gdy kuchenka mikrofalowa zasygnalizowała koniec podgrzewania, usiedli przy stole ustawionym przy dużym oknie.

- Zgasły latarnie, pewnie znowu awaria - powiedział Willis, po czym usiadł naprzeciwko chłopaka, który pochłonął już jedną trzecią czekolady.

Gdy chłopak jadł, Willis, zamyślony, przyglądał mu się.

- Skąd jesteś? - zapytał mężczyzna, sięgając po paczkę papierosów, która leżała na stoliku.

- Tego też nie pamiętam, proszę pana. Cały czas wędrujemy. - Chłopak trzema łykami opróżnił kubek kakao.

- Rozumiem. - Willis zapalił papierosa.

- Rodzice mówili mi, że nie wolno palić przy dzieciach - powiedział chłopak, rozwijając kolejnego cukierka. - Zamierza mnie pan skrzywdzić? - dodał nagle, odkładając nie całkiem rozpakowanego cukierka.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał Willis, zaciągając się papierosem.

- Ponieważ jest pan cukrzykiem, a ma pełno słodczy - odpowiedział chłopak, spuszcżając głowę - i mieszka pan sam, odkąd żona odeszła. Nie zadzwonił pan od razu po rodziców, gdy zobaczył małego, zmarzniętego chłopaka w środku nocy oraz nie zapalił światła w kuchni, chociaż panuje tu prawie całkowita ciemność.

Willis poczuł znowu drżenie ręki.

- Po prostu...

- Mijaliśmy telefon. Dlaczego pan nie zadzwonił? - kontynuował chłopak, teraz patrząc na Willisa.

- Chciałem, żebyś najpierw się ogrzał, chłopcze.

- A dlaczego wsypał pan środek nasenny do mleka? Chciał pan, żebym się wyspał?

Drżenie ręki Willisa przybrało na sile.

- Wyjdź stąd! - krzyknął łamiącym się głosem.

- Dlaczego wypytywał pan o moich rodziców, zamiast, na miłość boską, po prostu do nich zadzwonić? Mógł pan też dzwonić na policję, ale nie zrobił pan żadnej z tych rzeczy. Co powiedziała by na to pańska żona, panie Willis?

Wzrok chłopca wbijał się w lśniące czoło mężczyzny.

- Ja...

- Od dawna chciałem do pana przyjść - wtrącił chłopak i wziął cukierka, którego wcześniej rozpakował, po czym wrzucił do buzi - ale dopiero teraz mogę zrobić to osobiście.

- Kim ty jesteś? - spytał drżącym głosem mężczyzna.

- Jak już powiedziałem, wędruję tu i tam. Jednak nie wszędzie mogę wejść. Czeka pan, aż proszek zacznie działać, co?

- Wynoś się!! - krzyknął mężczyzna, wstając. Drżenie opanowało całe jego ciało.

- Ten proszek nie zadziała. Wiem, wiem, nigdy pana nie zawiódł. Jednak na mnie nie zadziała, przykro mi. Jak pan myśli, ale tak szczerze - spytał chłopak, odpakowując kolejnego cukierka - czy Caroline, pańska żona oczywiście, wiedziała czy nie? Wiedziała, co pan robił, czy może powiedziała to, licząc, że sam się pan przyzna?

Mężczyzna cofnął się o krok w stronę zlewu.

- Skąd ty...

- Skąd to wiem? Wiem o wielu rzeczach! Powiem więcej. - Chłopak mrugnął mu okiem, po czym nachylił się w jego stronę i szepnął: - Byłem przy większości z nich. - Widzi pan, panie Willis, pan tego nie wie, ale dzisiaj dostał pan szansę. Stracił pan ją jednak całkiem szybko. Ta ludzka natura. - Chłopak pokręcił głową, jednak na jego piegowatej twarzy pojawił się uśmiech. - No nic, czas już na mnie. Dziękuję za słodczy i pyszne kakao.

Chłopak wstał i udał się w kierunku drzwi.

- Do zobaczenia! - powiedział, po czym zastępował, a jego lakierki wydały szereg stuknięć na drewnianym parkiecie. - Aha, i jeszcze jedno. Ona wiedziała. - Chłopak popatrzył ostatni raz na

Willisa, który opierał się teraz o zlew, a całe jego ciało oblane było potem.

Usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

Willis trwał w bezruchu (o ile prawie spazmatyczne dygotanie ciała można uznać za bezruch) jeszcze przez ponad pięć minut. Poczł coś lepkiego na klatce piersiowej. To była pianka, która spływała z jego brody. Zegar na ścianie wskazywał 02.20. Wziął do ręki banana z kosza na owoce i na miękkich nogach wszedł na piętro i skierował się w stronę jedyne go światła, dobywającego się z łazienki. Odłożył owoc na półkę przy lustrze i oparł ręce o umywalkę. Dygotanie prawie ustało. Potrzebował glukozy, aby się uspokoić. Wziął banana i odgryzł kęs. Smak był wyborny. Nieczęsto pozwalał sobie na takie rarytasy, ale ten wieczór był pokręcony. Czy wszystko to mu się wydawało? Czy wariował? „Ona o wszystkim wiedziała”. Ten głos rozbrzmiewał w jego głowie. Wziął następny kęs. Słodki miąższ rozplýwał się w jego ustach. Cieszył się, że ten chłopak sobie poszedł. Budził w nim grozę. Wziął następnego gryza, gdy zorientował się, że w umywalce znajduje się kilka kropel krwi. Po chwili spadły następne i było ich coraz więcej. Gdy podniósł wzrok, zauważył w lustrze, że krew skapuje z jego otwartych ust. To, co zobaczył, sprawiło, że cofnął się gwałtownie, wypuszczając z ręki owoc. Wnętrze jego ust było krwawą miazgą. Strugi krwi spływały mu na szyję, mieszając się z pianką. Cofając się, uderzył się o wannę, a na podłogę upadła zakrwawiona brzytwa. Wypluł coś, co wyglądało na fragment języka. Krew wciąż kapiała na podłogę.

- Jezu - wyjąkał, choć brzmiało to bardziej jak: „jeffu”.

Zobaczył w lustrze Caroline.

- Wiedziałam o wszystkim, ty stary, śmierdzący zboczeńcu. Dlatego odeszłam. Myślałeś, że chodziło o dzieci?

Willis patrzył w lustro, niedowierzając, a jego oczy wypełniało przerażenie. Usta miał otwarte, wyglądał, jakby zjadł surowe zwierzę.

- Owszem, chodziło o dzieci, George. Ale nie nasze - powiedziała siwowłosa kobieta w żakiecie. - A teraz uczyn światu przysługę.

Zaczynamy?

- Nie... błagam - wyseplenił mężczyzna. - Przepraszam - bełkotał, ale to, co zostało z jego języka, nie pozwalało mu wypowiedzieć ani jednego słowa poprawnie.

- Nie mazgaj się już. Nie przystoi - powiedziała kobieta w lustrze, a za nią mężczyzna dostrzegł chłopaka w kaszkiecie i lakierkach, który znów zaczął stepować. Na twarzy miał szeroki uśmiech, tak jak kobieta o siwych włosach i jasnych oczach.

Willis sięgnął po brzytwę, która wydała cichy, mechaniczny dźwięk, gdy ją podnosił. Rączka była zakrwawiona, ostrze również.

- Czy jeszcze cię zobaczę? - wyseplenił mężczyzna.

- Nie - odrzekła kobieta, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Nic już nigdy nie zobaczysz. - Chłopak w tle przestał tańczyć i z uśmiechem oraz ciekawością przyglądał mu się zza ramienia kobiety. Jego oczodoły wypełniły się czernią.

Mężczyzna zaczął ciąć swoje ciało szybkimi, krótkimi ruchami, kawałek po kawałku, a po każdym cięciu kolejne krople krwi spadały na jasne płytki.

ROZDZIAŁ 16

Budzik zadzwonił punktualnie o dziewiątej. Chwilę trwało, zanim Steve otworzył oczy. Blask słońca padał na szybę, przez którą zobaczył, jak kapie z dachu topniejący śnieg. Zapowiadał się piękny dzień, chociaż czuł się obolały i zmęczony.

Leniwie odnalazł dłonią mały, sypialniany budzik i przełączył go w tryb off, po czym przeciągnął się i odwrócił w stronę jeszcze śpiącej żony. Zamknął oczy z powrotem i zgrabnie wślizgnął rękę pod kołdrę, gdzie odnalazł jej aksamitne, ciepłe, tak dobrze znane mu ciało. Położył dłoń na jej brzuchu, który unosił się miarowo w rytm oddechu. Był dezorientowany natłokiem ostatnich zdarzeń, jednak przy jej boku czuł bezpieczeństwo i spokój.

- Późno wróciliście - powiedziała zaspana, nie otwierając oczu.

- Skąd wiesz? - zapytał po chwili.

- Ja wszystko wiem, Stephenie Abrams. Nie zdążyłeś zauważyć?

- Nie obudziłby cię wóz strażacki, nawet gdybyś zasnęła przy jego odpalanej syrenie, ale potrafiłaś się obudzić, gdy zamknąłem drzwi wejściowe dwadzieścia metrów od ciebie? - zapytał rozbawiony, ale i zafascynowany tym, jak ona wciąż potrafiła go zaskakiwać.

- Obudziłam się, jak tylko postawiłeś stopę na wykładzinie - odrzekła Katie, wciąż nie otwierając oczu. Położyła dłoń na jego dłoni. Była tak samo ciepła jak jej na wpół odsłonięty brzuch. - Wpakował się w jakieś kłopoty, prawda?

Stephen milczał.

- Wiedziałam - westchnęła zrezygnowana. - Zakładam również, że skoro on, to również i ty.

- A to skąd wiesz? - zapytał ponownie.

- Bo masz zranioną dłoń. A poza tym... - dodała, po czym odwróciła się w jego stronę - ...jesteście jak nieposłuszne dzieci, kiedy się was nie upilnuje. A co do dzieci - tych nieposłusznych, dziwię się, że jeszcze nie ma tu naszej córki. Wczoraj cały dzień mówiła o choince. Normalnie już by po nas skakała.

- Miała wczoraj ciężki dzień - odrzekł po chwili zastanowienia Stephen. - Dzisiaj jej to wynagrodzę. Tobie też mogę coś wynagrodzić - powiedział, przesuwając dłoń w stronę jej pośladków.

- Może wieczorem. Chociaż wydaje mi się, że nie zasłużyłeś. Najpierw jednak sprawdź, co z Amy, a później wytłumaczycie się razem z wielkoludem, co nabroiliście.

- No dobrze. - Pocałował ją w szyję, napawając się zapachem jej skóry i poczuł żar w lędźwiach, wiedział jednak, że teraz z nią nie wygra. To była jej cicha kara. Lubiła się z nim droczyć, a on nie miał nic przeciwko tej grze, gdyż cierpliwość w tym przypadku bardzo się opłacała i nikt tak dobrze tego nie wiedział jak on sam.

- Coś mocno cię trapi - odezwała się po chwili, kładąc dłoń na jego głowie. Powoli przeczeswała jego ciemne, krótkie włosy. Robiła to

powoli, patrząc mu w oczy, a on czuł, jak lustruje jego duszę. W tym przypadku również nie miał nic przeciwko.

- To nic takiego - odparł.

- Znam twoje „nic takiego” - powiedziała i przysunęła się w jego stronę. Czuł ciepło jej ciała. Żar w podbrzuszu przeszedł w mały płomień. Miękkimi ustami pocałowała go w czoło. Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo pasowali do siebie i jak wielką cierpliwością, nawet po tylu latach, wykazywała się jego żona. Nie wiedział, jak skończy się ostatecznie sprawa z Eddiem, ale nie dopuszczał do siebie myśli, że coś mogłoby stać się Katie lub Amy. Musiał się pozbierać.

- Wszystko ci wyjaśnię później.

- Dobrze. Zrobię śniadanie, a ty obudź Amy.

Wstał i włożył koszulkę, po czym udał się do pokoju córki. Czuł lekkie odrętwienie w dłoni i przy okazji zobaczył dwie świeże rany na kostkach. Mimo wszystko czuł się nieźle. Brakowało mu tej adrenaliny, choć z trudem przyznawał się do tego, nawet przed samym sobą.

Wszedł do pokoju i zobaczył, że jego córka stoi nieruchomo przy oknie. W całym pokoju panował bałagan. Amy ubrana była w niebieską piżamę w kropki, która wisiała na jej szczupłym, małym ciele. Rozczochrane włosy opadały na jej ramiona.

- Amy, zanim wyjedziemy, posprzątaj ten bałagan, dobrze? Mama wymyśla tacie różne kary, ale tobie też się nie upiecze - powiedział, podnosząc misia z podłogi.

Amy stała wpatrzona w okno, nadal nie odzywając się słowem.

- Kochanie, wszystko w porządku?

- Tato... - jęknęła Amy.

Steve podszedł do okna i ukląkł, po czym odwrócił do siebie córkę. Zobaczył w jej oczach łzy, a za nimi ogromny strach.

- Tato, zdarzy się coś bardzo złego - powiedziała nadzwyczaj spokojnie, chociaż jej twarz wskazywała na silny szok.

- Amy, poczekaj. Co się stało? O co chodzi? - zapytał Steve i rozejrzał się po pokoju, po czym ponownie popatrzył na Amy. - Już nic ci nie grozi, wilków nie ma.

- Ale wam coś grozi. - Zaczęła szlochać i wtuliła się mocno w pierś Stephena. Nigdy nie widział jej w takim stanie. - Staną się okropne rzeczy - ciągnęła Amy, a jej szloch przeradzał się w panikę. - Widziałam wszystko - krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

- Gdzie widziałaś? Co widziałaś? - dopytywał Steve.

- Tam - szepnęła Amy, wskazując na okno, jakby bała się, że coś z zewnątrz ją usłyszy. - Wstałam rano, bo coś stuknęło głośno w szybę. Podeszłam zobaczyć co to i zobaczyłam małego chłopaka, który do mnie machał. Nie wiedziałam kto to, więc mu odmachałam, przepraszam tato. - Steve poczuł, jak mała drży ze strachu, ale wciąż nie miał pojęcia, o co chodzi. Czyżby mężczyzna z wczoraj jednak nie odszedł z ich posesji? Steve wstał i spojrzął za okno, jednak nie dostrzegł niczego prócz ośnieżonych drzew i małego patio, na które widok miała ich córka.

- Amy, jesteś pewna, że to był chłopak, a nie starszy pan? - zapytał, po czym znowu klęknął przy córce.

- Jestem pewna - odpowiedziała szeptem.

- Co się stało potem? Dlaczego mnie przepraszasz?

- Potem... Potem zobaczyłam ciebie i mamę i była też babcia Rose... i wujek Ed... i... - Amy szlochała, nie mogąc złapać tchu - było tam coraz więcej osób, wszyscy szliście do lasu i nagle zrobiło się ciemno, a z nieba padał deszcz, ale ten deszcz był jak popiół, a ja nie mogłam nic zrobić, żeby wam powiedzieć, żebyście tam nie szli. Ten mały chłopak chciał wam zrobić coś bardzo złego, kazał mi patrzeć na to, wy... wy...

- Ciii, już dobrze kochanie, to był tylko sen - powiedział Steve, gładząc ją po długich włosach. - Wiesz, co dzisiaj robimy, prawda? - dodał pogodnym tonem.

Amy, wciąż łkając, łapała powietrze krótkimi, szybkimi haustami nie mogąc się uspokoić.

- Dzisiaj tatuś kupi wielką choinkę i ktoś będzie ją musiał ozdobić
- ciągnął Stephen. - Ciekawe, kto taki?

- Ja - wydusiła z siebie z trudem dziewczynka, ocierając łzy z oczu.

- No nie wiem - odrzekł Steve. - Kolejka do tego zadania jest długa. Wujek Eddie prosił mnie wczoraj, by jemu przypadł ten zaszczyt.

- Możemy to zrobić wszyscy - zgodziła się w ostateczności Amy, a Steve otarł jej policzki z łez. Spojrzał na jej bladą twarz, którą zdobiły jasnoczerwone rumieńce od płaczu.

- Dobrze. Wujek jest na dole, chcesz się z nim przywitać?

Amy otworzyła szerzej oczy i rozpromieniła się nagle, a jej usta w końcu ozdobił ten sam, dziecięcy, niewinny, pełen nadziei uśmiech. Stephenowi zrobiło się lżej na sercu. Zazdrościł dzieciom tej umiejętności. Potrafiły w ciągu sekundy z wielkiego smutku przejść w stan euforii.

- Wujek jest na dole? Chcę iść do niego! - krzyknęła Amy.

- Dobrze, ale wpierw umyj zęby. Za to dorzucę dzisiaj twoje ulubione lody, chociaż będziemy musieli odbyć z mamą długą dyskusję na ten temat.

- Dobrze, ale wujek jedzie z nami - krzyknęła Amy i pobiegła do drzwi, przy których przystanęła. - Tato... - zaczęła nieśmiało i odwróciła się zamyślona.

- Tak? - zapytał Steve, podnosząc się powoli z obolałego kolana.

- Ktoś do nas jedzie. Wiesz o tym?

- Kto do nas jedzie?

- Nie widziałam ich wyraźnie - odrzekła, po czym dodała szybko:
- ale pewnie to też tylko sen.

Gdy Amy pobiegła do łazienki, Stephen wyjrzał za okno. Woda skapywała z dachu i drzew, które patrzyły na ich dom. Słońce świeciło, niebo było przejrzyste, takie niebieskie. Na dole radio grało świąteczne przeboje. Spojrzał w dół i zobaczył misia, który leżał na wznak, wpatrując się w Steve'a swoimi sztucznymi jak dwa guziki

ślepiami. Sztuczny uśmiech wyszyty był ciemną nicią. Ciemną jak czasy, które miały nastąpić.

Steve czuł niepokój.

Nie przypuszczał jednak, że ten dzień będzie cięższy niż poprzedni.

Wyszedł z pokoju, w którym pluszowy, szczęśliwy miś nigdy już miał nie zobaczyć swojej małej właścicielki.

ROZDZIAŁ 17

Była za dwadzieścia siódma, gdy dotarli na miejsce. Nie trzeba było być ze stanowej policji, by wiedzieć, że ta dzielnica w Vernon jest jedną z najbiedniejszych części stanu, gdzie panuje największa przestępczość.

Zaparkowali przy boisku, które byłoby zapewne idealnym miejscem spotkań dla tutejszej młodzieży, gdyby nie fakt, że było kilka stopni na minusie.

- A czy nie możemy po prostu, nie wiem... - Rob spojrział na Samanthę z pewną dozą nieśmiałości. - ...przejsz się do kina i wyruszyć w to miejsce? Gdziekolwiek się znajduje.

Samantha myślała o spotkaniu ze swoim byłym pracodawcą tym intensywniej, im bardziej zbliżał się wieczór i moment, gdy będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Byłym przyjacielem, któremu ufała. Im dłużej jednak myślała o tym, czuła, że to musi się stać. Rany były zasklepienie, ale nie te wewnątrz niej. Jej dusza była jak szkło, które teraz było stłuczone, a jego odłamki leżały na zimnej, stalowej podłodze, którą było jej serce.

- Nie. Wykonaj swoje zadanie - odparła trochę zbyt chłodno Samantha.

Rob spojrział na snop świateł, które oświetlały siatkę odgradzającą boisko.

- Chodź ze mną, będziesz musiała wybrać model - powiedział i zobaczył, że dziewczyna się w niego wpatruje. - No co?

- Czy nie mogłeś chociaż zmienić tej durnej koszulki z... tym czymś z kreskówki?

- To Chewbacca - odparł dumnie Rob. - Nie jest z kreskówki.

- To wiele zmienia - odezwała się kpiąco Samantha. - Szczególnie, że idziemy do miejscowego gangu zakupić broń. Dlaczego on się tak głupio uśmiecha?

Rob spojrział w dół i odrzekł po chwili: - To jego normalna mimika.

- Zakryj to.

- Może jeszcze mnie ubierzesz na tą podróż? - odpowiedział z pretensją Rob.

- Niewykluczone.

Wysiedli z pickupa, gdy zadzwonił telefon.

- Jesteśmy - powiedział do słuchawki Robert. - Ja i moja klientka.

Po serii krótkich zaprzeczeń i potwierdzeń rozłączył się i wskazał budynek. - To tu.

- Znasz go dobrze? - zapytała Sam, gdy zmierzali w stronę niskiego bloku, wyglądającego gorzej niż budynek, w którym mieszkał Rob.

- Tak sobie.

- Świetnie.

- Jesteś naprawdę wkurzająca, wiesz?

- Jak twoje idiotyczne zwierzę na koszulce.

Gdy dotarli do domofonu, Rob nacisnął guzik z numerem sześć. Po krótkim sygnale usłyszeli dźwięk otwieranych elektronicznie drzwi.

Wnętrze bloku było pokryte kolorowymi napisami imitującymi graffiti. Jeżeli jednak graffiti było sztuką, to tutaj było jej popłuczynami. Klatki były słabo oświetlone i musieli dobrze się przypatrzeć, by odnaleźć drzwi z numerem sześć. Zapukali. Odpowiedziała im cisza. Rob zapukał jeszcze raz. Po chwili usłyszeli dźwięk odsuwanej zamki i przez szparę zobaczyli połowę twarzy małego, opalonego chłopaka, który bez wątplenia był Latynosem.

- Mamy przesyłkę do odbioru na nazwisko Garret.

Drzwi zamknęły się powoli i znowu stali w ciszy, nie licząc muzyki, która dobiegała zza sąsiednich drzwi.

- Przesyłkę? - zapytała Sam, patrząc pytająco na Roba.

- Tak kazał mi powiedzieć.

Chwilę potem drzwi otworzyły się na oścież, odsłaniając ciemny przedpokój. Weszli, a w ich nozdrza uderzyła silna woń marihuany.

Chłopak zamknął drzwi i wskazał im drogę. Minęli kuchnię, w której dostrzegli starszą od chłopaka dziewczynę, choć na pewno nie była pełnoletnia. Dziewczyna, nie zwracając na nich uwagi, piłowała paznokcie u stóp. Być może nie zauważyła ich nawet, pochłonięta słuchaniem muzyki przez słuchawki, które miała na uszach. Gdy weszli do salonu, ich oczom ukazał się groteskowy widok.

Zobaczyli czterech mężczyzn, nagich do pasa, którzy dopingowali jednego z nich. Po drugiej stronie salonu kolejny mężczyzna stał z zamkniętymi oczami, a na jego klatce piersiowej zawieszona była tarcza strzelnicza. Na ciałach mieli świeże rany. Byli też mocno nawaleni, jak domyśliła się Sam. Pomogła jej w tych domysłach opróżniona litrowa butelka wódki i napoczęta już nowa. W pokoju unosiły się opary alkoholu, trawy i papierosów.

Mężczyźni krzyczeli jeden przez drugiego, co spowodowane było ilością promili i substancji THC we krwi oraz głośnym dźwiękiem włączonego telewizora.

- Teraz trafię i wszyscy, kurwa, będziecie pić swoją kolejkę! - ryknął jeden z mężczyzn, trzymając metalową rzutkę. Jego akcent wskazywał na pochodzenie z okolic New Hampshire. Nie kończył wyraźnie słów tylko ucinał szybko, co brzmiało mniej więcej tak: „Tera trafi i wszyscc, kurw, będziecc pić swoj kolejkk”. Był wysoki, miał ciemne włosy i podkrążone oczy, które zdobiły cienkie oprawki okrągłych okularów. Wyglądał jak Ozzy Osbourne.

- Pijesz już trzecią kolejkę z rzędu, włochaty chuju, i już ci leję następną! Moja stara rzuca lepiej niż ty - powiedział drugi z mężczyzn, który musiał być ojcem chłopaka i pewnie też dziewczyny

z kuchni. Miał ciemną karnację, wyłysiałą w większości głowę i ledwo widoczny wąsik. Był niższy, ale bardziej umięśniony i prawie cały w tatuażach.

- To patrz i ucz się, łysy chujku. Gonzo, gotowy? - powiedział Ozzy niezrozumiale, na co mężczyzna z zawieszoną tarczą i elfim, zielonym kapeluszem z piórkiem pokazał znak OK.

Rzucający stał w odległości około pięciu metrów od mężczyzny z tarczą, chociaż Sam przypuszczała, że w ich stanie nawet metr mógłby stanowić problem.

Mężczyzna, który miał na sobie chyba najwięcej ran kłutych z całego towarzystwa, zamachnął się i rzucił w przebranego elfa, a rzutka poszybowała i trafiła prosto w brzuch, przypominający sporych rozmiarów oponę auta.

- Co za idiota! - wybuchnął łysy, a cała reszta zanosila się ze śmiechu.

Nie do śmiechu było jedynie mężczyźni z tarczą, który zaklął głośno, gdy poczuł, jak mały, metalowy szpic wbija się mu w skórę.

- Kurwa, nie dziw się, że nie masz dzieciaka, skoro pewnie nie potrafisz trafić dobrze w dziurę swojej starej - wybuchnął mężczyzna, wyciągając sobie rzutkę z brzucha. Przetarł ją koszulką, a wszyscy ponownie ryknęli śmiechem.

- Powtórz to - powiedział Ozzy i z trudem sięgnął na stół po kolejną rzutkę, prawie strącając kieliszek, który wyglądał jak mała szklanka. - Śmiechy przybrały na sile.

- Powiedziałem, że... - zaczął mężczyzna w kapeluszu, który byłby teraz podobny do Robin Hooda, gdyby nie tłuszczył na jego ciele - ...że nie potrafisz, hep... - próbował wyjąkać, bo właśnie złapała go czkawka - ...przeruchać swojej starej, zapchlony łbie. Dlatego ja to muszę robić już od długiego czasu. To właśnie, hep... - ... powiedziałem.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, a w pokoju zapanowała cisza, nie licząc entuzjastycznego głosu pani w telewizji, która reklamowała odświeżacz powietrza.

Trzeci mężczyzna był wyraźnie najmłodszy, a liczba ran na jego ciele była imponująca. Sądząc po ich obrażeniach musieli się tak bawić już ponad godzinę, jak obliczyła Sam. Łysy gospodarz wtrącił się nagle, chcąc zapobiec wiszącej w powietrzu bójce:

- Poczekajcie, zapomniałem, że mamy gości!

Wszyscy czterej skierowali wzrok na Roba i Sam.

- Wybaczcie, jak co piątek gramy sobie w różne gry. Dzisiaj padło na „kłutki”.

- To znaczy rzutki? - rzucił Rob.

- A ty co, kurwa? Głuchy jesteś? - Odezwał się Ozzy, poprawiając miniaturowe okulary. Kłutki. Od kłucia. Kumasz?

- Tak, kumam.

- Gratuluje - skwitował Ozzy.

- Dobra, zamknąć się - wtrącił się łysy gospodarz. - Spotkaliście może moją upośledzoną córkę po drodze? Jak jej było? Gonzo, jak moja córka miała na imię? A w ogóle, Włochacz, pijesz - powiedział krępy mężczyzna, po czym sięgnął po butelkę i z lekkim trudem napełnił kieliszek, rozlewając przy tym część. - Masz, pij to, kurwa, im bardziej jesteś pijany, tym bliżej ci do tarczy.

- Ten skurwiel nie trafiłby nawet swoim gównem do kibla - wtrącił elf.

- Zamknij mordę albo będziesz trafił swoim do kaczki w szpitalu - odrzekł Ozzy.

- Przymknijcie się na chwilę. Proszę, siadajcie - powiedział gospodarz i wskazał gościom miejsce naprzeciwko nich.

- Melania - powiedział trzeci z mężczyzn, ten, który mówił najmniej. Wyglądał na maksymalnie trzydzieści lat, był ostrzyżony na krótko jak Rob, choć miał ciemniejsze włosy i gęsty zarost. Palił skręta, patrząc na nich spod przymrużonych powiek

- Co Melania? - zapytał łysy.

- Tak się nazywa twoja córka - odrzekł powoli pan Skręt.

- Ahhhh tak. Prawda - powiedział Łysy i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Jego rany zdążyły się już zasklepić, tworząc miniaturowe

stygmaty. - A skąd, ty to, kurwa, wiesz, Dolar? A zresztą - dodał po chwili namysłu - bardziej zastanawia mnie, kto dał jej takie głupie imię. Melania! Melania!! - ryknął głośno, a w drzwiach pojawiła się dziewczyna, którą mijali w kuchni.

- Mógłbyś trochę ciszej?

- A ty mogłabyś w końcu ruszyć swój tłusty tyłek i zrobić coś pożytecznego? - powiedział mężczyzna, na co wszyscy oprócz Samantha, Roba i pana Dolara zaśmiali się gromko.

- No tak, bo wy, kurwa, spędzacie tutaj pożytecznie czas, co? - odpyskowała dziewczyna, na co ci sami mężczyźni zareagowali jeszcze większym śmiechem.

- Moja córka! Jestem dumny! - Łysy gospodarz wstał i podszedł do dziewczyny. - Doprawdy, gdy stoisz tak w tych drzwiach, wyglądasz jak twoja matka. - Mężczyzna wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym nagle zdzielił ją otwartą ręką w twarz. - Jeszcze raz się tak do mnie odezwij, a przysięgam, że nie wyjdiesz z tego mieszkania przez miesiąc i włosami będziesz szorować podłogę.

- Jesteś żaloszny - odrzekła dziewczyna, trzymając się za uderzony policzek. Łzy napłynęły jej do oczu. - Matka byłaby z ciebie dumna.

- Będzie, jak w końcu wyrzucę cię z domu.

Dziewczyna szybkim krokiem weszła w głąb kuchni.

- Idziemy stąd - powiedziała Sam i wstała.

- Jak to idziecie? Dopiero co przyszliście. Wybaczcie nam to małe nieporozumienie, u nas to rodzinne - powiedział łysy mężczyzna, a z jego klatki piersiowej wpatrywała się w nich trupia czaszka, która w oczodole miała nabój. Tatuaż nie był zrobiony profesjonalnie i Sam domyślała się, że jest to więzienne dzieło, mimo to jednak wzbudzał niepokój.

- Wybacz, piękna istoto. Moja córka ma niepohamowany język.

- Dlatego ją bijesz? - zapytała Sam.

- To stare, dobre metody, przekazane mi jeszcze za dzieciaka. Ale chyba nie przyszliście tutaj po to, żeby omawiać techniki wychowywania swoich dzieci, jak mniemam?

- Nie - wtrącił szybko Rob i dał znak Samancie, by usiadła, co ta zrobiła po chwili wahania. - Wiesz, po co jesteśmy, Klik.

- Rob, dobrze pamiętam? - odrzekł mężczyzna zwany Klikiem.

- Tak.

- Długo cię nie widziałem, Rob. Dlaczego nagle zjawiasz się tu i prosisz o...? - Mężczyzna gestem dłoni zasugerował, by Rob dokończył.

- Broń. Potrzebuję broni - powiedział Rob nieco poirytowanym tonem.

- No właśnie. Potrzebujesz broni i przychodzisz z tym do mnie? Dlaczego? - Mężczyzna usiadł z powrotem i zaczął masować dłoń, która niedawno wylądowała na policzku jego córki.

W mieszkaniu wciąż było gęsto od dymu. Samantha ponownie poczuła mdłości.

- Mam kontakt do ciebie od Scotta Taylora, to mój kuzyn, który studiuje z twoim synem.

- Rozumiem. A skąd mam mieć pewność, że nie jesteś po prostu psem, który tak samo ten kontakt mógł dostać?

- On mi wygląda na psa - powiedział swoim akcentem Ozzy.

- A ja skądś znam tę paniusią - dodał Robin Hood i Samantha poczuła ukłucie strachu. Czy był jej klientem? Wątpi, pamiętałaby. Nie kojarzy również, by widziała go w obecności Tony'ego. Modliła się w duchu, aby ten sobie jednak nie przypomniał, a przynajmniej do czasu, gdy załatwi sprawę z Tonym.

- Całkiem fajna paniusia - powiedział mężczyzna, który z niewiadomych przyczyn miał tutaj ksywę Dolar i mrugnął okiem w stronę Samantha.

- Nie jestem policjantem - wtrącił ponownie Rob.

- Nie wiem, co to policjant - rzucił Ozzy, patrząc na nich spod byka. - Wiem tylko, co to pies. A psy śmierdzą i czują ten smród tutaj.

- Przymknij się, włochaty. Pozwól, że sam do tego dojdę, dobrze? - skarcił go najwyraźniej szef całego towarzystwa, a niezadowolony klon Ozzy'ego prychnął coś pod nosem.

- Ściągaj ubranie. Ty paniusiu również.

Samantha popatrzyła na Roba.

- Posłuchaj... - zaczął Rob.

- Ściągajcie, kurwa, ubrania - warknął wytatuowany mężczyzna.

Rob popatrzył na Samanthę i dostrzegł ledwo zauważalne skinienie głowy. Wstał, po czym rozpiął kurtkę.

- O kurwa, nie wierzę. To nie pies, tylko jebany Scoobie Doo! - powiedział najmłodszy z nich, paląc chyba trzeciego skręta, odkąd tu weszli. Wszyscy ponownie wybuchnęli gromkim śmiechem. - Gonzo, wyglądasz jak ten z jego koszulki.

- Chyba jak twoja stara kilkanaście lat temu - odciął się facet z kapeluszem.

Samantha widziała, jak Rob się czerwieni. Przypominał teraz dziecko złapane na kradzieży czipsów w sklepie.

- Ściągaj to, klaunie, szybciej, bo chcemy wrócić do gry.

Rob ściągnął koszulkę i Samantha zobaczyła jego prawie idealne, wysportowane ciało. Tak jak przypuszczała, musiał dużo ćwiczyć, co było widoczne nawet kiedy był w ubraniu. Młodość też robiła swoje.

- Odwróć się - polecił szef.

Rob wykonał polecenie.

- Dobra, teraz twoja panienka. Ruchy.

Samantha wstała i ściągnęła zakiet. Żałowała, że znalazła się tutaj. Obiecała sobie, że już nigdy nie odkryje swojego ciała żadnemu mężczyźnie, jednak teraz nie chodziło tylko o nią. Chodziło także o przypadkowego, niewinnego chłopaka, którego w to wpakowała. Ściągnęła koszulkę i od razu się odwróciła. Czuła złość. Zaczęła z powrotem się ubierać.

- Chwila, paniusiu. Nie skończyliśmy. Siadaj na dupie.

Zacisnęła wargi. Czuła nienawiść i bezsilność. Usiadła.

- Na ostatni dowód waszej dobrej woli - kontynuował mężczyzna
- Gonzo, podaj śnieg.

Gonzo wstał i podszedł do kryształowego barku, na którym spoczywały chyba wszystkie alkohole świata. Podniósł równie

kryształową popielniczkę, z której wyciągnął przeźroczystą, prawie tak samo kryształową torebeczkę.

- Na mój koszt, macie to jako bonus do transakcji. Powiedzmy, że mam dzisiaj gest. - Wziął od towarzysza torebeczkę i przeciął ją jedną z rzutek. Wysypał zawartość na szklany blat. Proszek miał barwę lekko mętnej bieli. Następnie wziął kartę z rozsypanej talii i starannie wyporcjował dwie białe ścieżki.

- Zakładam, że macie przy sobie pieniądze - powiedział mężczyzna, zlizując pozostałości proszku z karty, a Sam mimo woli dostrzegła, że była to dama pik. Głupi szczegół, ale była wzrokowcem. Zawsze dostrzegała detale, których inni nie umieli zauważyć. Lub nie mieli takiej potrzeby. W szczególności takiej w sytuacji jak ta.

- Mamy - odparła Sam.

- Świetnie. Więc wyciągnijcie jeden banknot i w drogę. Tak jak na filmach. Wiecie? Rulonik i do noska.

- Na filmach robią to kartami kredytowymi - rzucił Ozzy. - Ale na filmach są też bardziej majętni - dodał, a Dolar ze śmiechu zakrzusił się kolejnym machem. - A ty może już przestań palić ten syf, bo nawet karaluchy już chyba wypierdoliły oknami - fuknął na niego Ozzy, po raz kolejny wywołując salwy śmiechu. Samantha chciała stąd odejść jak najdalej. Wyciągnęła studolarowy banknot, zwinęła po czym jako pierwsza wciągnęła całą kreskę.

- Kurwa, ona jest zawodowcem! - krzyknął szef i wszyscy zaczęli bić brawa.

Samantha poczuła od razu. Poczuła, jak bije jej szybciej serce, i mogłaby przysiąc, że czuje, jak zwężają się jej źrenice. Świat nabrał ostrości. Niewiarygodnej klarowności. Dźwięki się wyostrzyły. Mogła usłyszeć każdy z osobna. Jakby miała szósty zmysł. Kokaina musiała być zabrudzona, wciąż jednak dobrej jakości.

- Ja nie mogę, mam... alergię.

- Scooby Dooby Doo... - powiedział powoli pan Dolar, a raczej pan Joint, lecz nie dokończył myśli tylko zachichotał, jakby był upośledzony.

- A co mnie to obchodzi?

- Ja wciągnę za niego - wtrąciła Samantha. Jeśli nie ma doświadczenia, rozdmucha cały towar i poniesiecie stratę.

- Doświadczona narkomanka. Nieźle. - odrzekł szef, po czym rozłożył się w fotelu, zakładając ręce za głowę. - Dobra. Niech będzie.

Samantha ponownie skręciła rulon z banknotu i nachyliła się w samym staniku i wciągnęła pozostałą zawartość przez drugą przegrodę nosa. Zamknęła oczy. Świat zawirował i przez chwilę myślała, że straci przytomność. Po chwili odzyskała równowagę i znowu wszystko stało się wyostrzone jeszcze bardziej niż przed momentem.

- Dobrze. Nie jesteście psami, tylko bandą ćpunów myślących, że są Scooby Doo i ta... jak jej było...

- Velma - odrzekł pan Joint i trudno było już dostrzec, czy ma otwarte czy zamknięte powieki.

- A skąd ty, kurwa, jesteś taki obeznany w imionach? A zresztą. Pieprzyć to. Chcę dalej grać.

- Czy możemy się już ubrać? - zapytał Rob.

- Ty tak, ale ta ćpunka ma kawał niezłego ciała - powiedział szef i oblizwał nieświadomie wargi. Sam się wzdrygnęła.

- I kawał rozjebanego nosa, jak widać - dodał Ozzy.

- Przyszliśmy tu w interesach. Podobno jesteś rzeczowym i poważnym kontrahentem. Po co ten cały cyrk? - Rob zmierzył wzrokiem przywódcę i po chwili ten odrzekł: - Masz rację. Tak właśnie jest. - Przybrał poważniejszy ton i rzucił do Robin Hooda: - Gonzo, przynieś naszą ofertę.

- A nie może iść Dolar? Dlaczego cały czas ja muszę latać wszędzie.

- A nie widzisz, że ten przygłup nie znalazłby teraz dupy, gdyby miał się podetrzeć? Nawet nie wiem, czy żyje. - Mężczyzna z trupa czaszką wziął lotkę i rzucił, trafiając kolegę w kolano. Ta jednak spadła na podłogę, przy opóźnionym okrzyku: „kurwa”, który wydobył się z ust Dolara.

- Wiecie, dlaczego ma ksywę Dolar? - zapytał szef, po czym sam od razu odpowiedział: - Bo to maszynka do robienia pieniędzy.

- Chuj z tych pieniędzy, skoro całą kasę przepierdala na ten syf - dodał Gonzo, który już zniknął w przedpokoju.

- Wybaczcie, że pytam. Po prostu jestem ciekaw. Po co wam broń? Wiecie, że potwory nie istnieją?

- Istnieją - odrzekła Samantha i spojrzała mu w oczy.

- Oni są naprawdę popierdoleni - powiedział po chwili Ozzy.

W tym momencie do pokoju wszedł Gonzo z płócienną, treningową torbą, której Rzucił torbę na podłogę i otworzył suwak.

- Czego dokładnie chcecie?

- Czegoś dla mnie. W miarę małego.

- To na pewno nie ja - wtrącił Ozzy, oblizując wargi, a reszta parsknęła śmiechem.

- Zbyt małe także odpada - powiedziała Sam i znów wszyscy wybuchnęli śmiechem. Tylko mężczyzna w okrągłych okularach w ogóle się nie śmiał. Tak jak i ona.

- Niezła jest - powiedział Gonzo. - Ma większe jaja niż ty, włochaty.

- I twoja matka - odciął się Ozzy.

- Dobra, bo kurwa, zaraz będzie ranek - powiedział szef. - Wybierz coś i wypierdalajcie, wódka już jest ciepła przez was.

Samantha uklękła przy torbie, w której było kilka pistoletów. Wybór nie był powalający, ale wszystkie wydawały się być w bardzo dobrym stanie. Znalazła względnie mały pistolet, wzięła go w dłoń. Wydawał się idealny.

- Chcę ten. Ile?

- Walther PP 9 mm. Przedziurawi z bliskiej odległości nawet kamizelkę kuloodporną. Ma również potężny odrzut. Strzelałaś kiedyś?

- Nie.

- Dobrze, dasz sobie radę. Kosztuje sześćset dolarów.

- Zgoda.

- A twój chłopak?

- Ja nie... nie uznaję broni. - odrzekł Rob.

- No tak, w końcu żyjesz w bajce. Po chuja ci broń.

Samantha wyciągnęła portfel i wyjęła siedemset dolarów, po czym wręczyła je szefowi.

- Sto dolarów ekstra za towar.

- Mam w dupie twoje sto dolarów, panienko. Wiesz, jak to obsługiwać?

- Poradzę sobie.

- Gdybyś jednak sobie nie poradziła... - Wziął od niej pistolet - To broń dla prawo- i leworęcznych. Tu zwalniasz bezpiecznik. - Pokazał jej, naciskając małą dźwignię. Tu jest przycisk od magazynku. - Nacisnął ponownie i magazynek spadł mu na dłoń. - Jego pojemność to piętnaście naboji. W zestawie masz ich sześć. Nie mam więcej obecnie na stanie.

- Wystarczy mi.

- Dobrze. Ubierzcie się i wynocha. Naboje masz gratis.

Ubrali się i gdy wychodzili, szef odezwał się ponownie:

- Jeszcze jedno. Włochaty, zakładasz tarczę. Twoja kolejka.

- Ale...

- Zakładaj, kurwa.

Ozzy wykonał polecenie.

- Stań pod ścianą. Panienko, rzucasz. Jak nie trafisz w tarczę, pijesz.

- Pojebało cię, łysy? - oponował Ozzy, lecz nim zdążył dokończyć zdanie, Samantha wzięła rzutkę i z całej siły rzuciła. Trafiła dokładnie w punkt. Włochaty, wysoki mężczyzna zawył z bólu, gdy strzałka utkwiała w jego udzie. Wybuchły kolejne salwy śmiechu. Sam wzięła butelkę i pociągnęła długi łyk, po czym udała się do wyjścia.

- Suka - zawył Ozzy.

- Niezła jest - powiedział Dolar, uśmiechając się pod nosem.

W telewizji zapowiadali ładną pogodę.

Usłyszeli szcęk otwieranego zamka, po czym łoskot zamykanych drzwi.

ROZDZIAŁ 18

O ile jeszcze dziesięć minut temu Samantha miała wątpliwości, teraz wszelkie zostały już rozwiane. Narkotyki działały z pełną mocą i czuła, że jest zdolna do wszystkiego. Broń, która chwilę temu wydawała się jej ciężka, teraz była dla niej jak zabawka. Wsiedli do auta.

- Słuchaj, ja... - zaczął Rob, lecz Samantha wiedziała, co chce powiedzieć i weszła mu w słowo:

- Zawieź mnie tylko na ulicę Rosenmary. To równoległa z ulicą, na którą muszę się docelowo dostać. Wiem, że chcesz zrezygnować, dlatego zostawisz mnie tam, a ja sobie poradzę z resztą.

- Jaki miałaś dokładnie plan?

- A co to za różnica? Po prostu zawieź mnie tam i rób swoje. Pomogłeś mi, na ile zdołałeś, rozumiem i szanuję to. Widocznie czas się już rozstać. Zachowaj te pieniądze, które masz. Potraktuj to jako premię i nagrodę za to, że nie zginąłeś dzisiaj i nie zsikałeś się w spodnie. Chociaż tego drugiego pewna nie jestem.

Trochę żałowała swojej oschłości, widziała, że się starał, jednak nie mogła nic poradzić na to, w jakim sama była stanie.

Po chwili ciszy Rob przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechali, nie odzywając się do siebie ani słowem. Samantha umieściła naboje w magazynku pistoletu.

• • •

Była za dziesięć dwudziesta i ruch na ulicach w centrum odczuwalnie się zmniejszył. Chociaż Rob jechał ze średnią prędkością, Samancie wydawało się, poruszają się na maksymalnie drugim biegu. Zamknęła oczy, spróbowała się uspokoić, jednak gdy tylko je zamknęła, złapała się na tym, że zaczyna nerwowo ruszać nogą. Wzięła głęboki oddech

i sięgnęła po komórkę. Ostatnie nieodebrane połączenie od Tony'ego było z czternastej pięćdziesiąt. Nacisnęła kilka razy w ekran, po czym przyłożyła słuchawkę do ucha. Usłyszała sygnał. Zauważyła, że Rob nie włączył ogrzewania i gdy chciała go za to skarcić (najmniej boleśnie, jak umiała) w słuchawce usłyszała głos:

- Tak, kochanie?

Zorientowała się, że była to jej najbliższa żyjąca na świecie osoba, chociaż jeszcze niedawno czuła się całkowicie samotna. Głos był ciepły i kojący. Przestała się ruszać i prawie wstrzymała oddech. Musiała wziąć się w garść. Otworzyła oczy i przełknęła ślinę.

- Witaj, Marie. Posłuchaj. - W tle słyszała delikatny harmider. Zapewne siadali z rodziną do kolacji. Zazdrościła im tego. Na odległość wyczuła ciepłe puree, jagnięcinę i herbatę z laską wanilii. A może cynamonem? Nie miała pojęcia, ale tak sobie to wyobrażała, żałując, że ona jest w tym momencie tutaj. Z nieznanym, pistoletem w dłoni, w zimnym, obskurnym aucie, jadąc na swoją egzekucję. - Chcę cię tylko poinformować, że muszę zrezygnować z twoich usług. Przyjedź jutro do mnie, masz klucze i znasz kod. Chcę, byś zabrała wszystkie rzeczy, które ci się przydadzą. Jestem pewna, że dobrze je wykorzystasz. Potraktuj to jako premię.

- Kochanie, zwolnij na chwilę. Poczekaj. - Sam usłyszała, jak upomina swojego syna albo wnuka, prosząc, by odłożył coś na swoje miejsce. Usłyszała, jak Marie przemieszcza się przez kuchnię i teraz w tle słyhać już było tylko ciszę. - Czy masz kłopoty?

Wyczuła ją, jakby była jej matką. Tego Sam nie chciała. Miała o nic nie pytać, to ma być formalna rozmowa, do cholery!

- Nie, Marie. Wyjeżdżam pilnie. Nic się nie stało.

Zobaczyła, jak Rob ukradkiem zerka na nią. Nie odpowiedziała mu wzrokiem.

- Och, moja Sammy. Dlaczego mi to robisz? Starszej kobiecie. Wiesz, że tak nie wolno? - Jej głos był jeszcze cieplejszy i choć miało to brzmieć jak żart, do oczu Sam napłynęły łzy. - Przyjedź do mnie, porozmawiamy na spokojnie, zjemy coś. Przyjedź, Sammy.

Sam czuła, jak kula w gardle blokowała jej zdolność mowy. Resztką sił powstrzymała się od wybuchu płaczu. Przed chwilą czuła determinację, teraz - już tylko smutek. Ponownie skarciła się w duchu.

- W razie czego nie widziałś mnie od dawna. Przyjdź do mieszkania po upływie trzech dni, nie wcześniej. Skasuj od razu ten numer. Dziękuję za wszystko.

Ledwo kończąc zdanie, rozłączyła się i odwróciła głowę. W samochodzie nadal było zimno, ale nie zważała na to. Czuła falę gorąca. Wyłączyła telefon. Za niecałe pięć minut powinni być na miejscu. Była pewna, że zamknęła już prawie wszystkie swoje sprawy. Została jej ostatnia.

• • •

Gdy dojechali na miejsce, Rob wciąż się nie odzywał.

Pickup zatrzymał się na wprost marketu z używaną odzieżą (co w przypadku niektórych z tych rzeczy było określeniem nad wyraz eufemistycznym).

Choć znała Roba tylko kilka godzin, zdążyła go na swój sposób polubić, chociaż sprawiał wrażenie dużego dziecka, opowiadając o super bohaterach i złych charakterach zasługujących na to, co ich spotykało w filmach. Z drugiej strony, patrząc na to, jak radził sobie w domu, nie rozumiała do końca, jakim cudem to była jedna i ta sama osoba. Z jednej strony naiwna, żyjąca w świecie fantazji, a z drugiej twardo stąpająca po ziemi pełnej przykrych, ciężkich zdarzeń.

Gdy miała już wysiadać, odezwała się do niego:

- Co się stało twojej mamie?

Odkąd wyszli z budynku, w którym nabyła broń, nie spojrział nawet na nią. Wiedziała, że czuł wstyd. Niepotrzebnie, pomyślała, ale dała sobie z tym spokój. Za chwilę wysiądzie z auta i nie zobaczą się już nigdy.

- Kogo musisz... zabić? - zapytał, ignorując jej pytanie i wciąż na nią nie patrząc.

Samantha dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi tego słowa. Zabić człowieka, jak to jest? Jeszcze nie wiedziała.

- Mojego byłego... współnika. To nieważne. Im mniej wiesz, tym lepiej, Rob. Składaj swoją kostkę Rubika. Dzięki.

Wyszła z samochodu i ruszyła wzdłuż ulicy, którą oświetlały szyldy okolicznych sklepów i światła pickupa Roba.

Po chwili skręciła w boczną uliczkę.

Dom Tony'ego mieścił się mniej więcej w połowie ulicy. Wiele razy była w pobliżu, lecz nigdy w środku. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak słabo go znała. Nie wiedziała o nim praktycznie nic, on zaś wiedział o niej prawie wszystko. Czują, jak buzuje w niej adrenalina. Zdała sobie sprawę z tego, że nie ma żadnego planu. Nie wiedziała, czy on w ogóle będzie w domu, chociaż o tej porze przeważnie już nigdy nie odbierał telefonu. Powinna go zastać. Czy miał rodzinę? Nie była pewna, ale chyba miał żonę i dzieci. Wiedziała, że nie powinna ich w to mieszać, ale z drugiej strony nigdzie indziej by go nie spotkała bez broni, a poza tym, jeżeli on wystawił ją niemal na pewną śmierć, to z jakiego powodu ona miałaby troszczyć się o dobro jego lub jego rodziny? Do tego wciąż pamiętała uderzenia, którymi obdarował ją JEGO znajomy. Wiedziała, że byli znajomymi. Wychwyciła to od razu z kontekstu jego wypowiedzi.

Była coraz bliżej, czuła, jak serce szybciej bije jej w piersi.

Wiedziała, że musi być precyzyjna i szybka. Nie mogła się zawahać ani sekundy. On by się nie zawahał.

Zbliżała się, zostało już tylko niecałe trzysta metrów. Minęła miejsca parkingowe, na których najczęściej się rozliczali. Nigdy nie pokazał jej swojego domu, lecz pewnego razu zrobił to przez przypadek, udając, że było to zamierzone. Ale nie było i oboje o tym wiedzieli.

Była tuż, tuż. Przeszła na drugą stronę ulicy, by schować się za żywopłotem. Dostrzegła zaparkowany przy ulicy samochód Tony'ego. Światła paliły się łącznie w trzech pomieszczeniach. Nie wiedziała dokładnie, ile było w środku osób. Wydawało jej się, że widzi dwie

postacie przez zasłony. Odruchowo wsadziła dłoń do torebki, w której wymacała broń. Poczekała, aż jakiś facet przejdzie z psem i ruszyła. Teraz albo nigdy, pomyślała. Minęła starą ławkę i sięgnęła za płot, po czym przekręciła klamkę. Pokonała kilka schodów i znalazła się przy drzwiach. Usłyszała damski głos. Założyła kaptur na głowę. Kiedyś wystawna dama do towarzystwa, dla której każdy centymetr ubioru był czymś ważnym, teraz wyglądała jak rabuś - niestarannie umalowana, w czarnej bluzie i z pistoletem w dłoni.

Nacisnęła klamkę, wątpiąc w to, że drzwi będą otwarte, a jednak ustąpiły. Wślizgnęła się do środka i zamknęła drzwi, przesuając powoli zamek. Usłyszała szcęknięcie. Po lewej stronie dostrzegła schody prowadzące na piętro. Na końcu korytarza po prawej stronie zapalone było światło i to stamtąd dochodziły głosy. Wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że nie ma w domu żadnego dziecka, po czym kończąc tę myśl, usłyszała głos dziewczynki. A może chłopca? Nie wiedziała.

- Tata wylał sos, tata to fajtłapa! - mówiła dziewczynka, a w tle słychać było śmiechy.

A więc byli tu we trójkę, chyba że na górze również było jakieś dziecko.

Podeszła na palcach do pokoju, z którego dobiegały głosy. Oparła się o ścianę i była już krok od progu. Wzięła ponownie głęboki wdech. Nie wiedziała, co ma zrobić. Przez myśl przeszła jej decyzja o odwrocie. Mogła mu to darować. Mogłaby spróbować żyć. I może poszłaby stamtąd, gdyby nie jedna, fatalna rzecz. Dziecko wybiegło z pomieszczenia i minęło ją, pędząc w kierunku schodów, po czym stanęło na środku korytarza. Sam czuła, jak pot spływa jej po plecach. Była z całej siły przyklejona do ściany. Patrzyła na dziewczynkę, która odwróciła się w jej kierunku i patrzyła na nią. Wiedziała, że musi działać, chociaż tego nie przewidywała. Szybkim krokiem doskoczyła do małej, jednak pisk wywołany strachem zdążył ją wyprzedzić. Samantha zaszła dziewczynkę od tyłu, przykładając jej broń do głowy,

gdy z pomieszczenia wybiegł Tony z żoną. Czuła, jak mała szybko oddycha.

- Tatusiu! - zawołała dziewczynka ledwo słyszalnym głosem.

- Do środka, oboje, albo odstrzelę jej głowę - powiedziała Samantha, czując o wiele większy spokój niż kiedykolwiek.

Posłuchali bez wahania. Samantha razem z małą również weszła do środka. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak zamożny był jej eks-szef. Salon był połączony z kuchnią. Wszystko było na błysk. Marmurowe blaty, idealnie czysty parkiet, laminowane meble. Stół w stylu wiktoriańskim, rzutnik telewizyjny, wielki jak minikino. Wszystko to robiło wrażenie, chociaż z zewnątrz wydawało się dość przeciętne.

- O Boże, proszę, puść Klarę, damy ci pieniądze, tylko puść ją - zastękała kobieta, widocznie matka dziewczynki, która teraz ze łzami w oczach uklękła na kolano, wyciągając rękę do córki. Mała zaczęła płakać, a Samantha poczuła jakiś odór i po chwili zorientowała się, że był to mocz małej.

- Samantha? - zapytał Tony spokojnym, lecz zdziwionym głosem. Wyglądał dość śmiesznie, miał na sobie kucharski, ubrudzony fartuch cały w cieście. Czuła woń spalonego oleju.

- Znasz ją? - zapytała kobieta, kierując pełen wyrzutu wzrok na Tony'ego, jakby tym samym chciała zapytać, jakim prawem wpuścił tego kogoś do domu. - Tony, kto to jest, do cholery? Dlaczego trzyma naszą córkę? - Kobieta wpadała w panikę. Była młoda, miała może dwadzieścia pięć lat. Szczupła i zadbana, nawet w domowym ubraniu prezentowała się dostojnie. Falowane, blond włosy chociaż w nieładzie, prezentowały się wyjątkowo świeżo.

- Zamknijcie się wszyscy, siadać na krzesła! - wrzasnęła Samantha, co pośpiesznie wykonali. - Ty, wyłącz najpierw kuchenkę - nakazała blondwłosej gospodyni. Popatrzyła Tony'emu w oczy, dostrzegła jego zimny, stalowy, niewzruszony wzrok. Wiedziała, że musi się bać, ale nie da tego po sobie poznać, bez względu na to, przy czyjej skroni pistolet by się nie znalazł.

- Samantha, nie mieszaj w to mojej córki, puść ją i porozmawiajmy spokojnie. Wiesz, że ona nie ma z tym nic wspólnego - powiedział Tony.

Rozdygotana kobieta wyłączyła kuchenkę i usiadła z powrotem na krześle.

- Proszę, puść Klarę, proszę... - stękała bezsilnie, co tylko jeszcze bardziej rozżłościło Samanthę.

Trzymała dziewczynkę o imieniu Klara za szyję, celując jej pistoletem w tył głowy. Mała nie widziała broni i Sam czuła, że bardziej boi się reakcji matki, niż zdaje sobie sprawę z tego, iż jej życie jest w tym momencie zagrożone.

- Tony, może wyjaśnisz swojej żonie, dlaczego celuję waszej córce w głowę? Będziesz tak dobry? Chciałabym, abyś ty to uczynił.

Oczy Tony'ego sprawiały wrażenie spokojnych, jednak Samantha widziała w nich gniew. Nieokiełzaną furię. Tego się nie spodziewał i dlatego był tak zły. Jego żona patrzyła teraz na niego, ocierając z oczu łzy.

- Tony? - załkała blondynka. - Co to ma znaczyć? Kim ona jest?

Zapadła cisza, nie licząc odgłosu pochlipywania dziewczynki.

- No Tony - ponagliła Samantha. - Powiedz, to kurwa!! - wrzasnęła. Teraz ona czuła gniew. - Powiedz, kurwa, jaki wyrok na mnie wydałeś! No mów, śmiało, skurwysynu!! - Teraz Samantha wycelowwała w niego, odbezpieczając broń. Tony nie drgnął.

- O czym ona mówi, Tony? Co tu się dzieje na litość boską? - krzyknęła zrozpaczona kobieta.

- Nie wiedziałem, że tak wyjdzie - odparł po chwili Tony.

- Nie wiedziałeś? On mówił coś innego. Wiesz, co mi zrobił? Obiecałeś mnie chronić, a gdzie wtedy byłeś? Pytam, kurwa, gdzie byłeś?! - wrzeszczała Sam i teraz jej oczy napełniły się łzami.

Dziewczynka rozplakała się, a wtedy matka wstała, ale Sam natychmiast skierowała pistolet w jej stronę, więc ta się cofnęła, również wybuchając płaczem.

- Nie wyglądasz na poszkodowaną, Sam - odrzekł Tony.

- Nie masz pojęcia, co się stało. Co wtedy robiłeś, Tony? Co robiłeś, gdy on mnie gwałcił? Kiedy dusił mnie, aż mdlałam? Kiedy bił mnie, nazywając zepsutą dziwką? Co robiłeś, kiedy dławiałam się swoją własną krwią? Piekłeś naleśniki? Pytam, co kurwa, robiłeś?! - wrzasnęła Samantha.

Kobieta patrzyła teraz zdezorientowana to na Sam, to na Tony'ego.

- Zresztą wiesz, to już nieistotne, Tony... - powiedziała Sam, przecierając oko dłonią, w której trzymała pistolet. Jego rękojeść była mokra od potu. - Ktoś z nas musi tutaj umrzeć.

- Błagam, nie rób tego, błagam... - szlochała matka dziewczynki.
- Wypuść moje dziecko, proszę.

Samantha uklękła i obróciła w swoją stronę załzawioną twarz dziewczynki. Mała wzrok wbijała w podłogę, jej włosy pozlepiane były na policzkach od płaczu.

- Klara, popatrz na mnie.

Dziewczynka wciąż bała się spojrzeć, więc Sam delikatnie ujęła jej podbródek i skierowała w górę, aż spotkały się wzrokiem.

Dziewczynka oddychała szybko.

- Siadaj, kurwa! - wrzasnęła nagle Sam, celując w stronę matki, która próbowała przedostać się w stronę blatów, po czym usiadła gwałtownie na miejscu.

- Powiedz mi, Klara, masz jakieś zabawki w swoim pokoju?

Dziewczynka nieśmiało pokiwała głową.

- Jakie są twoje ulubione?

- Myszka Miki - odrzekła mała drżącym głosem.

- Dobrze. Tak myślałam, gdy zobaczyłam twoje spinki z tą myszką - powiedziała Sam, gładząc ją po włosach. - Też kiedyś lubiłam Myszka Miki, gdy byłam taka mała jak ty. Przykro mi, że musiałaś być świadkiem tych wydarzeń. Pobiegnij teraz do swojego pokoju i zostań tam, dobrze? Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami. Biegnij, no już.
- Poklepała ją po plecach i mała pobiegła po schodach na górę.

- Dziękuję ci - powiedziała blondynka głosem, w którym słycać było wdzięczność i ulgę.

- Nie masz za co - odrzekła Samantha.

Klara schowała się pod łóżkiem ze swoim ulubionym misiem. Nie pamięta już, ile minęło czasu, zanim rozległy się trzy szybkie, ogłuszające strzały. Ponownie zaczęła płakać, kurczowo przyciskając pluszową Myszkę Miki.

ROZDZIAŁ 19

Gdy Stephen, jeszcze w szlafroku, zszedł na dół, zobaczył, że kanapa, na której spał Eddie, jest pusta, a koc niedbale rzucony na podłogę.

Było jedno miejsce, w którym ten stary wielkolud mógł być, toteż Stephen udał się na taras. Tak jak myślał, Eddie już palił cygaro, leżąc w hamaku.

- Obiecałeś mi, skurwysynu, że zaczekasz - przywitał się z nim Ed.

- Co ci zaś dolega - odpowiedział na przywitanie Stephen, po czym usiadł obok Eda i wyciągnął mu z kieszeni cygaro - oprócz tego, że nie masz pół twarzy?

- Mówię o wilkach. Mieliśmy to zrobić razem.

- Więc skąd wiesz, że ich nie ma, jesteś już ubrany, i nie śpisz na moje oko dobrą godzinę? - odrzekł Stephen, odpalając cygaro zapałkami, które leżały obok Eda. Pamiętał, że Eddie od zawsze używał zapałek, twierdząc, że zapalniczki do cygara pasują jak cola do whisky.

- Może po prostu odpowiedz mi na pytanie - powiedział Eddie.

- Właśnie w tym problem - odparł Stephen, zaciągając się cygarem. - One zniknęły.

- Zniknęły - Ed powtórzył to słowo, jakby nie znał jego znaczenia.

- Czyli chcesz mi powiedzieć, że zatrudniasz tu zwierzęcego grabarza, który stwierdził, że zrobi ci niespodziankę i zakopie przez noc truchła?

- Chcę przez to powiedzieć, że zniknęły jak twoje oko pod warstwą napuchniętej skóry. I o ile na ten przypadek mam jakieś wytłumaczenie, o tyle na sprawę wilków nie. A wyglądasz paskudnie.

- Dzięki, ty też jesteś w niezłej formie.

- Ed, jest jeszcze coś.

- No?

- Wczoraj, przed tym, jak pojechałem ratować twoje wielkie dupsko, wyszedłem sprawdzić jeszcze raz miejsce, w którym zakopaliśmy Scarlett. Problem w tym - ciągnął Stephen, ponownie zaciągając się dymem - że po pierwsze, już wtedy nie widziałem wilków, a było to może pół godziny później. Kto zdążyłby wynieść ich ciała tak szybko? Ale znacznie dziwniejsze było to, że... nie było śladów tego starego gościa, którego widzieliśmy. A Katie nie słyszała w ogóle naszej rozmowy z nim, chociaż była na głośnomówiącym. Powiedziała, że słyszała tylko ciszę w słuchawce i przez chwilę jakby nie miała z nami kontaktu. Nie przypominam sobie, byśmy pili wczoraj tyle alkoholu, żeby się nam to wydawało, prawda? Było coś jeszcze. - Stephen zrobił pauzę, zastanawiając się. - Gdy dotknąłem jego dłoni... poczułem coś dziwnego. Wtedy, gdy odpalałem mu papierosa... jego oczy, były jakieś... nie wiem, Ed, kurwa, nie jedno w życiu widziałem, ale te oczy były oczyma demona.

Nastąpiła krótka cisza, Eddie i Stephen wpatrywali się w las. Gdy Stephen chciał się odezwać, Eddie wszedł mu w słowo:

- Gdy wracałem od was, miałem wrażenie, że widziałem go tuż przy zjeździe, ale nie byłem pewny. Zobaczyłem też Scarlett, nim zadzwoniłeś.

Usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi na taras, z których wyłoniła się Katie.

- Za chwilę wrócę do łóżka, kochanie. Gadam tylko z naszym kolegą - powiedział Stephen.

- Cholera, Eddie, co ci jest, na Boga? - Dotknęła dłonią jego policzka, który miał teraz barwę dojrzewającej śliwki.

- Wejdz do środka, muszę zrobić ci okład, chociaż pewnie jest już za późno. I bez sprzeciwu - rozkazała Kate.

- Wujek! - krzyknęła Amy wciąż w piżamie, wskakując mu na kolana.

- Ho, ho, jest i młoda dama! Jak się dzisiaj miewasz, księżniczko? - rzekł Eddie, przytulając do siebie Amy.

- A ty, księżniczko, do domu, jesteś tylko w piżamie. Wszyscy natychmiast do środka, jesteście gorszymi dzieciakami niż ta mała tutaj, każdy z was dostanie zaraz solidny opieprz - powiedziała Katie, otwierając drzwi od tarasu i czekając, aż cała trójka wejdzie do środka.

- Opieprz - powtórzyła Amy, małpując mamę i gestykułując rękami, jednak natrafiła na jej lodowate spojrzenie i uległa.

- A wy na co się tak gapicie? - powiedziała Katie do dwóch mężczyzn palących cygara i wlepiających w nią tępo wzrok. - Do środka. Zapalicie, jak się ubierzecie.

Weszli posłusznie.

- Duży, na kanapę. A ty, panie Abrams, zaparz swojej żonie kawę.

- Chyba królowej - powiedział Stephen, mrugając do Amy, która od razu zaczęła naśladować bardziej zombie niż królową.

Katie wzięła z zamrażarki lód i przyłożyła Eddiemu do policzków, rozpalonych i coraz bardziej sinych.

- Wujku, co ci się stało? - zapytała Amy, dotykając jego twarzy.

- Upadłem pod prysznicem, kochanie.

- Tak, wujek z tatą często upadali pod prysznicem - skwitowała Katie. - Do tego wujek ma gorączkę i powinien odwiedzić lekarza.

- My mamy specjalne coś na podłódze, co sprawia, że nie można się poślizgnąć - powiedziała dumnie Amy.

- Maty antypoślizgowe - poprawiła ją Katie.

- Wiem, mamusia mi pokazywała kiedyś - odrzekł Eddie.

- Jesteś głupi, Ed. Razem z tym drugim starym, który do dzisiaj nie wie, jak włączyć ekspres do kawy. Nie muszę nawet patrzeć tam, żeby to wiedzieć. Zginęlibyście beze mnie.

- To jest zimne - powiedział Eddie, marszcząc brwi.
- Trzeba było wczoraj o tym myśleć - odrzekła Kate.
- Mamo, ja wiem, jak włączyć ekspres - powiedziała Amy.
- To pokaż tacie, zróbcie trzy kawy, a potem leć na górę się ubrać.

Tylko włóż ciepłe ubranie, bo jedziemy dzisiaj do babci, a po południu pogoda może być znacznie gorsza.

ROZDZIAŁ 20

To była kolejna udana noc dla Rose. Dokładnie trzecia, odkąd zobaczyła tajemniczą dziewczynkę za oknem. Koszmary ustały, przynajmniej na razie. Jednak stało się coś innego, równie strasznego, i chociaż starała się wyprzeć tę możliwość z głowy, udawało się jej to z marnym skutkiem. Dzisiaj mieszkańcy zaczną plotkować, chociaż stary Willis jeszcze nie ostygł po śmierci. Jednak musiała potwierdzić jedną ważną dla niej rzecz. Wszystko wskazywało na to, że Willis zabił się o godzinie, w której ona zobaczyła tę... istotę? Zjawisko? Nie wiedziała nadal, co o tym sądzić, ale czy to było możliwe, że ta dziewczynka... Nie. To nie ma sensu. Po co w takim razie napis na szybie? A jeśli jej się to śniło? Rankiem szyba była czysta, choć przepalone latarnie były faktem. Z tym wyjątkiem, że one padają często, a do tego teraz te temperatury nie ułatwiały im sprawy. Postanowiła nie myśleć o tym w tej chwili.

Dzisiaj odwiedzić miała ją jej rodzina na czele z zadziorną, ukochaną wnuczką i gdyby nie pogrzeb jej sąsiada, dzień ten byłby idealny.

Był kwadrans po siódmej, kiedy wstała z łóżka. Zdążyła rozmrozić kurczaka, przygotować formy do ciasta i zrobić listę zakupów, którą miała wręczyć Michaelowi.

Michael, choć czarnoskóry, był dla niej jak brat. Nie wiedziała, dlaczego pomimo swojego wieku służył jej pomocą na każdym kroku. Poczciwy mężczyzna, perełka pośród zgliszczy świata. Perełka, jaką teraz tak trudno znaleźć.

Do pogrzebu pozostała jej ponad godzina. Lubiła punktualność. Tego zdążył nauczyć ją Charles.

Podjechała do łazienki na swoim wysłużonym wózku i sięgnęła po grzebień. Zaczęła szcztokować swoje wysłużone niczym wózek siwe włosy. Chciała wyglądać jak najlepiej, jednak nie robiła tego dla siebie. Czuła, że tego chciałby jej zmarły mąż. Gdyby nie ten podświadomy motor napędowy, uruchamiany w trybach awaryjnych, pewnie darowałyby sobie wiele z codziennych czynności życiowych. Najgorsze były poranki i noce. Wciąż jednak miała rodzinę, dla której musiała być wsparciem.

W święta dom Rose wypełniała cisza, więc na ogół zawsze włączała radio. Dzisiaj jednak nie zniosłaby wigilijnych kolęd. Zamiast radości, przyniosłyby jej smutek i roztargnienie. Cisza była neutralna. Dawła wybór. Poza tym cokolwiek plotki nie mówiły o Willisie, jego śmierć była okropna i przykra. Nie chciała iść na ten pogrzeb. Nie chciała widzieć tej części świata, która została wzniesiona przez ręce jej i Charlesa. Nie chciała widzieć tych wszystkich ludzi, ich spojrzeń i nieuzasadnionych wyrzutów. Nie chciała współczucia i ciągłych, głupich pytań: „Czy dajesz sobie jakoś radę?” lub „Jak ci pomóc, biedna Rosie?”. Nie znosiła tego, owszem, lecz najbardziej nie chciała usłyszeć o „sprawiedliwości boga i jego miłosiernej łasce”. Wiedziała jednak, że jej nieobecność spowodowałaby kolejną lawinę pomówień, a do tego istniała możliwość, a to było najgorsze – że co niektórzy zaczną sprawdzać, co u niej, motywując to „troską”, której bardziej odpowiednim synonimem była raczej „ciekawość”. Tak więc wolała to mieć z głowy. Zresztą wielebny Jacob szybko się uwijał z nabożeństwami. Tak mówili w miasteczku.

Gdy odkładała szcztokę na miejsce, mając zamiar poszukać spinek, usłyszała pukanie. Podjechała do okna, przy którym wcześniej stał wazon (który wylądował roztrzaskany w śmieciach) i dostrzegła wielebnego Jacoba, o którym przed kilkoma minutami rozmyślała. Niebo było pochmurne. Zastukała w szybę i uśmiechnęła się, dając mu znak, że widzi go i zmierza do niego (co było procesem dość

długim), on zaś tylko na nią patrzył. Wyglądał dziwnie. Był zamyślony i jakby przestraszony. Była zdziwiona, tym bardziej że za godzinę miał wygłosić kazanie i pochować Willisa. A jeśli Rose dobrze widziała, ubranie, w którym przyszedł, nie było zbyt odpowiednie na żegnanie człowieka.

Po niecałych trzech minutach otworzyła drzwi. Przyjrzała się dokładniej twarzy Jacoba, która oprócz strachu wyrażała jakąś ... konsternację. Na jego gładkiej jak na swój wiek, chłopięcej twarzy widoczne były także oznaki sporego zmęczenia. Długie, gęste, ciemne włosy opadały bezwładnie na kołnierz i ramiona. Wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka. Był szczupłym, wysokim mężczyzną o ciemnej skórze. W miasteczku pełnił funkcję wielebnego, odkąd Charles i ona skończyli swoją posługę.

- Witaj, Jacobie! - Ponowiła swój uśmiech, najlepszy, na jaki było ją w tym momencie stać i zaprosiła go gestem ręki do domu. - Wejź.

- Co cię tu sprowadza na godzinę przed pogrzebem? Usiądź w pokoju gościnnym. Czego się napijesz?

- Witaj, Rose. Ja... - zaczął, po czym zmieszany przestąpił na drugą nogę. Po chwili wahania przestąpił przez próg domu i wszedł do salonu.

- Ty... masz niebawem pogrzeb. To wiem na pewno - rzekła Rose, jednak widziała, że sprawa jest poważna, bo ten nawet nie silił się na uśmiech.

- Ja nie mogę odprawić dzisiaj nabożeństwa, Rose - powiedział w końcu mocno zmieszany Jacob, siadając na kanapie.

- Jak to? - zapytała Rose, zatrzymując wózek naprzeciw niego. Teraz widziała, jak bardzo był zmarnowany. Nieogolony i nieuczesany, przypominał bardziej opętanego szamana aniżeli pastora. Był nerwowy i nadpobudliwy, co chwilę wzrokiem to patrzył na Rose, to uciekał na boki. Wyglądał jak szaman, w dodatku po zażyciu kokainy.

Jacob pocierał intensywnie skronie, jakby cierpiał na migrenę. Rose odczuła niepokój.

- A teraz powiedz, o co chodzi.

- Jak długo się już znamy? Osiem lat? - wypalił nagle wielebny.
- Myślę, że coś koło tego.
- A więc znasz mnie. Ufasz mi?
- Oczywiście.

Wielebny oparł się o sofę i zamknął oczy.

- Co się stało, Jacob? - przerwała ciszę Rose.

- Wczoraj po nabożeństwie wydarzyło się coś dziwnego. Wszyscy łącznie z kościelnym już wyszli. Lubię wtedy być sam i pomyśleć jeszcze, pomodlić się w ciszy. To znaczy lubiłem. Gdy skończyłem czyścić kielichy na zapleczu, poszedłem uklęknąć przed ołtarzem. Było już późno, zawsze zamykam kościół sam. Jak zawsze zapaliłem tylko kilka świec, gasząc światła. - Jacob przerwał i rozpiął kurtkę, jakby ta go uwierała. Rose widziała, że próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- W każdym razie zacząłem się modlić wśród kompletnej ciszy, kiedy usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Pomyślałem, że może któryś z wiernych zostawił coś w ławce, więc kontynuowałem modlitwę. Jednak po chwili zorientowałem się, że nie słyszę żadnych kroków, więc spojrzałem za siebie. Było ciemno, ale dostrzegłem sylwetkę mężczyzny, który stał i patrzył na mnie. Zapytałem więc, czego potrzeba.

- I co odpowiedział? - zapytała Rose, która żałowała, że otworzyła drzwi temu człowiekowi i czuła, że cały ten dzień będzie cięższy, niż przypuszczała.

- „Wiary, ojcze. Wiary ci potrzeba”. Tak powiedział, po czym podszedł do mnie i uklęknął obok. Był taki... Nie wiem, jak to określić. Gdy patrzyłem na niego, czułem spokój i słuchałem jego głosu, czułem się... bezpiecznie. Rozmawialiśmy.

- O czym? - zapytała Rose, udając obojętność.

- O wielu sprawach. Głównie o Bogu i jego miłości. Zadziwiło mnie to, jak dobrze znał Pismo Święte. Sprawiał wrażenie, jakby sam był pastorem. Gdy tak rozmawialiśmy, wszystko było w porządku, aż nagle... - Jacob zrobił pauzę, wstrzymując oddech, a jego oczy

ponownie wyglądały na zmęczone i beznamiętne, wyzute z entuzjazmu i radości. Nagle spytał, czego nigdy bym nie wybaczył Bogu. - Znow zapadła cisza i Jacob nerwowo poruszał nogą.

- Co odpowiedziałeś?

- Odpowiedziałem, że nie ma takiej rzeczy - odparł po chwili wielebny. - Bo Bóg wybaczyłby swoim dzieciom wszystko.

- I co się stało potem? - drążyła Rose, czując opór z jego strony. Nie miała pojęcia, co mogło nim tak wstrząsnąć.

- Potem wyciągnął w moim kierunku dłoń. Spojrzał na mnie i wiem, że pytał. To znaczy nie pytał, bardziej to ja usłyszałem to pytanie w głowie. Zapytał, czy chcę zobaczyć coś prawdziwego. Po chwili zastanowienia chwyciłem jego dłoń. - Jacob ponownie energicznie pocierał skronie i kiwał się nerwowo na siedzeniu. Rose zauważyła, że był bliski płaczu.

- Co się stało potem? - zapytała ponownie Rose, lecz jej głos przeszedł w półszepot.

- Zobaczyłem to - powiedział wielebny, jakby żałował, że musi cokolwiek mówić. Był na skraju załamania. - Zobaczyłem, jak Willis topił dziecko w rzece. To znaczy widziałem tylko jego nóżki, panicznie wierzgające na... Ja... Rose, on tam był, Willis, czułem nawet zapach drzew, to było...

Zapadła cisza, a Rose trawiła słowa wielebnego, po czym w końcu zapytała:

- Co się stało potem?

- Zacząłem płakać. Rose, ja... ona... ona wciąż była żywa... - Jacobowi zbierało się na szloch i Rose już była pewna, że namówienie go, by jednak kontynuował pogrzeb, będzie rzeczą prawie niemożliwą.

- Jacob, posłuchaj. Może miałeś po prostu zły sen lub byłeś zmęczony, ale weź się w garść. Wiem, że to niełatwe i niech ten twój Bóg będzie mi świadkiem, że nie chce mi się tam iść równie mocno jak tobie, ale musimy. Ty i ja. Wyklep po prostu tę swoją formułkę,

a potem przyjdziemy tutaj i opróżnimy kilka kieliszków. Zgoda? Będę tam z tobą, nie obawiaj się niczego.

- To nie był sen, TO NIE BYŁ SEN, ROSE! - krzyknął i po chwili schował twarz w dłoniach, jakby żałował tego wybuchu.

Rose położyła rękę na jego ramieniu. Poczula, jak jest spięty. Zaczął szlochać.

- Obiecuję ci, że po mszy wrócimy tutaj, napijemy się i porozmawiamy, ale proszę, zrób to dla mnie. Odpraw tę mszę.

Nie wierzyła, że się zgodzi, jednak po chwili wahania mężczyzna pokiwał głową. Wyglądał jak dziecko, które przekupione cukierkami, dało się namówić na wizytę u dentysty.

- Dziękuję. - Rose cofnęła rękę, a Jacob nagle objął ją mocno i trzymał w uścisku przez chwilę.

- To ja dziękuję - powiedział Jacob, po czym wstał i skierował się do drzwi. - Pójdę się przebrać - rzekł przepełniony wstydem i zniknął za progiem salonu.

Rose popatrzyła na swoją dłoń, która drżała na oparciu wózka.

ROZDZIAŁ 21

Michael pojechał na zakupy, a taksówka (dla niepełnosprawnych, która musiała pokonać prawie czterdzieści kilometrów w jedną stronę, gdyż z takimi był w tym zapyziałym miasteczku problem) przywiozła Rose za pięć jedenasta na parking przy kościele, który już pękał w szwach, głównie za sprawą uczniów lokalnych szkół. Wiele z tych dzieciaków to dawni podopieczni Willisa. Rose zgadywała, że nie przyszli z własnej woli i nie dziwiła się im zbyt. Młodzi powinni cieszyć się młodością, a nie patrzeć na śmierć. Jeszcze się jej naoglądają.

Nie była pewna, czy Willis faktycznie weźmie się w garść, nie była pewna też, czy nie zwariował. Z drugiej strony dziewczynka na tej ulicy i śmierć Willisa w tym samym dniu to byłby zbyt duży zbieg

okoliczności. Można by sądzić, że ktoś tu zwariował. W takim wypadku sama mogłaby ubiegać się o zapis do kółka dla obłąkanych.

Miły, choć gadatliwy taksówkarz pomógł jej wysiąść z auta. Nie minęło pół minuty, gdy usłyszała kroki pierwszych troskliwych osób. Gdybym tylko miała nogi, już bym stąd zniknęła, pomyślała Rose. Jedyne, co jednak mogła zrobić, to zaczekać z uśmiechem na ustach, aż jej znajome dopadną ją niczym hieny zranioną gazelę. Dała napiwek taksówkarzowi (który bardzo się starał, by go dostać) po czym ruszyła z wolna w stronę Trishy Gold, jej siostry Becky oraz męża Richarda. Z tej trójki najbardziej lubiła właśnie jego, gdyż on sam, podobnie jak Rose, nie znośił słuchać swojej żony.

- Rose! Gdzieś ty się podziewała, skarbeńku? - Trisha podbiegła do niej dość sprawnie, udając, jakby ją to obchodziło.

„Skarbeńku”. Tym określeniem Trisha zwykła nazywać wszystkich mieszkańców (no może prócz własnego męża).

- Tam, gdzie zawsze, Trish. Nie przeprowadziłam się jeszcze.

Rose uważała, że ludzie inteligentni operują sarkazmem oraz przede wszystkim umieją go wychwycić, jednak z całą pewnością do tych osób nie należała Trisha. Były w tym samym wieku. Od lat młodzieńczych zresztą Rose i Trisha, choć znały się doskonale, nigdy nie znalazły wspólnych tematów do rozmowy.

- Słyszałaś o biednym Willisie? - zapytała Trish, przybierając smutną pozę, jednak Rose doskonale wiedziała, jak brzmiało prawdziwe pytanie, a brzmiało ono: Czy znasz jakieś nowe, aktualniejsze plotki na temat jego śmierci. Poza tym, do jasnej cholery, jak mogła nie słyszeć, skoro jest na jego pogrzebie.

- Podobno - wtrąciła się tym razem Becky, która wyglądała jak modelka ubrana przez Pradę, tylko trzydzieści lat po czasie świetności - koroner nie mógł pozbiierać odcisków palców, wszędzie była krew. Poświęcił dzieciom całe swoje życie, to okrutne jak skończył. Nie zasłużył na to. - Becky sięgnęła po chusteczkę i teatralnie otarła oczy, chociaż Rose zauważyła, że daleko jej było do choćby jednej łzy.

- Richard, mógłbyś coś powiedzieć, a nie stać jak posąg, człowiek umarł. - Powiedziała Trish, karcąc wzrokiem męża i gdy ten w końcu chciał się odezwać, od razu mu przerwała: - Chodźmy, lada moment zacznie się, Richard. pomóż Rose. Richard, słysząc to, machinalnie podszedł pomóc Rose. Jak robot, pomyślała. Jak cholerny, posłuszny robot.

- Nie trzeba, Richard, dziękuję, na szczęście ręce mam sprawne.

Richard stanął w połowie drogi i pogładził węża. Ruszyli w stronę drzwi. Rose знаła większość twarzy oprócz młodych. Prawie wszyscy chodzili na nabożeństwa za czasów Charlesa. Wielu z nich próbowało złapać z nią kontakt wzrokowy, ale ona obrała jeden punkt, w który patrzyła by uniknąć kolejnych krępujących sytuacji.

Gdy przedarli się przez tłum, zajęli miejsca w ostatnim rzędzie bez miejsc siedzących. Tak jak podejrzewała Rose, trumna była zamknięta, by oszczędzić ludziom widoku zmasakrowanego ciała Willisa. O ile wiedziała, ciało znaleziono w średnim etapie rozkładu.

Rose spojrzała na zegarek, było już sześć po jedenastej. W świątyni panowała względna cisza, Jacob się nie zjawiał. Rozejrzała się po kościele, który bardziej przypominał wielką katedrę. Zobaczyła ogromny krzyż, który wiele razy widziała w swoich snach. To pod nim widziała mężczyznę, który jeszcze z nią nie rozmawiał, ale skutecznie wysysał siły z jej duszy. Kościół nie zmienił się zbyt wiele, odkąd odeszli z niego z Charlesem. Te same witraże w oknach, ławki z sosnowego drewna, odświeżone śpiewniki. Z drewna wykonano większość elementów wykończenia, co nadawało temu wnętrzu wyjątkowej lekkości. Między ławkami w równych odstępach stały wysokie świeczniki, które jesienno-zimową porą zdobiły zapalone świece zapachowe i kadzidła. Świece emitowały wiele światła i ciepła, co w tamtych czasach pozwoliło im zaoszczędzić trochę pieniędzy. Nadawało to także temu miejscu niepowtarzalny wręcz klimat. Prostota, funkcjonalność i elegancja. Cały Charles.

- Nigdy jeszcze nie przyszedł punktualnie - powiedziała Trish do Becky, nawet nie starając się zachować dyskrecji. - To pogrzeb, na

miłość boską, co on wyprawia?

Rose dostrzegła ogólne zniecierpliwienie wśród zebranych. Początkowe szepty przechodziły w coraz głośniejsze rozmowy. Dostrzegła również była żonę Willisa, siedzącą w drugim rzędzie z osobą towarzyszącą, prawdopodobnie z nowym mężem. Nigdy nie było jasne, dlaczego się rozstali. Pomimo podeszłego wieku jej włosy były wyjątkowo zadbane. Zbliżała się godzina jedenasta czternaście, gdy wnętrze kościoła wypełniło się dźwiękami organów. Wszyscy prócz Rose wstali. Nienawidziła tego momentu. Dostrzegła wychodzącego zza ambony Jacoba. Szedł z głową pochyloną w dół i do końca wstępnej melodii wlepił wzrok w otwarte Pismo Święte. Wyglądał gorzej niż z rana, kiedy był u Rose. Miał podkrążone oczy i nadal nieuczesane włosy. Wiedziała, że Trish zdążyła zanotować ten fakt szybciej niż ona.

Gdy organista skończył grać, ludzie usiedli na swoich miejscach. Ponownie zapadła cisza. Po chwili wielebny podniósł głowę znad mikrofonu, rzucając przybyłym krótkie spojrzenie.

- Zebraliśmy się tu, aby oddać cześć George'owi Willisowi, który dwa dni temu odebrał sobie życie.

Gdy wielebny mówił, ktoś wszedł przez wahadłowe drzwi i w sali rozległ się stukot butów. Chociaż od momentu, gdy przejechała przez próg kościoła, słyszała wiele odgłosów obcasów niosących się na całą katedrę, ten stukot był jej znany. Stuk, stuk, stuk... Bardzo wolny, choć pewny siebie krok. Wiedziała, że był to krok dorosłego mężczyzny. Patrzyła przed siebie, modląc się w duchu, by mężczyzna nie przeszedł obok niej. Stukot ucichł i czuła, że przybysz stoi w drugim rzędzie, sąsiadującym z jej, trochę za nią.

- ...módlmy się - rzucił wezwanie Jacob, po czym zabrzmiały organy, a wszyscy uklękli.

Po krótkiej modlitwie Jacob nakazał wszystkim usiąść. Zapadła cisza. Rose zdobyła się na odwagę i odwróciła głowę w kierunku mężczyzny, po czym odetchnęła z ulgą. Mężczyzna posturą przypominał tego ze snów, jednak oprócz tego twarz miał całkiem

zwyczajną, nie przypominała sobie, żeby go wcześniej widziała. Może był dalekim krewnym? Może bratem Willisa? Chociaż to nie miałyby sensu, gdyż jego rodzina, a raczej ta umowna, siedziała z przodu. Rose odwróciła wzrok i spojrzała na trumnę. Na szczęście Jacob trzymał się, mowa pożegnalna szła mu całkiem nieźle. Chciała być już w domu, zacząć piec dla Amy jej ulubione ciasteczka. Kate będzie miała obiekcje, a Stephen razem z jej wnuczką i Rose przeciwstawią się siłą trzech do jednego. To samo co roku. Rose poczuła się lepiej. Mimowolnie znów odwróciła się w stronę mężczyzny, który nadal wsłuchiwał się w słowa wielebnego. Zauważyła, że chociaż mógł usiąść, z niewiadomych przyczyn wolał stać z dłońmi splecionymi przed sobą. Był elegancki, a jego postura nienaganna. On... nie pasował tutaj. Nie wiedziała dlaczego, ale tak było.

Odwróciła wzrok i w tym momencie nastąpiła fala dziwnych zdarzeń.

- Pan George był cichym i spokojnym człowiekiem, który... - Jacob urwał w połowie zdania, a na jego twarzy pojawił się grymas... obrzydzenia? Rose nie była pewna, ale czuła, że coś się stało.

- ...który... - starał się ciągnąć Jacob, chociaż jego głos był coraz mniej pewny - który lubił dzieci. - Dokończył zdanie, lecz teraz diametralnie zmieniła się jego twarz. Na jego twarzy zdawało się malować zadowolenie. Uśmiechnął się. - Lubiał dzieci. Przede wszystkim jednak... Lubiał trzymać je za rączki, choć nie tylko - powiedział Jacob, uśmiechając się przy tym i mrugnął okiem, a kościół wypełnił nagle gromki szepot i poruszenie. Część starszych dzieciaków zaczęła chichotać. Rose odwróciła się w stronę mężczyzny i zamarła. Zobaczyła, jak mężczyzna porusza ustami, wiedząc dokładnie, co powie Jacob. I również się uśmiechał.

- Uwielbiałem tego człowieka! - krzyknął teraz w pełni uradowany wielebny i klasnął w dłonie. - Był prawdziwym Bożym objawieniem w tym kurewsko smutnym miasteczku! - Jacob teraz zaczął się głośno śmiać, a ludzie wstawali poruszeni ze swoich miejsc, kierując się w stronę wyjścia. - Jednak zanim pójdziecie, ogłoszę wam

najnowszą nowinę. Oto jestem. – Tym razem powiedział to cicho i rzeczowo. – A jedyne, co wam przyniosę, to ból i cierpienie. – Wybuchnął śmiechem, zachowywał się jak opętany. Śmiał się zgięty w pół, trzymając się za brzuch.

Rose patrzyła to na Jacoba, to na mężczyznę, który jako jedyny stał nadal na swoim miejscu i teraz ponownie spojrzał na nią.

– BÓL I CIERPIENIE!! – wrzasnął Jacob i teraz ludzie prawie biegli do wyjścia, blokując jej drogę. Rozejrzała się wokół, ale Trish nigdzie nie było. Zamęt był ogromny, piskliwy dźwięk i sprzężenie mikrofonu powodowało ból w uszach. Teraz rozumiała. Te sny działały się zawsze w tym miejscu. Ból w uszach, chaos. Liczyła na to, że to tylko sen. Gdzieś z przodu usłyszała wrzask i płacz dzieci. Z ust Jacoba popłynęła krew. Zakrztusił się i kaszlnął, a krew trysnęła na trumnę poniżej. Teraz ludzie uciekali, taranując ją. Mężczyzna wycelował w nią palec. Zamknęła oczy i nagle poczuła szarpnięcie wózka. Krzyknęła. Spojrzała za siebie, to był Richard. Pomimo wieku musiał być niewiarygodnie silny, gdyż jedną ręką pchał jej wózek, a drugą odsuwał ludzi, krzycząc: „Z drogi!”.

Główne wejście było kompletnie zablokowane. Ludzie przeciskali się jeden przez drugiego z krzyczącymi i płaczącymi w niebogłosy dziećmi. Panika była niewiarygodna. Richard bez słowa wycofał się i skierował wózek w stronę wyjścia bocznego, z którego nikt nie skorzystał. Wszystko to trwało chwilę. Otworzył drzwi silnym pchnięciem i wyjechali na zewnątrz. Tuż za nimi zaczęli wybiegać inni.

Zimne, mroźne powietrze uderzyło w nozdrza Rose. Zobaczyła, jak po prawej stronie ludzie wybiegają nadal głównym wejściem. Była ich masa. Nie widziała mężczyzny w garniturze. Naprzeciw niej dyszał Richard. Trishy z siostrą również nie dostrzegła. Poczowała delikatne zimno na policzku. Dotknęła go. To pierwszy płatek śniegu roztopił się na jej ciepłej skórze. Niebo było granatowe. Nikt nie mógł wiedzieć, że wkrótce śnieg sparaliżuje całe miasto.

ROZDZIAŁ 22

Huk wystrzałów spowodował, że Tony odniósł wrażenie, jakby w jego głowie latały setki światełek wymachujących wściekle swoimi dzwoneczkami. Ból w uszach porównywalny był do włożenia widelców w bębenki. Początkowo pomyślał, że tak wygląda śmierć. Dziura w głowie i bum – rydwan, na który kładą cię jakieś dziwne istoty, pytając o imię i nazwisko, a gdy je już podasz, jedna z nich wyszukuje cię na liście i określa, czy polecisz w górę czy w dół. W przypadku jego osoby śmiało można było stawiać na dół, pomyślał. To znaczy postawiłby, gdyby wierzył, że jakiegokolwiek życie po śmierci istnieje. Jednak nie poczuł żadnej siły, która by go miała przenosić w jakiegokolwiek inne miejsce. Gdy poczuł lufę pistoletu z boku głowy, był przygotowany na koniec. Miał tylko nadzieję, że jego córka nie zobaczy go z rozbryźniętym na ścianie mózgiem i połową czaszki.

Na początku zastanawiał się, czy nie zaryzykować i nie spróbować obezwładnić dziewczyny, ale doszedł do wniosku, że wszystko mu jedno. Szkoda, że nie mógł pożegnać się z córką, ale takie było jego ryzyko zawodowe, na które przystał. I chociaż to głupie, to odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał się tłumaczyć swojej żonie z tej sytuacji. Dobrze znał Samanthę i wiedział, że o ile może odważyć się teraz zabić jego, nie posunie się do tego, by zabić osoby postronne. Gdy zapytała go o jego ostatnie słowo, trzymając mocno broń przy twarzy, odrzekł tylko: „Rób, co musisz, Sammy”. Zawsze tak do niej mówił. Potem przycisnęła mu pistolet i z krzykiem wypaliła trzy razy, trafiając w porcelanowy dzbanek, obraz i zegar. I stało się. Dostał drugie życie. Gdy otworzył oczy, Samanthy nie było. Usłyszał tylko, jak wybiega, a za nią Kristen, jednak jej kroki wybrzmiewały na schodach prowadzących do pokoju Klary. Tony siedział tak przez chwilę, po czym wstał i podszedł do blatu, gdzie leżał rozwalony w pył dzbanek, z którego lała się lemoniada. Chwycił za ucho i podniósł do góry, przyglądając się, jak ciecz kapie na ciemny, marmurowy blat. A więc miała ostrą amunicję, pomyślał. Początkowo był pewny, że trzymała replikę ze ślepymi nabojami. Jednak pewności nie miał. Był

pewien, że sytuacja potoczyłaby się inaczej, gdyby nie było w całej tej sytuacji Klary i jego żony. Nie docenił jej. Wytropiła go, wtargnęła po cichu i zrobiła przedstawienie. Wiedział, że przyszła z zamiarem zabicia go i do ostatniego momentu wierzył jej. Była sprytna, znalazła jego najsłabszy punkt. Usłyszał zbiegającą po schodach Kristen. Przeczynał, że dopiero teraz zaczęły się kłopoty. Żałował, że nie dostał kulki.

- CZY MOŻESZ MI WYTŁUMACZYĆ, CO TU SIĘ WŁAŚNIE, KURWA, STAŁO?! - Chociaż widział, jak krzyczy, świetliki z dzwoneczkami nadal wirowały w jego głowie, radośnie potrząsając rękoma.

- Muszę wyjść - powiedział Tony, jakby szedł po papierosy.

- Musisz wyjść? Kim ona była?! Słyszysz? - Kristen wzięła wazon z kwiatami i cisnęła nim o podłogę. Rozsypał się na miliony kawałków.
- Kim była kobieta celująca naszej córce w głowę z broni palnej, Tony?! - Kristen nadal krzyczała, ogarnęła ją furia. Chciał wyjść, ale stanęła mu na drodze w drzwiach.

- Nasza córka leży pod łóżkiem i nie reaguje na moje słowa, Tony - powiedziała tym razem cicho Kristen. - Co się dzieje? - zapytała i zapłakała, a jej łzy odbiły się na koszuli Tony'ego.

- Muszę wyjść. Porozmawiamy, jak wrócę. - Tony odsunął ją od siebie i skierował się do drzwi, rzucając kucharski fartuch na podłogę.

Gdy wyszedł na zewnątrz, zobaczył, jak włączają się latarnie. Zapadł już zmrok, w sąsiednich mieszkaniach pozapalały się światła w oknach, a w nich pojawiły się twarze zaciekawionych i zapewne przestraszonych sąsiadów. Zdawał sobie sprawę, że wiedzą, czym się zajmował, jednak nigdy nie miał z tego powodu nieprzyjemnych sytuacji. Zapewne dlatego, że w ostateczności strach zawsze wygrywał. Strach łamał wszelką moralność i rycerskość. Strach od zawsze był skuteczną formą utrzymania pokoju.

Gdy wybiegł przed płot, w oddali dostrzegł tylny bagażnik jakiegoś starszego pojazdu. Jechał nienaturalnie szybko, ale mogło

mu się to zdawać. Jego oczy zdążyły wyłapać tylko początek rejestracji: TS. Tennessee? Dziwne. Był to pickup. Gdyby zawrócił po kluczyki i wsiadł do auta, miałby szansę, by go dogonić, jednak była ona niewielka, a poza tym nie miał pewności, czy to faktycznie Samantha. Mogła uciec w każdym kierunku. Było ciemno i chociaż dzwonięcie w uszach ustało, czuł narastający ból głowy. Postanowił wstrzymać się dzisiaj z jakimikolwiek decyzjami. Wiedział, że działanie pod wpływem emocji było zgubne. Wiedział, jak ta sprawa musi zostać zamknięta. Dziwne, pomyślał. Trzy głośne strzały i jeszcze nie ma policji. Nikt z mieszkańców również nie wyszedł zapytać, czy wszystko w porządku. Tony poruszył głową w przód i tył oraz na boki. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pustą paczkę po gumach z nikotyną.

- Kurwa - zaklął pod nosem.

- Wszystko w porządku, panie Fontane? - usłyszał niepewny, damski głos. A więc jednak. Tylko jedna osoba odważyła się zapytać. Młoda nastolatka, która mieszkała obok. Tony wiedział, że gdyby chciał, mógłby ją osiąść jeszcze tego wieczora. To był ten typ dziewczyny, która po skończonym pieprzeniu nie zdąży założyć majtek, a już wykręca numer swojej koleżanki, by pochwalić się, z którym gangsterem się właśnie bzykała. To ciekawe zjawisko obserwował już od najmłodszych lat, gdy wchodził do kręgu. Dziewczyny, u których wcześniej nie miał szans, nagle ochoczo pchały mu się do łóżka, gdy widziały go w towarzystwie starszych kolegów po fachu. Jeśli dodać do tego najnowszego mercedesa AMG, sytuacja była już całkowicie klarowna.

- Tak, Cindy. - Odwrócił się w jej stronę. Zobaczył, że stoi tylko w długiej koszulce sięgającej jej do kolan. - Nic takiego - dodał i przypomniał sobie pistolet przy głowie.

- To dobrze, martwiłam się - odpowiedziała, nadal stojąc w drzwiach.

- U ciebie okay?

- Tak, tak. Właśnie kładłam się do łóżka. - Posłała mu znaczące, niby niewinne spojrzenie.

- Ja również. Dobranoc, Cindy - odrzekł Tony i skierował się z powrotem do swojego domu. Czasami słyszał, jak małolata kłóciła się ze swoim starym. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że kłótnia kończyła się często nagłym, krótkim akcentem, który jawił się później w formie sińca na jej ciele. Gardził takimi ludźmi, ale nie mieszał się do czyjegoś życia. Zamknął drzwi i zaczął wchodzić po schodach do pokoju Klary. Nie palił ósmy dzień, ale szczerze wątpił, by wytrzymał kolejny. Gdy był w połowie schodów, zawrócił i wyszedł z powrotem na zewnątrz.

Skierował się do domu Cindy, przeskakując niski, oddzielający ich domy płotek. Gdy miał zapukać, usłyszał wrzask. Nie mieszkał w najbogatszej części stanu, ale też nie w tej patologicznej, a jednak ten kraj napawał go coraz większym obrzydzeniem. Oczywiście mógłby przenieść się gdziekolwiek indziej, ale nie mógł się wychylać. Jeszcze nie teraz. Nie wiedział, czy jest na celowniku mundurowych, jednak wolał być ostrożny. Wiedział, że ojciec Cindy pali, a on potrzebował tylko jednego papierosa. Jednego, a od jutra rzuci na sto procent.

Zapukał głośno do drzwi. Wrzaski ucichły, zastąpił je odgłos ciężkich butów. Usłyszał przesuwany zamek i w drzwiach stanął potężny, barczysty ojciec Cindy z zapalonym papierosem w kąciku ust, z których dym leciał wprost do oka mężczyzny. Miał około pięćdziesiątki i ważył dwa razy więcej niż Tony, choć większość tej masy stanowił tłuszcz. Z przymrużonym okiem, w białej koszulce na ramiączkach i w samych bokserkach, mężczyzna zapytał niskim głosem:

- Przyszedłeś do mojej córki?

- Prawdę powiedziawszy... - zaczął Tony, lecz mężczyzna wszedł mu w słowo:

- Ona nie zadaje się z gangsterami, kumasz? Łapiesz? Czaisz bazę? Jak się to mówi w waszym slangu?

Tony poczuł zmęczenie i irytację, a dodatkowo nic tak nie odwracało jego uwagi jak ten tłący się papieros w ustach tego olbrzymia.

- Nie dbam o to, kim jesteś, też mam znajomości. Dotknij jej, a rozpętasz piekło, rozumiesz?

- Panie... - ponownie zaczął Tony, lecz w tym momencie mężczyzna zrobił coś, czego Tony się nie spodziewał. Wciąż prowadząc swój monolog, chwycił go za barki. Spokój, który Tony zachowywał w tym dniu, uleciał w momencie.

- Tato, co ty robisz? - wrzasnęła Cindy, ale było za późno.

Tony szybkim, silnym ciosem w przeponę obezwładnił olbrzymia, który stracił oddech i zaczął się dusić. Papieros spadł na podłogę. Następne uderzenie powędrowało z boku, sierpowy Tony'ego dosięgnął szczęki olbrzymia, który upadł na dywan twarzą w dół.

- Kurwa! Czy dasz mi dojść do słowa, ty tłusty zjebie? - krzyknął Tony, po czym z całych sił kopnął mężczyznę w brzuch. - Jezu, co z tobą? Mężczyzna ze świszczącym oddechem zaczął charczeć, odwracając się powoli na bok. Tony usiadł na pufie obok.

- Przyszedłem tylko po papierosa. Jebanego papierosa. Masz jakiegoś?

Mężczyzna wciąż łapał oddech, krztusząc się śliną, której nie mógł przełknąć.

- Dobra, nie kłopotcz się, poszukam.

Tony wstał z pufy i rozejrzał się po mieszkaniu. Cindy wciąż stała w progu, jakby z jednej strony żałowała ojca, a z drugiej była dumna z tego, kto jest w jej domu. Popatrzył na nią pytająco.

- Na okapie - powiedziała przestraszona i podekscytowana.

Tony zlustrował ją i kiwnął głową, po czym skierował się do okapu. Przeszukał go dłonią wzdłuż i napotkał opakowanie. Otworzył je i zobaczył, że został tylko jeden papieros. Już go miał wyjmować, ale wsadził z powrotem.

- Masz ostatniego. Czyli będziesz też w dupie za chwilę. W sumie, jakby nie patrzeć - Tony spojrzał na mężczyznę. - Mnie już trochę

lepiej.

Przeszedł nad charczącym mężczyzną i podniósł niedopałek z podłogi. Poczł woń spalanego tytoniu. Poczł się lepiej. Może zdoła wytrzymać kolejny dzień.

Zgasił niedopałek w popielniczce i wyszedł sprawdzić, co z Klarą i jego żoną.

ROZDZIAŁ 23

Samantha wybiegła i pędząc przed siebie z całych sił, myślała o tym, jak wielkie obrzydzenie czuje do siebie. Szybciej. Nawierzchnia była obludzona i tylko cienka warstwa śniegu chroniła ją przed upadkiem. Wiatr przybrał na sile, poczuła katar. Nie wiedziała, czy na skutek wiatru czy kokainy, która mogła podrażnić jej zatoki. Zobaczyła w myślach dziewczynkę, do której celowała. Poczła do siebie jeszcze większe obrzydzenie. Gdyby nie adrenalina, pewnie z wymiotowała by na czyjś trawnik, ale biegła nadal. Łzy zamazywały jej obraz, ale nie pozwoliła im się wydostać. Nie po raz kolejny. W płucach jak i mięśniach brakowało jej tlenu, jutro będzie cierpieć. Ale to jutro. Zapragnęła cierpieć dzisiaj. Jutro jest niepewne. Jest jak tabliczka czekoladek wręczona przez los, w której znajdujesz tylko okruchy przeszłości, a jeśli ci się poszczęści, może wśród papierków i drobnych śmieci znajdziesz jedną, roztopioną czekoladkę. Zapragnęła krzyczeć. Pośród oddalonych od drogi drzew zauważyła wschodzący księżyc. Z oddali po prawej stronie dobiegł do niej dźwięk sunącego pociągu. Przez krótką chwilę pomyślała, jak by to było skończyć rozdartą na drobne kawałki przez kilkadziesiąt ton pędzącej ponad sto na godzinę bryły ze stali. Poczła, jak dziewczynka drży w jej uścisku i zaczyna płakać. Przyśpieszyła i teraz biegła już z maksymalną prędkością. Chciała to z siebie wyrzucić, cofnąć czas, ale nie mogła. Pociąg minął ją z hukiem, otulając zimnym podmuchem wiatru. Tuk, tuk. Tuk. Tuk. Miarowy odgłos przerw

dylatacyjnych. To ten dźwięk zapamiętała z dzieciństwa. Tuk, tuk. Tuk, tuk.

Łzy przybrały na sile, gdy próbowała otrzeć jedną z nich, poczuła stał na biodrach i upadła twarzą w śnieg. Tuk, tuk. Tuk, tuk. Nastąpiła ciemność.

ROZDZIAŁ 24

Zadzwoił telefon, wrywając Roba z zamyślenia. Przyłapał się na tym, że oczekiwał telefonu od tej dziwnej dziewczyny, którą poznał rankiem, jednak to nie była ona. Ta załatwiała jakieś dziwne rzeczy z pistoletami w jakimś dziwnym domu. To była Simone. Miał zamiar jechać na siłownię. Nic tak nie poprawiało mu humoru jak ostry trening. Zrobi to od razu, jak tylko wyjedzie z tych zawiłych uliczek.

- Tak, pani Simone? - zapytał, włączając prawy kierunkowskaz.

- Wybacz, że dzwonię, ale twój brat, on...

- Co z nim? - Rob zjechał na krawędź drogi i włączył światła awaryjne. Poczłł niepokój.

- Och nie, nic się nie stało, jest wciąż tak samo cichy. W przeciwieństwie do twojego ojca, jak wiesz... - ciągnęła Simone.

- Co z nim? - uciął Rob.

- Cóż, odkąd się znamy, słyszałam, jak wypowiedział może trzy słowa. A znamy się już kilka lat, kochany. Dzisiaj powtarza jednak w kółko, zaczekaj... - Usłyszał ciężkie kroki Simone. - Kochany, zrobiłam sobie maseczkę na twarz z jabłek, chyba nikt nie zamierza ich tu zjeść, a zanim wrócisz, zepsują się.

- Nie ma problemu - odrzekł Robbie, z niecierpliwością oczekując, aż Simone dojdzie do brata.

- Twój ojciec też ich raczej nie zje, skoro nie ma nadzienia alkoholowego. - Simone zachichotała, co w jej wypadku przypominało odgłos piszczącej świnki. - O jest. Danny. Danny. - Rob usłyszał, jak zbliża telefon do ucha jego brata. - To Rob. Powiedz, co dzisiaj mówiłeś tyle razy? Powtórz, kochaniutki.

Rob wyczekiwał, lecz oprócz ciszy słyszał tylko tykanie włącznika świateł awaryjnych.

Po chwili usłyszał znowu Simone.

- Cóż, odkąd wykręciłam do ciebie numer, twój brat umilkł. Przykro mi.

- A co mówił? Powiedz tylko to, co pamiętasz.

- Coś w stylu: „ona jest potrzebna”. Powtórzył to ze dwadzieścia razy w ciągu ostatniej godziny. Cokolwiek to znaczy. Za to twój stary wygląda jak panel przybity do podłogi.

- Dziękuję, Simone, ucałuj Danny'ego. Muszę kończyć.

Rob zawrócił. „Ona jest potrzebna”. Nie wiedział, co przez to rozumie Danny, ale potraktował to jako wskazówkę. Wracił do miejsca, gdzie zostawił Samanthę. Zgryźliwą, upierdliwą Samanthę, niewiedzącą, co to *Gwiezdne wojny*, ale znającą zasadę działania kostki Rubika. Co za dziwna kobieta. Minął sklep spożywczy po prawej stronie, był niedaleko. Z daleka dostrzegł światła nad torami. Zbliżał się pociąg. Pomyślał, że nigdy nie jechał pociągiem. Zatrzymał się na skrzyżowaniu i to się stało nagle. Biały samochód dostawczy zahamował z piskiem opon, a na jego maskę wpadła jakaś postać i upadła na asfalt. Bez zastanowienia wybiegł na drogę, zatrzymując samochody i popędził w kierunku wypadku. Dostrzegł znajomą bluzę. Ciemne włosy. Delikatnie obrócił ją do siebie i oczom nie wierzył, ale to była ona. Dziewczyna, która nie знаła *Gwiezdných wojen*. Sprawdził jej tętno, wyczuł puls. Poklepał ją po policzkach, ale była nieprzytomna.

- O mój Boże, nie widziałem jej, czy ona żyje? - Spanikowany kierowca dostawczaka, pytając, drapał się po głowie, jakby rozwiązywał zadanie matematyczne.

- Z drogi, muszę zawieźć ją do szpitala! - krzyknął Rob i podniósł bezwładne ciało Sam. Była lekka jak piórko. Pobiegnął do samochodu, przy którym zebrało się już stado gapiów. Odnotował, że nikt nie zadzwonił na policję, większość robiła zdjęcia. Usadowił dziewczynę na fotelu i rozłożył jej siedzenie. Była całkowicie nieprzytomna.

Zatrzasnął drzwi i z piskiem opon wjechał na jezdnię, zdając sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest szpital.

Spojrzał na Sam, która zaczynała się przebudzać. Kokaina pomyślał. Skręcił na czerwonym świetle, szukając kogoś, kto wskaże im drogę do szpitala.

• • •

Samantha czuła się tak, jakby dryfowała. Nie czuła bólu, ale nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nie słyszała nic oprócz tykania. Miarowego, szybkiego tykania. Co chwilę widziała też mężczyznę, który to zerkał na nią, to przed siebie. Rozmawiał przez telefon. Znała go skądś, nie wiedziała jednak skąd. Poczwała delikatne łaskotanie na policzku. To było przyjemne. Przebudzała się. Docierały do niej powoli wszystkie fakty. Robert... Rob. Tak nazywał się mężczyzna, który wyglądał na poddenerwowanego. Dostrzegła to jego niewinne, pełne strachu spojrzenie. Było w nim coś uroczonego, pomyślała.

- Widzę jakiś bank, jesteśmy na skrzyżowaniu...

- Nie - powiedziała, lecz za cicho i z jej ust wydobył się dźwięk cichszy od szeptu. - Nie - powtórzyła, tym razem głośniej, i teraz Rob popatrzył na nią pytająco.

- Nie dzwoń... po nich - powiedziała, wkładając w to całe siły, ale nadal brzmiało żałośnie cicho.

Rob patrzył na nią zdezorientowany.

- Dzwonię po karetkę, muszą cię zabrać do szpitala.

- Jeśli to zrobisz... znajdą mnie i zabiją. - Tylko tyle zdołała powiedzieć, lecz zanim ponownie odpłynęła, poczuła, jak auto rusza przed siebie. Powierzyła swój los obcemu mężczyźnie.

• • •

Gdy się przebudziła ponownie, czuła, jak przeszywa ją chłód, przenikający od głowy do stóp. Chłód zmieszany z potwornym gorącem. Była rozpalona, a jednocześnie zmarznięta i pomyślała, że to przedziwne uczucie.

Gdzieś z oddali dobiegały ją dźwięki kubańskich melodii. Czuła, że całe ciało ma odrętwiałe. Poczwała nagłe mdłości, obróciła się w prawo i dostrzegła wiaderko. Nie myśląc długo, nachyliła się nad nim i wymiotowała. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

- Mówiłam ci, kochaniutki. Znam się na tym.

Dźwięk był znajomy, ale zanim Samantha popatrzyła, by upewnić się kto to, wymiotowała po raz kolejny, za każdym razem krzywiąc się z bólu, który wybuchał w obrębie jej brzucha.

- Stara Simone zna się na rzeczy.

Samantha usłyszała, jak ciemnoskóra kobieta stawia ciężkie kroki, poruszając przy tym wszystkimi bransoletami, które na sobie miała.

- Wyjdzie z tego? - Usłyszała przestraszony głos Roba.

- Och, prędzej twój stary zamieni szkocką na herbatę, niż jej stanie się coś poważniejszego z powodu tego wypadku.

Samantha poczuła dłoń na swoich włosach. Silną a jednocześnie delikatną.

- Wymiotuj wszystko, dziecino. Poczujesz się lepiej. Rob, przynieś wodę, ale nie z lodówki. Daj tam plasterk cytryny i wrzuć kostkę cukru, ale nie więcej! - nakazała kobieta gromkim głosem, niepodobnym do jej delikatnego dotyku.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Sam.

- Cicho, kochaniutki. Odpoczywaj, bo trochę cię pokiereszowało.

Ostatnio często mnie kiereszują, pomyślała Samantha i zamknęła oczy. Starsza kobieta miała rację, opróżnienie żołądka pomogło.

Ponownie zasnęła.

ROZDZIAŁ 25

Śniła o niej. Dopiero, gdy znów ją ujrzała, zorientowała się, jak bardzo za nią tęskniła. Jednak ów sen był jak słodycz zmieszana ze smakiem goryczy. Jak zorza polarna, na tle której malował się huragan. Cisza tak cicha, że aż złowroga.

Dostrzegła ją wśród zamieci śnieżnej w gąszczu drzew. Stała bez ruchu, a Sam próbowała się do niej przebić, lecz im bliżej była, tym było ciężiej. Zobaczyła, że miała bose stopy i sama odziana była tylko w suknię podobną do tej, która miała dziewczynka. Warstwa śniegu była gruba, po każdym kroku zapadała się w niego i teraz sięgał jej już po kolana. Im bliżej była, tym wiatr był ostrzejszy. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Ciszę przecinał tylko coraz ostrzejszy świst wiatru. Spojrzała przed siebie, by oszacować odległość. Dziewczynka stała na wzniesieniu wśród gęstych drzew, szarpanych bezlitośnie przez niemal huragan. Ciężkie powietrze spowijała mgła. Dziewczynka była ledwo widoczna, Sam jednak nie ustępowała. Co chwilę musiała przemykać oczy, smagane ostrym jak brzytwa wiatrem.

Wyglądała jak tego wieczoru, gdy dotknęła jej policzków. Biała, niewinna sukienka, kasztanowe włosy, filigranowa budowa, zielone oczy; spokojne i skoncentrowane mimo zamieci.

Śnieg był zimny i Samantha już prawie nie czuła swoich stóp.

- Nie potrafię! - krzyknęła Sam, chroniąc oczy ręką. - Nie zdołam, wiatr jest zbyt silny! - zawołała ponownie, jednak nadal próbowała iść. Kolejny krok. Z całych sił starała się ustać na nogach, podczas gdy wiatr próbował ją wywrócić. Ciężko było jej złapać oddech, musiała co chwilę odwracać głowę, by nabrać powietrza w płuca. - Pomóż mi! - krzyknęła z całych sił Samantha, choć nawet to było trudne, gdyż od razu zachłysnęła się powietrzem. Czuła jakby góra, na której się znajdowała, była położona gdzieś na szczycie świata, a ona zamiast sprzętu wspinaczkowego miała tylko sukienkę. Spojrzała ponownie na dziewczynkę, która nadal tkwiła bez ruchu. Wiatr przybrał na sile, Samantha potknęła się i upadła na kolano. Postanowiła odpocząć. Uniosła głowę i ponownie spróbowała oszacować odległość, jaka jej została do dziewczynki, lecz z bólem zorientowała się, że ta jest jeszcze dalej i wtedy poddała się. Załkała, patrząc w bezlitośnie białe, chłodny śnieg pod jej stopami.

- Proszę, pomóż mi, nie dam rady - szepnęła, ocierając z policzka łzę. Dlaczego mi nie pomożesz... - powiedziała do siebie z bezsilnością w głosie, czując napływ kolejnej łzy i wiedziała, że więcej nie zdoła już nic powiedzieć. Wzbierało w niej poczucie rozpacz. Czowała, jak jej siła topnieje, jakby była zamkiem z piasku, niszczone z każdym uderzeniem fali.

Spojrzała przed siebie i zorientowała się, że dziewczynki nie ma. Były tylko drzewa, chwiejące się od potężnego wiatru, zasypane śniegiem, który wirował wściekle. Samantha zapłakała.

- CZEMU MNIE TU ZOSTAWIASZ!! DLACZEGO MI NIE POMOŻESZ?! - wydarła się nagle w pustą przestrzeń, a jej słowa rozmył wiatr.

- Jest mi tak ciężko - szepnęła, zasłaniając oczy i spróbowała wstać, lecz od razu upadła na kolana twarzą do śniegu. Było jej zimno, nie wiedziała, gdzie jest, czowała się, jakby fale wyrzuciły ją na brzeg plaży nagą i bezbronną.

Nagle wiatr ustał całkowicie. Podniosła głowę i to wydarzyło się w ułamku sekundy. Kątem oka zobaczyła, jak dziewczynka nachyliła się do jej ucha i szepcze coś, zasłaniając dłońmi usta.

- Jestem tutaj.

...Otworzyła oczy i poczuła dłoń Roba na swoim czole.

- Jestem tutaj, spokojnie - powiedział, a w jego oczach malował się strach.

Dostrzegła migawkę telewizora, ledwie słyszalnego. Była cała przepecona.

- Już dobrze - powiedział Rob. Jestem tutaj.

ROZDZIAŁ 26

- Już dobrze - powiedziała Samantha, dotykając głowy. Czowała, że ma gorączkę.

- Na pewno? Nie wyglądałaś zbyt dobrze. Musiało ci się śnić coś strasznego, rzucałaś się na łóżku, spanikowałam.

- Nie dziwi mnie to - odrzekła, od razu żałując tych słów. - Dobra, żartuję przecież. Mogłeś mnie po prostu obudzić.

- A myślisz, że nie próbowałem? - W jego głosie wyczuła zdenerwowanie.

- Już dobrze, nie płacz. Powiedz mi lepiej, gdzie jesteście. - Sam dźwignęła się na łóżku i poczuła ból w obrębie lędźwi. Słaba lampka nocna oświetlała kąt pokoju, a raczej pajaka ulokowanego w swojej pajęczynie, jakby to światło włączył Pan Pająk, by oświetlić swoje miejsce pracy, pomyślała Sam i upomniała się w myślach za kolejny idiotyczny żart.

- Wynająłem motel. Nie ukrywam, że za twoje pieniądze - dodał dumnie, jakby teraz to on wymyślił jedną z najbardziej finezyjnych docinek na świecie.

- Dobrze - powiedziała Sam, widząc zdumienie Roba. - Co, myślałeś, że ci dogadam? Prawdę powiedziawszy, jestem z ciebie dumna.

- Musiałaś się naprawdę mocno uderzyć w głowę - skwitował Rob, a ona dostrzegła w nim jakąś zmianę, jednak takie drobnostki zostawiła na potem. - W każdym razie Simone dała mi kilka wytycznych, które mogą ci nie przypaść do gustu. Pogadamy za chwilę, mam też dla ciebie informację, która zapewne cię zainteresuje.

Rob wstał i poszedł do kuchni, a ona usadowiła się jeszcze wyżej na łóżku. Pomyślała o śnie. Był tak wyraźny...

Odkryła kołdrę i dostrzegła, że leży w wielkiej plamie potu. Spróbowała wstać, jednak było to niemożliwe, ból był ostry i przenikliwy, ilekroć próbowała poruszyć prawą nogą. Usłyszała odgłos wypływającej z kranu wody i napełnianej szklanki. Motel nie był najwyższych lotów, jednak był znośny. Pokoje znajdowały się na parterze, od strony parkingu. Sam widziała przez zasłony światła parkujących i wyjeżdżających samochodów. Ich lokum składało się z jednego pokoju - sypialni, minikuchni i łazienki.

- Okay, musisz zażyć te leki. Kokaina przestała już działać, więc ból się nasili. - Rob wręczył jej wodę i parę tabletek na dłoni.

- Nie otrujesz mnie? - zapytała, biorąc tabletki.

- To aspiryna i vicodin, plus jakieś witaminy - odparł Rob, ignorując jej zaczepkę.

- Jak długo byłam nieprzytomna? - zapytała, popijając wodą medykamenty.

- Ponad dobę.

Wręczyła mu pustą szklanekę.

- Czy ty... - zaczęła, lecz nie wiedziała, jak o to zapytać.

- Nie, to Simone cię wykąpała. Ja tylko przywiozłem swoje ubrania dla ciebie.

- Bez żadnej postaci z komiksów? Jestem zawiedziona.

- Nie martw się, jeszcze i takie założysz, gorsza wiadomość jest jednak taka, że chyba ponownie chcesz się odświeżyć, a zakładam, że sama nie dasz rady.

- Chciałbyś. Dam sama radę.

- Rozumiem, w takim razie nie ma sprawy. Zapewne zauważyłaś już łazienkę.

Samantha zagryzła wargi. Zawsze robiła tak, gdy się denerwowała. Wiedziała, że sama nie da rady, jednak chciała wyczuć Roba. Jak bardzo zapragnie pomóc jej w tej czynności.

- Dobrze. Przyznaję, nie dam sama rady a zaraz zwymiotuje, jeśli nie obmyję ciała.

- Nie martw się, widywałem już nagie kobiety - powiedział Rob.

- Na filmach każdy widział - odrzekła Sam i zachichotała.

- Na filmie zaraz zobaczysz też prysznic.

- Dobrze, a teraz na poważnie - pomóż mi.

Wstał i poszedł do łazienki, zapalając w niej światło. Minęły trzy dni, odkąd obiecała sobie, że nie zobaczy jej już nikt nago, po czym zdała sobie właśnie sprawę, że wliczając uroczych ludzi, którzy sprzedali jej broń i Roba, już pięciu mężczyzn zdążyło zobaczyć ją bez

ubrania. Nieźle ci idzie, Sam, tak trzymaj, pomyślała i pstryknęła sobie w myślach na palcach.

Rob odkrył ją i poczuła lekkie dreszcze. Zobaczyła bandaż na biodrze, który wystawał spod dresowych spodni Roba. Ujął ją delikatnie w talii i podniósł na rękę. Chociaż była drobnej budowy, musiał być niewiarygodnie silny, gdyż niósł ją bez najmniejszego wysiłku. Czuła się jak kaleka, nigdy nie była mocno przeziębiona, a co dopiero niezdolna do chodzenia. Nie wiedziała, jakie to uczucie. A było podłe.

Czuła zapach wody toaletowej Roba. Był przyjemny i nienarzucający się. Dominowały w nim mięta i piżmo. Poczła się lepiej.

Łazienka musiała być jeszcze mniejsza niż kuchnia, której rozmiar zakrawał na śmieszność. Brudna, przebarwiona wanna, nierówno położone płytki, jakby wykonawca stwierdził, że w tym motelu równo ułożona glazura nie będzie pasowała do całości. Pęknięte lustro i słabe oświetlenie jarzeniówki luźno zwisającej na kablu przy małej pralce. Chociaż za to ostatnie była wdzięczna. Im mniej Rob zobaczy, tym lepiej.

On tymczasem zamknął klapę sedesu nogą i ostrożnie usadowił ją na niej, po czym odkręcił kurek z wodą. Zobaczyła parę i nie pragnęła w tym momencie niczego więcej niż leżeć w gorącej wodzie, najlepiej przez parę godzin.

Rob uklęknął przed nią.

- Ściągnę ci teraz spodnie i nie zamierzam patrzeć wyżej niż to konieczne, dobrze?

Nie słysząc odpowiedzi, kontynuował:

- Dobrze, ściągnę teraz opatrunek, to może boleć, ale w wannie poczujesz się lepiej. Ciepła woda robi swoje.

Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

Była zmęczona i bezradna, kiwnęła tylko głową, milcząc, zamknęła powieki. Był delikatny i ostrożny. Tak bardzo różnił się od innych mężczyzn.

Łazienka była mała i brudna, tylko słabe światło starej, zakurzonej żarówki zwisającej nad pralką próbowało rozświetlać mrok. Była już w połowie naga, zakryła dłońmi twarz, gdy on ściągał jej opatrunek. Ból był okropny, lecz nie to bolało najbardziej. Rob zastygł, widząc jej brzuch, który zaczął drżeć w delikatnych spazmach. Spojrzał na nią i dostrzegł, że płacze. Poczula jego dłonie na swoich, gdy odkrywał jej twarz. Drżały jej usta, pierwszy raz zobaczył ją w takim stanie. Jeszcze niedawno silną, teraz nagą i bezbronną. Bez słowa objął ją ramieniem, a jej twarz zatopiła się w jego ciele. Bandaż opadł bezwładnie na podłogę, a szum wody wypełniał ciszę, gdy para osiadała na pękniętym lustrze. Pękniętym jak jej dusza, rozsypana na miliony kawałków.

Była bezsilna, upokorzona i pierwszy raz zdana całkowicie na los. Nie potrafiła dłużej walczyć.

Zdała sobie sprawę, że cierpienie jest jak przyływ, wypełniający serce, a my próbujemy budować tamę, zamiast pozwolić mu ujść i wypłynąć. Więc płakała.

Płakała tak długo, aż zabrakło jej łez.

W całym motelu tylko ich małe okno łazienki rozświetlała żarówka. Zdawało się, że cały świat prócz nich już spał.

Pośród bezkresnej ciemności tańczył tylko wiatr.

ROZDZIAŁ 27

Honor. Duma. Szacunek. Trzy słowa, które określają wartość człowieka. Tak sądził wujek Tony'ego, który aktualnie walczył o życie w szpitalu Świętej. Anny, srając pod siebie, z dializacyjną rurką wbity w szyję. Honor, duma, szacunek. Tony ciekaw był, które z tych trzech słów nadal dotyczą jednego z największych mafiosów w całym stanie. Patrzył sobie w twarz odbitą w lustrze, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Przytuliliby się do żony, jednak teraz zamiast niej miał jedynie hotelową poduszkę. Wiedział, że nie powinien odpuścić tego występku swojej byłej pracownicy. Samantha musiała ponieść karę,

choć w głębi duszy tego nie chciał. Tylko że tu nie chodziło o to, czego chciał, tylko o to, co zrobić musiał. Dostrzegł kilka siwych włosów na głowie. Jutro będzie musiał odwiedzić Samanthę w jej mieszkaniu, choć wątpił, by tam była. Z drugiej strony nie miała za bardzo dokąd pójść. Ogolił się i obmył twarz, po czym włożył biały, czysty szlafrok hotelowy. Wolałby swój, od dawna nieprany, ale cóż. Nie lubił takich miejsc, przesadnie drogich, gdzie każdy włożył ci w dupę, byle dostać ochłap w postaci kilkudolarowego napiwku. Żałosne. Czuł się inny niż reszta z jego kliki. Chłopcy kochali przepych i rozpustę, on jednak miał do takiego stylu życia chłodne podejście. Może dlatego to w nim wujek dostrzegł następcę tronu. Potrafił oszczędzać, można by powiedzieć, że był pragmatyczny.

Włączył telewizor, tak mocno zlicowany z czarną, połyskującą ścianą, że ledwo go dostrzegł. Nalał sobie brandy. Kristen nie odbierała telefonu, więc dał sobie spokój. Wyrzuciła go tego samego wieczoru z domu. Choć bez mrugnięcia okiem potrafił krzywdzić i zabijać ludzi, nie potrafił tknąć palcem swojej rodziny. To była zresztą zasada, którą niektórzy łamali. Kristen wiedziała, że ich luksusowe życie nie pochodziło z legalnych źródeł. Zastanawiał się, czy może naprawdę o tym zapomniała. Tak długo nie pytała o nic, że może poczuła się jak normalna żona normalnego mężczyzny, tyrającego w garniturze za kasą w banku lub akwizytora odwiedzającego domy, który wyciągał zza pleców odkurzacz w kształcie miniaturowego latającego spodka i krzyczał: hej! popatrz na ten mikroodkurzacz, kosztuje jedyne trzy tysiące dolarów, ale hej! co to za smutna mina? Tak się składa, że dzisiaj, akurat dzisiaj, akurat, kurwa, w tym dniu, mamy go w promocyjnej cenie za jedyne dwa tysiące! To aż tysiąc mniej, prawda? Więc, czy mogę wejść? I zanim klient odpowie, ty już rozpakowujesz jego nowy nabytek, jednak on tego jeszcze nie wie.

Tony parsknął śmiechem i wziął rozgrzewającego łyka, siadając na łóżku, które mogło pomieścić pięć osób. Kurwa, dlaczego chociaż nie mogłem spać na wersalce w salonie.

Pomyślał, że może odpuści jednak Samancie. Tylko dla niej zrobi wyjątek. Wahał się. Paradoksalnie zamierzał ją ukarać najbardziej dlatego, że chciał ją zobaczyć. Po co? Nie wiedział. Nie zakochał się w niej, nie miał względem niej żadnych poważnych uczuć, a jednak...

Zgasił światło, położył się i gapił w telewizor, myśląc o papierosie. Było mu przyjemnie. W telewizorze leciał jakiś czarno-biały film, który pewnie byłby ciekawy, gdyby tylko Tony włączył w nim dźwięk. Usłyszał pukanie do drzwi. Spojrzał na swój zegarek, warty na oko ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zawsze, gdy na niego spoglądał, myślał o tym, jakie to marnotrawstwo pieniędzy, jednak jego status i zawód wymagał kilku absurdalnych wydatków. Jednym z nich był taki pieprzony złoty zegarek, który teraz swoimi złotymi wskazówkami pokazywał za dziesięć dwudziestą czwartą. Pomyślał, że to pewnie kolejny dupowłaz chce spytać o komfort pobytu, by dostać kolejnych kilka dolarów za swoją umiejętność wchodzenia bez wazeliny w dupę. Odstawił drinka i podszedł do drzwi, zawiązując po drodze szlafrok. Otworzył i zaniemówił.

- Witaj, synu.

Zobaczył wujka w szpitalnym ubraniu i rurką wbitą w szyję. Był boso.

- Wujek? Jak... mnie znalazłeś? - dokończył Tony, nie chcąc zawstydząć wujka pytaniem, jak uciekł ze szpitala.

- Dzwoniłem do Kristen, wszystko mi powiedziała - odrzekł, po czym wszedł bez zaproszenia.

- Tony popatrzył na hol, czy ktokolwiek widział mężczyznę w szpitalnych ciuchach, ale nikogo nie było. Odwrócił się, zamykając drzwi, i zobaczył, że jego wuj najwidoczniej nie wie, że ma ślad gówna rozmazany na spodniach. Odór był silny i powodował mdłości, jednak Tony nie odważył się nic powiedzieć. Zresztą co mógł powiedzieć? Hej, wuju, jesteś szefem jednej z największych grup przestępczych w kraju, ale wiesz, sprawa jest też taka, że ciągniesz za sobą gówno jak traktor ciągnik. Nie, nie mógł.

- Słyszałem o całej sytuacji, Tony. Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytał, opierając się o barek i wlepiając ciemne, dociekliwe oczy w Tony'ego.

- Jak zdołałeś uciec ze szpitala? - zapytał Tony, odkręcając butelkę z brandy i nalewając do połowy szklanki gościowi. Wiedział, że słono za tę brandy zapłaci. Kolejne marnotrawstwo.

- Mam swoje sposoby, synu. Chyba wiesz o tym, że jestem w tym mieście pieprzonym królem.

Z gównem w spodniach, pomyślał Tony, podając drinka wujkowi.

- Wiesz, że ta kurwa musi umrzeć? Mam nadzieję, że trwają już poszukiwania? - Wujek pociągnął łyk brandy i spojrzał pod światło na trunek - Kurwa, dobra! Masz gust, synu. Wiedziałem, że jesteś ode mnie, jeszcze kiedy byłeś młody i biegałeś z pamperssem po domu mojego brata.

Tak jak teraz ty po tym hotelu, pomyślał znowu Tony i spróbował wymazać ten obraz z pamięci.

- Tak, trwają już poszukiwania. Znajdziemy ją i poniesie karę - odrzekł.

Wujek patrzył tylko na niego swoimi wąskimi, małymi oczyma. Rurka wbita w szyję poruszała się nieznacznie, ilekroć oddychał.

- Pamiętasz, jak mówiłem ci, czego najbardziej nie toleruję u swoich ludzi? Za co wtedy ponoszą karę?

Tony odwrócił nieznacznie wzrok i zacisnął usta. Czuł szybsze bicie serca w piersi.

- No, Tony. Dobrze wiesz, prawda? - dociekał staruszek.

- Kłamstwa - odrzekł z udawaną obojętnością Tony.

- Tak, Tony - powiedział niemal pieśczośliwie starzec. - Kłamstwa, które czuję tutaj na odległość. Nie zamierzasz ścigać tej szmaty, prawda? Pomimo upokorzenia, którego doznała twoja, a tym samym nasza rodzina. Zamierzasz to puścić płazem? - zapytał wujek, pociągając kolejny łyk.

- Znajdę ją - powiedział bez przekonania Tony.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, że byle kurwa wtargnęła do twojego domu, przystawiając lufę pistoletu twojej córce do głowy? A gdyby nacisnęła spust?

- Znam ją...

- ZNASZ JĄ?! - wydarł się wujek, a Tony'emu upadła szklanka na białą wykładzinę.

Tony odsunął się instynktownie. Zauważył, a Bóg mu świadkiem, iż nie chciał, że wujek albo mimowolnie odlał się w spodnie, albo to była rozlana brandy. Obstawiał jednak pierwszą opcję. Złapał się na tym, że zamiast grozy, uczucie względem wujka przypominało teraz bardziej współczucie. Czuł, że wujek słabnie. Dostrzegł u niego nawet objawy Parkinsona. Wiedział, że nie musi liczyć się już z jego zdaniem. Z drugiej strony wiedział, że ten ma sporo racji. Klara przestała mówić i wpadła w częściowy autyzm, zastanawiał się, czy nie będzie potrzebny psycholog.

- Poniesie karę - powtórzył Tony, podnosząc nieznacznie głos, i wyprostował głowę.

Wujek drżącą ręką wskazał na niego.

- Czas ucieka, Tony. Pamiętaj.

Starzec rozejrzał się po pokoju, jakby szukał podsłuchu, po czym powoli skierował się w stronę drzwi, choć jego nogi przypominały niedokładnie złożoną konstrukcję z klocków Lego, która lada moment mogła się zawalić.

- Na mnie już czas, synu. Nie zawieź mnie. Nie poproszę cię o nic więcej. - Idąc mówił głośno, a Tony odprowadzał go wzrokiem.

Gdy doszedł do drzwi, co zajęło mu kilka chwil, odwrócił się do Tony'ego po raz ostatni.

- Tony? - zagadnął starzec.

- Tak? - odrzekł Tony, zastanawiając się, jak stary szef mafijny zamierza zejść po schodach niezauważony, skoro kilka metrów w linii prostej zajęło mu wieki.

Wujek otworzył drzwi, wspierając się na nich.

- Czasami czuję wokół siebie dziwną aurę. Tracę nagle oddech, jakby ktoś próbował mnie udusić we śnie. Budzę się, ale to nie przechodzi. Jest coraz częstsze, dlatego nie mogę spać. Też tak masz?

Tony wiedział, że te bezdechy to niedokrwienie mózgu, które może objawiać się halucynacjami.

- Jesteś trochę chory - odrzekł Tony, nie chciał sprawiać przykrości temu człowiekowi, choć zdawał sobie sprawę, że pojęcie przykrości było mu obce. Jednak co miał powiedzieć. Wiesz, wujku, to normalne objawy przed śmiercią, ale hej, nic się nie martw, wkrótce nie będziesz miał tego problemu; po czym mrugnął mu okiem i pstryknął palcami jak zawodowy prezenter maści na pryszczę w reklamie.

- Gówno prawda, Tony. To coś jest też tutaj. - Wujek ponownie rozejrzał się uważnie po mieszkaniu, mrużąc oczy, a Tony po raz pierwszy w życiu dostrzegł u niego... strach. Tak. Jawny strach pomieszany z przerażeniem. To jakby coś wystraszyło samego diabła.

Tony powędrował wzrokiem za swoim wujkiem, jednak nie zobaczył nic. Gdy spojrzał na niego znowu, pierwszy raz od dawien dawna coś tak go obrzydziło, a jednocześnie przeraziło.

Wujek wpatrywał się teraz w niego, a po jego ubraniu i ciele pełżyły tysiące małych, białych larw. Przypominał jeden wielki, ruszający się, biały organizm. Tony uniósł rękę.

- Wujku, ty...

- Mówiłem ci, Tony. Mówiłem. Z rurki na szyi wypęłzały kolejne larwy, wchodząc na szyję.

- Musisz zabić tę kurwę. Masz to zrobić dla mnie. To ważniejsze niż wszystko inne, Tony. Rozumiesz?

- Tak - odrzekł, widząc, jak larwy spadają na biały dywan, po czym osunął się na łóżko.

Wujek wyszedł cicho, zamykając drzwi. Tony patrzył na białe robaki pełzające w ślimaczym tempie po wykładzinie, po czym położył się na łóżku. Nie wiedział, kiedy zasnął.

ROZDZIAŁ 28

Obudził go dźwięk przychodzącego SMS-a. Chociaż równie dobrze mógłby go obudzić odgłos tkającego właśnie nić pająka. Tony Fontane przez lata szkolił swój doskonały słuch, by być gotowym na odparcie ataku o każdej porze. Był czujny. Taki miał zawód, toteż od razu otworzył oczy i automatycznym ruchem złapał telefon.

- Twój wujek zmarł w nocy. - To była Kristen.

Dopiero teraz do niego dotarło zdarzenie sprzed kilku godzin. Telefon pokazywał 6.32, na zewnątrz robiło się jasno. Chociaż fizycznie był już obudzony, jego mózg potrzebował jeszcze minuty.

Usiadł na łóżku i w bezruchu patrzył w stronę drzwi, przez które kilka godzin temu wychodził jego wujek. Tylko że Tony wiedział, że to nie mogła być prawda. A zatem śnił. Skoro jednak śnił, komu nalał drinka, który nadal stał na blacie stołu?

Wstał i podszedł do niego, po czym podniósł pod światło. Na szklance nie było żadnych odcisków, a zawartość była nienaruszona. Nie widział także larw. Odstawił drinka i poszedł wziąć szybki prysznic. Wiedział, że to będzie kolejny ciężki dzień.

• • •

Telefon dzwonił tyle razy, że chociaż baterię miał nad ranem niemal pełną, już po dojściu do samochodu musiał podłączyć go do ładowarki. Pół światła przestępczego dzwoniło z kondolencjami i Tony wiedział, że co najmniej połowa z tych telefonów była zapowiedzią koszmaru. Po śmierci wujka zaczną się spory o nowego lidera, ponowny przydział jurysdykcji, a zapewne w życie wejdą także nowe zasady. Pomimo tego, że Tony był praktycznie naturalnym spadkobiercą wujka, wiedział, że należną mu pozycję będzie musiał i tak wywalczyć. Liczył się z tym tak naprawdę od momentu wejścia w ich szeregi i teraz był na to gotowy. Ale najpierw musiał załatwić pewną sprawę.

Pojechał do domu przebrać się w garnitur. Gdy podjechał pod dom, zauważył Kristen i Klarę, które właśnie wychodziły.

Stanęli naprzeciw siebie bez słowa, a Tony od razu spojrzał na córkę, która uśmiechała się do niego nieśmiało i wydawało mu się, że coraz lepiej z nią.

- Cześć, córeczko. Dokąd jedziecie? - zapytał Tony.

- Do sklepu - odpowiedziała za nią surowym tonem Kristen.

- Chcę wrócić do domu - powiedział Tony, patrząc jej w oczy.

- Przykro mi z powodu twojego wujka. Ale tu nie masz wstępu. Jeszcze nie. Idziemy. - Kristen szarpnęła córkę, która posłusznie poszła za mamą, posyłając tacie ostatnie smutne spojrzenie, na co Tony mrugnął do niej okiem i wiedział, że Klara uśmiechnęła się do niego.

Gdy skończył się przebierać, ruszył do szpitala, by dokonać ostatnich formalności co do kremacji ciała. Później chciał spotkać się z zarządem, by ustalić, co dalej. Na koniec, gdy pozałatwia wszystko, nie miał zamiaru jechać do hotelu. To była dobra okazja, by załatwić coś innego.

Nadszedł czas polowania.

ROZDZIAŁ 29

Samantha nigdy nie leżała w szpitalnym łóżku, jednak pokój motelowy, w którym byli zameldowani z Robem, przypominał teraz szpitalną salę. Na stoliku, przeznaczonym zapewne do jedzenia, pełno było bandaży i środków do dezynfekcji ran, jak też rozmaitych opakowań po lekach. Chociaż Rob wietrzył pokój, odór spirytusu był nie do pokonania i przyprawiał go o mdłości.

Po lewej stronie łóżka Sam kroplówka przesączała leniwie przezroczysty płyn, który dwa razy dziennie dostarczał jej soli mineralnych. Gdy butelki były już opróżnione, Rob wymieniał je na następne, tym razem z elektrolitami. Kroplówki nie byłyby potrzebne, gdyby nie to, że Samantha nie potrafiła utrzymać wody ani jedzenia

w żołądku. Nie знаła tego uczucia dotychczas. Była piekielnie spragniona, a jednak myśl o wodzie powodowała odruchy wymiotne.

Kroplówka, medykamenty oraz zalecenia lekarskie należały do Simone i chociaż Samantha nie sądziła, że jest to osoba o odpowiednich kwalifikacjach, wiedziała doskonale, że nie ma wyboru. Simone miała pewną wiedzę, gdyż opiekowała się matką Roba, choć fakt, że zdobyła doświadczenie w leczeniu, w głównej mierze oglądając *Dr. House'a*, nie był dla Samanthy najlepszą informacją. Musiała jej zaufać, nie miała wyboru.

Leżała tak praktycznie bez ruchu już czwarty dzień i każdy z nich był taki sam.

Rankiem czuła się najlepiej. Budziła się około ósmej i czekała na Roba, który godzinę wcześniej wyjeżdżał po zapasy lekarstw. Dostawał je od Simone, a ona – Bóg wie od kogo. Przyjeżdżał ze śniadaniem i tak samo każdego dnia pytał ją, czy zje, na co ona odpowiadała, że nie da rady.

Po tym jak zjadł, zabierał się za wymianę kroplówki. Wenflon założyła jej Simone, za co Rob był jej niezmiernie wdzięczny, gdyż sam mdlał na widok igieł. Przede wszystkim tych wbijanych w skórę.

Zaraz po tym, gdy wymienił jej kroplówkę, wracał do pracy. Kupił jej nowy telefon i kazał dzwonić, gdyby coś się działo. Ona jednak mimo ogromnego znużenia postanowiła nie zawracać mu głowy i dzielnie się tego postanowienia trzymała.

Nie miała sił, aby czytać, oglądać telewizję ani nawet myśleć. Więc leżała bez ruchu, wsłuchując się w dźwięki odkręcanej przez innych lokatorów wody, krzyki na parkingu, warkot silników, odgłos kroków ludzi przechodzących przy oknie. Dziwnie było tak trwać bez ruchu, gdy niecały metr dalej, za szybą toczyło się życie.

Rob przyjeżdżał punktualnie o piętnastej trzydzieści i od razu brał się za zmianę kolejnej butelki z płynem, który miał być podany do jej żył. Później sprzątał, opowiadając przy tym różne historie i o ile wcześniej było to dla niej irytujące, teraz słuchała go i była wdzięczna losowi za to, że ktokolwiek coś do niej mówi. Za dnia, gdy go nie było,

nie potrafiła zasnąć. Jednak gdy kończył sprzątać, siadał przy niej i prowadził swój monolog.

Przez te kilka dni poznała go znacznie lepiej, chociaż wiele musiała wydedukować, gdyż pomimo swojej gadatliwości był człowiekiem skrytym. Przede wszystkim nie lubił rozmawiać o swoich problemach. Podejrzewała też, że świat fantasy, który tak uwielbiał, był jego odskocznią od dnia codziennego. Opowieści o superbohaterach miały przeważnie dobre zakończenia. Życie nie zawsze. Omijał temat swojej chorej mamy, niezbyt ochoczo rozmawiał też o bracie. Samantha i Rob pochodzili z dwóch różnych światów, jeśli nie wliczać ponurego i szarego startu, jaki mieli oboje. Później jednak on pozostał w swoim środowisku, ona żyła znacznie lepiej. A teraz, jak na ironię, przewrotny los sprawił, że znalazła się w gorszym położeniu. Z jego słów wynikało, że nie miał zbyt wielu przyjaciół, bynajmniej nie dlatego, że był antyspołeczny czy antypatyczny. Nie chodziło o żadne anty, chodziło o jego tryb życia. Praca i opieka nad rodziną pochłaniały lwią część jego czasu. Nie miał wolnego. Gdy tylko kończył pracę, jechał na siłownię i Samantha wiedziała, że dzięki temu mógł w dużym stopniu rozładować napięcie i uśmierzyć ból nagromadzony gdzieś w środku, który chociaż częściowo mógł wyparować wraz z potem.

Około siedemnastej Sam traciła siły i wpadała w drzemkę. Rob rozkładał się w fotelu obok i bawił się kostką Rubika, próbując ją ułożyć. To działało kojąco na jej zmysły. Uspokajało ją. Czowała się przy nim bezpiecznie i może to dlatego potrafiła zamknąć powieki i odpłynąć. Nie bała się.

Gdy się budziła, był już zmierzch, a Rob nadal tkwił w swoim fotelu, oglądając jakieś głupie programy. Wiedziała, że on również się nudził, a jednak był przy niej. Przy stukniętej nieznajomej, która kupiła pistolet i mierzyła z niego do kilkuletniego dziecka, chociaż do tego jeszcze mu się nie przyznała.

Zastanawiała się, dlaczego to robi. Argument pieniędzy nie wchodził w grę, bo jego zakres obowiązków powiększył się znacznie,

a jednak wiedział, że ona nie ma więcej pieniędzy. Ale ten problem zostawiła na potem.

Przed dwudziestą Rob prznosił ją do wanny, w której zawsze była nalana gorąca woda z jej ulubionym płynem do kąpieli i solą morską. W tym czasie zmieniał jej ubrudzoną i zapoconą pościel. Coraz mniej się przy nim krępowwała. Wiedziała, że nie ma wyboru, więc był tym, który widział ją nagą i bezradną, zranioną jak zwierzę potrącone przez samochód, umierające gdzieś między drzewami a asfaltem, który przecinały samochody w swoim codziennym rytmie życia. Ta dziewczynka opatrzyła rany, a Rob zatrzymał auto i zabrał ją do siebie, gdy była bliska śmierci. Tak to widziała.

Po kąpieli, gdy już założył jej nowy opatrunek, kładł ją z powrotem do łóżka i oglądali telewizję, odzywając się sporadycznie.

Gdy mijała dwudziesta druga, dostawała ostatnią kroplówkę z lekiem przeciwbólowym i połykała tabletkę na sen, którą musiała utrzymać jakoś w żołądku. Potem stopniowo obraz tracił swoją ostrość, a dźwięki się rozmywały i zasypiała. I tak ten cykl miał się powtarzać, dopóki o własnych siłach nie stanie na nogach.

Leżała właśnie w swojej pachnącej pościeli, gdy Rob wyszedł z łazienki owinięty ręcznikiem w pasie. Pomimo tego, że od dawna nie ćwiczył, jego ciało nadal było w świetnej formie. Nie chciała tego zauważać, ale robiła to mimowolnie.

- Mam dla ciebie dobre i złe wieści. Które chcesz najpierw? - zapytał Rob, siadając na fotelu.

- Ostatnio słyszę same złe, więc może teraz daj dobrą.

- Liczyłem, że tak odpowiesz.

- Cieszę się.

- Odnalazłem to miejsce ze współrzędnych.

- I?

- Teraz będzie zła - zaznaczył Rob i popatrzył na nią, delektując się możliwością przedłużenia jej niepewności.

- No mów - ponagliła go Sam i zacisnęła wargi bardziej z ciekawości niż złości.

- Cóż... no więc to miejsce to Tensas, a Tensas jest ponad trzy tysiące kilometrów stąd.

Ich szybę oświetlił blask reflektorów parkującego auta, po czym światła zgasły i dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi.

- Więc to trzy dni drogi stąd, zakładając, że droga będzie w miarę przejezdna - kontynuował Rob.

- Jesteś pewny, że to Tensas?

- O ile liczby na twojej kartce nie kłamią.

- Rob, ja...

- Wiem, co chcesz powiedzieć.

Rob wziął słomkę ze szklanki i zaczął ją powoli przegryzać. Wydawał się zamyślony.

- A więc co chcę powiedzieć, profesorze Darth Mother?

- Darth Vader, jak już coś.

- Dobra, obojętne.

- Ty jesteś obojętna - odciął się Rob, zdając sobie sprawę, że nie do końca logicznie - ale do rzeczy. A więc myślałem nad tym i owszem, zgodzę się. Pojedziemy tam.

- Ale...

- Ale wiem, że nie masz pieniędzy. Trudno. Poza tym to nie o pieniądze już chodzi.

- A o co?

Rob milczał przez chwilę, wpatrując się wciąż w telewizor.

- Dzisiaj rano zdarzyło się coś dziwnego.

Samantha podciągnęła się na rękach. Od dawna nie widziała go tak skonsternowanego, a zarazem... podekscytowanego. Jednak ta ekscytacja ustępowała wciąż sceptycyzmowi.

- Mój brat rozmawiał ze mną przez chwilę.

Sam zastanawiała się, czy powiedzieć mu teraz, że do niej również się odezwał, ale stwierdziła, że nie chce mu wchodzić w słowo, a poza tym, chciała wiedzieć, co powiedział jemu. Więc wyczekiwała i nie ponaglała go.

- To trwało tylko chwilę, ale w tym momencie on był... jakby normalny. Na ten krótki moment zniknęła jego cała choroba. To było... - Samantha dostrzegła, jak bardzo się rozpromienił. Wiedziała, co to jest. To uczucie nazywało się nadzieja. Rob jednak szybko ochłonął i wrócił do swojego zwyczajnego, bardziej monotonnego sposobu mówienia.

- Powiedział, że mam cię tam zawieźć bez względu na wszystko.

- Dlaczego? - zapytała Samantha, kierując to pytanie bardziej do siebie.

- Zadałem mu to samo pytanie, jednak wtedy... odszedł. To znaczy był, ale jego wzrok... Wiesz, uważam, że w spojrzeniu dostrzegamy życie. Jakby było zamknięte za przeszklonymi drzwiami. Pytał, jak się czuję, jak z mamą, wiesz to było... po prostu dziwne. A jednocześnie niespodziewane i wspaniałe.

Pokój znowu wypełniła cisza.

- Te przebłyski, może... będą coraz częstsze? - Sam nie wiedziała, co powiedzieć, więc powiedziała pierwszą lepszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl.

- Może. W zasadzie mam taką nadzieję. Zamierzam spełnić jego wolę.

- Dziękuję. Wiedz, że się odwdzięczę.

- Jest jednak jeden warunek - odrzekł Rob, wstając z fotela.

- Słucham?

Zanim zadał pytanie, dostrzegła, jak jego twarz ponownie promienieje.

- Obejrzyj ze mną *Gwiezdne wojny*.

- Nie.

- Wszystkie części.

- Nie mamy jak.

- Jest tu odtwarzacz DVD.

- Niech cię szlag, Rob.

Przepelniony dumą, wszedł z powrotem do łazienki, nucąc przewodnią melodię z *Gwiezdných wojen*.

ROZDZIAŁ 30

Anders i Lucas posiadali wszystkie niezbędne cechy, do tego by prowadzić działalność przestępczą.

Byli bezwzględni i okrutni. Jednak to nie te cechy zdecydowały o tym, że wykonywali dla Tony'ego brudną robotę. Znał wiele osób potrafiących to, co potrafią oni. Pracowali dla niego, ponieważ posiadali jeszcze inne, w gruncie rzeczy ważniejsze cechy.

Przede wszystkim byli głupi. O ile jeszcze Lucas potrafił czasem uruchomić komórki w głowie, o tyle komórki Andersa wystarczały jedynie na podstawowe, życiowe czynności. I to było dobre, bo gdy ktoś jest inteligentny, po czasie zaczyna myśleć. A to zawsze stwarza problemy.

Następną pożyteczną cechą był brak ambicji. Ambicja wiązała się z knuciem, na szczęście ambicja jest domeną ludzi inteligentnych, co nie groziło braciom.

Jednak faktem było także to, że Tony lubił tych dwóch. Po części dlatego, że byli mu naprawdę oddani. Przede wszystkim jednak za to, że nie mówili zbyt wiele.

Więc chcąc porównać do czegoś tych dwóch, Tony bez wahania użyłby skojarzenia z psami. Wiernymi, lojalnymi psami. Potulnymi, lecz w razie potrzeby potrafiącymi zabić bez mrugnienia okiem.

Anders i Lucas byli braćmi pochodzącymi z Norwegii. Wychowali się jednak w tak pięknym kraju, jakim są Stany Zjednoczone Ameryki, choć w nieco mniej pięknej dzielnicy, w której dokonali pierwszego swojego zorganizowanego zabójstwa.

Pech chciał, że ofiarą stał się ich ojciec. Dodatkową ciekawostką był fakt, że stało się to, gdy nie mieli jeszcze skończonych dziesięciu lat. Wykazali się wtedy, jak na ich małe mózdzki, dość sporą inwencją twórczą, jeśli można to było tak nazwać.

Ich ojciec lubił wypić, tak samo jak lubił ich bić, a jego ulubionym narzędziem był urwany kabel od żelazka. Z początku zawsze zaczynał od strony bez wtyczki, ale ponieważ apetyt rośnie w miarę jedzenia, ich kruche jeszcze wtedy ciała uderzał najczęściej drugi koniec kabla,

ten z masywną wtyczką. Powody były różne, lecz nie w tym tkwił problem. Problemem samym w sobie był ich ojciec.

Pewnego wieczoru, gdy ten położył się w swoim wielkim fotelu i zasnął z wyczerpania, a kabel luźno zwisał mu z półotwartej dłoni, Anders poszedł do pokoju Lucasa, który ubrany w same majtki, leżał skulony przy kaloryferze, przyciskając do piersi swojego bohatera, Kapitana Amerykę. Często prosił go o pomoc, wyobrażając sobie, jak Kapitan rośnie na ich oczach, zamieniając się w tego prawdziwego, po czym spuszcza łomot tacie. Na razie był przekonany, że Kapitan pewnie ma ważniejsze sprawy i jest zbyt zajęty ratowaniem świata, by ratować jego i brata.

Z jego rozdartego od uderzenia policzka sączyła się krew, która skapywała prosto na podłogę. Gdy tak leżał, płacząc, poczuł na ramieniu delikatny dotyk. Obrócił głowę z trwogą i zobaczył klęczącego przy nim Andersa.

Tego wieczora stali się mężczyznami. I otarli się o śmierć. Gdy większość dzieci planowała wieczorem co najwyżej, jak namówić rodziców, by pozwolili im pograć jeszcze na konsoli, oni planowali zabójstwo. Dali jednak ojcu cichą szansę. Posprząтали dom, umyli dokładnie naczynia, zrobili pranie. Zniwelowali każdy potencjalny powód do wymierzenia im kary, gdyby jednak plan A się nie powiódł, plan B polegał na schowaniu głęboko w szafie żelazka z długim, odpinanym kablem. „Tak na wszelki wypadek”, powiedział Anders po wyjściu z przestronnej szafy.

Gdy zbliżała się dziewiętnasta, usiedli na kanapie i włączyli telewizor, nie za głośno, bo to też mogłoby dać ojcu powód. A dzisiaj nie chcieli żadnych powodów. Modlili się, by chociaż w ten dzień nie odcięli im prądu. Wtedy ich cały plan byłby skazany na niepowodzenie. A więc czekali. Chcieli, by dzisiaj był ten dzień, kiedy ich przytuli i pogada z nimi, jak czasem potrafił to robić.

Lecz tak się nie stało i już nigdy nie miało stać.

Gdy przyszedł, był już lekko pijany. Lekko, jeśli nie liczyć tego, że w przejściu się potknął o swój ściągnięty but i upadł. I to wystarczyło. Przestał się liczyć porządek, bo nawet go nie zauważył.

- Pieprzone bękarty! Ile razy można do was mówić, że macie chować te pieprzone buty do szafki!

Bracia zamarli, wiedząc, co zaraz się stanie.

Ryczał na nich, gdy nadal ściągając buta i zataczając się, wszedł do pokoju, w którym siedzieli przy zgaszonym telewizorze, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Ojciec niepewnym krokiem skierował się w stronę lodówki. Otworzył piwo i przyglądał się im w ciszy. Wciąż głowy mieli pochylone.

- Anders, podejdź tu.

Bez słowa wstał i podszedł.

- Co to jest dyscyplina?

Stali niczym Dawid i Goliat. Stary zdążył opróżnić jednym haustem połowę puszki.

- Pytam ciebie, bo jesteś starszy od brata o kilka minut. Powinieneś zatem wiedzieć.

Anders gorączkowo szukał odpowiedzi.

- To... - zaczął. - Ta... ta... to... - jąkał się, patrząc w podłogę.

- Czy możesz chociaż raz, kurwa, coś powiedzieć poprawnie, bękarcie?

Ojciec opróżnił puszkę.

- Dam ci ostatnią szansę. Nie dostaniesz dzisiaj lania, jeśli zdasz test.

Gdy upewnił się, że ostatnia kropla złotego napoju bogów trafiła do jego bożych ust, postawił pustą puszkę na głowie Andersa.

- Jeśli nie strącisz tej puszki, będziecie mogli pójść do siebie pobawić się, a ja odpuszczę wam dzisiejszą lekcję. Ta lekcja nazywa się pokora. Pokora, mój synu. Obstawiam, że wytrzymasz pół minuty. Czas start.

Anders drżał, chociaż starał się z całych sił opanować. Zerknął na zegar obok pieca. Gdy wskazówka będzie równo na piętnaście po, uda mu się. Chciał zrobić to dla swojego brata. Oszczędzić mu cierpienia tak samo jak oszczędzić życia ojcu. Jeszcze tylko piętnaście sekund. Czuł pot na czole, czuł, jak zalewa go fala ciepła. Trzyznaście. Dwanaście. Wzrok wbity miał w umyte idealnie płytki podłogowe przecinane ciemną, grubą i nierówną fugą. Zdążył pomyśleć, że z fugami się nie postarali. Spojrzał na ojca, który wydawał się być zirytowany, więc szybko z powrotem spuścił wzrok. Spojrzał na zegar. Pięć sekund. Cztery. I wtedy nagle przed oczami świsnęła mu dłoń, ledwo dotykając jego nosa. Uchylił się i w panice spróbował uratować sytuację, odchylając głowę tak, by puszką nie spadła, jednak nie udało mu się.

Nigdy nie pomyślałby, że metaliczny odgłos spadającej na płytki pustej puszki wprawi go w tak duże przerażenie.

- Dzieci w Chinach w twoim wieku składają już telefony, a ty miałeś tylko utrzymać na głowie pustą puszkę. Pustą. Pustą jebaną puszkę na głowie.

- Przestraszyłem się - odrzekł cicho, wciąż wlepiając wzrok w podłogę. Gdyby nie to, to...

- Co tam mówisz? - zapytał ojciec, rozpinając pasek.

- Przestr...

- Odgoniłem muchę, przez którą mógłbyś przegrać, a ty i tak upuściłeś puszkę. Jesteś niezdara, a na to najlepsze remedium odkryli już dawno temu inni ojcowie. Obróć się.

Z oczu Andersa poleciały łzy, jednak nie powiedział nic. Na drżących nogach obrócił się, jak kazał mu ojciec.

- Oprzyj się o lodówkę.

Anders uczynił tak, jak kazał mu tata, i zacisnął powieki. Zawiódł tak plan A, jak i B. Na plan C, czyli pasek w spodniach, nie znaleźli sposobu.

Ta chwila zawsze trwała najdłużej. Chwila przed pierwszym uderzeniem. Czasami trwało to tak długo, że myśleli, iż ojciec się

rozmyślił. Że będzie spokojnie. Zdarzyło się tak tylko raz, gdy podczas zamachu upadł na podłogę i stracił przytomność. Wtedy otarł się o śmierć, był bliski zadławienia swoim własnym językiem, jednak chłopcy przewrócili go jakimś cudem na bok. Wstał zarzygany, jeszcze tego samego dnia karząc ich za swoje życie.

Teraz Anders miał nadzieję, że znowu tak się stanie. Czekał.

Gdy miał już odwrócić głowę, w powietrzu usłyszał krótki świst, a po nim potworny ból w uchu. Upadł po pierwszym ciosie. Miał wrażenie, jakby ojciec odciął mu nożem ucho, jednak ojciec po prostu nie trafił paskiem. Ból był przerażający. Po drugim uderzeniu tym razem w plecy, Anders nie wytrzymał. Rozpłakał się i usłyszał krzyk:

- Zostaw go!

To był Lucas. Anders uniósł głowę i zobaczył jak przez mgłę, że jego brat usilnie tłucze pięścią nogę ojca. Gdy przecierał oczy, dostrzegł tylko, jak ojciec ciska jego bratem o kuchenne szafki. Lucas próbował się podnieść, jednak nie zdołał, gdyż noga ojca wylądowała prosto na jego brzuchu. Anders chciał zawołać, jednak nie zdążył. Gdy w jego oczach wezbrały kolejne łzy, uniósł pięści do oczu i zaczął je przecierać, pasek z kłamrą wylądował dokładnie w tym miejscu. Gdyby nie uniósł dłoni, straciłby oko.

Grad ciosów spadał na jego kruche ciało raz za razem.

Gdy się ocknął, czuł na policzku chłód płytki. Tej samej, na którą patrzył, gdy walczył o utrzymanie puszki na głowie.

Obudziła go lodówka, która zawyła. Ciężko było mu się poruszyć, jego ciało było obolałe od uderzeń.

Chwilę trwało, nim stanął na nogi i chwiejąc się, podszedł do brata.

- Luc - szepnął.

Nachylił policzek nad jego usta. Poczul słaby oddech.

- Luc - powtórzył, tym razem głośniej.

Potrząsnął bratem. Dostrzegł na jego policzku cienką strużkę zaschniętej krwi.

- Luc, obudź się, proszę.

Potrząsał coraz mocniej, nie wiedząc, czy człowiek może umrzeć i wciąż oddychać. Bał się. Miał tylko brata, nikogo więcej.

Po chwili Lucas otworzył powoli oczy. Z oddali słyszeli tylko ciche chrapanie.

- Kręci mi się w... głowie - odezwał się Lucas, po czym od razu wymiotował obok siebie.

Anders szybko podszedł do kranu i nalał wody do szklanki, po czym podał ją bratu.

- Wypij - powiedział.

- Po co?

- Nie wiem. Ale widziałem na filmie.

Lucas wypił trochę i oparł się o półkę.

- Musimy to zrobić.

Wiedzieli o tym bez słów.

Ojciec był bezwładny. Wzięli z jego prawej ręki pasek, ten sam, który wymierzał im bezlitosną niesprawiedliwość. Opletli go wokół szyi, stając za nim. Ciągnęli w tym samym momencie. Długo, wydawało się im, że całą wieczność, choć trwało to mniej niż piętnaście sekund.

ROZDZIAŁ 31

Było już ciemno, gdy dotarli do domu Rose.

Śnieg sparaliżował miasto i był to główny temat w lokalnych i teraz już nawet nie tylko lokalnych stacjach radiowych i telewizyjnych. Tensas za sprawą anomalii pogodowych stało się sławne w całych Stanach Zjednoczonych.

- Podobno ściągają tu ponad sto dodatkowych pługów śnieżnych aż z Nevady - powiedział Stephen, podgłaśniając radio, w którym młoda reporterka zdawała relację z ostatnich kilku godzin.

- ...mówi się, iż opady przybiorą na sile. W tym momencie średni opad śniegu szacuje się na ponad sto centymetrów. Mieszkańcom Tensas zaleca się zrobienie odpowiednich zapasów w sklepach, gdyż

stacje meteorologiczne są zgodne: nie zanosi się na żadną poprawę.
Jest z nami Mark Ferguson, jak myślisz Mark, czy...

- Pieprzenie - uciał Eddie i wyłączył radio.

- Ed! - skarciła go Katie.

- Wybacz mała. - Eddie szturchnął Amy, która i tak zdawała się nie słyszeć ich rozmowy. Wzrok wlepiony miała w szybę, zza której pierwszy raz widziała tak dużo białego puchu.

Gdy Stephen zamierzał zgasić silnik, Eddie szturchnął go zza siedzenia.

- Stephen, czy to nie Rose? Tam obok latarni?

Spojrzeli w kierunku, który wskazał Eddie, i faktycznie dostrzegli Rose wpatrującą się w latarnie, a dokładnie w Migotkę.

Była bez kurtki, prawie cała zasypana śniegiem.

- Zabiję ją! - krzyknęła Kate i szybkim ruchem odpięła pasy, po czym wysiadła z auta i pobiegła w jej kierunku.

- Mamo! - krzyknęła, dobiegając do niej. - Mamo, zwariowałaś?!
Jest minus dziesięć, co ty wyprawiasz?

Kate dotknęła policzków Rose, były lodowate.

- Niech cię szlag z tym twoim paleniem, mogłabyś się chociaż ubrać, do cholery!

Kate ściągnęła swoją kurtkę i nałożyła na Rose.

- Ona tu była, Katie. Znowu.

Rose uśmiechała się, wciąż wpatrując się w żarówkę latarni, która świeciła teraz stałym światłem. Nie był to codzienny widok.

- Kto tu był? Możemy o tym porozmawiać w środku?

Amy, Stephen i Eddie doszli do nich.

- To ta latarnia świeci? - zdziwił się Stephen, zakładając na Kate swoją kurtkę.

- Pani Rose, ma pani może papierosa? Nie było szans zajechać na stację - zapytał Eddie. - Świetnie pani wygląda.

- Oczywiście, synu, mam tu całą paczkę - odrzekła Rose, po czym wręczyła ją Eddiemu.

- Poczekaście, to ta latarnia! - krzyknęła podekscytowana Amy i podeszła bliżej Rose.

- Czy wszyscy napatrzyli się na ta pieprzoną latarnię? Możemy już wejść do środka? - krzyknęła zirytowana Kate, a Stephen wiedział, że jeśli Katie przeklinała przy ich córce, było już bardzo źle.

- Amy? Kochanie, co to znaczy „ta latarnia”? - zapytała Rose, wpatrując się w małą, która miała na sobie wielką, białą czapkę z podobizną kota na przodzie.

- Ona pojawia się często w moich snach. Ona i... - zaczęła Amy, po czym nagle odwróciła się w stronę ulicy.

- I kto Amy? - zapytała Rose, odwracając wózek w stronę wnuczki.

- On - szepnęła Amy, wypatrując czegoś, co znajdowało się w oddali.

Wiatr przybrał na sile. Śnieg wirował w powietrzu, oddychali z trudem.

- Kto? - zapytał Eddie, zaciągając się papierosem.

Po chwili ciszy Amy spojrzała znowu w kierunku latarni i powtórzyła:

- On.

Nagle wszystkie latarnie zgasły, tak samo jak światła w oknach sąsiednich domów.

Nastała całkowita ciemność.

- Amy? - Katie podeszła do niej i kucnęła. - Nie bój się, wszystko dobrze, to tylko spięcie.

- Nie boję się - odrzekła chłodno Amy. - A to nie jest spięcie.

Oświetlał ich tylko księżyc odbijający się od śniegu.

- Więc co to jest? - zapytała Katie.

Po krótkiej chwili Amy spojrzała na nią.

- Odpowiedź. Na to, czym on jest.

- Czym? Jak to, nie rozumiem. Kto?

Teraz Amy popatrzyła na nich wszystkich.

- Nadjeżdżają tu ludzie. Źli ludzie. Mordercy...

- Amy, przestań, dosyć - odrzekł Stephen, ruszając w jej stronę.

- ...Lecz to nie ich powinniście się obawiać - dokończyła Amy i w tym momencie wszystkie latarnie naraz zaświeciły się na moment, lecz tylko na ułamek sekundy. Amy wskazała palcem na koniec ulicy. Odwrócili się w tę stronę.

Latarnie znowu rozbłysły na krótką chwilę i ujrzeli coś. Jakąś postać na końcu, niską, zdaje się dziecko.

Ponowna ciemność i błysk. Teraz postać była trochę bliżej, ale była już wyższa.

Błysk. Znowu dziecko. Błysk. Mężczyzna. Latarnie zapalały się i gasły coraz szybciej. Błysk, ciemność, błysk, ciemność.

- To on - powiedziała Rose, sięgając po papierosa. Drżała.

Postać była daleko, choć na tyle blisko, że mogli ją dostrzec.

Znowu błysk. Amy upadła na kolana i objęła dłońmi głowę.

Błysk. Mężczyzna teraz był dziewczynką. Błysk. Starzec z laską.

- ...ona... - usiłowała powiedzieć Amy, a Kate przytuliła ją mocno.

- Amy, córko, co się dzie...

- Nie będzie mogła... wam pomóc. - Amy mówiła z trudem, jakby coś próbowało przejąć nad nią kontrolę.

Gdy Kate odwróciła głowę, by zawołać Stephena, latarnie zaświeciły się i tym razem nie zgasły.

W oddali nie było nikogo. Z ust Amy pociekła krew, gdy osunęła się na zimny śnieg.

ROZDZIAŁ 32

- Jesteś pewna? - zapytał Rob, pomagając Samancie utrzymać równowagę, gdy ta próbowała ustać na nogach.

- Nie - odrzekła i spróbowała się wyprostować, przy czym jęknęła cicho - ale nie mamy wyjścia. Nie wiem tak naprawdę, ile mamy czasu i czy w ogóle zdążymy. Puść mnie.

Rob cofnął powoli ręce, wciąż gotowy, by ją złapać, gdyby zaszła taka potrzeba, a widząc w jakim jest stanie, był niemal pewny, że taka

zajdzie wkrótce.

- To trzy dni drogi stąd. Wytrzymasz? - zapytał niepewnie.

- Jeśli nie zanudzisz mnie opowieściami o hobbitach, to wytrzymam. Poza tym po nocy z twoimi filmami wiem, że mogę wytrzymać wszystko.

Spróbowała zrobić krok naprzód, jednak kostka w nodze nie wytrzymała. Prawie upadła, jednak Rob był szybszy. Złapał ją w pasie.

- Właśnie widzę.

Położył ją na łóżku, na które z zażaluzji prześwitywały poranne promienie słońca. Była za kwadrans siódma.

- Mamy wszystko na podróż? - zapytała, łapiąc oddech. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że minuta stania na nogach może kosztować tyle wysiłku.

- Nie, będziemy musieli zrobić zakupy. Bardzo oszczędnie zresztą, nie mamy zbyt wielu środków.

- Przetrwoniłeś już wszystkie pieniądze?

- Owszem, z tego lwią część na twoją rehabilitację.

- Przepraszam - odparła od razu. - To było kretyńskie z mojej strony, czasami mówię, zanim pomyślę.

- Zdążyłem przywyknąć. Idę wziąć prysznic przed podróżą.

- Rob... - zawołała Samantha, gdy prawie zamykał drzwi.

- Tak?

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na niego.

- Dziękuję.

• • •

Wyszli z pokoju dokładnie o dziewiątej. Nie wyglądali jak para wybierająca się do pracy, raczej jak dzielny mąż trzymający swoją świeżo poślubioną i jeszcze mocno nawaloną żonę, by ta się nie potknęła o własną nogę.

Samantha zmrużyła oczy i wzięła głęboki oddech.

- O Boże, cudownie!

Powietrze było rześkie, ogrzane porannym, zimowym słońcem, padającym teraz na ich zmęczone twarze.

- Jeszcze nigdy nie czułam tak wielkiej radości z tak błahej rzeczy, wiesz?

Spróbowała się schylić, by sięgnąć po śnieg, topniejący na deskach, z których zrobiony był podest, jednak gdy tylko to zrobiła, zakaszła i zgięła się z bólu.

- Ostrożnie - powiedział Rob - jesteś jeszcze w fatalnej kondycji.

- Dobrze, tato - odrzekła, chwytając się go mocniej. - Więc podaj mi trochę śniegu.

- Zrobię to tylko dlatego, że mam słabość do częściowo ubezwłasnowolnionych osób, jasne?

- Jasne, jasne.

Samantha ponownie nabrała powietrza głęboko do płuc, co tym razem poskutkowało głośnym kaszlem.

Rob podał jej śnieg. Jego dłoń była ciepła, jak zawsze. Nienawidziła mężczyzn z zimnymi dłońmi. Czuła się wtedy tak, jakby dotykała na wpół żywej osoby. Wzięła śnieg, spodobał się jej chłód rozlewający się po dłoni. Czuła, że żyje.

- Pora wrócić do rzeczywistości, Robercie. Gdzie zaparkowałeś ten złom?

Rob wyglądał, jakby cały czas czekał na to pytanie.

- Stoi przed tobą.

Samantha popatrzyła przed siebie, ale dostrzegła tylko starego mustanga, który mimo swojego wieku wyglądał imponująco. Ciemnogrnatowa karoseria błyszczała w blasku słońca. Czuła, że samochód musiał być myty najdalej wczoraj wieczorem.

- Myślałam, że tylko ja mam gorączkę.

- Nie podoba ci się? - zapytał, nadal trzymając ją pod ramię.

- Podoba, ale co z tego? Gdzie twój furgon?

- Nie ma go już. Teraz jest już tylko ona. Poznaj Marilyn.

Samantha popatrzyła na niego, mając w zanadrzu wymyślną docinkę, lecz zrezygnowała, gdyż dojrzała na jego twarzy coś, czego

wcześniej nie było. Przez chwilę w jego uśmiechu zobaczyła prawdziwą radość. Nie tę udawaną, którą maskował codzienny ból. To było prawdziwe szczęście. Szczęście połączone z dumą.

- Wyglądasz jak nastroszony paw - powiedziała. Nie mogła się powstrzymać.

- Hmm? - Rob wyrwał się z zadumy.

- Co z białym rekinem? - Samantha zmieniła temat.

- Czym? - zapytał zdeorientowany.

- Tym białym furgonem, który chociaż nie mówi, to wygląda, jakby pragnął już umrzeć.

- Sprzedałem. Pomyślałem, że skoro mamy przejechać połowę z czterdziestu dziewięciu stanów, zrobmy to tak, by było komfortowo.

- Mówiłeś, że nie mamy pieniędzy. Kiedy go kupiłeś?

- Ile jeszcze tych pytań? Pracujesz dla CIA?

- Może. A może jestem z natury dociekliwa. A może zastanawiam się, po co nam mustang, skoro nie mamy nawet za co go zatankować?

- Jeszcze kilka dni temu załatwiałaś pistolet, chcąc kogoś zastrzelić, po czym ledwo uszłaś z życiem, a teraz martwisz się o paliwo?

Na to Samantha nie znalazła odpowiedzi.

- Wsiadaj i zamknij się w końcu.

Spojrzała na niego, nie wierząc w to, co słyszy. Rob się wkurzył. Co za wydarzenie!

- Dobrze, tato.

Pomógł jej wsiąść, po czym odsunął fotel jak najdalej, przechylając oparcie w tył. Zobaczył na jej twarzy wyraźną ulgę.

- Weź kluczyki i odpal go już, idę zobaczyć, czy czegoś nie zostawiliśmy.

Ułożyła się wygodnie. W samochodzie było jeszcze chłodniej, ale w jakiś sposób ten chłód był cudowny.

Odnosiła wrażenie, że Rob wymienił to auto niechętnie i zrobił to dla niej, chociaż mogła się mylić. Zdążyła go poznać całkiem dobrze, ale to był zbyt krótki czas. A jednak wystarczająco długi, by Rob stał

się dla niej bliższy niż ktokolwiek inny. Zadziwiające było to, że ani razu nie spytał jeszcze, czym się zajmowała. Z drugiej strony, jak o tym myślała, nie było zbyt wielu okazji, by porozmawiać. Przez ponad siedemdziesiąt procent czasu, który spędzili razem, była raczej nieprzytomna lub niezdolna do podjęcia głębszych tematów. Zastanawiała się, co mu odpowie, gdy zapyta? Zorientowała się w tym momencie, że nigdy tak o tym nie myślała w stosunku do nikogo. Przez tyle lat była całkowicie sama, nie licząc Tony'ego. Tony... Tony był jeszcze większą zagadką niż ona. Jakkolwiek dziwne relacje ich łączyły, wiedziała, że nie zostawi tak tej sprawy. Na szczęście nie zostawiła po sobie żadnych śladów. Nie jest w stanie jej namierzyć. Jest bezpieczna.

ROZDZIAŁ 33

To był kolejny dzień, który Tony zaliczyłby raczej do mniej udanych.

Nie pamiętał, kiedy miał tak wiele nieudanych dni z rzędu.

Wiedział jedno. Wszystko zaczęło się od Samantha. Chociaż raczej sięgając wstecz, wszystko zaczęło się od tego pieprzonego gnojka, który miał się z nią trochę pobawić. Kasa była niezła, ale szlag by go trafił. Mógł albo się pobawić i po prostu odejść, albo ewentualnie ją zabić. Ale, na Boga, pokieraszować ją, by ledwo uszła z życiem i zaczęła planować odwet? Może to od niego powinien zacząć?

Nie. Wujek dał mu jasno do zrozumienia, że to ta dziwka jest powodem wszystkich nieszczęść, które zalały jego życie. Poza tym odstrzelenie tego kmiota przysporzyłoby mu masę nowych problemów, a tych i tak miał już po sufit cholernego magazynu. Takiego na cholerne tiry. W dodatku Anders i Lucas nie odbierali telefonów, co znaczyło, że są na siłowni, a sprawa była pilna. Znaczyło to więc, że musiał po nich jechać. Dochodziła dwudziesta druga. Jak można ćwiczyć o tej godzinie, pomyślał i wziął gumę z nikotyną do ust.

Podjechał na parking i wysiadł z auta, poprawiając płaszcz. Nie dbał o wygląd, ale pogrzyb ma swoje prawa. I pozycja. Jego wujek mawiał, że w ich profesji ważne jest, by ocenić człowieka jak najszybciej, a ubiór jest pierwszym czynnikiem. Już po nim można ocenić, na ile poważnie traktuje cię druga osoba.

Nad wejściem do ogromnego wręcz jak na siłownię budynku wisiał ogromny, podświetlony na różowo szyld Jim's Gym. To siłownia dla pedałów, pomyślał Tony i parsknął śmiechem, po czym otworzył duże, szklane drzwi. Po prawej stronie zauważył bramkę ze schodami na drugie piętro, na przeciwko drzwi znajdowała się recepcja, a w niej urocza blondynka w sportowym stroju, opinającym jej ciało na tyle, że Tony przez chwilę zastanawiał się, czy to nie manekin.

- Dobry wieczór - powiedział, po czym pewnym krokiem podszedł do lady.

- Och, witam - odpowiedziała mu dziewczyna, podnosząc głowę nad monitora, w który się wpatrywała.

Czyli jednak nie manekin, pomyślał.

- Przepraszam - dodała. - Mieliliśmy sporo kradzieży w ostatnim czasie i szef kazał nam pilnować kamer. Wie pan, to nie jest zbyt ciekawe zajęcie, chociaż z drugiej strony lepsze to niż wpatrywanie się w te szklane drzwi.

Tony odwrócił się w stronę drzwi i pomyślał, że faktycznie nie jest to najlepsze zajęcie.

- Przepraszam, często za dużo gadam. Chyba nawet z tego powodu mnie zatrudnili. - Wysportowana recepcjonistka uśmiechnęła się wesoło. - Chce pan nabyć karnet? Mamy obecnie zniżkę, ale tylko do końca stycznia, gdyż wie pan, jak to w styczniu, wszyscy obiecują sobie złote góry i sylwetki, a większość odpuści już w lutym. Dla nas to lepiej. - Popatrzyła na Tony'ego i zasłoniła szybko usta, otwierając szerzej oczy. - I znowu, znowu to robię. Za dużo gadam, przepraszam!

Na górze słychać było odgłosy ciężkich sztang upadających na gumowe maty, niekiedy nawet ryki i stękania.

Tony nie wiedział, czy podziwiać tych dziwnych ludzi, czy współczuć im. Skłaniał się ku temu drugiemu.

- Nie szkodzi - odparł Tony, wpatrując się w jej oczy. - W gruncie rzeczy to urocze. Tak jak ten pieprzyk na pani policzku - dodał, nie spuszczać z niej wzroku.

Dziewczyna, która na oko skończyła dwadzieścia lat, zarumieniła się i spuściła wzrok. Na jej szyi zawieszona była plakietka, na której widniała uśmiechnięta twarz kobiety reklamującej jakieś proteiny, obok niej napisane było: PRAKTYKANTKA, ALICE.

- Dziękuję - odrzekła, a Tony, nie chcąc słyszeć opowieści o tym pieprzyku, od razu wszedł w jej słowo.

- Alice, potrzebuję zgarnąć stąd dwóch osiłeków. Mają telefony w szatni, a praca ich wzywa. Czy mogę po nich podejść?

Alice spojrzała na niego i po chwili uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, normalnie zabraniamy takich rzeczy, ale skoro to nagła sprawa. Proszę.

- Dzięki, odwdzięczę się na kawie. - Mrugnął do niej czarująco, a ona ponownie się zarumieniła.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz flirtował, ale czuł, że pomimo wieku nadal jest w formie.

- Wie pan co, proszę tu zostać, ja po nich pójdę. Jak się nazywają? Znam prawie wszystkich bywalców tutejszej siłowni.

- Anders i Lucas.

- Och, stali bywalcy. - Uśmiechnęła się. Bardzo uczynni, pomogli mi kiedyś wnieść automat z izotonikami. Są przebojowi!

- Owszem - odrzekł Tony, uśmiechając się ciepło, w myślach jednak widział, jak tłucze ich młotkiem po głowach.

Wzięła kartę i podeszła szybkim krokiem do bramki, która zaświeciła się na zielono, gdy tylko zbliżyła kartę do czytnika.

Znów jakiś mięśniak zrzucił ciężary i ryknął przeciągle.

- Jezu, oby moi nie robili takiego wstydu - powiedział do siebie.

Czuł się jak w barze, siedząc tak na stołku przy ladzie, tylko zamiast alkoholu wszędzie były napoje białkowe i izotoniki, a zamiast

starych pryków i puszczałskich lasek twarze uśmiechniętych, wysportowanych młodych ludzi.

- Boże, chcę już stąd iść - powiedział do siebie ponownie i sprawdził telefon. Zobaczył kilkanaście nieodebranych połączeń. Nie miał na to czasu. Dostał cynk i musiał czym prędzej udać się w to miejsce, ale nie mógł tego zrobić sam, potrzebował ochrony. W razie czego.

Ktoś przyszedł i Tony odwrócił głowę. Czterech młodych chłopaków weszło przez ogromne drzwi i stanęło za nim.

- Hej. Gdzie Allie? - zapytał jeden z nich, ściągając torbę z ramienia.

Tony nie był pewny, czy pytanie było skierowane do niego. Sięgnął znów po telefon, który akurat dzwonił. To była Kristen. W tym momencie przesunął palcem. Jeśli do niego dzwoniła, sprawa mogła być poważna. Podniósł telefon do ucha, ale czyjaś ręka wytrąciła mu go na podłogę.

- Mój kolega zadał ci pytanie - powiedział najwyższy z chłopaków, napinając klatkę.

Tony schylił się po telefon, nie spuszczając z nich wzroku. Zauważył, że przednia szybka jest pęknięta.

- Tak, kochanie? Stało się coś? - zapytał szybko, szacując, że nie ma wiele czasu. Młodzi łapali wiatr w żagle. Efekt tłumu. Nawet parę osób może go wywołać.

- Nie, nic, ja... Zepsuł się telewizor i pomyślałam, czy nie jesteś gdzieś w pobliżu.

- Przyjadę niebawem, załatwię tylko jedną sprawę.

- Dobrze.

Sygnal urwany. Nie dała po sobie nic poznać, chciała zachować pozory. Ale gniew jej przechodził. To była dobra informacja. Zapaliłby z tego powodu, cholera, jak chciałby zapalić.

- Zapytałem, czy jesteś, kurwa, głuchy?

Tony spojrzał w lewy górny róg, by potwierdzić domysły. Tak jak się spodziewał, była tam kamera.

- Szefie? Odwrócił się i zobaczył, jak Anders i Lucas w pośpiechu zbiegają ze schodów.

- Co się stało? - zapytał Lucas, całkowicie zlany potem.

Za nimi stała nadal uśmiechnięta Alice. Tony odwrócił głowę w stronę czterech chłopaków i zobaczył to, czego się spodziewał. Strach. Strach na widok tych braci był tak naturalny jak jesień nadchodząca po lecie.

- Mamy teraz dwie sprawy do załatwienia.

- Czołem, Luc! Ćwiczycie dzisiaj? - zapytał jeden z chłopaków, najniższy, choć sylwetkę miał wysportowaną.

Lucas popatrzył na Tony'ego, który morderczym wzrokiem wpatrywał się w chłopaków.

- A co, kurwa, nie widzisz?

Anders również podszedł bliżej. We dwóch wyglądali, jakby stało ich czterech. Byli potężni, a teraz, świeżo po treningu ich mięśnie były uwydatnione jak u dzikich zwierząt. W przeciwieństwie do innych osiłków nie posiadali oni tatuaży.

Tony zwrócił się do Alice, która z powrotem usiadła w recepcji. Wiedział, że rozmawiali pierwszy i ostatni raz w życiu i w duchu nawet trochę żałował. To była fajna dziewczyna.

- Niestety, sprawy przybrały gorszy obrót, niż pierwotnie zakładałem. Przykro mi i przepraszam z góry za ten bałagan. Mam ostatnią prośbę, skarbie.

- Tak? - zapytała, jednak i w jej oczach zaczęła kiełkować niepewność splątana ze strachem.

- Widzisz tą kamerę?

- Tak, proszę pana - odrzekła, nadal nerwowo się uśmiechając.

- Wyłącz ją - powiedział rozkazującym, choć nadal ciepłym tonem, po czym się uśmiechnął.

- Ale... - zaczęła.

- ...Allie, naprawdę przykro mi z tego powodu. Wierz mi, że nie chcę, ale musisz uwierzyć, że muszę. A teraz wykonaj moje polecenie.

Alice drżącą dłonią sięgnęła po myszkę.

- Wie pan, to dobre chłopaki, znam ich już kilka lat... - mówiła, nadal klikając.

- Wiem, że wzywasz pomoc, rozumiem to i nie mam pretensji. Czy wyłączyłaś kamery? Nie chcę, by dzień skończył się gorzej, niż bym sobie życzył. - Powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Wyłączyłam - odrzekła cicho.

- Dobrze. Teraz zasłoń uszy i odwróć się. Licz do stu dwudziestu.

Wykonała polecenie.

Tony sięgnął po długopis i szybkim krokiem podszedł do pierwszego z brzegu chłopaka, wbijając mu go w szyję.

Alice zamknęła oczy i z każdą sekundą odliczoną w umyśle, próbowała zamknąć je mocniej. Słyszała tylko krzyki, huk wywracanych krzesel i głucho łupnięcia pomieszane z płytkimi trzaskami.

Gdy skończyła liczyć, czuła mokre od łez policzki. Przetarła je. Już po stu sekundach usłyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Drżącą ręką odnalazła kawałek blatu, by zachować równowagę. Dostrzegła na schodach tłum osób, które niedawno ćwiczyły. Jedna wysoka dziewczyna, która na koszulce miała napis: „pieprzyć siłownie, chce wyglądać modnie”, zasłaniała dłonią usta.

W końcu Alice odwróciła się całkiem i zobaczyła swoich kolegów skąpanych we krwi. Byli zmasakrowani. Szklane drzwi ochlapane były krwią. Zaczęła oddychać szybko, tracąc panowanie nad sobą.

Alice nieprędko zacznie znowu tyle mówić.

ROZDZIAŁ 34

Gdy wyjechali ze sklepu z artykułami pierwszej potrzeby, mały, elektroniczny zegar w desce rozdzielczej nad radiem wskazywał godzinę 11.03.

Rob pod naciskiem Sam zakupił bluzę z kapturem i czapkę, by nie zostawiać po sobie śladów na stacjach benzynowych, a raczej

zostawiać ich najmniej, jak mogli. Tony był wpływowy, więc chociaż były nikłe szanse na to, że ich znajdzie, wołała dmuchać na zimne.

- Jak stoimy z paliwem? - zapytała Sam, w międzyczasie szukając dźwigni do regulacji fotela.

- Dobrze, ale zatankujemy od razu, żeby nie robić postojów zbyt często. Jak się czujesz?

- Nie najgorzej. Kupiłeś wszystko, co ci napisałam?

- Tak - odparł Rob, patrząc na nią przez chwilę.

- Co? - zapytała.

- Łącznie z tamponami - dodał posępnie.

- Dlaczego faceci mają taki problem z kupowaniem damskiego asortymentu - mruknęła bardziej sobie niż do niego.

- To tak, jakbyś miała kupić prezerwatywy.

- No i co w tym złego? Jesteśmy dorośli i mamy dwudziesty pierwszy wiek, panie Chewbacca.

Rob zjechał na stację i ustawił się pod dystrybutorem.

- To cacko ma pięć litrów, ciekawe, jak długo wytrzyma na jednym baku.

- Masz rację, ja również jestem ciekawa, zważywszy na to, że mamy tylko na ten jeden bak.

- Czy ty czasami możesz myśleć pozytywnie?

- Zauważyłam, że przy tobie to jedyne wyjście. Dobra, idź tankować i jedźmy.

- Poczekaj, ustawię od razu GPS.

Rob wpisał współrzędne. Po zaledwie pięciu sekundach mały monitor poinformował ich uprzejmym, choć dość obojętnym głosem, że dotrą na miejsce w ciągu trzech dni i czternastu godzin.

Jeszcze przez chwilę wpatrywali się w ekranik urządzenia, nim Rob wysiadł, by zatankować.

• • •

Minęła niecała godzina, zanim udało im się wyjechać na autostradę. Było nadal słonecznie i śnieg zdążył całkowicie ulec temperaturze,

tworząc mokrą powłokę na ciemnych, asfaltowych drogach.

- Więc wyjaśnisz mi w końcu, o co chodzi z tym całym numerem, dla którego przejeżdżamy pół Ameryki?

Samantha wpatrywała się w szybę, starając się ignorować ból w żebrach.

- Nie płacę ci za pytania.

- W gruncie rzeczy teraz to ja płacę tobie. Nawet auto musiałem kupić.

- Nie musiałeś. Poza tym - dodała, patrząc na niego - widać, jak bardzo ubolewasz nad tym. Uśmiech do teraz ci nie zszedł z buźki.

- Szukam pozytywów.

Patrzyła na niego i dostrzegła, jak zmienił się przez te kilka dni. Zarost dodał mu kilka lat, ale to było na jego korzyść. Wyglądał bardziej męsko. Jego oczy stały się za to bardziej niebieskie, chociaż może to było złudzenie, które potęgował blask słońca.

- Muszę przyznać, że wyglądasz całkiem nieźle w tym aucie.

Rob rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Dzięki, ty też wyglądasz... całkiem okay.

Samantha roześmiała się w głos.

- Całkiem okay? Robercie, sądziłam, że wokół ciebie musi kręcić się sporo kobiet, ale po tym komplementcie zaczynam wątpić.

- A od kiedy ty patrzysz na komplementy? A w ogóle nieźle ci idzie zbaczanie z tematu.

No właśnie, pomyślała. Od kiedy zwracała uwagę na komplementy? Dlaczego w ogóle przyszło jej to do głowy? Nie chciała facetów, miała ich dosyć. Wszyscy oni byli według niej tacy sami. Ale Rob miał w sobie coś, co przyciągało ją do niego, choć nie wiedziała, co to było. Owszem, był przystojny, wysportowany, inteligentny, dobry i mogłaby znaleźć jeszcze kilka cech, jednak nie to stanowiło o jej uczuciach.

Właśnie, uczucia. Czy jakieś jeszcze miała? Czy znała ich znaczenie? Nie wiedziała, dlaczego w ogóle o tym myśli. Czuła się przy nim w jakiś sposób bezpieczna. Czuła, że robi to dla niej

bezinteresownie i że zrobiłby to nawet, gdyby jego brat o to nie poprosił. Wtedy w kawiarni zgodził się w zasadzie bez namysłu, chociaż kompletnie jej nie znał. Pomógł jej w niedokonanej zbrodni, nie wiedząc, kim była. Dla niej był narzędziem, ona dla niego... właśnie, kim dla niego była?

- Miałeś mi opowiedzieć o chorobie swojej mamy.

- Dobrze, a obiecujesz mi powiedzieć o tym, dlaczego tam jedziemy? I co zaszło u mnie między tobą a moim bratem?

- Jasne - rzuciła, wciąż patrząc na niego, gdy on spojrzał na nią.

Rob milczał przez chwilę, po czym wyłączył radio, w którym leciała kolejna smętna piosenka zapowiadająca święta. Samancie ulżyło.

W końcu się odezwał.

- Została sparaliżowana około pięć lat temu. Wszystko zaczęło się od wylewu, zapadła w śpiączkę na rok. Paraliż objął nawet jej struny głosowe. Wiesz, mówią, że nieszczęścia chodzą parami, i tak u mnie było, nie licząc mojego ojca oczywiście. W prawie tym samym czasie coraz gorzej było z Dannym, autyzm postępował. W zasadzie gdy ona przestała mówić, on również się już nie odezwał. Do czasu aż...

- ...aż nie zadzwonił wtedy - dokończyła Sam.

- Owszem - potwierdził Rob. - Jej ostatnie słowa, nadal je pamiętam. Wychodziłem wtedy do pracy. Powiedziała: „Kocham cię, Robby”, jakby...

Głos Roba się załamał i uwiązł w gardle. Jechali wciąż autostradą, mijając auta i Sam zauważyła, że im więcej mówił, tym bardziej zwalniali. Jakby opuszczały go siły nawet do tego, by wciskać pedał gazu. Sam ujęła jego dłoń.

- Jakby wiedziała - dokończył Rob i przetarł wolną dłonią oczy. Wziął się w garść. - Wybacz. Po prostu...

- Ciii. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze - powiedziała Sam, bardzo wątpiąc w to, co mówi, a Rob zaczął znowu przyśpieszać.

Już wiedziała, co sprawiało, że on był dla niej kimś wyjątkowym. Łączyła ich ta sama, beznadziejna sytuacja. Mimo że on miał rodzinę,

to z dwoma jej członkami nie mógł wymienić nawet zdania, a jego ojciec pewnie wkrótce zapije się na śmierć. Rob, tak jak i ona, toczył walkę ze światem całkiem samotnie.

- Nie masz nikogo? - zapytała Sam, puszczając jego rękę.

- Pytasz o dziewczynę?

- Yhm.

- Miałaś rację.

Znowu się uśmiechał. To dobrze, pomyślała. To dobrze.

- Jestem nieśmiały albo coś zawsze spieprzę. Inna sprawa, że nie mam czasu przez pracę.

- Nie wyglądałeś na nieśmiałego, gdy cię zobaczyłam.

- Pozory mylą - odrzekł.

- To prawda.

- Okay, teraz ty odpowiadasz na pytania.

- Później - odrzekła Sam, rozkładając oparcie. - Jestem zmęczona, muszę się przespać. Zamknęła oczy.

- No jasne, mogłem się tego spodziewać.

Rob poprawił się w siedzeniu. Zastanawiał się, co on tutaj robi z tą tajemniczą dziewczyną. Dokąd tak naprawdę jada? Czy wiedziała, ale nie chciała tego powiedzieć? Kim była?

Spojrzał na nią. Zasnęła w jednej chwili. Była poobijana i wycieńczona, jednak nadal piękna. Może nawet piękniejsza niż wtedy, gdy podeszła do niego pierwszy raz.

Sięgnął po koc z tylnego siedzenia i przykrył ją. Słońce zachodziło, ustępując miejsca ciemnym chmurom. Opony mustanga przecinały z szumem nadal mokrą nawierzchnię asfaltu.

Jechali w nieznane.

• • •

Tony wpatrywał się w lustro, na którym szminką napisane były jakieś cyfry. Niewiele czasu jednak zajęło mu dojście do tego, czym te cyfry są.

Z początku pomyślał, że Samantha zostawiła ten ślad specjalnie, by go zmylić, ale coś tu nie pasowało. Ten bałagan, nagłe wyjście – nie były w jej stylu. Cyfry stanowiły klucz. Domyślił się, że to współrzędne.

– I co, szefie? Jaki jest plan? – zapytał Lucas, otwierając lodówkę Samantha.

Tony myślał. Zastanawiał się, czy nie odpuścić. Niemal miał już na końcu języka, że zostawia tę sprawę. Zamknąłby drzwi i ruszył do domu. Wtedy przypomniał sobie płacz swojej córki i tę dziwną wizytę wujka w jego pokoju. Nie mógł.

– Zbierajcie się. Jedziemy.

ROZDZIAŁ 35

– Sammy?

Głos był cichy i ciepły. Ten sam, który pamiętała.

– Sammy, obudź się, muszę cię o coś zapytać.

Samantha z trudem otworzyła zaspane oczy. Była w swoim starym, małym łóżeczku.

– Tato? – powiedziała, przecierając oczy. Na szafce dostrzegła swój mały budzik z nalepką przedstawiającą dwie małe, przytulone do siebie myszki. Jej tata powiedział, że jedną, tą mniejszą, jest ona, a tą większą on. „Zawsze z tobą będę, Sammy, pamiętaj”.

Poczuła ciepłą dłoń na czole. Głaskała ją. To była jego dłoń, dłoń, za którą tak bardzo tęskniła.

– Tak, córeczko, to ja.

Popatrzyła w lewo, tam, gdzie znajdowały się jedyne drzwi w ich domu, oddzielające jej mały pokoik od tak samo małego salonu, w którym na rozkładanym tapczanie spali jej rodzice.

Dobiegały stamtąd głosy różnych mężczyzn. Nie mogła dosłyszeć, o czym rozmawiają.

– Tatusiu, czy ktoś jest jeszcze w domu?

Wciąż głąskał ją po włosach. Ilekroć spróbowała na niego spojrzeć, obraz jej się rozmywał. Ale to był on, wiedziała o tym.

- Tak, Sammy. Przyszli panowie, potrzebowaliśmy pieniędzy.

Spojrzała ponownie na drzwi, spod których wylewało się jasne światło. Tylko to światło widziała wyraźnie, dostrzegła kilka ruchomych cieni. Dźwięk nalewanego napoju. Zamknięcie lodówki. Wszystkie te osoby były w butach.

- Czy oni przyszli... - Samantha czuła, jak wzbiera w niej płacz - Czy oni chcą....

- Cii - uspokoił ją ojciec, kciukiem ocierając łzę, spływającą po jej małym, pulchnym policzku.

Nagle z pokoju obok dobiegły donośne śmiechy. Mówili te brzydkie wyrazy, których Sam nie mogła powtarzać. O to prosił ją tata, a ona była grzeczną dziewczynką.

Zaczęła dygotać na ciele.

- Oni chcą skrzywdzić mamę? - zapytała drżącym głosem.

- Nie, króliczku - odpowiedział jej ciepłym, spokojnym głosem.

Króliczek. Tak do niej zawsze mówił.

Z pokoju dobiegły znowu śmiechy. Komuś coś spadło, wydawało się jej, że buty.

- Mamusia pracuje, króliczku. Mamusia pracuje, a ja muszę cię o coś spytać.

Z pokoju obok dobiegały teraz dziwne dźwięki, których Sam kiedyś nie rozumiała, ale miała zrozumieć z czasem.

Ze strachem patrzyła na drzwi, gdy jej mama krzyknęła. Chciała zasłonić uszy, ale ojciec chwycił ją za nadgarstki.

- Tatusiu... - powiedziała, nadal drżąc na ciele. - Boje się.

- Sammy, króliczku. Dlaczego?

- Co? - zapytała, nadal próbując go dostrzec?

- Dlaczego, Sammy?

Teraz krzyk z pokoju przeszedł w urywany pisk. Odgłos uderzenia.

- Dlaczego, Sammy? Dlaczego jesteś taką kurwą jak twoja matka?

Samantha próbowała się wydostać z uścisku, ale nie potrafiła.

- Z nim też będziesz się kurwić? Co, króliczku? Ten sam kurewski gen spłynął do tej krwi?

- Puść mnie! - krzyknęła z całych sił.

- Po co tam jedziesz? Lepsze stawki godzinowe? Jedziesz się kurwić, bo jesteś splukana? - Ojciec nadal krzyczał, a ona nie potrafiła się wydostać z jego silnego uścisku.

- Puszczaj!! - wykrzyczała i otworzyła oczy.

- Hej! Spokojnie, to ja!

Samantha rozejrzała się wokół. Byli pośrodku niczego. Zapalone reflektory oświetlały tylko puste pola, wokoło były drzewa. Zjechali z drogi, stali na poboczu.

- Już w porządku? Jezu, te twoje sny. Ciężko cię wybudzić.

Samantha dotknęła czoła, była spocona.

- Masz chyba znowu gorączkę, nie wyglądasz najlepiej.

- Która jest?

Rob spojrział na zegarek.

- Godzina duchów, północ.

- Gdzie jesteśmy?

- Niedawno wjechaliśmy do Kansas.

Przespała prawie dziesięć godzin. Nie wiedziała jak. Pomimo gorączki czuła się już znacznie lepiej.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej - powiedziała.

- Zrobimy tu chwilę postoju, dobrze?

- Dobrze.

Rob sięgnął do tyłu i wygrzebał z torby aspirynę, po czym dał jej dwie tabletki.

- Wypij.

Posłuchała. Sięgnął do tyłu i wyciągnął koc.

Zgaszę silnik, nim wychłodzi się całkiem, ruszymy dalej.

Odchylił siedzenie do tyłu i zamknął oczy. Wokół panowała tylko głucha cisza.

Gdy się przebudził, elektroniczny zegar wskazywał piątą pięćdziesiąt trzy. Spał prawie pięć godzin. Przetarł oczy i spojrzał na siedzenie pasażera, ze strachem spostrzegł, że Samantha nie było.

- Sam? - zawołał, ustawiając do pionu oparcie fotela. Dostrzegł ją przy masce samochodu, owiniętą w biały koc, który zwinęli z poprzedniego motelu. Patrzyła w niebo.

Wysiadł. Poczuł chłód, ale znośny jak na tę porę roku. Zamknął drzwi. Ciemność rozświetlał księżyc i miliony błękitnych gwiazd.

Podszedł do niej.

- Czy to nie jest piękne? - zapytała, nadal wpatrując się w niebo.

- Owszem, jest - odparł i usadowił się obok, również patrząc w niebo.

- Rob? - odezwała się, nie patrząc na niego.

- Tak?

Myślała przez chwilę i odezwała się szeptem:

- Wierzysz w cuda?

Podrapał się po gęstym zaroście, nadal był zaspany.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Gdybym mogła mieć jedno życzenie przed śmiercią, chciałabym być jeszcze raz właśnie tu i teraz, bez niczego, z tobą, pod tym gołym niebem, pośród tej pustyni. Ja...

- Sam, dlaczego...

- Boję się, Rob.

Czuła, że zaraz znowu się rozplacze, nienawidziła siebie za to.

Objął ją i przytulił, bez słowa, a ona bez słowa uległa.

- Pierwszy raz, odkąd stałam się dorosła, boję się... Rob, boję się jak diabli.

Odwrócił ją do siebie i przycisnął jej twarz do swojej piersi.

- Nie... - powiedziała, chciała się odsunąć, ale zabrakło jej sił. Pocałował ją, a ona bez wahania odwzajemniła jego pocałunek.

Tkwili tak złączeni ustami. On obejmował ją mocno.

Było bezwietrznie, nie czuli zimna. Samantha patrzyła mu w oczy przez chwilę i wzięła jego rękę, kładąc na swojej piersi.

Położył ją na masce starego buicka, całując jej szyję. Nie pomyślałaby, że jakikolwiek mężczyzna jeszcze raz ją posiadzie, ale teraz chciała tego. Potrzebowała go bardziej, niż mu się wydawało.

Nie czuła bólu, gdy ściągał jej spodnie. Patrzyła nadal w niebo, gdy w nią wchodził. Objęła dłońmi jego szyję. Byli tu teraz, sami, znowu. Świat się nie liczył, czas stanął w miejscu.

Miało ją wielu mężczyzn, a jednocześnie czuła się tak, jakby nie miał jej nigdy nikt. Mieli jej ciało, ale Rob miał coś więcej. To, czego nie dała nikomu w swoim życiu.

Pojękiwała cicho, gdy wchodził w nią coraz szybciej.

Czuł, jak dochodzi. Subtelnie, jakby ze wstydem, a ona pragnęła go całego. Chciał się odsunąć, ale przycisnęła go do siebie mocniej, obejmując nogami. Zrozumiał. Skończył w niej, a Sam gładziła go rękami po włosach.

Jeszcze długi czas leżał tak na niej zmęczony, podczas gdy ona wpatrywała się w niebo i setki małych, jasnych punkcików, które migają nieśpiesznie.

ROZDZIAŁ 36

Leżeli na tylnym siedzeniu, wtuleni w siebie. Silnik rozbrzmiewał cicho, obdarowując ich przyjemnym ciepłem wychodzącym przez nagrzewnice. Stali nadal na poboczu i co jakiś czas przemykały obok nich auta, delikatnie poruszając przy tym ich samochodem.

Leżeli, nie odzywając się do siebie, ale nie stanowiło to dla nich problemu. Samantha czuła się bezpiecznie i bała się pytania, które w końcu zada Rob. A zadał je właśnie teraz.

- Zdradzisz mi wreszcie, dlaczego tam jedziemy?

- Chcę, Rob. Bardzo. Ale to nie jest takie proste, nawet dla mnie, a co dopiero dla ciebie.

Co miała mu powiedzieć? Że uleczyła ją dziewczynka w sukience po tym, jak została zgwałcona? Że była prostytutką? Zorientowała się, że poczuła znowu coś, czego wcześniej nie czuła, jednak to już nie

było tym fajnym uczuciem. Tym, które teraz się do niej odezwało, było wstydem.

- Spróbuj - odrzekł Rob. - Jesteś z mafii i musisz kogoś odstrzelić?

Samantha roześmiała się, ale szybko spoważniała. Zorientowała się, że nie żartował. W sumie, jak pomyślała, nawet taki scenariusz był prawdopodobny.

- Wiesz, nie wiem o tobie nic. Pojawiasz się znikąd, ledwo uchodzisz z życiem z wypadku, do tego mój brat odzyskuje na chwilę świadomość po twojej wizycie w moim domu i sam prosi mnie, bym cię dowiózł tam, dokąd jedziemy. Tensas. Nawet nie słyszałem o takim miejscu.

- Posłuchaj... - Sam podniosła się i usiadła na nim. Nagle zrobiło się ciasniej. To dziwne, jak nasz umysł współpracuje z nami, gdy jest nam dobrze, pomyślała. - Gdy tylko mnie tam zawieziesz, wrócisz do swojej rodziny. Obiecuj mi to.

- Więc nie zasługuję nawet na wyjaśnienia? - zapytał. Wyczuła w jego głosie gniew. Całkiem słuszny, pomyślała.

- Rob... chciałabym ci to wytłumaczyć, naprawdę.

- Więc spróbuj. Nawet nie próbujesz, tylko zmieniasz temat. To nie ułatwia sprawy. Zostawiłem chorą matkę i brata, by jechać z tobą.

- Wiem, Rob.

- Wiesz, ale gównu cię to obchodzi - odrzekł.

Zeszła z niego, przechodząc na miejsce pasażera. Czowała, jak zaczyna boleć ją głowa.

Ustawił siedzenie w pozycji pionowej i przysunął fotel.

- Pieprzyć to. - Pierwszy raz Rob zaklął przy niej. Czowała, że musi być źle. - Czas w drogę. Może, jak uznasz, że jestem wart wyjaśnień, to mi coś powiesz.

Spojrzał we wsteczne lusterko i wjechał na drogę. Do celu został im jeden dzień i dwanaście godzin. Według GPS-a powinni dotrzeć na dwudziestą dwudziestego drugiego grudnia.

• • •

Jechali w milczeniu, czasami tylko nasłuchując, gdy w radiu słyszeli coraz gorsze prognozy pogody.

To Rob starał się pierwszy załagodzić konflikt, rzucając co chwilę krótkimi zdaniami, lecz Samantha tylko patrzyła w szybę na mijane z wolna krajobrazy. Nie wiedząc czemu, ta podróż podnosiła ją na duchu. Czuła wolność każdym oddechem. Im bliżej celu byli, czuła, że zostawia całą swoją przeszłość, a każdy kilometr bliżej tajemniczego, nieznanego miasteczka Tensas dawał jej nową szansę. Na nowe, może lepsze życie, chociaż tego nie była pewna.

Zastanawiała się, jak doszło do tego, że kochała się z człowiekiem, którego ledwo co znała. Jak dziwne było to wszystko, co ich łączyło.

Sięgnęła do tyłu po torbę z wodą, chociaż nie chciało się jej pić. Chciała spojrzeć na Roba. Było jej wstyd za swoje zachowanie, ale taki miała już nadęty charakter, który tak naprawdę dopiero poznawała. Nie łączyło jej nigdy nic z żadnym człowiekiem, odkąd porzucili ją rodzice. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wredna jest, ale wiedziała, jak cierpliwym człowiekiem był Rob.

- Chcesz wody?

Rob wziął od niej butelkę.

- Wyglądasz na zmęczonego, może zrobimy postój?

Zapytała, po czym odruchowo spojrzeli na przymocowanego do szyby GPS-a, który przykryty był jej koszulką. Tylko dźwięk informował ich czasem, którego pasa mają się trzymać.

- Mam go odkryć? - zapytała, zerkając na Roba.

- Zrób to.

Zrobiła, blask światła lekko ich oślepił.

- Sześćset kilometrów - powiedziała ponuro Samantha.

- Mogłaś jeszcze nie odkrywać.

Spojrzał na nią i parsknęli śmiechem. Ucieszyło ją to.

Zasłoniła urządzenie z powrotem.

Robiło się coraz ciemniej, wiatr był również bardziej porywisty i uderzał w bok, lekko chybocząc ich autem.

- Z początku myślałem, że im dalej jedziemy, tym mniej benzyny spalamy. Teraz zdałem sobie sprawę, że to dlatego, iż jadę coraz wolniej. Pokonanie ostatnich czterystu kilometrów zajęło nam dwukrotnie więcej czasu niż wcześniej.

Samantha także to zauważyła. Rob jechał coraz wolniej. Musiał częściej się skupiać na drodze, był także bardziej zmęczony.

Droga stała się teraz wyjątkowo trudna i Samantha w duchu była wdzięczna Robertowi, że kupił samochód z napędem na cztery koła. Cichy pomruk silnika działał na Sam uspokajająco przez całą drogę, z wyjątkiem tego odcinka.

Jechali pustą drogą, otoczoną gęsto drzewami, które wyglądały jak ujawnione przez światła reflektorów nagie, zdeformowane szkielety, na których spoczywał biały, puchowy śnieg. Sam pomyślała, że było to urokliwe, ale i ...straszne. Ponure. Odkąd zjechali z obwodnicy, nie dostrzegła przez dobre pół godziny ani jednego samochodu. Ani jednego szyldu, ani jednej stacji.

- Jesteś pewny, że dobrze zjechaliśmy? - zapytała Sam.

- Według nawigacji - owszem - odparł Rob, a Samantha знаła go na tyle, że wyczuła, iż ten nie jest pewny.

Odruchowo ściągnęła koszulkę z nawigacji.

Monitor wyświetlał ich położenie na obszarze, który według nawigacji powinien być terenem zielonym bez żadnej drogi. Strzałka na ekranie stała.

- Dlaczego według nawigacji...

- ...stoimy - dokończył Rob.

Samantha, znając tylko jeden sposób naprawiania elektroniki, zastukała w szybkie urządzenia, co oczywiście nie dało żadnego rezultatu.

- Dziwne - powiedział Rob, po czym podkreślił głośność radia, z którego dobiegł do ich uszu tylko szum. Spróbował wyszukać sygnał ręcznie, jednak bez efektu. - Radio padło.

- Zasięg w telefonie również - zauważyła, odkładając telefon, Sam. - Poczekaj.

Nadstawiła ucho w stronę radia i dopiero po chwili zorientowała się, jak kretyńsko musiała wyglądać, nastawiając ucho do radia zamiast do głośników w drzwiach, z których pomiędzy szumami dobiegała jakaś rozmowa.

Podkręciła prawie na cały głos. Nadal jechali przez las, droga była równa i prosta. Dziwnie prosta, jak na gust Roba.

- ...a zatem, twierdzi ojciec, iż skoro Pismo mówi, że pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi, odnosi się to do życia wiecznego?

- (szum radia, inny głos)... Tak...tak (szum radia). Pismo wyraźnie mówi...

- Ale dlaczego? Dlaczego Bóg (szumy) karze tych, którzy chcą czegoś więcej, a nagradza ubóstwo?

- (Dłuższe szumy, zniekształcenia sygnału). Chce dla nas jak najlepiej i...

- Na przykład zsyłając choroby na bliskich?

- (Szum, dłuższa przerwa w odpowiedzi drugiego rozmówcy). Choroby nie są wynikiem działań Pana, to...

- Skoro nie, ojcze, (coraz głośniejsze szumy) to czym wynikiem one są? Dlaczego dotyczą najbliższych? Dlaczego Bóg pozwolił szatanowi dotknąć chorobą jego i jemu najbliższych, ojcze? Dlaczego?

Szum stał się na tyle głośny, że Samantha próbowała ściszyć radio, lecz bez efektu. Ziarna zniekształceń wwiercały się w ich uszy na tyle mocno, że Rob spróbował zatrzymać samochód, który wpadł w poślizg. Obrócili się wokół osi i stanęli w poprzek pustej jezdni, oświetlając pnie krzywych, zdeformowanych drzew. Gdy Samantha sięgnęła do klamki, szum nagle ucichł. Wpatrywali się w radio. Z głośników dało się słyszeć cichy, równomierny oddech.

- Bo ja mu kazałem to zrobić.

Głos teraz był wyraźny i mocny. Rob spojrział na Sam.

- Kazał mu ojciec? W jaki sposób? Czy Bogu da się kazać coś zrobić?

Cisza. Głośny oddech.

Samantha dotknęła dłoni Roba, a ten popatrzył na nią. Kiwnęła głową w stronę przedniej szyby. Przy drzewach, naprzeciw ich auta siedział mały chłopiec w czapce, która wyglądała jak kaszkiet. Ubrany był w spodnie w kratkę i koszulę, na której spoczywały czerwone szelki. Pod szyją miał dużą, czarną kokardę. Przed nim na boku leżało ogromne zwierzę o białym, jasnym jak śnieg futrze.

- Ojczy? Jest tam ojciec? - zapytał drugi rozmówca.

- Jestem - odrzekł niski głos, oddychając ciężko.

- Ojczy, czy Bogu da się kazać coś zrobić? - powtórzył pytanie rozmówca.

Mały chłopak nie zwracał uwagi na ich auto. Uśmiechał się tylko, nucąc coś pod nosem i dłubiąc w ziemi.

- Bogu? - zapytał rozmówca, po czym zaśmiał się cicho. - Boga nie ma.

Samantha dotknęła policzka Roba i skierowała jego oczy na swoje. Dostrzegła, jak bardzo był przerażony.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

- Jestem tylko ja - powiedział głos z taką siłą, że odruchowo zasłonili uszy. Spojrzeli przed siebie.

Teraz chłopiec stał nad truchłem zwierzęcia, a oni zrozumieli, co robił. Nie dłubał w ziemi. Dłubał w martwym wilku, z którego wyciągnął zakrwawionego szczeniaka, trzymając go za łapy, główką do ziemi.

- Ojczy, proszę wybaczyć, mamy kolejnego rozmówcę na antenie.

- Robbie?

Rob spojrział na radio i mimo że głośność była już maksymalna, spróbował je jeszcze podgłośnić.

- Robbie, kochanie, gdzie jesteś? Dlaczego nie ma cię tu ze mną?

- Mama? - Rob zadał to pytanie bardziej do siebie.

- Robbie, ja umieram, gdzie jesteś? - Głos był słaby, lecz wyraźny.

Szum znowu pojawiał się i znikał między słowami.

- Sam...

Rob dostrzegł przerażoną twarz Samantha i spojrzął przed siebie. Chwilę trwało, zanim zdołał otrząsnąć się z szoku.

Teraz w miejscu chłopca stał niewielki krzyż, na którym przybita była naga kobieta. Z jej warg płynęła strużka krwi, kapiąc na posiniaczone piersi. Na szyi zawieszono ją miała szczeniaka, którego chłopak wyciągnął przed chwilą z martwego truchła. Chłopiec stał, wpatrując się w Samanthę.

- Sam, musimy jej pomóc... - zaczął niepewnie Rob.

- Jedź stąd! - wrzasnęła Sam, na co Rob wrzucił wsteczny bieg.

- Robbie? Słyszysz mnie?

- Zamknij się, kurwa! - Samantha zaczęła kopać w radio, choć ból rozrywał jej żebra. W końcu radio ucichło, Rob wrzucił pierwszy bieg i ruszyli z piskiem przed siebie.

W lusterku wstecznym Samantha dostrzegła, jak chłopiec dźga wiszącą dziewczynę, a krew ochlapuje jego czysty ubiór.

• • •

- Co to, do kurwy nędzy, było?! - Rob ryknął na Samanthę, jadąc prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- A skąd ja mam wiedzieć?! - odwrzasnęła Samantha, trzymając się za żebra.

- Więc nic nie wiesz? Strasznie dużo dziwnych, popieprzonych rzeczy dzieje się, odkąd cię poznałem, wiesz?

- Niech to szlag! Wszystko zaczęło się od tej małej... - Samantha zaciskała mocno powieki, jakby to miało złagodzić ból.

- Od małej? Jakiej, kurwa, małej?!

- Od tej dziewczynki, a raczej od tego, jak ledwo uszłam z życiem, niech to szlag, Rob, co ci mam powiedzieć? Sama tego nie umiem pojąć! To teraz... To teraz, nie widziałam nic podobnego wcześniej, ale jestem pewna, że to nie było prawdziwe. Tak jak twoja mama w radiu.

- Gdzie my do cholery jesteśmy?

Pędzili wciąż pustą drogą przed siebie. Samantha zamknęła oczy.

Nie wiedziała, co robić.

Ryk silnika zagłuszał szum radia, który nagle ustał. Usłyszeli dźwięk w nawigacji, który informował o poszukiwaniu nowej drogi. Strzałka odnalazła ich położenie, pokazując drogę, na której byli. Do celu zostało niecałe siedemset kilometrów.

Ból w zębach ustał.

ROZDZIAŁ 37

- Naprawdę tego nie widziałaś?

- Naprawdę - odpowiedziała Eddiemu Katie. - Może dlatego, że całą uwagę skupiałam na córce, która dostała epilepsji.

Katie spojrzała na Stephena, który nie wiedział, jak ma odebrać ten wzrok.

Było po dwudziestej, siedzieli w salonie (a raczej saloniku) Rose. Ponury nastrój ratowała mała choinka oświetlona setkami z wolna migających lampek, w które wpatrywali się teraz wszyscy prócz śpiącej Amy oraz korzenno-cynamonowy zapach świeżo upieczonych ciasteczek.

Z kuchni dobiegały ich odgłosy układanych talerzyków. Mimo że Eddie i Katie nalegali, że jej pomogą przy kolacji, Rose definitywnie odmówiła, toteż wszyscy siedzieli teraz, ogrzewając się kubkami ciepłej herbaty.

Amy spała na kolanach Katie. Wyglądała coraz lepiej.

Eddie podniósł się z kanapy i podszedł do okna.

- Nadal pada, cholera, trudno już odróżnić, gdzie kończy się droga, a zaczyna chodnik.

Gdy Katie gładziła włosy córki, Amy otworzyła powoli oczy i bez słowa podniosła się z kolan, przecierając oczy, po czym rozejrzała się zaspanym wzrokiem po salonie. Jej wzrok nabierał ostrości.

- Zobaczcie no, kto się obudził - krzyknął Eddie. - W samą porę, bo już zamierzałem zjeść wszystkie te ciasteczka sam.

Eddie podszedł do Amy, lecz ta wstała i bez słowa poszła do okna, przy którym dopiero co stał.

Wszyscy patrzyli na nią, a raczej na jej drobne plecy, na które spadały rozczochrane, ciemne włosy. Rozglądała się nerwowo na lewo i prawo.

- Skarbie?

W głosie Katie dało się wyczuć napięcie. Wszyscy przyglądali się Amy, która teraz niemal całym ciałem przylegała do dużego okna.

- Zgaście światło. Szybko - powiedziała.

Stephen wstał i zrobił to, co nakazała córka. W salonie nastałaby całkowita ciemność, gdyby nie lampki na choince, rozświetlające kąty pokoju.

- Amy, możesz nam wyjaśnić, o co chodzi? - odezwał się Stephen, nadal stojąc przy włączniku. - Ktoś tam jest?

Amy nadal jednak stała, tylko wypatrując, gdy do salonu wjechała Rose z talerzami i bez słowa kładła je na stoliku przed każdym.

- Mamo, pomyliłaś się - powiedziała Katie. - Jest nas pięcioro, odniosę resztę.

Gdy Katie już chciała wstać, Rose położyła jej dłoń na ramieniu, delikatnie zatrzymując.

Katie skierowała na nią pytający wzrok, jednak Rose wpatrywała się teraz w Amy.

Choinka gasła i zapalała się, hipnotyzując niemal wszystkich, jednak w pokoju panowało dziwne napięcie, które potęgowała cisza.

Amy wreszcie odwróciła się do nich, lecz wzrok utkwiała w Rose, gdy wypowiedziała jedno słowo:

- Dojechali.

Twarz Amy rozjaśnił promienny uśmiech.

- Że jak? Kto? - zapytała Katie, patrząc na Rose, która odwzajemniła uśmiech.

Ich pokój rozświetlił na krótką chwilę błysk lamp samochodu.

Usłyszeli, jak po chwili silnik gaśnie.

- Przyjechali idealnie - odrzekła Rose, kierując się do kuchni.

ROZDZIAŁ 38

- Jesteś pewny, że to właściwy adres?

Stali przed domem, a wewnątrz ich samochodu, migając raz po raz w jednostajnym tempie, rozświetlała zepsuta, stara latarnia.

- Sam, nie jestem już niczego pewny - odrzekł Rob, patrząc to na nawigację, to na dom, przed którym zaparkował auto.

- Muszą już spać - odrzekła Sam, wpatrując się w ciemne okna.

Siedzieli tak w ciszy, niepewni, co powinni zrobić. Była już dwudziesta trzecia.

Gdy Rob miał już się odezwać, by poszukali jakiegoś noclegu, na ganku od drzwi wejściowych, przy których Rose paliła papierosy, zagłębiając się w swoich myślach, zapaliło się światło.

Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi, przez które wyszło dwóch mężczyzn, w tym jeden sporych rozmiarów. To był największy człowiek, jakiego Rob i Sam widzieli w życiu.

- Cholera, myślisz, że idą do nas? - zapytała Sam, po czym dodała nagle: - Szkoda, że nie mam pistoletu.

- Co robimy? - zapytał Rob, odruchowo sięgając do dźwigni biegów.

- Nie wiem - odparła Sam.

A więc nie zrobili nic.

Dostrzegli, że mniejszy człowiek szepnął coś do dużego człowieka, po czym ten większy od tyłu obszedł samochód dookoła, podczas gdy mniejszy zastukał w ich szybę od strony Roba.

Rob spojrział na Sam, a ta wzruszyła tylko ramionami.

- Najwyżej tu umrzemy - mruknął, po czym otworzył szybę.

- Dobry wieczór - powiedział mniejszy człowiek i dostrzegli, jak ich lustruje wzrokiem, po czym patrzy na tylne siedzenie.

- Dobry wieczór - odparł Rob, nieświadomie trzymając nadal dłoń na dźwigni biegów, co dostrzegł mniejszy człowiek.

- Chyba nie jesteście stąd, co?

Mniejszy człowiek sprawiał wrażenie ostrożnego, jednak nie wydał się Samancie groźny. Szybko poczuła do niego sympatię.

Zadawał im pytania ze szczerym uśmiechem. Spojrzała w lusterko wsteczne i dostrzegła wielkiego człowieka, który wydawał się mniej sympatyczny.

- Nie - wtrąciła się Sam. - Jesteśmy z Vernon.

- Dokąd zmierzacie? - zapytał mniejszy człowiek.

- Cóż... - zaczęła Sam i chciała odpowiedzieć, że już nie ma pojęcia, gdy dostrzegła w oknie machającą do niej małą dziewczynkę.

- Steve, przestańcie. Wiem, kim są. Zaproście ich do środka.

Mały człowiek obrócił się w stronę głosu, a Rob i Sam również podążyli wzrokiem w tę stronę.

- A więc wygląda na to, że trafiliście w samą porę. Ciastka już gotowe, chodźcie.

Gdy Rob wysiadł z auta i zamierzał pomóc wysiąść Samancie, natrafił na ścianę. Żywą ścianę. Spojrzał w górę i zobaczył zarośniętą, nie tak przyjazną twarz drugiego mężczyzny.

- Cześć... - odezwał się Rob.

- Jaki masz tu silnik? - zapytała ściana.

- Pięć litrów - odparł Rob, drapiąc się po głowie.

- Niemożliwe - zdziwił się Eddie, po czym wsiadł do auta, które ugięło się pod jego ciężarem.

Spojrzał w lewo na Samanthę, a ona na niego.

- Naprawdę ma tu cztery litry? - zapytał Eddie, wyraźnie skonsternowany.

- Nie wiem, ale powtórzył to jakieś dwadzieścia razy - odparła Sam.

Eddie rozejrzał się w środku.

- Ja mam bardziej zadbane - odparł, po czym znowu spojrzał na Sam, jakby czekał na potwierdzenie tych słów.

Pokiwała głową.

- Eddie, daj dzieciakom już spokój - krzyknął Steve. - Chodźcie, cholernie tu zimno.

• • •

Gdy weszli do środka, uderzył w ich nozdrza zapach świeżo upieczonych ciastek. Samantha poczuła ukłucie tęsknoty za domem, który miała tylko przez chwilę w swoim życiu.

Ściągali buty, gdy dostrzegli starszą kobietę na wózku, zmierzającą w ich stronę.

- Jesteście. To niebywałe - powiedziała i podjechała bliżej, wyciągając swoje okulary z kieszeni swetra.

Założyła je i zbliżyła się do Sam.

- Wyglądacie tak samo jak wtedy, kiedy was widziałam po raz ostatni - powiedziała Rose, dotykając dłoni Sam.

Sam spojrzała na Roba, a za jej wzrokiem podążyła Rose.

- I twój chłopak. Znam was z widzenia, ale nie z imion, moje dzieci. Jak się nazywacie?

- To nie mój chl... - odparła zmieszana Sam, lecz nie zdołała dokończyć, bo wbiegła Amy i rzuciła się jej w ramiona.

- To Sam, babciu! To ją widziałam!

Sam jeszcze bardziej zmieszana odwzajemniła uścisk i popatrzyła na oniemiałego Roba, który miał mocno podkrążone oczy.

- To Sam, a to Rob! - krzyknęła Amy, teraz podbiegając do chłopaka, który uklęknął, by się z nią przywitać.

- Jest nam niezmiernie miło, że tak nas witacie, ale skąd nas znacie? Nie wiemy nawet do końca, gdzie jesteście - powiedziała Sam, stojąc nadal w ośnieżonej kurtce.

- Za chwilę porozmawiamy, dziecko - odrzekła Rose - ale najpierw ściągnijcie te kurtki. Eddie, zaprowadź ich do salonu, ja zajmę się kolacją. Nasi goście przemierzyli długą, bolesną drogę. Są zmęczeni.

Rose popatrzyła jeszcze raz w oczy Sam i Roba, po czym skierowała się do kuchni.

- Wujku, mogę ich zaprowadzić? - Amy spojrzała na Eddiego i Sam dostrzegła, jak jego groźny wyraz twarzy złagodniał.

- Oczywiście, księżniczko - odparł.

Amy zaprowadziła ich kilka kroków dalej, do salonu, w którym siedziała Katie.

- Mamo, to oni! To oni mi się przed chwilą śnili! - krzyknęła podekscytowana Amy.

Katie wstała, jej wyraz twarzy wskazywał na dużą nieufność i rozwagę.

- Witajcie - odezwała się. - Jestem Katie.

Podala im rękę, a oni przedstawili się również.

- Wybaczcie moje maniery, wtrącił Eddie, wchodząc ciężkim krokiem do salonu. - Jestem Eddie, jak już zapewne zdążyliście usłyszeć.

Podał rękę Sam.

- Samantha - przedstawiła się, ujmując jego dłoń w swoją.

- Rob.

Eddie uścisnął dłoń Roba mocno, na co ten się skrzywił, a Sam zachichotała, widząc jego minę.

- Usiądźcie - powiedział Eddie i uśmiechnął się szeroko.

• • •

Samantha nie zjadła zbyt wiele, za to Rob pochłoniął swoją porcję i dokładkę. Kurczak z ryżem i fasolką był jego ulubionym daniem, co chętnie oznajmiał, komplementując raz po raz Rose, która wciąż dokładała mu jedzenia na talerz.

W telewizji wciąż głośno było o trudnych warunkach pogodowych w całej okolicy, jednak Steve'owi udało się znaleźć świąteczny film.

Amy nie odstępowała Roba na krok, opowiadając mu ochoczo o swoich ulubionych bohaterach z kreskówek. Jakimś cudem wiedziała, że Rob również był zafascynowany fantastyką, więc znaleźli wspólny język. Katie odzywała się sporadycznie, Eddie opowiadał o swoim aucie, pomijając historię ze Scarlett, co wiedział głównie Steve.

Jedli przez niecałe pół godziny, w końcu po wymianie uprzejmości i krótkich, zabawnych historii Katie zdecydowała się przerwać wesoły

nastrój tego dziwnego spotkania.

- A więc, dlaczego przemierzyliście kilka stanów, by dotrzeć do nas?

- Dziecko, to nie czas. Spójrz na nich, są wykończeni - odparła Rose. - Ugoszczę was w dawnym pokoju mojej córki, nie ma tam luksusów, ale jest wygodne łóżko. Wy natomiast... - Rose spojrzała na Amy, Katie i Stephena. - ...przenocujecie w tym salonie. Eddie, dla Ciebie mam pokój na górze.

- Mamo... - próbowała oponować Kate.

- Powiedziałam. Spójrz na zewnątrz, nie przejedziecie nawet kilku metrów, a o pójściu na piechotę w ogóle nie ma mowy. Spędzicie noc tutaj, jutro pomyślimy, co dalej.

- Mamo - wtrącił Eddie, czy ma mama jakieś...

- Tak Eddie, barek jest pełny.

- Więc ja zostaję - odrzekł bez namysłu Eddie. - Rob, pójdę ci pomóc z bagażami, niech twoja dziewczyna się już rozgości.

Sam spojrzała na Eddiego.

- Nie jestem... - Po czym popatrzyła na Roba i po namyśle dodała: - Dobrze.

- Ha! ha! - zaśmiał się gromko Eddie. - Eddiego nie oszukasz. Tego tam owszem - Eddie wskazał na Stephena. - Powiesz mu, że renifer zaparkował na dachu, to ubierze się i pójdzie go szukać z aparatem.

- Hmm?

Stephen odwrócił się ku nim, pytając wzrokiem, o co chodzi, lecz Eddie go zbył.

- Idźcie na górę, przyniosę wam bagaże.

Rob wziął pod ramię Sam, jednak to on wyglądał, jakby potrzebował pomocy.

Weszli na górę.

ROZDZIAŁ 39

- Mamo, już mogę?

Amy siedziała na dywanie, nerwowo obgryzając paznokcie, i spoglądała na w pół obudzoną Katie.

- Uspokój się. Jak wstaną, to sami przyjdą.

Córka wywróciła oczami i wróciła do oglądania porannej bajki.

- Która jest? - zapytał Stephen, obracając się w kierunku żony.

- Nie wiem, ale mała budzi mnie już od godziny co dziesięć minut.

Zazdroszczę ci, że potrafisz tak twardo spać.

- Nie dziw się jej. - Stephen ziewnął i przytulił żonę. - Nie ma tu zabawek, nudzi się.

- Steve... nie sądzisz, że to trochę dziwne?

- Co takiego? - zapytał, mając wciąż zamknięte oczy.

- Ta sytuacja. Ci obcy ludzie u nas. Nie rozumiem tego.

Katie miała odwróconą głowę w kierunku przeciwnym niż Steve, a to oznaczało, że w powietrzu wisiała kłótnia.

- W świetle ostatnich wydarzeń ten incydent mnie już nie dziwi.

Katie wstała z łóżka i wyszła z pokoju.

Amy spojrzała na Steve'a, który zrobił do niej wielkie oczy. Odwzajemniła ten gest. Porozumieli się bez słów i wiedzieli, że teraz mamy nie należy denerwować.

W powietrzu unosiła się apetyczna woń gotowanych parówek.

- Babcia już nie śpi?

- Nie - odrzekła Amy, patrząc jak w telewizji struś pędziwiatr uciekł w siną dal po tym, jak splątał figła czarnemu kocurowi.

Nagle w szybę coś uderzyło, zostawiając na niej ślad śniegu. Amy wnet podbiegła do okna, rozpromieniając się.

- Tato!

Steve usiadł na skraju łóżka i ziewając, przetarł oczy.

- Co to? - zapytał półprzytomny.

Amy jednak nie odpowiedziała, tylko wybiegła przez drzwi, w których niedawno zniknęła Katie.

Steve rozprostował się i podszedł do okna.

Na dole dostrzegł Eddiego, który jakimś cudem znalazł w garażu Rose kawałek większego plastiku, do którego przyczepił sznurek.

Wpatrywali się w siebie, Steve w samych bokserkach, Eddie ubrany po pachy, okryty grubą warstwą puchowego śniegu. Po chwili Eddie wyciągnął rękę, pokazując Steve'owi środkowy palec.

- Sukinsyn - mruknął ten pod nosem, patrząc na Eddiego. Odwrócił się i uśmiechnął tak, by przyjaciel tego nie mógł zobaczyć, po czym skierował się w stronę kuchni, szukając Kate. Gdy mijał korytarz, dostrzegł, jak jego córka na schodach ukradkiem nasłuchuje przy drzwiach nowo przybyłych gości.

- Psssst. Amy! Tak nie wolno, złaż tutaj - szepnął, choć Amy nawet nie drgnęła, udając, że jej tam nie ma.

Stephen wszedł na schody i klęknął na stopniu jak ona, udając, że to całkiem normalne.

- Amy, mają za sobą trzy dni drogi, chyba będziesz miała dla nich litość?

- Tato, śpią już dziesięć godzin i trzydzieści pięć minut, nie uważasz, że to dostatecznie długi sen? A na zewnątrz - szepnęła teraz ciszej, jakby objaśniała współnikowi najciemniejszy spisek - wujek Ed przygotował już sanki. Czuję, że już nie śpią. Poza tym Rob uwielbia bajki - dodała, ucinając temat, a Stephen nie wiedział, jaki związek ma to z resztą.

Gdy miał już się odezwać, drzwi nagle otworzyły się i Rob cofnął się, prawie potykając się o torbę. Minę miał mocno przestraszoną z domieszką zdziwienia. Stephen pomyślał, że zapewne nie spodziewał się widoku dwóch klęczących pod drzwiami osób.

- Wybacz - zaczął Stephen. - Wiem, że wygląda to trochę dziwnie, ale...

Spojrzał na Amy, która uśmiechała się tylko pod nosem.

- Rob, za dziesięć minut na dole. Ty i Sam!

Amy zbiegła szybko po schodach, zostawiając tatę klęczącego przed Robem, który nadal nie wiedział, o co chodzi.

Stephen wstał, otrzepał kolana.

- Fajnie, że wpadliście - powiedział, jakby odbyli już co najmniej godzinną rozmowę, po czym zszedł na dół.

Rob zamknął drzwi i odwrócił się w stronę Sam, która właśnie wstawała z łóżka.

- Idę pod prysznic. Później zajmiemy się tobą.

- Chyba dam radę - odparła Sam.

Faktycznie, wyglądała znacznie lepiej, pomyślał.

Od dawna żadne z nich nie śmiało się tak szczerze. Byli prawie w komplecie, brakowało tylko Katie. Eddie robił za żywy pług, ciągnąc za sobą roześmianą Amy na plastikowych, amatorskich saniach. Nawet jeśli było mu ciężko, nie dał tego po sobie niczego poznać. Steve czuł, że jego przyjaciel jutro nie wstanie z łóżka. Tym bardziej, że odsłonieżył przed ich przyjściem całą główną ulicę, by jako tako byli w stanie w ogóle się po niej poruszać.

Rob i Sam także nie mieli łatwo. Co chwilę musieli wykonywać polecenia Amy. Jednak robili to bez najmniejszego grymasu niezadowolenia.

Samantha utykała, ale ona również nie dała po sobie poznać, że coś jest nie tak. Steve czuł, że tych dwoje musiało sporo przejść. Dostrzegł także ukradkowe spojrzenia Samanthy, które rzucała Robowi, ilekroć ten tego nie widział.

Ciekawe, czy to schrzaniisz, pomyślał Steve i uśmiechnął się, wspominając to, jak bardzo blisko był, by schrzanić swój związek. Zapalił papierosa, po czym spojrzał w okno na górze, w którym co chwilę pojawiała się Katie, by po krótkim czasie zniknąć.

- Jeszcze raz! - krzyczała Amy, co chwilę poprawiając czapkę spadającą jej na oczy. Przez ten czas, za sprawą małej Amy, wszyscy byli dziećmi, cieszącymi się ze śniegu.

Nie znał tych nowych, jednak nie wyczuwał zagrożenia.

A temu wszystkiemu przyglądała się Rose z paczką papierosów w kieszeni, obserwowała ich wszystkich, myśląc o Charliem, posyłając co raz uśmiechy swojej wnuczce. Oprócz tego w chwilach przerwy zaciągała się papierosem, myśląc, jak powie im to, co muszą usłyszeć.

ROZDZIAŁ 40

Kiedy Katie zawołała Amy, a ta wiedziała, że prośby nic nie dadzą, wszyscy postanowili wrócić do domu. Byli przemarznięci, ich twarze nabrały rumieńców. Jednak wszyscy odżyli. Prawie wszyscy.

- Mamo, wszystko w porządku? - zapytał Steve, prowadząc jej wózek.

- Steve - zaczęła, lecz nie dokończyła.

Stanęli przed drzwiami wejściowymi, byli ostatni. Reszta znajdowała się już w środku.

- Tak? - Stephen spojrzał w jej oczy, dostrzegając strach.

- Wierzysz w Boga? - zapytała po chwili.

Wiatr był przeraźliwie zimny. Steve popatrzył na drogę i uświadomił sobie, że nigdy w życiu nie widział tyle śniegu.

- Dlaczego pytasz, mamo?

- Gdyby ktoś przystawił ci pistolet do głowy i zapytał, czy wierzysz, co byś odpowiedział?

- Do czego zmierzasz?

Powoli zaczynało się ściemniać, Steve dostrzegł pierwsze zapalone światło w domu. Żarówka Migotki zaczynała się jarzyć.

- Jeśli istnieje Bóg... to istnieje też szatan, prawda?

Spojrzał na nią, zaciągnęła się papierosem, a jej ręka lekko drżała. Nie patrzyła mu w oczy, a Steve wiedział, że jej pytanie było raczej stwierdzeniem i nie oczekiwała odpowiedzi.

- Chodźmy - powiedziała. - Muszę przygotować kolację.

Steve otworzył jej drzwi i już miał wejść za nią, gdy coś przykuło jego wzrok.

W oddali dostrzegł zaparkowany samochód, czarne, nowe audi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze, znał większość mieszkańców w okolicy i nikt nie posiadał tak drogiego auta, wątpił też, by kogokolwiek było na nie stać. Mieszkańcy Tensas nie opływali w luksusy, taki wóz w tych stronach bardzo rzucałby się w oczy. Po drugie, ważniejsze, wszystkie samochody przysypane były grubą warstwą śniegu, ten natomiast

wyglądał, jakby dopiero przyjechał. Na masce śnieg był roztopiony. Co jednak najdziwniejsze dostrzegł w środku jakieś osoby. To znaczyło, że na kogoś czekali. Nie miał tylko pomysłu, na kogo, do cholery, mogliby czekać o tej porze i w tym miejscu. Dopalił papierosa, otworzył drzwi i poczuwszy przyjemne ciepło, wszedł do środka, ostatni raz rzucając spojrzenie na przyczajony w śniegu samochód. Zamknął drzwi i poszedł do salonu.

• • •

Gdy Steve i Rose ścigali buty, wszyscy prócz Katie siedzieli wpatrzeni w telewizor.

- Wygląda na to, że wasze miasto jest sławne - powiedział Rob, na co Steve wziął pilota i podgłośnił.

- Ogłasza się stan klęski żywiołowej w północnej części Luizjany. - Młody dziennikarz, wykazując nieskrywane ambicje, żywo gestykulował rękami, stojąc pod tabliczką z napisem: „Witamy w Tensas” i zdając światu swoją pierwszą relację.

- Mijaliśmy tę tabliczkę- powiedział Rob, ale nikt nie podchwycił tematu i wszyscy patrzyli z uwagą na wiadomości. Nawet Amy, chociaż zafascynowana, wydawała się ostrożna.

Prezenter połączył się z prognostykiem, który potwierdził słowa dziennikarza w bardziej dramatyczny sposób.

- Wyłączcie telewizor - powiedziała przesadnie stanowczym tonem Rose. - Musimy porozmawiać.

Steve posłusznie wstał i nacisnął guzik, obraz stał się czarny i zapadła cisza.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - kontynuowała staruszka. - Katie, połóż Amy i nalejcie sobie po drinku.

ROZDZIAŁ 41

- Od dłuższego czasu miewam sny. Z początku były zwykłymi koszmarami, nie przejmowałam się tym zbyt. - Synu, nalej mi

także brandy. Nie żałuj.

Spojrzała na Eddiego, który bez wahania wykonał jej polecenie pomimo karcącego wzroku Katie.

Wszyscy siedzieli obok siebie, jakby konspirowali. Rose mówiła nadal cicho, ledwie słyszalnie. Kontynuowała.

- Trwało to dobre dwa miesiące. Nie przespałam ani jednej nocy, aż pojawiła się ona. Zupełnie znikąd.

Rose sięgnęła po szklanekę wypełnioną złotym trunkiem i lekko go zamieszała.

- Ujrzałam ją tam na ulicy.

Wskazała ręką, w której tkwiła szklanka, na ulicę naprzeciw.

- Ona? - Samantha ożywiła się, a Rob spojrzał na nią pytająco.

- Później zobaczyłam was - odrzekła Rose, ignorując pytanie Samantha. Wciąż wpatrywała się w okno zamyślona. - Ciebie i Roba.

Spojrzała na nich.

- Miałam sen, w którym... - Rose zawahała się. - ...ona była przy was. Ta mała. Odkąd się pojawiła, sny zniknęły. Do wczorajszej nocy, kiedy znowu pojawił się On.

Rose zrobiła spory łyk.

- Mamo, odstaw szklanekę - odezwała się Katie.

- Jutro jest Boże Narodzenie. Musicie udać się tam, gdzie mnie dawno nie było. Tam widziałam was wszystkich. Nie byliście sami. - Rose zignorowała polecenie córki.

- O czym ty mówisz? - ponownie wtrąciła się Katie. - O co tu chodzi? Jaka dziewczynka, jaki on? Gdzie mamy się udać?

Rose odstawiła szklanekę i przesunęła wózek w stronę okna. Była odwrócona do nich tyłem.

- Musicie iść do kościoła, który stworzyliśmy z Charlesem. Dokładnie o północy.

Nic więcej nie wiem.

- O czym wy bredzicie? - wybuchnęła Katie, wstając. Wyglądała, jakby dawno napięta lina między jej rozumem a nerwami w końcu nie wytrzymała. - To jakieś brednie! Jutro mamy Boże Narodzenie, na

które Amy czeka już rok, a wy pieprzycie o jakiejś dziewczynce? Stephen! – Spojrzała na męża. – Nie powiesz nic? Zwariowaliście?

Stephen patrzył w podłogę zamyślony, po czym w końcu się odezwał:

– Katie, z jakiegoś powodu tylko ty nie dostałaś tych... znaków. – Dokończył, zdając sobie sprawę, jak śmiesznie musiało zabrzmieć to, co powiedział.

– Ja również to widziałem – wtrącił Eddie. – Wtedy na drodze, gdy wracałem od was. Pojechałem do baru, przekonując siebie, że piję, by zapomnieć o moim wiernym psie. Teraz sam nie wiem, dlaczego tak naprawdę się tam znalazłem.

– A nasi goście? – prychnęła Katie, patrząc w kierunku Sam i Roba z jawną pogardą. Dostaliście jakieś, jak to wszyscy określają, „znaki”? – Ostatnie słowo podkreśliła, drwiąc.

Samantha milczała i gdy już chciała się odezwać, Rob ją wyręczył.

– Tak. Sam, nie wiedziałem, dlaczego tu jedziemy, ale zgodziłem się jej pomóc. Po drodze mieliśmy dziwne kłopoty z radiem i widzieliśmy coś... okropnego.

Wszyscy czekali, aż rozwinie myśl, jednak Rob nie powiedział nic więcej.

– I...? – kontynuowała Katie. – To wszystko? Kłopoty z radiem? Wow! To faktycznie niewiarygodne! – wykrzyknęła i złapała się ostentacyjnie za głowę. – Czy wy się w ogóle słyszycie?

– Katie – wtrącił Stephen. – Nie tylko my to widzieliśmy... nasza córka również. Nie zapominaj też, że w jakiś sposób ona... – Stephen podrapał się po głowie, próbując nie zabrzmieć jak wariat. – ...ona zobaczyła przyjazd Roba i Samantha.

– Roba i Samantha – powtórzyła Katie. – Ten temat także chciałam poruszyć. Kim wy w ogóle jesteście? Może powiecie coś o sobie, skoro mieszkamy pod jednym dachem? Nic o was nie wiemy, kompletnie nic. Skąd dokładnie jesteście? Czym się zajmujecie?

Rob spojrzał na Sam, której wzrok był teraz wbity w obraz przedstawiający Jezioro Galilejskie. Była jakby nieobecna, pogrążona

w swoich myślach. W końcu zaczął niepewnie:

- Pochodzę z centrum Vernon. Pracuję w firmie przewozowej. Jak już mówiłem, poznałem Sam, która poprosiła mnie o pomoc i tak tu wylądowałem.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nie wiedział co. Wyczerpał temat. Jednak poczuł ulgę, bo w tej sytuacji Sam zobowiązana była odpowiedzieć chociaż częściowo, kim jest. Znał ją najlepiej ze wszystkich obecnych, ale wciąż tylko szcątkowo.

Zapadła cisza, a Sam nadal wpatrywała się nieruchomo w obraz. Po chwili odwróciła głowę, popatrzyła na Roba i powiedziała:

- Ja... myślę, że powinniśmy stąd jechać, Rob.

Katie już otwierała usta, lecz nagle wtrącił się donośnym głosem Eddie:

- A ja myślę, że moja przyjaciółka powinna się ze mną napić. - Wstał i postawił szklankę na stole.

Katie znów chciała się odezwać, lecz Eddie ponownie ryknął żartobliwie, że chyba mu nie odmówi i prawie się nie zorientowała, gdy miała w ręce szklankę.

- Katie, kochanie, chodź ze mną do kuchni, przydałyby się nam jakieś przekąski. - Otoczył ją ramieniem i wiedząc, iż mu nie odmówi, poprowadził w stronę korytarza.

Usłyszeli jeszcze tylko, jak Eddie każe jej pić to, co ma w szklance, gdyż ma nadzieję, że może uda mu się jednak zabrać ją do sypialni, a Stephen i tak się nie zorientuje, po czym zamknął drzwi.

- Wybaczcie jej - powiedziała Rose, patrząc na nią, po czym podjechała wózkami w stronę Sam i wzięła jej dłoń w swoje.

Sam wyglądała teraz krucho i słabo.

- Kochanie, nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz. Katie to dobry człowiek, martwi się o nas i to wszystko, ale ja wiem, kim jesteście. Wiem, że nie grozi nam nic z waszej strony i absolutnie nigdzie was nie wypuszczę w tę śnieżycę. Eddie na pewno ją uspokoi. To dla niej za wiele i nie rozumie tej sytuacji. Nikt z nas nie rozumie.

- Czy pani też ją widziała? Zapytała cicho Sam, a Rose doskonale wiedziała, kogo miała na myśli.

- Tak, dziecko. Widziałam. Dokładnie tam.

Wskazała palcem na okno, za którym nieustannie padał śnieg.

- Co pani czuła? Czy ona coś powiedziała?

Rose wyprostowała się na swoim fotelu, nadal trzymając dłonie Sam. Do teraz pamiętała dobrze ten oślepiający blask w swoim pokoju. Napis na szybie był wyraźny, wdarł się do jej duszy i załatał wszystkie blizny, które nosiła w sobie od śmierci męża. Blizny, które każdy z nas nosi, a które czasami, pomimo upływu lat, nadal potrafią krwawić. Czasami mniej, czasami bardziej, ale blizny nigdy nie znikają. Są integralną częścią nas, naszą historią, darem i przekleństwem. Pozwalają pamiętać i nie pozwalają zapomnieć. Szczególnie nocą, gdy staramy się zasnąć, to blizny uświadamiają nam, jak silni jesteśmy lub jak słabymi możemy się stać.

Lecz tej nocy czuła, jakby szła przez ostatnie lata spaloną słońcem pustynią i napotkała jezioro z chłodną, błękitną życiodajną wodą, w której mogła się cała zanurzyć, by chociaż na chwilę ukoić swoje obolałe, zmęczone ciało. Trwało to moment, jakby ułamek sekundy, wystarczyło jednak, by zapewnić jej spokojny sen tej nocy. Pozwoliła sobie przez chwilę trwać w tym wspomnieniu, bo dawało jej namiastkę poczucia bezpieczeństwa, którego teraz tak bardzo potrzebowała.

- Nie powiedziała nic - skłamała połowicznie Rose - ale jestem pewna, że nie pojawiła się tu przypadkowo.

Samantha dotknęła policzka, na którym jeszcze niedawno była głęboka rana.

Chciała opowiedzieć o tym, jak mała ją uzdrowiła jednym dotknięciem, wiedziała jednak, że w tej sytuacji zrozumiałaby to tylko Rose. Starsza pani wyczuła to i ścisnęła wymownie jej dłonie, po czym obróciła się wózkiem do Stephena.

- Synu, weź moją córkę i połóżcie się spać. Jutro wieczorem musicie być gotowi, by wyruszyć. Wy także się już połóżcie, musicie

mieć siły. – Spojrzała na Samanthę i Roba, a ci przytaknęli głowami.

Stephen wstał i podszedł do okna. Samochód zniknął. Zaciągnął zasłony i poszedł po swoją żonę. Tę noc chciał spędzić z nią i córką. Ostatnią noc przed Bożym Narodzeniem.

Za oknem nadal padał śnieg.

ROZDZIAŁ 42

Texas było niemal puste tej nocy. Podczas gdy większość mieszkańców spała, Eddie kończył butelkę, którą zaczął, leżąc tylko w slapkach na sofie w salonie. Chociaż w całym domu było zimno, alkohol skutecznie go ogrzewał. Nie wiedział, co czeka ich jutro, lecz z zaskoczeniem zauważył, że nie dba o to. Chciał za wszelką cenę obronić to, co w życiu mu zostało, a wszystko to, co miał, było w tym domu. Nie wiedział, czy zdoła ich ochronić. W gruncie rzeczy nie wiedział nawet, przed czym miałby ich ochronić.

Z góry słyszał ciche jęki, które zapewne miały być cichsze, niż faktycznie były. Uśmiechnął się i pomyślał, że młody jednak wziął się do roboty. To dobrze. Młodzi powinni cieszyć się tym, co mają.

Podszedł do okna i uchylił je, odpalając cygaro. Spojrzał w niebo.

Pomyślał o Megan, tej pełnej życia i tej u jego schyłku, gdy spała w szpitalnym łóżku razem z małą Scarlett.

Zaciągnął się cygarem, dopił ostatni łyk brandy. Za chwilę pójdzie spać. Tylko dokończy cygaro i wspomni ją raz jeszcze.

• • •

Rob gładził ciemne włosy Samanthy, wsłuchując się w jej oddech, który teraz był już bardziej regularny. Gdy się kochali, tylko raz jej twarz wykrzywił delikatnie grymas bólu, toteż robili to powoli i ostrożnie. Nie pytał jej już o nic, to nie było teraz istotne. Znali się krótko, ale czuli, jakby znali się latami. Gdy skończyli, Sam niespodziewanie odwróciła się od niego, zasłaniając dłońmi twarz. Była tylko w krótkiej koszulce, na którą opadały jej długie włosy. Nie

pytał, co się stało, tylko mocno przytulił ją do siebie, a ona po chwili chwyciła mokrą od łez dłonią jego dłoń.

- Cokolwiek się stanie, wiedz, że cię Kocham, Rob. Nigdy nikogo jeszcze nie kochałam.

Pocałował ją w szyję i zapatrzył się w zamrożoną szybę. Pomyślał, że mimo wszystkiego, co się stało, nie chciałby teraz być nigdzie indziej.

• • •

W tym samym momencie przy boku Stephena zasypiała Katie obok śpiącej już Amy.

- Naprawdę im wierzysz? Chcesz wziąć w tym udział? - zapytała, patrząc w sufit, a po tonie głosu Stephen zorientował się, że była tym przygnębiona i zrezygnowana. - Stephen, wierzę w Boga, ale nie wierzę w pojawianie się znikąd jakichś dziewczynek ani w zdarzenia paranormalne. Czuję się jak w jakimś cyrku. Jutro Wigilia, a wszyscy w tym domu zachowują się jak schizofrenicy, chociaż obrażam w tym momencie schizofreników.

- Nie rozmawiajmy o tym teraz.

- A kiedy? Nie mam nic przeciwko pójściu do kościoła, ale nie podoba mi się ta cała sytuacja.

- Wiem, Katie, mówiłaś to już przy wszystkich.

- Oni też mi się nie podobają.

- To też mówiłaś - zauważył Stephen, po czym dodał: - również przy wszystkich.

- No więc... - zaczęła, ale Stephen zamknął jej usta dłonią, a drugą włożył między nogi.

Próbowała coś jeszcze mówić, lecz nie trwało to długo. Uległa. Znał ją dobrze. Nie obudzili Amy. Spali już wszyscy. Wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby.

• • •

Rose wpatrywała się w ulicę ze swojej sypialni i doszła do jednego istotnego wniosku. Nie bała się już śmierci. Nie bała się mężczyzny ze snów. Bała się tylko o to, co jej zostało. Próbowwała zasnąć, ale wiedziała, że to na nic. Nie wiedziała tylko, ile nocy nie będzie w stanie spać.

Jednak myliła się. Tej nocy miała krótki sen. Widziała tylko śmierć.

Tej nocy śnił każdy z nich.

ROZDZIAŁ 43

- Steve? - Głos był cichy.

Otworzył oczy i zobaczył Rose przy krawędzi łóżka. Położyła na jego ramieniu swoją dłoń. Była zimna, jakby przed chwilą lepiła coś ze śniegu.

Przetarł oczy i rozejrzał się po pokoju. Obok niego spała Katie. Odruchowo chciał spojrzeć na zegarek, lecz patrząc na rękę, przypomniał sobie, że zdjął go przed snem. Musiało być jednak bardzo wcześnie, gdyż za oknem dopiero wschodził dzień.

- Steve? - powtórzyła Rose, teraz trochę głośniej.

Spojrzał na nią rozespanym wzrokiem.

- Steve, musisz coś zobaczyć. Na razie tylko ty.

Podniósł się z łóżka i przetarł oczy.

- Która godzina?

Zapytał, jakby to miało jakieś znaczenie.

- Około czwartej. Będę w kuchni.

Odwróciła wózek i wyjechała z pokoju, zostawiając otwarte drzwi, przez które wpadało trochę światła z kuchennego okapu.

Nie wiedział, co mogło być aż tak naglącego, by musiał wstać o tak wczesnej porze, ale zakładał, że w tej sytuacji wszystko mogło być pilne.

Stara kanapa rozkładana, na której spali, najlepsze czasy miała za sobą i chociaż próbował wstać po cichu, sprężyny prowizorycznego

łóżka skrzypiały przeciągle, ilekroć robił najmniejszy ruch. Mimo to Katie się nie zbudziła.

Wciąż zaspany, odnalazł po omacku spodnie i włożył je z półprzymkniętymi oczami. Bolał go kręgosłup, powoli się rozciągnął. Usłyszał delikatne chrupnięcia w okolicy barków. Czuł się jak zleżałe drewno. A ponoć po trzydziestce mężczyzna jest w kwiecie wieku, w takim razie dlaczego ledwo włożył te pieprzone spodnie, pomyślał.

Wszedł do kuchni i poczuł aromat grzanego wina. Nie najgorzej, pomyślał. To był przyjemny zapach. Jednak ten aromat mógł zbudzić Eddiego, a mieli tu porozmawiać na osobności. Kuchnię nadal oświetlały tylko cztery żarówki pod okapem, toteż Stephen mógł na spokojnie się tu dobudzić. Blaty w kuchni były obniżone o kilkanaście centymetrów, tak by Rose mogła sobie tu radzić. Pamiętał, jak z Eddiem montowali tę kuchnię dobre pięć lat temu. Pomieszczenie było małe, przez co Eddie ledwo się tu mieścił. To były dobre czasy.

- Co się stało, mamó?

Usiadł na drewnianym krzeselku i przysunął do siebie masywny kubek, znad którego parowało gorące wino. Podmuchał i upił mały łyk. Słodki, ciepły napój rozgrzał go już po chwili.

Rose podjechała również do stolika, lecz nie dotknęła swojego kubka, jakby o nim zapomniała.

Wpatrywała się przez chwilę w okienko.

- Steve, pamiętasz, jak lekarz zdiagnozował u Amy ostre uczulenie pyłkowe? To było kilka lat temu.

- Jasne. Omal wtedy nie umarła.

- Tak, to prawda. Bóg mi świadkiem, że ja także, jednak chociaż jestem już stara, pamięć mam dobrą, a dobrze pamiętam z tamtej sytuacji jeszcze jedną rzecz.

- To znaczy?

Steve ponownie zrobił łyk wina. Tym razem większy.

- Wtedy, Steve... zachowałeś zimną krew, jako jedyny. Zachowałeś się jak mężczyzna. Wiem, że się bałeś, oj, wiem o tym. Ale tylko twoje oczy zdradzały lęk. Każdy pozostały najmniejszy cal twojego ja był

gotowy na niezbędne działanie. W mojej opinii, gdyby nie ty, Amy nie było by tu dzisiaj z nami.

- Dlaczego o tym wspominasz?

- Bo dzisiaj także musisz zachować zimną krew.

- Wiem, gdy wyruszymy, zostaw to mnie. Ty opiekuj się Amy, a my wrócimy jak najszybciej się...

- Steve.

Przerwała mu i położyła dłoń na jego dłoni. Była trochę cieplejsza.

Zawył wiatr i poruszył delikatnie białą firanką przy nieszczelnym oknie. Steve dostrzegł pierwsze chmury i wiedział, że dzisiaj na słońce nie ma co liczyć.

- Posłuchaj mnie - ciągnęła Rose. - Przed tym, jak cię obudziłam, wyszłam na zewnątrz. Było jeszcze całkiem ciemno. Pamiętasz Suleya? Petera.

- Tego młodego listonosza?

Pamiętał go. Wątpił, by ktokolwiek go nie pamiętał. Był synem zamożnego przedsiębiorcy, mającego kilkanaście posiadłości w samej Luizjanie. Peter Suley znany był z tego, że wyparł się ojca i na własną rękę postanowił żyć w Tensas, roznosząc ludziom gazety. Przed tym, kiedy zaczął się trudnić łażeniem od domu do domu z pogryzionymi nogawkami, pracował jako florysta, często rozdając róże za darmo przy Wallmarcie na Sixstreet. Na pytanie reporterki zaraz po jego wprowadzeniu do mieszkania, dlaczego odrzucił fortunę i dobrobyt w wiecznych luksusach, odparł, że wolałby wylizać twarz trędowatemu, niżeli podać filiżankę herbaty swojemu ojcu. Od tego czasu wszyscy znają Petera Suleya.

- Pojechałam do niego dzisiaj. Wiem, że Peter wstaje najwcześniej ze wszystkich mieszkańców tej zapyziałej dziury.

- W końcu musi być pod drukarnią z samego rana. Po co tam pojechałaś?

- Oficjalnie? Aby zapytać, czy ma dwa jajka, bo brakło mi do omletów.

- A nieoficjalnie?

- Chciałam zobaczyć.

- Co takiego? - zapytał Stephen, a w tym momencie wiatr uderzył w szybę jeszcze mocniej, ponownie dmuchając z lekka na firankę.

- To się już zaczęło, Stephen.

Światła okapu delikatnie zamrugały, po czym znowu świeciły stałym światłem. Steve znowu poczuł chłód, toteż upił następny łyk wina, które było coraz chłodniejsze. Rose nie tknęła swojego.

- Co masz na myśli?

- Zapukałam raz, potem drugi. Na miłość boską, pukałam z całych sił, omal nie pogruchotałam dłoni, ale nikt mi nie odpowiedział. Gdy miałam już wracać do domu, podjechałam po drodze do Betsy.

- Betsy?

- To moja koleżanka. Cóż, może nie najlepsza, ale w takim miasteczku jak to nie można wybrzydzać. W każdym razie podjechałam do niej i zrobiłam to samo. Zadzwoiłam dzwonkiem kilkanaście razy i nic.

- Może spali - zastanawiał się głośno Stephen.

- Oczywiście. Tylko w takim razie tak twardym snem spali w każdym domu, który po drodze odwiedziłam.

Steve pomyślał, że właściwszym określeniem byłoby „nawiedziłam”, ale zamiast coś mówić, kończył tylko swój napój.

- Czyli nikt nie wstał.

- Tak, nikt. I myślę, że dopóki nie wrócicie, nikt nie wstanie. Lecz to nie wszystko, zauważyłam coś jeszcze.

Spojrzała ponownie w okno, za którym zaczynał padać śnieg.

- Co takiego?

- Na wszystkich drzwiach namalowany był jakiś czerwony znak. Wiesz, co to znaczy?

Stephen pomyślał.

- Biblia - odpowiedział.

- Tak. Znalazłam ten werset w swojej.

„Krew będzie wam służyła do oznaczenia domów, w których będziecie przebywać. Gdy ujrzę krew, przejdę obok niej i nie będzie

pośród was plagi niszczycielskiej, gdy będę karał ziemię egipską”.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, ale wiem jedno. Szukałam dokładnie tego znaku na naszych drzwiach i nie znalazłam go.

Steve odstawił pusty kubek i sięgnął po kubek Rose.

- Mogę?

- Bierz - odparła bez namysłu.

- Steve, obudziłam cię jednak głównie z innego powodu.

- Słucham.

- Głównie dlatego, że chciałam zobaczyć, czy się obudzisz. Wiem, jak to brzmi, ale... musisz mi obiecać, że tak jak wtedy, gdy zachowałeś zimną krew przy Amy, tak zrobisz to teraz.

- Dobrze...

- Steve, obiecaj mi.

Spojrzała na niego swoimi starymi, lecz przenikliwymi oczyma.

- Jasne, obiecuję.

- Przed tym pojechałam do wszystkich. Każdy w tym domu się obudził, oprócz jednej osoby.

Steve poczuł ukłucie lęku. To małe ukłucie, które przygotowywało do znacznie większego lęku. Było jak ukłucie igły przed tym, gdy w twoje ciało uderzy bomba. Zamarł. Upił kolejny łyk i pomyślał, że trochę rozumie Eddiego. Alkohol tłumi lęk. Sprawia, że ukłucie igły jest mniej bolesne.

- Nie obudziła się tylko Amy.

Rose patrzyła wciąż na niego. Sprawdzała jego reakcję. Alkohol powstrzymuje igłę, lecz nie jest w stanie powstrzymać bomby.

ROZDZIAŁ 44

Pomimo szoku, Stephen, zgodnie z oczekiwaniami Rose, zachował zimną krew, chociaż widziała, jak wiele go to kosztuje. Poszli do pokoju Amy sami, upewnić się, czy na pewno nie da się jej dobudzić. Stephen ostrożnie usiadł na łóżku, kładąc dłoń na czole córki, jakby

chciał sprawdzić, czy ma gorączkę. Czoło Amy jednak było chłodne, niemal zimne. Przez chwilę, która w umyśle rodziców może trwać nieskończone wieki, wystraszył się, że córka nie żyje. Odruchowo sprawdził puls palcami wskazującymi i uspokoił się. Puls Amy był słaby, lecz wyczuwalny. Wyglądała jakby spokojnie spała.

W pokoju panował półmrok. Pomimo wschodzącego dnia niebo było zachmurzone i ciemne. Nadal padał śnieg.

- Amy?

Delikatnie, lecz stanowczo szarpnął ją za ramię.

- Amy!

Szarpnął mocniej, lecz głowa powoli, bezwolnie odwróciła się lekko na bok.

Bez skutku. Oddychała powoli z otwartą buzią. Jej włosy były rozrzucone na poduszce, układając się w niemal równy krąg.

Spróbował znowu, kiedy poczuł rękę na swoim barku. Rose patrzyła na niego i delikatnie pokręciła głową.

Spojrzał znowu na córkę i przykrył ją kocem.

- W takim razie co robimy? Rozumiem, że szpital nie wchodzi w grę - mruknął posepnie, jakby uszło z niego życie.

Rose odsunęła wózek i podjechała do okna.

Zbudź Katie i pozostałych. Niebawem musicie wyruszyć w drogę.

Stephen ujął dłoń córki i pocałował.

- Dokąd? - zapytał, tuląc dłoń małej istoty, w której płynęła jego krew. Miał zamknięte oczy.

- Wyjaśnię wam wszystko. A raczej tyle, ile wiem. Idź, Steve. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Gdy Stephen wstawał, delikatnie odkładając dłoń córki, do pokoju weszła Katie.

- Co się dzieje? Dlaczego nie śpicie?

Stanąła w drzwiach, miała na sobie wymięty szlafrok Stephena.

Stephen wiedział, że jeśli powie coś w stylu: „Katie, musisz zachować spokój”, to ona zrobi dokładnie odwrotnie. Znał ją, toteż od razu powiedział to, co powiedzieć i tak musiał.

- Amy się nie budzi. I nie obudzi w najbliższym czasie.

Głos Stephena był zdecydowany i spokojny, głos Katie natomiast był całkiem inny.

- Co? Co ty wygadujesz?

Podbiegła do łóżka, w którym spała Amy.

- Amy? Amy!

Potrząsnęła ją tak, jak zrobił to Stephen.

- Katie...- zaczął Steve, ale nie słuchała go. Była pewna, że zaraz obudzi swoją córkę, jak robiła to setki razy.

- Katie, musimy porozmawiać.

Nie chciała rozmawiać. Chciała, żeby jej córka natychmiast się obudziła.

- Hej, Amy. Wstawaj.

Teraz jej ton był błagalny. Podniosła jej głowę i ujęła za podbródek. Usta Amy otworzyły się, lecz dobiegał z nich tylko cichy oddech.

- Amy! - krzyknęła, a Stephen dotknął jej ramienia. Nie poczuła tego, nadal budziła córkę.

- Katie, ona się teraz nie obudzi.

- O czym ty, kurwa, mówisz! - wrzasnęła, dopiero teraz patrząc na niego. - Co to ma znaczyć, że teraz się nie obudzi? Jesteś pieprzonym lekarzem?

W tym momencie doszło do niej coś oczywistego.

- Lekarz! - powiedziała na głos, jakby to był klucz. - Musimy natychmiast zadzwonić na pogotowie. Wstała.

- Linie telefoniczne nie działają - odezwała się Rose, jednak nim dokończyła, Kate zbiegła po schodach na dół. W tej samej chwili do pokoju wszedł rozespany Eddie.

- Co jest grane? Nie możecie spać?

- Zejdź na dół. Idź po młodych - odezwał się Stephen.

- Steve, ty zrób coś do jedzenia. W lodówce jest zapas suszonej wołowiny. Musicie zjeść przed podróżą. W górnej półce nad zlewem są pojemniki, zrób tyle kanapek, ile możesz, także na drogę. Na samej

górze powinny też być termosy. Przed wyjściem zrobimy tam ciepłe napoje.

Stephen pokiwał głową.

- Idź - ponagliła go Rose. - Ja zajmę się moją córką.

Do pokoju znów wpadła Katie. Była roztrzęsiona.

- Steve, odpalaj samochód. Jedziemy do szpitala. Najszybciej dojedziemy do Balevue, ja przygotuje jej ubrania.

Mówiła szybko, prawie niezrozumiale.

- Katie, usiądź na chwilę - powiedziała Rose.

- Nie słyszysz? Ogłuchłeś? Nasza córka zapadła w jakąś śpiączkę, a ty stoisz tu sobie i gawędzisz?

- Kate, drogi są nieprzejezdne, nawet dla skuterów śnieżnych, których i tak nawet nie mamy. Ciężko byłoby tu wylądować nawet helikopterem, którego zresztą również nie mamy. Byłoby trudno dostać się teraz nawet do cholernej skrzynki pocztowej, zatem natychmiast siadaj na tym cholernym łóżku i mnie posłuchaj. Chociaż raz w życiu bądź opanowana.

Katie odwróciła głowę w kierunku mamy. Nigdy nie słyszała, by mówiła takim tonem. Grymas twarzy wyrażał wściekłość, jednak ustępował powoli miejsca rezygnacji. Spojrzała na śpiącą Amy i opadła na łóżko. Spojrzała na Stephena, a on na nią, po czym wyszedł do kuchni robić kanapki.

- Katie, pamiętasz, jak byłaś mała i zapytałaś mnie, gdzie jest tata? Wiedziałam, że to pytanie w końcu się pojawi. W końcu musiało. A ja od dawna próbowałam wymyśleć jakąś odpowiedź. Pamiętasz, co wtedy ci odpowiedziałam?

Katie wciąż siedziała bez wyrazu na łóżku, patrząc w swoje stopy, zerkając co chwilę na córkę, czy na pewno śpi, po czym odpowiedziała:

- Powiedziałaś, że jest w niebie. Że czeka tam na nas.

- Owszem, Katie.

Rose podjechała i ujęła za dłonie swoją córkę.

- Wkrótce jednak poznałaś prawdę. Wiedziałaś, że kłamałam. Że nie wierzę w Boga. Wypowiedziałam mu wojnę już dawno temu. Prawda boli. Nie mogłam powiedzieć, że umarł. Że już go nie ma. Dla twojego dziecięcego umysłu byłoby to niepojęte.

- Co to ma do rzeczy?

- Zmierzam do tego, że to, co się tu teraz dzieje, jest dla mnie równie niepojęte, a jednak... te sny, wizje, Samantha i Rob, to nie przypadek. Musisz mi teraz zaufać. Zejdź zaraz na dół, musimy porozmawiać. Zachowaj spokój, Amy nic nie będzie.

Nie wiedziała, czy to, co mówi jest prawdą, ale wierzyła, że tak. I wiedziała, że nie ma wyboru.

- Zrobisz to dla mnie?

Katie spojrzała na swoją mamę pustym, beznamiętnym wzrokiem i odpowiedziała tak, jak nigdy jeszcze nie odpowiedziała nikomu.

- Okay. Jak uważasz.

• • •

Gdy Rose zjechała swoimi zautomatyzowanymi schodami na parter, dostrzegła, że Samantha, Rob i Eddie byli w dobrych nastrojach i podejrzewała, że to zasługa Eddiego, który w każdej sytuacji potrafił znaleźć ziarno radości.

- Mamy tylko jeden termos? - zapytał Ed.

Rose skierowała wózek w stronę okna, które wychodziło równoległe z jej oknem z sypialni na ulicę okolicy. Dostrzegła, że plamy krwi nie zniknęły z okien. Nadal tam tkwiły, już lekko zaschnięte, wciąż jednak tak samo złowieszcze.

- A co tam, to, czego potrzebuję na tę podróż, na szczęście nie wymaga żadnych dodatkowych pojemników.

Eddie chwycił butelkę burbona i potrząsnął nią, po czym uśmiechnął się do Roba. - A ty, młody? Gdzie masz zapasy?

- Robbie nie wie, co to alkohol - odrzekła Sam i poczochnęła go po włosach. - Dla niego tylko soczki owocowe.

- Wcale nie. - Rob zaczerwienił się.

- Spokojnie, chłopcze, stary Eddie cię nauczy, co dobre. Trzymaj.
Eddie wręczył mu butelkę. Rob spojrział na nią i otworzył, po czym powąchał i skrzywił się.

- A ty co, koneser? Od wążania tylko głowa boli. Łyknij.

- Pokaż mi to.

Samantha wzięła od niego butelkę i pociągnęła duży łyk, po czym lekko zakaszła.

- Moja szkoła. - Eddie wyszczerzył zęby.

Rob wziął butelkę od Samantha i zrobił to co ona, próbując się nie krzywić, jednak choć bardzo się starał, poniósł porażkę.

- Czeka nas sporo nauki - stwierdził Eddie i zakręcił butelkę. - Ty, kuchcik! Kiedy skończysz się z tym guzdrać?

- Niebawem, alkoholiku - odrzekł Steve.

- Mamy gości - powiedziała Rose.

- Co? Kto? - zapytał Eddie, ale nim dokończył usłyszeli kroki przed drzwiami, a po chwili trzy głucho puknięcia.

- Eddie, uważaj - powiedziała Rose, niepewna, jakby nie wiedziała, dlaczego ma uważać.

Eddie spojrział na nią pytająco po czym podszedł do drzwi i uchylił je na wysokość otwieranego zamka.

Za drzwiami stało trzech mężczyzn. Dwaj z nich, ci najwięksi, stali obrócenii w kierunku bramki, na coś patrzyli. Trzeci, ubrany w ładną marynarkę (choć na gust Eddiego zbyt lekką jak na tę porę roku), przysypany śniegiem patrzył teraz na Eddiego.

- W czym mogę pomóc? - zapytał Eddie już całkiem innym tonem niż przed chwilą.

- To zabawne - odrzekł mężczyzna. - Dałbym głowę, że jeszcze przed godziną wiedziałem, w czym byś mógł mi pomóc. Teraz jednak, cóż... - Mężczyzna spojrział w kierunku, w którym patrzyli jego koledzy. - Teraz sam nie wiem, w czym możesz mi pomóc, ale najlepiej byłoby, gdybyś dał radę załatwić mi helikopter i przenieść mnie z tego popieprzonego miasteczka do cywilizacji.

Dwaj mężczyźni z tyłu zerknęli spode łba na Eddiego, który w normalnych okolicznościach kiwnąłby Stephenowi, stojącemu z tyłu, by ten przyniósł broń. Trójka nieznajomych mogłaby wydawać się groźna, ale dostrzegł w nich coś... był to chyba strach. Coś przeraziło ludzi, którzy sami mogliby przerazić niejedną osobę w biały dzień. Byli wielcy, niemal jak Eddie, ale w tym momencie wydawali się szukać jakiegokolwiek pomocy. Eddie jednak, chociaż intuicję do takich rzeczy miał dobrą, postanowił zachować ostrożność. Dał więc niemy znak Stephenowi, wierząc, że ten bez problemu go zrozumie i kiwnął mu ręką.

- Czy wpuściłbyś nas, dobry człowieku, chociaż na chwilę?

Eddie czekał z wyciągniętą ręką i spojrzał na Stephena, który przyglądał mu się ze zdziwioną miną.

Ponowił niecierpliwie znak, tworząc z palców znak pistoletu.

Steve rozłożył ręce pytająco.

- Ja pierdolę - rzucił Eddie.

- Słucham? - zapytał elegancki mężczyzna.

- Nie, nic. Mówiłem do mojego upośledzonego przyjaciela. Kolego, wybacz, ale muszę zapytać. Nie wyglądacie jak dzieci, które chcą cukierka na Halloween. Czy macie przy sobie broń?

- Broń?

- Tak, broń. Przedmiot przeważnie do wyrządzenia komuś krzywdy. Bo widzicie, wszyscy są w tym domu mile widziani prócz właśnie krzywdy.

Mężczyzna o niemal krystalicznie niebieskich oczach patrzył przez chwilę na Eddiego, po czym zaśmiał się:

- Dobra, pieprzyć to. Chłopcy, dajcie mi giwery.

- Tony, oszalałeś? - zdziwił się jeden z dużych chłopców.

- A na co ci, przygłupie, broń? Przed chwilą wpakowałeś cały magazynek w bóg wie co, a ten nawet się nie zachwiał.

Eddie spojrzał znowu na Stephena, który właśnie szedł ze starym winchesterem i wymierzył w drzwi. Eddie posłał mu wymuszony uśmiech.

- Kurwa - zaklął ponownie pierwszy z dużych chłopców i wyciągnął z płaszcza pistolet. To samo z lekkim ociąganiem zrobił drugi. Tony wyciągnął najpierw nóż z kieszeni płaszcza, a potem pistolet z za paska spodni i położył je pod drzwiami, po czym powoli się wycofał. To samo zrobili pozostali.

- A teraz proszę wpuść nas, zanim to coś tu przyjdzie. Lub zamarzniemy na śmierć.

Eddie spojrzał jeszcze raz na Stephena, upewniając się, że ten tym razem wie, co trzeba zrobić. Steve kiwnął mu głową.

- Słuchajcie, wyjdę teraz i wezmę broń, po czym was przeszukam. Za mną mój wspólnik mierzy do was ze strzelby i jeśli coś się zdarzy, podziurawi was szybciej, niż zdążycie pomyśleć „cholera”. Jasne?

Eddie zamknął drzwi, odsunął zamek, po czym ponownie je otworzył. Zmrożone (i od dawna nienaoliwiane) zawiasy zaskrzypiały przeciągle. Mróz, niczym nieproszony gość, wdarł się do ciepłego mieszkania. Eddie uklęknął, pamiętając, by nie spuszczać wzroku z nowo przybyłych gości, i poprzesuwał ręką leżący mini arsenał. Wziął do ręki jeden z cięższych pistoletów i odbezpieczył magazynek, który bezwładnie spadł na jego dłoń do połowy. Pięć naboji plus jeden w komorze. Wskazał na pozostałe pistolety i rzucił do Roba.

- Zabierz to i daj jeden Samancie, jeden weź ty.

Gdy wypowiedział imię Samantha, dostrzegł nieznaczny błysk w oku mężczyzny, którego zwali Tonym.

Eddie wyszedł na ganek.

- Ogromny jesteś - rzekł Tony i pokiwał w zadumie głową.

Ciężkie buty Eddiego w rozmiarze małego dinozaura zagrzmiały głucho o stare deski ganku.

Obszukał dokładnie mężczyzn.

Po ich czerwonych, rozpalonych twarzach i przemoczonych od śniegu ubraniach wnioskował, że musieli spędzić na zewnątrz wiele godzin i gdyby ktoś mu powiedział, że spali w śniegu, uwierzyłyby bez wahania.

- Wchodźcie, ale bez żadnych dziwnych numerów.

- Jasne, szefie. Cokolwiek sobie życzysz.

Tony poszedł przodem, pozostali weszli za nim, Eddie jako ostatni. Nim jednak zamknął drzwi, spojrzał w kierunku, w którym patrzyła tamta dwójka.

Z początku niczego nie dostrzegł. Jednak po chwili w oknie kilka domów dalej, zobaczył delikatnie uchyloną firankę. Ktoś był w środku i obserwował ich.

Przez chwilę, tylko krótką, Eddiemu wydawało się, że ten ktoś nie miał oczu.

Zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ 45

Mężczyźni weszli do środka, od razu podnosząc ręce do góry. Był to odruch bezwarunkowy, pomyślał Eddie. Każdy, widząc wycelowane trzy pistolety i jedną strzelbę, zrobiłby to samo.

- Sammy - powiedział Tony, rzucając jej spojrzenie. - Do twarzy ci z gnatem.

- Co ty tu robisz? - zapytała zszokowana.

- A wiesz, za cholere już nie wiem.

- Znacie się? - zapytał Steve.

- Owszem, znamy - odparł Tony. - Wyglądasz niemal tak samo jak wtedy, gdy celowałaś mojej córce w głowę. Masz nawet ten sam wyraz twarzy.

- Żałuję, że cię nie zastrzeliłam, sukinsynu.

- Teraz masz okazję. Lepiej strzelaj od razu i celnie.

- Zamknąć się - syknął Steve.

Usłyszeli nagle głos z góry.

- Robi się coraz ciekawiej.

To była Katie. Tak samo zrezygnowana jak przed paroma minutami.

- Ktoś jeszcze tu wpadnie? Ten hotel ma sporo miejsca, o ile dopasujecie się do nowych standardów i spanie na podłodze was nie

przeraża. Chociaż patrząc na to, jak marnie wyglądacie, nawet spanie w stajni byłoby dla was luksusem.

Katie zeszła po schodach.

- Kochanie, mamy tu trochę napiętą sytuację, idź na górę.

- Na górę? - zapytała Katie, ostentacyjnie patrząc na Steve'a. Na górę? Tam, gdzie nasza córka zapadła w śpiączkę? Sugerujesz, mój mężu, że sytuacja tam jest mniej napięta? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Katie...

- Pytam, czy to właśnie sugerujesz?

- Nie, ale...

- Więc zamknij się.

Katie przeszła między trójką mężczyzn a swoimi starymi i nowymi domownikami.

I opuście broń. Aktualnie myślę, że na nic się wam nie zda. Chociaż z drugiej strony chętnie na to popatrzę. Ty, laleczka!

Katie popatrzyła na Samanthę, która też spojrzała na nią.

- Do dzieła! Strzelaj!

Katie rozłożyła się na kanapie, jakby wróciła po ciężkim dniu w pracy, wreszcie mogąc sobie pozwolić na odrobinę relaksu.

- O czym ty pieprzysz? - warknęła Samantha, po raz pierwszy tym tonem.

- No dalej, strzelaj. Rozwal mu łeb. Jesteś taka twarda z tym pistoletem, więc dalej. Czy tylko udajesz?

- Zamknij się!

Samantha skierowała teraz pistolet w stronę Katie.

- Hej! - krzyknął Steve i wycelował w Samanthę. - Odłóż broń.

- No strzelaj, lalko. Strzelaj, chcę to zobaczyć.

- O co ci chodzi?! - krzyknęła Samantha.

Katie wstała, podeszła do Samanthy, która wciąż do niej celowała i wyrwała jej broń z ręki.

- Nie strzeliłaś, więc pokażę ci, jak to się robi.

Skierowała broń w czoło Samantha, która w połowie zdziwiona, a w połowie przestraszona, popatrzyła pytająco na Katie.

- Katie, co ty robisz?!

- Strzelam - odparła i pociągnęła za spust.

Samantha zamknęła oczy i usłyszała tylko głuchy trzask metalu, na który się wzdrygnęła.

Katie stała wciąż z bronią wycelowaną w Samantha. Trzymała ją oburącz, nieporadnie.

- Dziwne, nie działa? - zapytała Katie, choć nie było to pytanie. - Idioci, jesteście wszystkowiedzący, ale nie wiecie, że broń tu nie działa. Możecie strzelać do woli.

Rzuciła broń w stronę Tony'ego, który ją złapał, a reszta natychmiast skierowała broń w niego.

- Odłóż ją - powiedział Eddie. - Natychmiast.

Tony stał z pistoletem w ręku i oglądał go, jakby pierwszy raz trzymał w dłoni broń. Oglądał przez chwilę, po czym w podobny sposób jak Eddie zwolnił magazynek. Był pełny.

Spojrzał na cyngiel zabezpieczający, który był odbezpieczony.

- Dziwne - powiedział, nie zważając na wycelowane pistolety.

- Anders, ona chyba ma rację, ale muszę się upewnić. A że jesteśmy w gościach...

- Szeffie, o co...

Tony szybkim ruchem skierował lufę w stronę Andersa i pociągnął za spust, z którego ponownie dobył się tylko głuchy trzask, podobny do tego, jak łamie się suche drewno na opał.

- Kurwa - zdołał wyszeptać jeden z wielkoludów.

- Cóż, chłopaki. Ona chyba ma rację! - krzyknął Tony. - A teraz wybaczcie, jeśli uprzejmości mamy za sobą, muszę skorzystać z łazienki. Sammy, oprowadzisz mnie?

- Za schodami w prawo, włącznik światła jest przy umywalce - odrzekł Rob.

- Może go jeszcze zaprowadzisz? - zapytała sucho Sam.

- Dziękuję, młody człowieku. - Tony puścił tę uwagę mimo uszu i szarmancko się uklonił, po czym poszedł do łazienki, jakby również dopiero co przyszedł z pracy. - Tak w ogóle nazywam się Tony, a to moi pracownicy, Anders i Lucas. Do teraz nie wiem, który to który, więc wy tym bardziej nie musicie wiedzieć. Wasze imiona mnie nie interesują. A teraz idę skorzystać w końcu z normalnej toalety, dziękuję.

Tony udał się szybkim krokiem do łazienki, a Eddie minął dwóch wielkich chłopców i wyszedł na taras. Przeładował broń. Trzask. Nic więcej. Zrobił to ponownie. Trzask. Wrócił, zamknąwszy drzwi, i spojrzał na Andersa, a ten na niego. Patrzyli tak przez chwilę na siebie.

- Herbaty czy whisky? - zapytał.

- Whisky, jeśli można.

- Swój chłop.

- Ja też - odrzekł drugi z nich.

Eddie, położywszy pistolet na blacie, pomaszerował do kuchni.

- Steve nadal celował w chłopaków, nie do końca rozumiejąc, co się właściwie stało.

- Katie? Skąd wiedziałaś? - zapytała Rose.

- Przeczucie.

- Przeczucie? - wtrąciła Sam. - Strzeliłaś do mnie, bo miałaś pieprzone przeczucie?

- No dobra, nie przeczucie. Miałam sen. Deja Vu. Realny sen. Z gatunku takich, o jakich gadacie przez cały czas. Lepiej ci? - rzuciła do Samantha, która kipiała z wściekłości.

- Sen?! O tak, teraz mi znacznie lepiej. Ja też miałam sen, że spadłam z mostu i uniosłam się w górę, zamieniając w ptaka, ale kurwa, nie skoczyłam na drugi dzień z okna, żeby to sprawdzić!

- A może trzeba było - parsknęła Katie.

Samantha zagryzła wargi, Rob wziął ją w ramiona, ale się odsunęła.

- Dzięki, bohaterze, poradzę sobie. - odparła i spojrzała w drugą stronę. - Kretynka - dodała, ledwo słyszalnie, a Katie się uśmiechnęła.

- Jestem Katie, miło mi.

- Spokój - wtrąciła się Rose. - Zachowujecie się jak dzieci. Zostawcie to na potem, a najlepiej porzućcie teraz wszelkie zwady. Oszczędzajcie siły. Za chwilę musicie wyruszyć. Myślałam, że tylko wy, ale teraz już sama nie wiem. - Spojrzała na Andersa i Lucasa. W tym momencie z łazienki wyszedł Tony, a Eddie szedł z trzema szklankami do połowy wypełnionymi siarczystą brandy.

- Usiądźcie tu wszyscy. Musimy zebrać do kupy fakty.

Tony, widząc brak miejsc, usiadł przy kaloryferze. A może nie o brak miejsc chodziło, pomyślała Rose. Nie wiedziała, czy on ma się udać z nimi, jeśli tak, potrzebował ciepła, jedzenia i odpoczynku, lecz nie mieli czasu. Spojrzała na zegarek. Wskazywał dziesiątą trzydzieści trzy.

Usiedli wszyscy oprócz Andersa i Lucasa, którzy stanęli w progu.

Rose czuła, jak pulsuje jej głowa. Wszyscy czekali, aż zacznie.

W pokoju zrobiło się zimno, gdy nic nie mówili, ciszę przerywał tylko wiatr i nie do końca zakręcony kurek od wody w kuchni. Na blat skapywały rytmiczne krople wody. Kap, kap. Równoległe z tykaniem zegara ściennego.

- Zacznę, bo nie mamy zbyt wiele czasu. Jak wiecie, a przynajmniej część z was, Amy się nie obudziła.

- Amy? - zapytała Samantha, odwracając wreszcie głowę w ich stronę.

- Głucha jesteś? - warknęła Katie, wciąż patrząc na nią bez wyrazu.

Tak Rose, jak i Samantha zignorowały kolejną zaczepkę.

- Moja córka, Katie, miała sen. Jak wiemy, broń nie działa z jakichś powodów.

- Tylko, że nie do końca to rozumiem - wtrącił Tony i wszyscy na niego spojrzeli.

- Co masz na myśli? - zapytała Rose.

Tony spojrział na Andersa i Lucasa.

- Macie coś przeciwko, żebym zapalił?

Eddie wyjął z kieszeni pomietą paczkę chesterfieldów i rzucił w stronę Tony'ego, który złapał ją wprawnym ruchem. Dopiero co rzuciłem, ale cholera, po tym, co zobaczyłem, a raczej zobaczyliśmy, nawet proboszcz dałby sobie w żyłę.

Odpalił papierosa i wziął pusty kubek, i postawił koło siebie.

Strząsał popiół, który był zbyt mały, by spaść. Z niewiadomych przyczyn palacze często tak robią, pomyślał Eddie.

- Może zacznę od początku. Przyjechaliśmy tu po tę ślicznotkę. - Mrugnął do Samantha, po czym ponownie strząsnął papierosa, z którego tym razem spadła odrobina popiołu do kubka. Słabo oświetlone, małe pomieszczenie teraz wypełnił jeszcze gęsty, niebieskawy dym papierosa. Tony zaciągnął się i kontynuował: - Miałem pewną wizję, ale myślałem, że to jakieś halucynacje po alkoholu i narkotykach. Cóż, nie wiem, ile powiedziała wam ślicznotka Sammy, ale przyjechałem tu przypomnieć jej delikatnie, kto jest jej szefem i że pracownikom nie przystoi robić pewnych rzeczy.

Rob spojrział na Sam, która wzrok miała wbity w podłogę.

- W każdym razie wziąłem chłopaków i namierzyliśmy Samanthę po numerach zostawionych na lustrze. Wszystko szło całkiem gładko, dopóki nie wjechaliśmy w obręb tego przekłętą, popieprzonego miasteczka. Na początku były problemy z radiem, które samo się włączało, czasami cicho, a czasami dawało na cały regulator. To było... - Tony strzepnął popiół i zaciągnął się sporą dawką dymu, po czym zakaszał. - To było pojebane, wiecie? Płacz i krzyk. Nie wiem czyj, więc w pewnym momencie wyrwałem radio, ale...

- To nic nie dało? - zapytał Rob.

- Dokładnie, chłopcze. Więc przestreliliśmy drzwi, celując w głośniki, wszystkie. Dopiero wtedy dźwięki ustały, ale to był tylko początek naszych problemów. Już wtedy czułem, że powinniśmy zawrócić. Dopadła nas śnieżycy, jakiej jeszcze na oczy nie widziałem.

Jechaliśmy tu dwadzieścia kilometrów na godzinę i to na dobrych odcinkach. Po pewnym czasie zauważyłem, że na drodze nie było w ogóle innych aut. Jechaliśmy tylko my. W końcu natrafiliśmy na stację, którą ledwo co dało się zobaczyć. Zjechałem na nią pod dystrybutor i zatankowałem, kiedy wszedłem na stację, okazało się, że była całkiem pusta. Wołałem, ale nic. Ani żywej duszy. Zostawiłem pięćdziesiąt dolców na blacie i udałem się do toalety. Tam zastałem właściciela.

- Czyli stacja nie była pusta - zauważył Steve.

- Nie, jeśli wliczymy trupa.

Tony zgasił niedopałek w kubku, miażdżąc go kilkukrotnie, aż dym przestał ulatywać.

- Nie żył? - dopytał Steve.

- To dość delikatnie ujęte - odrzekł Tony. - Wiecie, co jest najdziwniejsze? Widziałem dużo martwych ciał, ale nigdy takiego. Według mnie nikt go nie zabił i sam również tego nie zrobił. Chyba że ktoś operował imadłem przez kilka godzin, mając przy tym nadludzką moc.

- Jak Superman - dodał w zamyśleniu Rob, jednak nikt nie podchwycił żartu.

- Co masz na myśli? - zapytał ponownie Steve, nie ukrywając zainteresowania.

- Wisiał na haku od lampy, zawieszony na szczęce. Całe jego ciało było poskręcane, każda jego kończyna zmiażdżona i nienaturalnie odwrócona. Jego głowa była wykręcona w kierunku pleców.

Wyglądał, jakby ktoś miażdżył go ogromnym głazem, potem powykręcał nogi i ręce, a następnie zawiesił na tym haku.

- Jezu... - jęknęła Samantha.

- Wszedłem na zewnątrz i miałem wrażenie, jakby... sam nie wiem, śniegu było znacznie więcej. Nadal brak samochodów, brak żywej duszy. Skierowałem się w stronę auta, które teraz miało włączony silnik i dostrzegłem moich chłopców. Byłem pewny, że nie

żyją. Pomyślałem, że muszę śnić. Wiecie, te realne sny... I ten przeklęty śnieg, który czułem nawet w płucach. Co do snu...

- Świadomego - odpowiedział Eddie.

- Właśnie, to chore gównno, które ludzie praktykują. Uszczypnąłem się mocno w policzek, ale nic to nie dało, więc wsiadłem do auta. Sprawdziłem puls Andersa, ten jednak się obudził.

- Zasnęli w dwie minuty? - zapytała tym razem Samantha.

- Tak i nie, ślicznotko.

- Tak i nie?

- No cóż. - Tony rozejrzał się po pokoju, jakby tu mógł znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co chciał powiedzieć. - Zasnęli, ale nie w dwie minuty, a w dwie godziny.

Zapadła cisza, jakby każdy teraz usilnie próbował rozwiązać tę zagadkę.

- Powiedzcie mi, który dzisiaj jest? - zapytał Tony.

- Dwudziesty czwarty grudnia - odpowiedziała tym razem Rose, która do tej pory w milczeniu słuchała.

- No właśnie. Przyjechaliśmy do Tensas dwudziestego trzeciego, a minęły cztery noce, zanim trafiliśmy tutaj.

- Cztery noce? Jechaliście przez biegun północny? - zapytał Eddie i zarechotał, ale nikt prócz Roba mu nie zawtórował.

- Na Boga, tak się czułem. W każdym razie Anders powiedział mi, że nie było mnie dwie godziny. Czas na tej cholerniej stacji wpadł w jakąś krzywiznę. Byłem tam myślę dwie, góra trzy minuty, a jestem pewny, że nie straciłem przytomności. Odpalili auto, gdy po dwudziestu minutach mnie nie było. Gdyby nie to, pewnie by tam pomarli z zimna.

- Nie szukali cię? - zapytała znowu Sam.

- Och, szukali. Szukali, ale nie znaleźli. Ani mnie, ani trupa w toalecie. Wrócili do auta, bo tylko taki pomysł przyszedł im do głowy. Czekać.

- A czy... - zaczęła Samantha, jednak Tony wszedł jej w słowo:

- ...próbowaliśmy tam wejść we trójkę i sprawdzić, co się stanie?

- Tak.

- Chciałabyś. Nie, złotko. Chciałem stamtąd jak najszybciej spadać i przemyśleć po drodze, co się właściwie stało. Pamiętam tylko, że cholernie chciałem wtedy zapalić i żałowałem, że nie wziąłem stamtąd paczki fajek. A właśnie, o tym zapomniałem.

Tony wziął następnego papierosa, równie zmiętego jak poprzedni i odpalił.

- Następnie pojechaliśmy dalej przed siebie, zgodnie z nawigacją, która bardzo często traciła i odzyskiwała sygnał tylko na krótki czas. Wystarczyło to jednak, bym mógł zorientować się w terenie, tym bardziej że jechaliśmy bardzo wolno. Do tego wiatr był tak silny, że kołysał naszym furgonem, jakby był z plastiku. Dwie i pół tony metalu na oblodzonej, niewidocznej drodze w kołyszącej się łajbie. Co za pieprzony horror. Przejechaliśmy jeszcze kawałek, gdy zauważyłem kolejną dziwną rzecz. W mijanych domach, mimo że była godzina dwudziesta druga, nie paliła się ani jedna lampka, ani jedno światełko na pieprzonych choinkach, nic. Kompletna ciemność. Tylko światło naszych reflektorów próbujące przedzierać się przez miliony drobnych okruchów śniegu. Wycieraczki chodziły na pełnych obrotach, a i tak gówno widziałem. Wtedy postanowiłem zawrócić.

Tony spojrzał w okno. - I to było pokręcone.

- To znaczy? - zapytał Eddie, upijając kolejny łyk whisky.

- Kiedy zawróciłem, GPS stracił od razu sygnał. Pomyślałem, że to znów krótkie zerwanie sygnału, więc jechałem dalej, ale nic się nie poprawiało, a musiałem jechać jeszcze wolniej, gdyż pobocze i środkowe linie na drodze były kompletnie niewidoczne. Sytuacja zmieniła się, gdy...

- Zawróciłeś - dokończył Steve.

- Zgadza się, bystrzaku.

Samantha dostrzegła coś w Tony. Coś, czego jeszcze w nim nie widziała. Tony kulący się i palący przy kaloryferze w podmiejskim domku, którego nie wynająłby nawet najgorszemu wrogowi. Ten Tony nie był królem ulic Vernon. Był małym, wystraszoną i całkowicie

zdezorientowanym chłopcem, który próbuje wszystko poskładać do kupy. Strach maskował cwaniactwem. Zastanawiała się, na jak długo wystarczy mu do tego sił. Jego giermków знаła tylko z widzenia, a bardziej z opowiadań. Byli jego przybocznymi psami, pitbulami w ludzkiej skórze, ale kiedy patrzyła na ich zgarbione sylwetki, wiedziała, że to, co się stało, zdecydowanie ich przerosło.

- Tak więc jechaliśmy, Bóg wie jak długo, nie wiedząc, gdzie w ogóle jesteśmy. Minęliśmy jakiś bar w centrum, chyba Sticks...

- Sticky Gingers - podpowiedział Eddie.

- Tak, dokładnie ten, ale nawet on był pusty. Nawigacja padła. Błądziliśmy po ślepych uliczkach, aż w końcu daliśmy za wygraną. Zatrzymałem się na poboczu. W baku powoli zaczynało ziać pustką, a wiedziałem, że musimy oszczędzać paliwo na noc. Na zewnątrz było z minus dziesięć stopni i brakowało tylko niedźwiedzi polarnych, żebym uwierzył, że jesteśmy na biegunie północnym.

Postanowiliśmy doczekać dnia i zawrócić. Gdy przedstawiłem pomysł chłopakom, nie protestowali. Więc poszliśmy spać, jeśli budzenie się co pięć minut można nazwać snem. W końcu spojrzałem na zegarek. Była za pięć piąta nad ranem. Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Wicie, cholernie się ucieszyłem, że w końcu zobaczę kogoś innego po ciągłym gapieniu się w dwie te same mordy.

Wszyscy spojrzeli na dwóch wielkich chłopców, ale oni tylko wpatrywali się gdzieś w dal. Czuli się skrępowani i Samantha była pewna, że nigdy jeszcze tak się nie zachowywali.

- Taaa... no więc, uchyliłem szybkę, która była obludzona, i z ogromnym trudem opadła na dół, a tam zobaczyłem dzieciaka. Dzieciaka z psem. To znaczy tak z początku myślałem, że to dzieciak i że to pies. Wkrótce potem byłem pewny, że to nie może być dzieciak, a to coś nie było psem.

„Słucham?” zapytałem. Wpatrywał się we mnie długo. Kiedy już miałem zapytać, czy wie, gdzie jesteśmy, powiedział: „Zgubiliście się”. Spojrzałem na tego ogromnego psa, który wpatrywał się we mnie

dwojgiem innych oczu. Wyglądał jak husky, ale to nie był żaden pierdolony husky. To był...

- Wilk - ponownie odezwał się Eddie.

- Tak, wilk. Wielki pieprzony, zasypywany śniegiem wilk.

Kiedy chciałem zapytać, czy wie, gdzie znajdziemy drogę powrotną, odpowiedział, zanim zadałem pytanie. To było... jakby czytał w moich myślach, wicie? Odparł tylko: „Stąd nie ma drogi powrotnej”.

„Słucham?”, odpowiedziałem i wtedy się to stało. Auto zgasło, ot tak, a ja poczułem ucisk w klatce piersiowej.

„Biegnij”, powiedział chłopak, kiedy zacząłem się dusić. Powtarzał to w kółko, próbowałem odpalić auto, ale nadaremno, do tego brakowało mi oddechu.

„Biegnij. Biegnij. Biegnij”. Poczułem też kolejne uciski, najpierw dłoni, potem stopy. Przypomniał mi się facio ze stacji, ten poskręcany i czułem, że to coś robi to mnie. Bez zastanowienia chwyciłem za broń, wycelowałem chłopakowi w twarz, ale ten nawet nie mrugnął. Wciąż powtarzał swoje.

Strzeliłem mu w twarz.

- Strzeliłeś chłopcu w twarz? - zapytała Samantha.

- A co miałem, kurwa, zrobić? Zresztą to i tak zdało się na nic. Kiedy strzeliłem... z dziury po kuli na czole chłopaka zaczęła lecieć ciurkiem krew, ale on... nadal powtarzał to samo. Jak to pierdolone radio z samochodu. Ucisk w płucach nie ustawał. Ostatkiem sił otworzyłem drzwi, Anders i Lucas zrobili to samo. Upadłem, chwyciłem pistolet i władowałem w niego cały magazynek. Trzy kule w korpus, dwie w twarz. Rozerwało mu policzek, który zwisał na jego twarzy, ale nie czuł nic. Zaczęliśmy uciekać, biegliśmy na oślep przed siebie. Ból mijał z każdym metrem. Gdy zobaczyłem, że chłopiec zniknął, padłem jak długi na śnieg przy jakimś domu. Wtedy też zauważyłem, że w żadnym nie pali się światło. Leżeliśmy tak we trójkę jak dzieciaki, co robią motyle na śniegu, a śnieg padał nam prosto na twarze. Nie wiedzieliśmy co robić, aż nagle Lucas

szturchnął mnie w ramię i wskazał coś. Z początku nie widziałem, ale po chwili wiedziałem, co pokazuje. Światło. Jedyne światło w okolicy.

- Nasz dom? - zapytała Samantha.

- Nasz? - odezwała się Katie. - O czymś nie wiem?

Samantha przewróciła oczyma.

-Tak, ten dom. Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, ale gorzej być nie mogło, więc przyszliśmy tu. A teraz mam pytanie do was. Czy możecie mi wyjaśnić, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje?

ROZDZIAŁ 46

Gdy Katie zeszła z góry i na pytanie Steve'a o małą odburknęła, że bez zmian, Rose przypatrywała się wszystkim w milczeniu. Według niej nikt z nich nie był gotowy, by wyruszyć w drogę. Na miłość boską, ona sama nie byłaby gotowa. Ona nie mogła tego zrobić. Wiedziała, co ma im przekazać, wiedziała, co mają zrobić, ale tylko w części. Nie wiedziała jednak, co stanie się dalej. Musiała zatem powiedzieć im wszystko, co wie. Czuła, że to nie koniec tego, co ma zobaczyć, ale wiedziała, że nie ma już czasu. Muszą wyruszyć już.

- Posłuchajcie - odezwała się w końcu. Spojrzała na każdego z nich. Byli dezorientowani i słabi. Podnieśli jednak głowy. Słuchali. - Nie wiem zbyt wiele, w zasadzie można by powiedzieć, że nie wiem wiele więcej od was, do licha, nie wiem nic. Amy, moja wnuczka, córka mojej córki Katie, z jakiegoś powodu zapadła w śpiączkę. Z jakiegoś powodu jesteście tu wy. Samantha, Rob. Tony. Anders. Lucas. - Przy każdym z imion posłała jego właścicielowi spojrzenie, po czym kontynuowała:

- Musicie wyruszyć w drogę do kościoła, który zbudowałam z moim mężem.

- W taką pogodę? - zaproponowała od razu Katie. - Jakim sposobem? To ponad dwadzieścia kilometrów stąd, nie damy rady tam dojechać! A ja nie zostawię córki, w życiu, możesz o tym zapomnieć.

- Wiem, że nie zostawisz, Katie. Nie możesz tego zrobić. Musisz zabrać Amy ze sobą.

- Ze sobą? Nieprzytomną dziesięciolatkę w największą śnieżycę mam wziąć ze sobą?

Rose patrzyła na Katie teraz wzrokiem spokojnym, łagodnym.

-Tak. W tym wszystkim ona w jakiś sposób jest kluczowa. I tylko wtedy się obudzi. Musicie iść pieszo za dnia, a spać nocą.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Kate, kręcąc głową. - Nie ma mowy, ona...

- Tylko tak możecie ją uzdrowić. Katie, widziałaś, co się dzieje. Nie szukaj tu racjonalnych rozwiązań. Nie ma ich i dobrze o tym wiesz. Weźcie ciepłe koce.

- Nie godzę się na to, słyszysz? Stephen, powiedz coś, do diabła!

- Katie, twoja mama ma rację.

- Wierzysz w to?

- A w co mam wierzyć? Myślisz, że ktokolwiek tutaj ma ochotę przedzierać się przez metrowe zaspy śniegu?

- A co z tobą, mamo? - zapytała Katie. - Ty też masz zamiar iść? Taki jest boski plan? Wszyscy mamy tam umrzeć?

- Nie, córko. Z jakiegoś powodu, nie wiem jeszcze jakiego, ja muszę zostać tutaj.

- Katie... - odezwała się cicho Sam.

- Zamknij się - odparowała Katie.

- Chciałam tylko powiedzieć, że pomogę ci nieść Amy.

- Dlatego właśnie powiedziałam, zamknij się - wysyczała Katie. - Jeśli mam brać udział w tym samobójczym planie, to ja będę niosła swoją córkę i razem z nią umrę.

Katie wstała i szybkim krokiem weszła po schodach na górę. Usłyszeli odgłos zamykanych drzwi.

- Wy nie musicie iść - powiedziała Rose do Tony'ego. - Możecie się tu schronić do czasu, aż to wszystko się skończy (o ile się skończy, pomyślała Rose i skarciła się za tę myśl).

- Bogu dzięki - odparł Tony. - Mam dosyć pieprzonych wrażeń. - Staruszkę, należę sobie też tej brandy, co?

- Jasne - odparł Eddie.

I Tony poszedł po butelkę.

- Muszę teraz was o to zapytać. To musi być wasza decyzja.

Spojrzała na dojrzałą już twarz zmęczonego Stephena. Przeniosła powoli wzrok na Eddiego, który teraz się zasępił. Później na dziecięcą twarz Roba, czuła w nim jednak siłę. Ta siła podłoże miała w Samancie, na którą teraz przeniosła wzrok. Nie wiedziała, dlaczego tu przybyła, ale była równie ważna dla tej sprawy. Modliła się w duchu, by zgodziła się pójść. Czworo ludzi, tak jej bliskich, musiało zmierzyć się z czymś, czego nie potrafiła zrozumieć. Nikt nie potrafił.

- Oczywiście, że pójde - zaczął Steve.

- Jeśli ten stary przyk idzie, to ja też - odparł Eddie.

Rose teraz ponownie skupiła wzrok na Samancie i Robie, nie wiedząc, jak mocno zaciska pięści. Chodziło o życie jej wnuczki.

Rob i Samantha popatrzyli na siebie i Rose wiedziała, że jeśli ona się zgodzi, to on także.

- Nie wiem, o co tu chodzi, ale z jakiegoś powodu coś skierowało mnie tu razem z tym człowiekiem. Zrobię to dla tej małej, jeśli to ma jej pomóc. Pójde. - Chwyliła dłoń Roba. - Pójdiesz ze mną?

Rob kiwnął głową i odparł tylko:

- Pójde nas spakować.

- A oni? - Eddie kiwnął głową na dwóch wielkich chłopców. - Co z nimi? Nie mogą tu zostać. Zostaniesz tu sama.

- Eddie, skarbie. Myślisz, że się ich boję? Daj spokój.

Rose mrugnęła do niego okiem.

- Tu broń nie działa, a poza tym wyglądają jak spłoszona zwierzyna. Nie mieliby siły złapać muchy, a co dopiero brać się za krzywdzenie staruszki. Prawda chłopcy?

Anders z Lucasem spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami.

Prawda chłopcy? Pomyślała Rose. Prawda?

I z taką właśnie nadzieją odpalała papierosa.

III

PRÓBA

SIŁ

ROZDZIAŁ 47

Eddie pomógł zrobić prowizoryczne nosidełko dla Amy ze związanych swetrów Rose i założył je na plecy ciepło ubranej Katie. Teraz spała w nim Amy. Miała bladą twarz opartą o ramię swojej mamy, która obecnie nie odzywała się do nikogo. Gdy natrafiła wzrokiem na Samanthę, od razu zaczęła zaciskać usta, a Stephen dobrze znał tą mimikę. Wszyscy byli ubrani ciepło oprócz Eddiego, który swoją kurtkę przekazał Samancie, tłumacząc jej przez dobre dwie minuty, że on ma specyfiki, które lepiej go ogrzeją. W końcu Samantha uległa, przez co wyglądała jak manekin w niezbyt dobrze dopasowanym ubraniu. Rob powiedział, że wygląda jak kangurzyca. Samantha odparła, że on wygląda jak jeleń. I to bez kurtki. Rob nie odpowiedział nic.

Między Stephenem a Katie trwała złowroga cisza, ale Stephen próbował dodawać otuchy innym, próbując (z lepszym lub gorszym skutkiem) zbagatelizować całą tę wyprawę.

„Skopiemy z Eddiem komuś tyłek i wracamy. W ostateczności skopię tyłek Eddiemu i wrócimy”. Żartował i dogryzał Eddiemu, próbując podnieść morale swojej nowej drużyny. Byle dojsć tam, gdzie mają dojsć i uzdrowić ich córkę. Był szczęśliwy, że nie będzie musiał iść sam, choć na to się nastawił. Nie chciał ich narażać, ale wiedział, że realnie szanse mają większe w grupie.

Byli spakowani, gotowi do drogi. Kiedy przeliczył dokładnie porcje jedzenia, wyszło mu, że mają go dokładnie na dwa dni. Jedenaście kanapek z tuńczykiem, trzy większe bidony z wodą (schowaną jak najgłębiej w plecaku, by nie zamarzła, a raczej, by nie stało się to za szybko), sześć batonów Twinky's, kilka pozostałych porcji ciasta, pudełko wczorajszych ciasteczek, kilka gotowych dań, z których po dolaniu wrzątku tworzą się magicznie makarony (wzięły mały czajnik elektryczny, chociaż wątpił, aby znaleźli po drodze

jakiegokolwiek działające gniazdko), dwie paczki suszonej wołowiny w plastrach i po krótkim namyśle, sześć jaj, schowanych w szczelnym opakowaniu. Nie mieli nic więcej (prócz alkoholu Eddiego). Pogrzebał w garażu i znalazł dwa namioty polowe. W planach nie uwzględniał korzystania z nich przy tej temperaturze, ale Bóg wie, gdzie mogą skończyć. Nawet jeśli w domach nie było nikogo, to w końcu do domów można wejść, prawda? Niekoniecznie w legalny sposób, ale w tej sytuacji nie mieli wyjścia.

Zapakował na szybko jeszcze kilka świec, dwie zapalniczki, scyzoryk, winchestera, sznurek. Nie wiedział, po co mu będzie to ostanie, ale na wszelki wypadek wziął.

Upchał to do dwóch starych plecaków Amy i jednej torby. Plecaki były ciężkie, torba mogła ważyć może kilogram. Akurat dla niego, Eddiego i Roba. Samantha i tak nie zdołałaby jeszcze nic dźwigać, nie wyzdrowiała całkiem, było to widać, gdy chodziła. Nie wiedział, jak przejdzie tyle kilometrów w tych warunkach, ale jakby miał liczyć to, czego nie wiedział, musiałby sobie palnąć w łeb.

Zapiął plecak (z Myszka Miki na frontowej kieszonce, ulubioną kreskówkową postacią Amy) i wręczył Eddiemu.

- No to hop! Komu w drogę, temu czas, Minnie - powiedział Eddie i wziął plecak. Wyglądał z nim jak uczeń, który kiblował w pierwszej klasie podstawówki przez dwadzieścia lat.

Następnie podszedł do Roba z torbą, którą ten wziął od razu na ramię.

- Sam, ty przede wszystkim uważaj na siebie. Na pewno dasz radę iść?

- Jasne, szefie - odparła Sam. - W końcu jestem z farmy ojca, Harv Missisipi. Nie takie rzeczy dźwigałam od małego.

- To prawda, szefie - wtrącił Anders, jedzący jogurt w przedpokoju. - Nie takie rzeczy dźwigała. - Zaśmiał się do Lucasa, a ten mu zawtórował.

Rob wystąpił naprzód i wyprężył się, ale Anders, nawet siedząc, był od niego wyższy.

- Lukie, ratuj. Jakaś mucha mnie atakuje.

Lucas zarechotał głośno i obaj zatoczyli się ze śmiechu.

- Jakiś problem? - zapytał Eddie, który teraz stał między Robem a Andersem.

- Owszem. - Anders wstał, odkładając jogurt. Sięgał do połowy głowy Eda, był jednak lepiej zbudowany. - Ten chłoptaş nie wie, w kim się zabujal.

- Ja też nie wiem. Wiem za to, kolego, że nie jesteście u siebie. Dlatego będziecie grzeczni, rozumiano?

Anders pokręcił głową w lewo i w prawo, jakby rozgrzewał kark, na co Lucas wstał. Jego brat jednak dał mu znak dłonią.

- Jasne, szefuńciu, rozumiano. Ty tu rządzisz.

- Właśnie, ja tu rządę. Dlatego do głowy przyszedł mi świetny pomysł. Jeden z was pójdzie z nami jako zabezpieczenie.

- Żartujesz, prawda?

- Nie - odparł Eddie.

- W takim razie mamy problem, bo nigdzie się stąd nie ruszam - odparł Anders. - Chcecie umrzeć, śmiało, w drogę. Mi życie miłe.

- Jeden z was pójdzie albo obaj wylądujecie na zewnątrz, a ja zostanę i dopilnuję, żeby żaden z was tu nie wrócił.

Zapadła cisza, a za Eddiem pojawił się Stephen z podwiniętymi rękawami, gotowy do skoku.

Bracia trawili to, co powiedział Eddie.

- Spokojnie, nie musicie decydować. Pomogę wam. Ja pójdę.

Odwrócili się i spojrzeli na Tony'ego, który zakładał płaszcz.

- Tu się zanudzę na śmierć. Zakładam, że nie macie scrabble, więc nic mnie tu nie trzyma. Poza tym skończyły się papierosy. Nie wytrzymam tu z tymi przygłupami. Ja będę waszą polisą. Tylko mnie nie kujcie w kajdanki i tak jest was więcej.

Eddie spojrzal to na Andersa, to na Tony'ego i wzruszył ramionami.

- Zgoda, jak dla mnie pasuje - powiedział, po czym wrócił się ubierać.

W domu panowała cisza, Rose czekała przy drzwiach. Szelest kurtek i zapinanych zamków uzmysławiał jej, że ci, którzy jej zostali, odejdą walczyć z czymś, o czym nie mają pojęcia.

Po chwili stali, gotowi o drogi.

Drzwi otworzył Eddie. Kucnął i pożegnał się z Rose.

- Zajmę się nimi - powiedział.

- Lepiej, żeby tak było, albo skopię ci tyłek.

Uścisnął ją i wyszedł na zewnątrz. Poczwała chłód na policzkach. Siarczasty, chłodny, bezlitosny.

- No cóż, mamuśka, do zobaczenia. Zrób jakieś dobre ciasto na nasz powrót. Nie jeździj za szybko. - Tony zsalutował jej i wyszedł, a Eddie posłał mu karcące spojrzenie.

- Dziękujemy za wszystko, Rose. Do zobaczenia - powiedziała Sam, a Rose wyciągnęła do niej rękę, którą uścisnęła. Dłoń Samantha była ciepła. Sięgnęła do jej twarzy i przysunęła blisko swojej. Jej oczy, ciemne, były przestraszone, ale zdeterminowane. Jeszcze się nie poddały. To dobrze.

- Uważaj na tego młodzieńca, wracajcie szybko - powiedziała Rose. Uścisnęła dłoń Sam.

- Dobrze, postaramy się.

Samantha wzięła za rękę Roba i dołączyli do Eddiego i Tony'ego.

W drzwiach stanęła Katie, lecz minęła chwila, nim popatrzyła na swoją matkę. W jej oczach Rose widziała rozpacz i gniew. Na jej plecach spoczywała śpiąca Amy.

- Nachyl się tu, córko. - Katie zrobiła to. - Miej wiarę. Wszystko będzie dobrze.

Przesunęła dłońmi po policzkach Katie. Znała je doskonale. Teraz były delikatnie nadszarpnięte przez czas.

- Musicie trzymać się razem. Jestem tu i czekam na was. Wróćcie z moją wnuczką, całą i zdrową.

Katie pokiwała głową, a Rose rękami przybliżyła ją do siebie i uściskała. Powstrzymała łzy. Jeszcze mogła. Katie wyszła, osłaniając

swoje dziecko ciałem. Mała miała czapkę i szal, który zasłaniał jej całą głowę.

Stephen jako ostatni podszedł do swojej przybranej matki.

- Steve, pamiętaj co ci mówiłam. Tylko ty masz tu głowę na karku. Ty jesteś głową tej rodziny. Co by się nie działo, zachowaj zimną krew. Obiecuj mi to.

Stephen nachylił się do niej, ale spuścił głowę, jakby chciał oprzeć się o jej nogi, których nie czuła.

- Nie wiem, czy mam jeszcze siłę, mam - odparł, a w jego głosie wyczuła zwątpienie.

- Steve, dziecko - powiedziała i ujęła jego twarz w swoje dłonie, które pachniały tytoniem i mydłem migdałowym - masz przyprowadzić ich z powrotem, za wszelką cenę. Obiecuj.

Steve pokiwał wolno głową.

- Obiecuję.

- A teraz idź.

I poszedł. Zamknął drzwi. Została sama, nie licząc Andersa i Lucasa. Teraz mogła zrobić to, co powstrzymywała tyle czasu.

Zapłakała.

ROZDZIAŁ 48

- Mogę jeszcze zmienić zdanie?

Tony próbował przekrzyczeć wiatr, kiedy stali na chodniku, rozglądając się wokoło. Śnieżyca przybrała na sile, jakby chciała ich rozerwać na strzępy. Eddie pomyślał, że tak musi się czuć mucha lecąca pod wiatr.

- Nie sądzę - odpowiedział Stephen i wskazał na dom, z którego dopiero co wyszli.

Wszyscy spojrzeli zgodnie w tę stronę i po chwili zrozumieli, co miał na myśli Stephen.

Przed domem Rose, na ganku, z którego przed chwilą zeszli, siedziała jakaś postać, która mogła być chłopcem w kapturze.

- A tego skąd przywiało? - odkrzyknął Eddie.
- Nie wiem, ale coś tu nie gra - odpowiedział Stephen.
- Serio coś tu nie gra? Bez jaj.

Stephen rozejrzał się ponownie.

- Musimy iść tam, wzdłuż ulicy, potem najlepiej będzie przebić się przez farmę McKinleya. Tam będziemy mogli odpocząć. Następnie pójdziemy górą, przez las.

- Gdzie dokładnie znajduje się ten kościół? - zapytała Samantha, wtulona w Roba.

Wszyscy musieli mrużyć oczy przed śniegiem. Wyglądali, jakby ktoś zbudził ich w środku nocy i świecił latarką po oczach.

- Na szczycie góry, w tym kierunku. - Stephen znowu wskazał palcem, tym razem wyżej. - To najkrótsza droga.

- W drogę, nim odmarzną mi jaja - krzyknął Eddie. - Steve, prowadź.

Stephen kiwnął głową i ruszył pierwszy, torując im drogę przez zamieć.

Ruszyli, jeden za drugim. Prowadził Steve, za nim szedł Tony. Następnie Katie z wciąż śpiącą Amy na plecach. Za nią Samantha i Rob. Grupę zamykał Eddie.

Mijali pobliskie domy. Przed każdym z nich była niemal identyczna postać chłopca jak przed domem Rose. Niektórzy siedzieli, inni stali nieruchomo. Wszyscy w czarnych szatach z kapturem. Nie mogli dojrzeć ich twarzy, ale też nie próbowali specjalnie.

Szli wolno, przebijając się przez zasy. Głowy mieli pochylone, by jakkolwiek chronić się przed mroźnym, bezlitosnym wiatrem.

Nagle Stephen zatrzymał się i spojrzał na dom po lewej stronie.

- Co jest? - zapytał Tony i również spojrzał w tamtym kierunku.
- Cholera.
- Co?
- Przyjrzyj się mu dokładnie.

Tony spojrzał na postać w kapturze, która przyglądała im się w ten sam sposób. Stała parę metrów od nich. Teraz zrozumiał,

dlaczego nie mogli jej dokładnie zobaczyć.

- Kurwa. To coś nie ma twarzy.

- Nie tylko o to chodzi - powiedział Stephen.

Tony ponownie spojrzął na postać. Jeśli nie tylko o to chodzi, to do cholery, o co jeszcze może chodzić, pomyślał. I wtem zrozumiał. To tu nie grało. Nie grało jak cholera.

Całe miasto było zasypane śniegiem i sami wyglądali jak młode niedźwiedzie polarne w białych futrach. Na postaciach, które się im przyglądały, nie było ani płątka śniegu. Były idealnie czarne.

Jak węgiel leżący na białym puchu.

ROZDZIAŁ 49

- Rosie.

Głos był cichy, delikatny, wręcz kojący. Czuła, jak szept dochodzi powoli do jej ucha. Chciała otworzyć oczy, lecz nie mogła.

- Rosie.

Ponowne szepnięcie, tym razem odrobinę głośniejsze.

- Kim jesteś?

Nie mogła się ruszyć, czuła, że nie oddycha. Odpowiedziała w myślach i usłyszała się wyraźnie.

- Nie kim, moja Rosie. Zadajesz złe pytania.

- Gdzie jestem?

Czekała na odpowiedź, czując, jak jej ciało dryfuje pośród morza czarnej pustki. Głos mężczyzny przepelniony był fałszywą troską, znała ten głos. Nie wiedziała, jak długo tu już jest. Czuła, jakby to była sekunda a zarazem wieczność. Pomyślała, że tak muszą się czuć ludzie w kosmosie. Sami, opuszczeni, otoczeni tylko przez kompletną ciszę.

- To znowu złe pytanie - odpowiedział tajemniczy głos.

Rose skupiła się, gdy cisza trwała, po czym ponownie zapytała, wiedząc, że tym razem zadała właściwe pytanie.

- Czym jesteś?

Cisza. Słyszała w uszach dzwoniące echo swojego pytania. Kiedy myślała, że jednak ponownie zadała złe pytanie, nadeszła odpowiedź. Tym samym szeptem, teraz trochę rozbawionym.

- Moja mała Rosie, wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. Znasz mnie. Wszyscy mnie znają, pochodzą ze mnie i do mnie wracają. Wkrótce będziemy mieli szansę porozmawiać dłużej, Rosie. Moja mała Rosie. Czas i przestrzeń. Tylko to się tu liczy. Czas i przestrzeń.

- Jesteś śmiercią - odpowiedziała Rose.

- Jesteście tak prości. Na wszystko macie jedno określenie, czyż nie?

Rose nie rozumiała, choć pragnęła z całych sił pojąć, o czym to coś mówi. Czas i przestrzeń. Co to znaczy?

- Zostałaś wybrana, Rosie. Ty, która utraciłaś to, co miałaś najcenniejszego. A teraz słuchaj uważnie.

Rose słuchała. Z każdym wypowiedzianym słowem czuła, jakby wielki młot dusił ją od wewnątrz coraz mocniej. Nie potrafiła oddychać. Jeśli to coś mówiło prawdę, dlaczego dziewczynka, którą zobaczyła na ulicy, kłamała.

Dlaczego powiedziała jej, że będzie dobrze.

Obudziła się w swoim łóżku.

Wymacała szybko kredens przylegający do jej łóżka.

Wiedziała, co musi zrobić, nim będzie za późno.

ROZDZIAŁ 50

Nie wiedzieli, jak długo idą. Telefony przestały działać. Eddie uważał, że przez temperaturę, ale każdy (łącznie z nim) powątpiewał w ten powód. Opady nie były już tak intensywne, ale wiatr przybrał na sile. Byli jakieś pięć kilometrów od domu. Po czwartym kilometrze Katie odpuściła, przekazując Amy Stephenowi. Trzymała się jednak zaraz za nim, co chwilę sprawdzając puls córki. Był stabilny.

- Za moment powinniśmy być na farmie - krzyknął Stephen. - Tam odpoczniemy.

Nastroje były ponure i nawet Eddie nie próbował ich poprawić. Czuli, jak opadają z sił, mając za sobą dopiero jedną czwartą podróży.

- Ty, duży! - krzyknął Tony. - Jak się skończy już ta cała szopka i wyjedziemy żywi z tej popieprzonej dziury, mógłbyś pracować dla mnie. Zwolniłbym tych dwóch kretynów, dostałbyś ich całą kasę. Stworzylibyśmy zgrany zespół, wiesz? Praca łatwa i przyjemna.

- Dzięki, ale wolałbym już zbierać truskawki - powiedział Eddie, po czym dodał po chwili: - za darmo.

- Rozumiem, jesteś jeszcze wzburzony. Ale przemyśl to na spokojnie, jak już odzyskasz pełnię umysłu.

- Yhm - odparł Eddie, po czym upił łyk wody.

- Widzę coś - krzyknął Stephen.

Unieśli głowy i spojrzeli przed siebie. W oddali dostrzegli jakieś pomieszczenie, prawdopodobnie szopę, stojącą przy prowizorycznym płocie, złożonym naprędce z drutu i drewnianych belek.

- To chyba nasza farma - krzyknął Eddie.

Gdy doszli pod płot (choć trudno było to nazwać płotem) zorientowali się, że to nie szopę widzieli, a sporych rozmiarów stajnię. Od razu też Stephen zorientował się, że farma jest opuszczona. Śnieg przykrywał każdy centymetr otwartego terenu. Wokoło nie było lasów ani żywej duszy.

- Chyba czysto - powiedział Tony.

- Sprawdź dom, ja zerknę na tą stajnię.

- Niech będzie - powiedział Tony i zdjął plecak, który położył ostrożnie na ziemi.

- Eddie, popilnuj reszty.

- Okay, daj mi małą.

Stephen kiwnął głową i odwrócił się plecami do przyjaciela, który sprawnie ściągnął Amy z jego pleców.

- Chodź tu mała do wujka.

Katie położyła dłoń na czole Amy.

- Ma gorączkę.

- Tylko spokojnie, Katie. Wkrótce dojdziemy do kościoła.

Widział, jak zbladła w przeciągu sekundy, i nie dziwił się. Wiedział, że po pierwsze, nie wiedzieli, czy w ogóle gdziekolwiek dzisiaj dojdą, bo nic nie było pewne. Po drugie, dorosły człowiek miałby problem przeżyć w takich warunkach, będąc nieprzytomnym i z gorączką, a tu była mowa o dziesięcioletniej dziewczynce.

- Będzie dobrze, Katie. Spokojnie - powiedział Eddie, ale czuł, że te słowa uleciały jeszcze przed wypowiedzeniem.

Samantha podeszła bliżej i dotknęła ramienia Katie.

- Jesteśmy już niedaleko. Za chwilę odpoczniemy, mam lekarstwa w plecaku.

- Ty też ich potrzebujesz, Sam - wtrącił Rob.

- Nie bardziej niż ona - odrzekła Sam.

Katie chwyciła Amy za małą dłoń, opatuloną w różowe rękawiczki, które dostała na swoje dziesiąte urodziny.

- Czysto, chodźcie tu - krzyknął Stephen.

Podeszli i dostrzegli wyłamany zamek oraz kawałek pręta zatopionego w śniegu przy drzwiach.

Eddie podszedł do ogromnych, drewnianych drzwi i z całych sił szarpnął za uchwyt. Otworzyły się z trudem.

Stodoła okazała się być pusta i nienagannie czysta. Boksy dla zwierząt były wyczyszczone. Widły i łopaty stały w równych rzędach zaraz przy wejściu. Podłozę wyścielone było świeżą słomą. W rogu stały równie idealnie położone jedna na drugiej bele drewna, co bardzo ucieszyło Stephena. Podeszedł do nich i położył dłoń na jednej z nich.

- W miarę suche. Rozpalę tu ognisko.

- Tylko spokojnie, Steve. Jedna iskra na to świeże sianko i pójdziemy z dymem - powiedział Eddie.

Do stajni wszedł Tony i zamknął za sobą ciężkie, drewniane drzwi.

- Gdyby ktoś pytał, to u mnie w porządku.

- A dom? - zapytał Stephen, ściągając plecak, choć znał odpowiedź.

- Strzeżony przez takiego samego czarnego karła. Ja biorę łożę od krowy. Lubię wołowinę, wy możecie brać te od świń. - Przeszedł przez stajnie i padł na stos siana. - Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale w tej stajni jest lepiej niż w Sheratonie.

Tony popatrzył na wtuloną w Roba Samanthę, która patrzyła na niego.

- Co nie, Sammy? W kwestii spania w hotelach, to jednak masz większe doświadczenie.

Mrugnął do niej.

Katie obejrzała się przez ramię, patrząc na Sam, która nie odpowiedziała.

- Prezes, może pomóż rozłupać trochę to drewno - powiedział Eddie i rzucił siekierkę w stronę Tony'ego, który złapał ją bez problemu.

- Dobra, się robi. Coś czuję, że to będzie też najlepsze ognisko, na jakim byłem.

Dochodził zmierzch.

Już po dziesięciu minutach pierwsze małe płomyczki rodziły się, liżąc nieśmiało wyschnięte drewno. Zapach palonego drewna był kojący, pośród wszechobecnego chłodu dawał nadzieję.

Siedzieli wokół, czekając, aż ognisko zapłonie w pełni. Katie dygotała, obejmując wciąż rozpaloną Amy. Stephen usiadł obok i przytulił je obie. Rob również przytulił Sam, która wtuliła się w niego od razu.

Tony spojrzał na Eddiego.

- Nawet o tym nie myśl - odpowiedział od razu Eddie, patrząc na kielkujący coraz bardziej ogień.

Tony zmarszczył brwi.

- Nawet bym o tym nie pomyślał.

Tony miał najgorzej przystosowane obuwie z nich wszystkich. Czarne, niegdyś wypolerowane, eleganckie buty mogły być niezłe co najwyżej na spotkanie przy kawie, ale nie na wyprawę przez śnieg sięgający kolan. Ostrożnie rozwiązał cienkie sznurówki i ściągnął je,

po czym ustawił przed ogniskiem, to samo zrobił ze skarpetami, które nałożył na buty. Wyciągnął bosc stopy. To była chwila, kiedy cisza była im wszystkim potrzebna. Ten rodzaj ciszy, który nie gnębił, a napełniał siłą ducha. Wciąż żyli. Wciąż mieli szansę.

Eddie opróżnił jedną z butelek whisky i rzucił za siebie. Butelka opadła na siano z głuchym dudnieniem. Wstał i odpiął plecak, z którego wyciągnął zapasy. Dał im po plastrze suszonej wołowiny. Wziął każdy z wyjątkiem Katie, która tylko pokręciła głową w zamyśleniu. Eddie pomyślał, że ta pewnie nie zje nic, dopóki mała się nie zbudzi. Nie dziwił się, nie chciał też nalegać, choć wiedział, że nie zjadła nic od ponad doby, a mieli przed sobą jeszcze kawałek drogi. Pomyślał, że może Steve to załatwi. Pozostali wzięli od niego dary z nieskrywaną ochotą. Byli głodni, spragnieni ciepła oraz jedzenia. Gdy poczęstował każdego z osobna, sam usiadł z powrotem na swoje miejsce i zaczął się posilać.

- Eddie, zjedz moją porcję - powiedziała Sam, przerywając dłuższą ciszę. - Jest w plecaku. Potrzebujesz więcej niż ja, a do tego nosisz bagaże.

- Wykluczone, mała. Zresztą nie jestem nawet głodny.

Skłamał, a ona o tym wiedziała. Uśmiechnęła się.

- Masz jeszcze jakieś cygaro?

- Myślałem, że nie zapytasz.

Ponownie uśmiechnęła się, dała Robowi całusa i usiadła między Eddiem a Tonym.

Eddie sięgnął do kurtki i wyciągnął cygaro wraz z obcinaczką.

Samantha spojrzała na Roba, który teraz wpatrywał się w ognisko. Zmężniał, pomyślała.

- Tony - szepnęła Sam, nachylając się do niego. Uważała, by Rob nic nie zauważył. - Proszę, nie mów mu.

Spojrzała na Tony'ego tym razem inaczej niż ostatnimi czasy. Nie wyraziła się jasno, ale nie musiała. Jej błagalny wzrok mówił wszystko. Tylko że Tony nie patrzył na nią, choć wiedziała, że usłyszał.

- Zrobię, co zechcesz, ale proszę, nie mów mu nic.

Tony wpatrywał się w ognisko, które teraz przyjemnie trzaskało.

- Nie mówić o czym?

Samantha jeszcze raz spojrzała na Roba.

- O tym, kim byłam.

Odpowiedziała i poczuła ciężar. Ciężar swojego życia. Czowała się jak dziecko, próbujące odepchnąć od siebie ogromny głaz. Narodziła się na nowo, ale wiedziała, że nie zamaże już nigdy tego, co kiedyś zrobiła. Z początku myślała, że to mała dziewczynka z ulicy ją zmieniła. Pokazała światło. Zatarła rany. Lecz to nie ona, a chłopak kochający filmy fantasy uzmysłowił jej, kim naprawdę zawsze chciała być.

Tony uśmiechnął się tylko.

- Wiesz, że przyjechałem tu, żeby cię zabić? Jak na ironię, Sammy, czuję, że to ty zabijesz mnie. A jeśli nie ty, to na pewno ktoś albo coś innego.

- Ja cię zabiję, jeśli się nie przymkniesz - wtrącił Eddie i skarcił wzrokiem Tony'ego. Imię Sam i słowo zabić nie pasowało Eddiemu za bardzo. Tony widział, jak ta dwójka zżyła się ze sobą.

Eddie odpalił zapałkę i przypalił cygaro Samancie, która natychmiast się zakrztusiła.

Ten kaszel był przyjemny.

Palili na zmianę.

- Jak za studenckich czasów - zadumał się Eddie.

- Nigdy nie podjęłam studiów - odrzekła Samantha, zakładając ręce za kolana. Eddie wiedział, dlaczego chłopak się w niej zakochał. Z jej czarnymi włosami i dużymi, zielonymi oczyma była piękna.

- Ja też - powiedział Eddie.

Wybuchnęli śmiechem. Śmiech był jeszcze przyjemniejszy niż kaszel i Eddie pomyślał, że ciekawa jest natura ludzka. Zmierzali nie wiadomo dokąd, w jakiś sposób zawieszeni w czasie, odcięci od cywilizacji, pomiędzy koszmarami a jawą, wciąż jednak potrafili śmiać się z głupich rzeczy.

- Mamo?

Śmiech ucichł, wszyscy skupili wzrok na Amy, która miała otwarte oczy.

- Amy? - Katie ocknęła się, jakby ktoś jej wymierzył policzek. - Amy, kochanie, jak się czujesz?

Katie zaczęła tulić do siebie córkę. Pocałowała ją w czoło. Stephen robił to samo.

- Jestem słaba - odparła Amy, ledwo słyszalnym głosem.

- Wiem, kochanie, masz gorączkę, ale już dobrze, dostałaś leki, poczujesz się lepiej - zapewniała Katie. - Wracamy do domu.

Na policzkach Katie błyszczały łzy szczęścia.

- Wracamy do domu, kochanie - powtórzyła.

- Nie możemy. Nie możemy wrócić, mamo. On nie pozwala.

I ujrzałem:

Oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć,

I Otchłań mu towarzyszyła.

I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi,

By zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta.

John, 6-8

ROZDZIAŁ 51

Anders odsłonił frankę, chociaż zrobił to niechętnie. Ciekawość pokonała strach. Gdyby powiedzenie: „Ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła” było prawdziwe, to wkrótce powinni ujrzeć diabła we własnej osobie.

Nie wiedział, która jest godzina. Na jego oko świeczki zapalali jakieś dwie godziny temu, a więc mogła być dwudziesta, może kwadrans po. Dobra wiadomość, o ile można ją było nazwać dobrą, była taka, że przestał padać śnieg. Nie tak dobrą jednak wiadomością było to, że czarne postacie nadal zauważalne były na jego białym tle. Więc tak wyglądają wysłannicy szatana, pomyślał.

- Czuję się tu jak w jakiejś cholernej jaskini. Brakuje nam tylko jeszcze odcięcia dostępu do wody. Sprawdziłeś, co ze starą? - zapytał Lukas, czyszcząc na małym stoliku broń. Odgłos składania i rozkładania rewolweru, teraz całkiem bezużytecznego, był jedynym dźwiękiem, jaki można było usłyszeć. Lucas mógłby przysiąc, że gdyby nie ten dźwięk, słyszałby palony wosk świec.

- A co ja niania? - odparł Anders, wciąż patrząc przez małą szparę między zasłonami, niczym nastolatek podglądający sąsiadkę. - Cały czas śpi w tym swoim pokoiku - dodał.

- Chyba słyszałem, jak wstawiała.

- Więc żyje - odpowiedział Anders, ostatni raz zerkając na pustą ulicę.

- Myślisz, że oni też żyją?

Anders zasłonił z powrotem okno i rozsiadł się na kanapie. Wyciągnął koszulę ze spodni. Była pomięta i brudna. Pomyślał, by ją wyprać, ale pralka nie działała. Ręczne pranie też odpadało, było już zbyt zimno w domu, więc nie miał pewności, ile by schła, a nie chciał paradować półnago w domu przed bratem i nawiedzoną kobietą.

- A skąd ja to mam, kurwa, wiedzieć - odparł i zamknął oczy. -
Zaczynam popadać w paranoję.

- Wyczyść broń. Pomaga mi to nie myśleć.

- Tobie pomaga nie myśleć nawet łupienie skorupki z jajka.

Anders otworzył oczy, wstał i ponownie podszedł do okna.

Usłyszeli dźwięk uchylanych drzwi na górze. Coś skrzypnęło.
Popatrzyli na siebie.

Świece wokół nich zatańczyły delikatnie, jakby ktoś niesfornie próbował je zdmuchnąć. Stuknięcie na górze schodów. Odruchowo spojrzeli w górę na sufit i na siebie.

- Idź jej pomóc - powiedział Lucas.

Anders podszedł do schodów i spojrział w górę, próbując coś zobaczyć, jednak nie widział nic prócz ciemności. Zdawało mu się, że widzi staruszkę, ale widział tylko jej połyskujące oczy na szczycie schodów. Jakby widział ślepią kota. Odezwała się w końcu, ale jej głos był inny, oschły. Niemal rozkazujący.

- Nie wpuszczajcie nikogo. Pod żadnym pozorem.

Anders chwycił się poręczy schodów, chcąc wejść po nich, jednak zrezygnował. Nie wiedział, czy ma tam wejść, czy staruszka zjedzie do nich. Inną sprawą było to, że nie bardzo miał ochotę, by do niej teraz dołączyć. Zastanawiał się, dlaczego stara nie zapali również tam świec.

- Jasna sprawa, pani Rose. Potrzebuje pani czegoś?

Nie odpowiedziała. Błyszczące oczy zniknęły, kiedy skierowała wózek z powrotem do sypialni. Zamknęła drzwi.

Anders wrócił na kanapę.

- Coraz dziwniejsza jest - stwierdził Lucas, odkładając na stolik wypolerowany pistolet.

- Taki wiek. Pamiętasz naszą sąsiadkę? Starą Vicky Weiss? Im starsza, tym bardziej upierdliwa się stawała.

- Chyba mylisz fakty - zauważył Lucas. - Upierdliwa stała się po tym, jak złamałeś nos jej synowi za to, że źle zaparkował samochód.

- Kretyn stawał na dwóch miejscach. Ostrzegalem go nieraz.

- Miał raka.

- To znaczy, że mógł źle parkować?

Anders spojrzał na brata i obaj wybuchnęli śmiechem.

- Co prawda, to prawda - odpowiedział w końcu Lucas. Idę po coś do żarcia, chcesz?

- Pewnie.

Lucas wstał i gdy już miał iść do kuchni, zobaczył coś w szybie. Jakiś ruch. Podeszedł bliżej okna i odchylił zasłony.

Wzdłuż ulicy szły dwie osoby, prawie biegły. Jedna wyższa, druga niższa, prawdopodobnie dziecko. Wyższa trzymała niższą za rękę.

- Myślę, że powinieneś to zobaczyć.

Anders wstał z trudem i podeszedł. Wpatrywali się razem.

Dwie postacie kierowały się w stronę ich domu.

- Kurwa, co tam się dzieje? - rzucił Anders.

- Zasłoń okno. Już! - powiedział Lucas i szybko zaciągnął zasłony, po czym podbiegł do stolika i zdmuchnął świecę. - Siadaj. Stara powiedziała, że nie możemy otwierać nikomu.

- Oni mogą potrzebować pomocy - odrzekł Anders.

- Mam to w dupie. Sami jej potrzebujemy. Poza tym skąd wiesz, kto to jest?

Anders wykonał polecenie, nie próbując dalej przekonywać brata, który miał silne argumenty.

Siedzieli w ciemnościach obok siebie, słysząc tylko swoje oddechy.

Łup. Coś uderzyło w drzwi. Spojrzeli na siebie niepewnie.

Łup. Znowu ten sam głuchy dźwięk.

Łup, łup, łup. Ktoś z całej siły uderzał dłonią w drzwi.

- Pomocy!

To był damski głos. Młody. I przeraźliwie wystraszony.

- Pomocy, jest tu ktoś?!

Anders obrócił głowę w stronę drzwi, ale Lucas położył mu dłoń na ramieniu, drugą kierując w stronę ust, dając znak, by był cicho.

- Błagam, pomóżcie nam! Widzieliśmy światło w tym domu.

Głos był tłumiony przez drewniane drzwi i wiatr.

Kobieta szarpnęła za klamkę gwałtownie. Anders wstał, wyrrywając się z uścisku brata i podszedł do drzwi.

Uchylił je na szerokość zamka. Przeciąg wpuścił do środka trochę śniegu i mroźnego powietrza.

Zobaczył kobietę, na oko trzydziestoletnią, z młodym chłopcem.

- Dzięki Bogu! Myślałam, że to miasteczko jest kompletnie opuszczone.

Kobieta patrzyła na niego spod kaptura, prawie całkiem zasłaniającego jej twarz. Była ładna mimo paniki malującej się na jej twarzy. Miała zarumienione policzki i czerwony nos. Musieli długo uciekać. Jej syn spoglądał nerwowo za siebie. Był całkiem podobny do niej.

- Kim jesteście? - zapytał Anders.

- Uciekliśmy. Frankie i ja jesteśmy z Ohio i nagle, nagle... nagle znaleźliśmy się tutaj. Proszę, błagam, wpuść nas.

Była roztrzęsiona. Mówiła szybko i niezrozumiale. Anders spojrzał za nią. Nie widział postaci, która przez cały czas siedziała na schodach. Dlaczego teraz jej nie było? Coś tu nie grało.

- Nie możemy was wpuścić. Mamy zbyt mało jedzenia, wokoło jest pełno domów, na pewno tam możecie się zatrzymać.

- Nie! Proszę, nie.

Kobieta włożyła nogę w szczelinę między drzwi, blokując tym samym ich zamknięcie.

- Nie zostawiajcie nas! Nie możemy tam iść, tam są oni, ci... ci... ci chłopcy w kapturach. Proszę!

Oczy kobiety były zaszklone i jeszcze bardziej spanikowane. Anders kiwnął głową.

- Dobrze. Wejdźcie, szybko.

Kobieta cofnęła nogę i chwycił za metalową zasuwkę na drzwiach, po czym znieruchomiał. Spojrzał na brata, który tylko patrzył na niego.

Przesunął zasuwę, drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Kobieta z dzieckiem wpadła do środka i zamknęła szybko drzwi po czym rzuciła się w ramiona Andersa, szlochając. Anders patrzył zdezorientowany na Lucasa, który również w ten sposób patrzył na niego.

Nie byli pewni, czy zrobili dobrze.

- Uratowałeś nas - powiedziała. - Uratowałeś mnie i mojego syna, dziękuję.

- Skąd się tu wzięliście? - powtórzył Lucas ostrzejszym tonem. - Nie widzieliśmy tu żywej duszy od paru dobrych dni. Ledwo przetrwaliśmy my, trzech dorosłych facetów za dnia. Jak przeżyła kobieta z bachorem?

- Nazywa się Frank! - krzyknęła urażona kobieta, jakby odpowiedziała na najważniejszą część pytania.

- Ciszej - skarcił ją Anders. - Ona nie może wiedzieć, że tu jesteście. Przynajmniej na razie - dodał i otworzył zapalniczkę, po czym kilka świec ponownie rozświetliło niemrawo salonik.

- Jest tu ktoś jeszcze? - zapytała kobieta, nerwowo patrząc to na Andersa, to na Lukasa.

- Na razie to my tu zadajemy pytania - odpowiedział Anders i nakazał jej palcem usiąść w salonie.

- Dlaczego nie włączycie światła? - zapytała, ściągając małemu Frankowi kurtkę.

- A jak myślisz? Nie ma prądu. A teraz odpowiedz na pytania. Skąd się tu wzięliście?

- Już mówiłam, nie wiem. Nazywam się Aida. Pochodzę z wysp.

- Wysp? - zapytał Anders.

- Tak. Z Wielkiej Brytanii.

- To nie jest wyspa.

Aida popatrzyła na Lucasa, który potarł czoło dłonią i ruchem głowy nakazał jej mówić dalej.

- Wieczorem położyłam Frankiego do łóżka, opowiedziałam mu bajkę, po czym zasnął. Wrzuciłam pokarm dla Ozzy'ego, naszego

małego pieska, i poszłam zmyć resztę naczyń po kolacji, bo bardzo nie lubię zalegających brudnych naczyń, rozumiecie?

Spojrzała na nich z uśmiechem. Nie rozumieli.

- W każdym razie, gdy skończyłam myć, umyłam jeszcze blat i poczułam zmęczenie. Pora była wczesna, bo dopiero za kwadrans dziewiąta, choć w okresie zimowym zawsze czuję zmęczenie szybciej. Czekałam na męża, spóźnił się, ale nie wiedziałam ile. Stały w domu chyba wszystkie zegary, łącznie z moim ściennym, który dostałam w spadku po rodzicach. Nie zepsuł się od wieków!

Anders spojrzał na Lucasa, który odruchowo również spojrzał na zegar ścienny. Wciąż równie martwy jak pozostałe. Zastanawiali się, czy oni, dziwna kobieta z jej synem i stara nie byli już ostatnimi, którzy żyli na tej planecie. Choć co do starej już mogli mieć wątpliwości.

- Postanowiłam wziąć długi, gorący prysznic. Dzisiaj są urodziny mojego męża, Henry'ego. O ile nadal mamy dwudziestego drugiego grudnia?

- Dzisiaj mamy Wigilię - poprawił Anders.

- Wigilię? - zapytała Aida, jakby oznajmił jej, że święty Mikołaj to fikcja.

- Owszem.

- O Boże... to znaczy, że spędziliśmy tutaj dwa dni?

- Mów dalej - nakazał Lucas.

- No więc kiedy wyszłam spod prysznica, zobaczyłam coś dziwnego. Z początku myślałam, że to niespodzianka od Henry'ego.

Aida zmarszczyła brwi.

- Nie pamiętam tego tak dobrze, ale na lustrze napisane było palcem: „Spakuj siebie oraz syna. Wyjdźcie z domu. Mam dla was niespodziankę”. Byłam pewna, że to Henry robi nam psikusa, wiecie? Jest bardzo pomysłowy. Teraz wiem, jak głupia to była myśl, ale stwierdziłam, że może chce nas zabrać na lotnisko i polecimy do ciepłych krajów? Od zawsze o tym marzyłam. Coś mi jednak nie

pasowało, ale wiecie, jak jest, kiedy starasz się wyprzeć wątpliwości, jeśli czegoś pragniesz.

Spojrzała na nich. Nie wiedzieli.

- To znaczy? - zapytał Anders.

- No więc chodzi o słowo „syna”. Henry nigdy nie mówił tak na Franka. Ten mały jest jego oczkiem w głowie i nawet w gniewie mówił do niego: „Frankie”. Ale zbagatelizowałam to. Pomyślałam, że pewnie śpieszył się, abym go nie zobaczyła. Wyszłam z łazienki i popatrzyłam ukradkiem przed dom, ale nie dostrzegłam nic. Jak tak teraz myślę, była dopiero dziewiąta i w każdym mieszkaniu było już ciemno. Zbudziłam Frankiego, wzięłam kilka niezbędnych rzeczy do torebki - tusz do rzęs, puderniczkę, pilnik... Wiecie, to co teraz jest mi potrzebne jak rybie powietrze, i ubrani od stóp do głów, wyszliśmy z Frankiem na zewnątrz. Było cholernie ciemno i cholernie pusto.

Aida ze wstydem spojrzała na Franka, który już prawie na niej spał, jakby ten nie słyszał nigdy równie mocnego przekleństwa.

- Wybacz, synu - powiedziała bardziej dla formalności. - Staramy się nie używać wulgaryzmów przy dziecku, sami wiecie.

Zrobiła przerwę, patrzyli na nią.

- Skąd wy się wzięliście?

- Szwecja - odpowiedzieli razem.

Popatrzyła na nich ze zdziwieniem, którego też nie zrozumieli. Zmarszczyli groźnie brwi.

- No dobra, nieważne. Więc staliśmy przed domem. Naprzeciwko mamy przystanek autobusowy. Po lewej i prawej tylko domy, praktycznie tak jak tutaj. Oświetlała nas tylko nasza fotokomórka przed domem. I wtedy znikąd pojawił się ten... chłopiec. Mały chłopiec, wyglądał jak dziecko stolarza z lat sześćdziesiątych. Wiecie, taki mały kaszkiet, mała marynarka, koszula z muszką i lakierki. Był uroczy. Miał piegi na całej twarzy i szklane, piwne oczy. Przedstawił się nam, ale nie zapamiętałam jego imienia, mam bardzo słabą pamięć do takich rzeczy. Na pewno nie pochodził stąd. Ani z Wysp. Chyba Natan, ale nie jestem pewna. Po tym, jak się przedstawił, Ozzy

zaczął ujadać z za drzwi. Wściekle, jakby wyczuł listonosza. Wtedy to również zbagatelizowałam.

Chłopiec powiedział, że ktoś zorganizował nam wycieczkę i spytał, czy jesteśmy gotowi. Obiecał Frankiemu masę przygód. Wciąż byłam pewna, że to sprawka Henry'ego. Że zaraz przyjedzie po nas limuzyną albo w takiej śmiesznej furgonetce i weźmie nas gdzieś i że chłopak był wynajęty. Tylko znowu pomyślałam, że przecież ten dzieciak miał może dziesięć, jedenaście lat. A było już na pewno dobrze po dziewiątej. Wyparłam jednak i tę myśl.

- Chyba macie gościa - powiedział chłopak i wskazał palcem na przystanek. Tam siedział Henry. Uśmiechnięty. Wstał, gdy nas zobaczył, i zaczął do nas machać. „Tata”, krzyknął Frankie i pociągnął mnie za rękę. Moje wszelkie obawy zniknęły. To był mój Henry w całej okazałości.

Podeszliśmy do niego, przytulił mnie mocno. Był zmarznięty, pomyślałam, że bardzo długo musiał na nas czekać i w głębi ducha poczułam wyrzuty, że tak się gramoliłam. W końcu szykował dla nas niespodziankę. Dotknęłam jego policzków, były tak samo przemarznięte. Wciąż się uśmiechał, ale... Było w nim coś dziwnego, coś takiego... - Zamyśliła się. - Czy ja wiem? demonicznego? Zapytałam, jak długo na nas czekał, ale nie odpowiedział. Gapił się tylko przed siebie z tym swoim uśmiechem. Nie patrzył także w ogóle na Franka.

- Kochanie? - zapytałam. - Wszystko gra? Wybacz, że tak długo...

- Uciekajcie - przerwał mi.

Odebrałam to jako kiepski żart, ale zaczynało mi się to nie podobać. Jego głos był suchy.

- On was zabije.

- Słucham? - zapytałam. - Co to za żarty? Naprawdę nie mam nastroju. Czy ty... - przerwałam, nie rozumiałam, co robi.

- A co robił? - zapytał Anders, słuchając uważnie

- Zaczął się rozbierać. Rozebrał się do bielizny. Wciąż z tym samym uśmiechem na ustach.

Frankie się przeraził. Wtulił się we mnie i zamknął oczy, a ja byłam bezradna. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć i o co tu chodzi. Uśmiechał się i powtarzał, że ktoś nas zabije. Że jestem przeklęta. Zachowywał się, czy ja wiem... jak robot? Kukielka? Gdy rozebrał się do majtek, sięgnął po pasek do spodni. Założył na szyję. Chciałam coś zrobić, ale nie mogłam się ruszyć. Ozzie nadal ujadał, bez chwili przerwy. Zdołałam tylko sięgnąć do twarzy Franka i upewnić się, że ma zamknięte oczy. Wtedy Henry powiesił się na belce przystanku. Zapalił się też boczny szyld reklamowy, halogeny oświetliły nagle cały przystanek. Z ust Henry'ego pociekła strużka krwi.

Byłam przerażona. Obróciłam się w stronę domu, ale ten chłopiec... On zaczął tańczyć. Wiecie, jak kiedyś w teatrach, stukał lakierkami o podłogę. To się nazywa chyba stepowanie? Ten chłopak stepował co chwilę w przerwach powtarzając: „Uciekaj”. Ozzie ujadał, ale kiedy chłopak w powietrzu wykręcił dłoń, nagle zaskowytał i umilkł. Wtedy chwyciłam Frankiego i zaczęłam biec. Uciekaliśmy, szukając jakiegoś nadjeżdżającego auta, ale ulice były puste. W panice spojrzałam za siebie, chłopak teraz biegł za nami, śmiejąc się jeszcze głośniej i nadal powtarzał, że mamy uciekać. Wtedy przewróciłam się, straciłam równowagę i runęłam, uderzając głową o asfalt. Obudziłam się w innym miejscu i zobaczyłam nad sobą twarz Frankiego. Nie wiedziałam, gdzie jestem, więc szliśmy przed siebie w całkowitych ciemnościach. Do tego ten okropny śnieg. I te postacie w kapturach przed każdym domem. Nie odważyłam się wejść do któregośkolwiek. Byliśmy zmarznięci i przerażeni.

Aida dotknęła kurtki odruchowo, ale ta była już tylko mokra.

- Jeszcze jedno, cały czas zewsząd słyszeliśmy skowyt wilków. Wtedy dostrzeżliśmy wasz dom, a w nim jedyne tłące się światło domów okolicy. Pobiegliśmy co sił. Światło nagle zgasło, ale nie mieliśmy wyjścia. Tylko przy waszym domu nie było tej dziwnej postaci.

- Zniknęła przed waszym przybyciem - powiedział Anders. - Wcześniej również tu tkwiła.

- Czy możemy się położyć? Jesteśmy wyczerpani.

Objęła syna i spojrzała na nich błagalnie. Anders spojrzał na brata, który wzruszył ramionami.

- Jasne - powiedział. - Weźcie tę kanapę. Ale musimy być tu z wami, bo góra jest zajęta.

- Nie ma sprawy, nie przejmujcie się nami - odrzekła.

- Dajcie mi kurtki, rozwieszę je na krzesłach.

Gdy Aida ściągnęła kurtkę i czapkę, Anders znieruchomiał. Poczuł, jak serce bije mu szybciej w piersi.

Aida wyciągnęła do niego kurtkę i czapkę, lecz ten trzymał tylko wyciągniętą rękę.

- Co się stało? - zapytała przestraszona, widząc jego wyraz twarzy.

Lucas wrócił z kuchni, niosąc kawałek zimnego indyka, a zobaczywszy Aidę, tak samo zastygł w bezruchu.

- O co chodzi? - dopytywała.

Anders podszedł do niej, ale zamiast odebrać kurtkę, odsłonił bardzo delikatnie jej włosy z czoła, niemal bojąc się, że go oparzą, po czym cofnął rękę.

- Ja pierdolę.

Przeniósł wzrok na małego, który włosy miał rozczochrane. Aida przeniosła wzrok również na syna i szybko zasłoniła dłonią usta, by nie wydobyć z nich krzyku.

Łup.

Coś uderzyło w drzwi prawie tak samo, jak niedawno zrobiła to ona.

Spojrzeli na siebie. Cisza.

Łup.

Aida dotknęła dłonią czoła. Delikatnie przejechała dwoma palcami od lewej do prawej strony, czując nierówności pod palcami.

- O mój Boże! - jęknęła. Tego tu nie było, przysięgam!

Łup. Łup. Łup. Coraz szybciej.

- Macie coś, co mi uciekło, chłopaki.

Głos zza drzwi był cichy, ale w tej ciszy wyraźny, jakby ktoś mówił do nich z bliska.

Na czole Aidy i jej syna tkwiła teraz świeżo wyryta rana, przedstawiająca taki sam znak, jaki tkwił na drzwiach wszystkich mieszkańców miasteczka. Przypominał jakby klucz od drzwi.

Strużka krwi pociekła na nos Aidy, spływając dalej na usta, przy których wymieszała się ze łzami.

ROZDZIAŁ 52

- Dlaczego nie możemy wrócić, Amy? Jaki chłopiec? - zapytał Stephen, trzymając córkę za dłoń.

Ognisko oświetlało ich zmęczone twarze, nie wyglądali jednak w połowie tak słabo jak Amy, która starała się mieć otwarte oczy.

- Tato, śniło mi się, że... śniło mi się, że widziałam babcię. Ona była... była przestraszona, gdy mnie zobaczyła. Ja, ja nie chciałam.

Amy znowu zamknęła oczy, po chwili otwierając je do połowy.

- Babci nic nie jest, słonko. Wszystko jest dobrze. Na pewno jej nie przestraszyłaś - powiedziała Katie. Nie miała pojęcia, czy mówi prawdę, ale to się teraz nie liczyło.

- Czy jest tu ...Sammy? - zapytała Amy, a Sammy uniosła głowę.

- Samantha? - dopytała córkę Kate, jakby nie dosłyszała.

- Czy może mi pokazać jeszcze raz tę sztuczkę?

Katie patrzyła na Amy, nie wiedząc o co chodzi. Spojrzała niechętnie na Samanthę, która podniosła się i podeszła do Amy.

- Mogę? - zapytała Katie, która oddała jej córkę i poszła do Eddiego, zajmując miejsce Samanthy.

Sam ostrożnie usadowiła Amy na swoich nogach.

- Szedł królik nocą połą polaną i trafił na siano. - Sam złożyła jeden palec. - Gdzie jesteś mamo, och, gdzie jesteś mamo? - Sam złożyła palce w pytającym geście.

- Zamknij oczy, zaśnij już, będę obok rano. - Sam złożyła dłonie w kształt serca. - Jestem obok ciebie, wszelkie koszmary ustaną. -

Teraz Amy złożyła ręce w geście modlitwy.

- Coraz bliżej świt, kochanie, coraz bliżej świt. A teraz śpij.

Sam ułożyła dłonie i podparła na rozgrzanych policzkach Amy, która się uśmiechała z zamkniętymi oczami.

- Lubię tę bajkę, Sammy.

- Ja też ją lubię, Amy. Mój tata często mi ją opowiadał przed snem.

- To musiał być dobry tata.

Głos Amy był co raz słabszy.

- Tak, był dobrym tatą. Prawie tak dobrym jak twój. Jak się czujesz? - zapytała Sam, tuląc do siebie małą.

- Czułam się lepiej, kiedy śniłam. Mogłam być, gdzie tylko chcę. - powiedziała Amy.

- Tak, sny są odjazdowe.

- Tak, są... są odjazdowe - powiedziała Amy, jakby nauczyła się nowego, fajnego słowa i uśmiechnęła się. - Jak... jak Robbie i Superman. Lubię wujka Roba.

- On też cię lubi. - Samantha spojrzała na Roba, który się uśmiechnął.

- Czy istnieje Superwoman? - zapytała Amy.

- Oczywiście, że jest. To partnerka Supermana - odrzekł Rob.

- Naprawdę? - Amy teraz szerzej otworzyła oczy. - Więc chcę... chcę być superbohaterką - postanowiła Amy.

- Więc jesteśmy parą - odrzekł Rob. - Teraz musisz wytrzymać tylko jeszcze trochę, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała Amy, ale ponownie zamknęła oczy. Znow zasłabła. Jak iskra, która wzniosła się szybko w powietrze, lecz po chwili przygasając, opadała na dół.

- Czy wujek Eddie może tu przyjść? Muszę mu coś powiedzieć.

- Idę! - krzyknął Eddie i podszedł do niej. - Już myślałem, że zapomniałaś o starym wujaszku.

- Wujku, widziałam ciocię Meggy. Śniłam o niej.

Eddie uśmiechnął się.

- Skarbie, przecież nigdy jej nie widziałaś.

- Widziałam ją. Jest piękna.

Eddie posmutniał, po tych słowach czuł się dokładnie jak ta iskra, która właśnie gasła.

- Tęskni za tobą.

Eddie otrząsnął się po chwili.

- Ja za nią też tęsknię. Tak samo jak za tobą. Jak wrócisz do zdrowia, wujek zabierze cię na sanki, ale tylko we dwójkę, bo mama będzie narzekać.

Posłał słaby uśmiech Katie, która patrzyła tylko w ognisko, tak jak Tony.

- Skarbie, dlaczego mamy nie wracać? - zapytał ponownie Steve.

Amy odwróciła głowę w jego kierunku.

- To jeszcze nie czas - odpowiedziała. - Chce mi się spać.

Na te słowa Katie wstała jak porażona prądem i podeszła szybko do córki.

- Amy, kochanie, nie śpij.

- Nie umiem, mamó. Może znowu przyśnią mi się odjazdowe rzeczy.

- Amy, poczekaj. - Katie usiadła i odebrała ją Samancie. - Poczekaj, kochanie, jeszcze chwilę wytrzymaj. Słyszysz?

Ale Amy nie słyszała. Jej głowa opadła z powrotem bezwładnie na ramię mamy.

- Amy, masz nie spać, obudź się, natychmiast! Amy!

Potrząsała córką jeszcze przez chwilę, dopóki Stephen jej nie uspokoił.

Amy spała. Jej oczy poruszały się pod powiekami.

Musiała śnić, pomyślała Samantha.

Ognisko trzasnęło kilka razy, wznosząc iskry w powietrze.

ROZDZIAŁ 53

Trzy kolejne stuknięcia, teraz cichsze, rozległy się w mieszkaniu, w którym uwięziona została piątka ludzi.

Gdy Anders zamierzał podnieść się z kanapy, poczuł na dłoni wilgotny dotyk. To Aida trzymała go swoją dłonią, ubrudzoną od krwi, próbując go zatrzymać. Spojrzał na nią.

- Proszę, nie. Nie idź tam.

- Zapytam, czego chce.

- Wiesz, czego chce - odparła. - Nas.

Puk, puk.

- Nie mam całego dnia, chłopcy. Otwórzcie mi, proszę. Zajmę wam tylko chwilę, obiecuję.

Anders wyrwał rękę z uchwytu kobiety. Czuł na niej krew. Nie lubił krwi, choć znał ją dobrze.

Podszedł ostrożnie do drzwi i chwycił za klamkę.

Dostrzegł, jak kobieta przesunęła się w stronę Lucasa. Siedziała zaraz przy nim, jak pies, który boi się burzy.

Słyszał szalejący na zewnątrz wiatr i zastanawiał się, czy ktoś z tych, którzy opuścili ten dom, jeszcze żyje.

Uchylił drzwi tak, jak zrobił to jeszcze przed momentem, tylko że teraz nie dostrzegł za nimi przestraszonej kobiety, a wysokiego mężczyznę ubranego w elegancki płaszcz. Z początku myślał, że to jego szef, był bardzo podobny. Te same siwe włosy, podobny ubiór, lecz na tym podobieństwa się kończyły.

- Kim jesteś? - zapytał Anders i przybrał najgroźniejszą pozę, na jaką było go stać w tym momencie.

Mężczyzna spojrzał na niego i uśmiechnął się serdecznie.

- Jestem tylko przejezdnym turystą w tym mieście, młody człowieku. Wybaczcie, że nękam was o tej porze, ale zdaje mi się, że w tym domu znajdują się dwie osoby, których poszukuję. Czy zechcesz mi wyjawić, czy znajdują się tutaj, w tym jakże uroczym domu?

- Powiedziałeś, że jesteś tu przejazdem? Czyli posiadasz sprawny samochód?

- A jakże! - odpowiedział mężczyzna. - Możesz go nawet zobaczyć przez szybę, zdaje mi się, szanowny panie. Spójrz!

Mężczyzna wskazał na ulicę, lecz z tego miejsca Anders nie mógł nic dostrzec.

- Poczekaj tu chwilę.

Anders poszedł na drugi koniec pokoju, ale już widział i nie mógł uwierzyć. Przez zasłonę wpadały delikatne snopy światła. Jedyne światła, jakie widział od kilku dni. Odchylił zasłonę.

Na ulicy zaparkowany był terenowy czarny jeep grand cherokee. Światło jego reflektorów oświetlało szeroki kąt całej ulicy, tworząc niewielkie cienie latarni i przydrożnych, niskich płotów.

W środku musi być ciepło, pomyślał, lecz to nie jedyna myśl, jaka wkradła się w jego umysł.

W samochodzie po stronie kierowcy ktoś siedział, zdaje się mężczyzna. Spojrzał w stronę salonu i zobaczył jeszcze bardziej przerażoną twarz kobiety. Jej syn już nie spał. Nie rozumiejąc nic, siedział cicho obok mamy.

Anders ponownie otworzył drzwi na szerokość metalowego zamka.

- Jak to możliwe, że działa ci auto? W tym pieprzonym miasteczku nic nie działa.

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę, jakby nie rozumiał, co ten do niego mówi.

- Jak już mówiłem, przejeżdżałem tędy, szukając mojej zguby, ale nie miałem żadnych problemów z samochodem. To nówka, dopiero co wyjechał z salonu, szanowny panie.

Anders myślał przez chwilę.

- Wejdzie pan? - zapytał.

- Och, dziękuję bardzo, ale nie mogę. Bardzo się spieszę i zależy mi na czasie. Tak więc, wracając do pytania, czy nie zgubiła się tu moja małżonka z synem? Jest późno i martwię się o nich.

- Chłopcy - powiedział zamyślony Anders.

- Zechce pan jaśniej? - zapytał mężczyzna i zrobił zdziwioną minę. Był zniecierpliwiony.

- Powiedziałeś „chłopcy, nie mam zbyt wiele czasu”. Skąd wiedziałeś, kto tu jest?

Mężczyzna skrzywił się, lecz po chwili ponownie uśmiechnął, jakby właśnie sobie przypomniał, że zapomniał kupić wody w sklepie.

- Och, no tak. Zauważyłem was tutaj, przez tę małą szybkę. Niewiele widać, ale takich rosyjskich facetów nie da się nie zauważyć, czyż nie? Skoro mamy to za sobą, czy odpowie pan wreszcie na moje pytanie?

Anders wyprostował się i już zamykał drzwi, odpowiadając, że nie ma tu nikogo, kiedy mężczyzna wsunął nogę między drzwi w identyczny sposób, w jaki zrobiła to Aida.

- A jeśli zaoferuję panom coś w zamian? Na przykład podwózkę? Nie wiem, czy chcecie gdzieś jechać, ale jadę na północ, w stronę Ohio. Mogę was zabrać stąd. Słyszałem, że opady mają się nasilić, a jeśli dobrze widzę, padła wam elektryka?

Coś w zamian, pomyślał Anders. Aida i jej syn.

- Dlaczego tak ci na nich zależy?

- Należą do mnie - odparł mężczyzna, jakby to była oczywista sprawa.

- Należą?

- Owszem. Obiecałem im niespodziankę, zamierzam dotrzymać słowa.

- I możesz nas stąd wywieźć? - dopytał Anders.

- Jasne, mój kierowca zawiezie was, gdzie zechcecie. A uwierzcie mi, potrafi dotrzeć w miejsca, o jakich nawet nie śniliście. Gdziekolwiek nie wyjedziecie, będzie wam tam cieplej niż tutaj. Poza tym - dodał - wydaje mi się, że nie jest tutaj zbyt bezpiecznie.

- A zatem stoi - rzekł Anders.

- Nie! - krzyknęła Aida. - Nie, błagam, on nas zabije! - Aida krzyczała spanikowana, chwyciła syna za ręce, ale Lucas skrępował ją w mgnieniu oka.

- Panowie, tylko zaznaczam jedno. Kiedy Aida opuści ten dom, nie będziecie mogli zmienić decyzji. Rozumiecie to, prawda? To noc interesów, szanowny panie. Noc interesów.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyprostował, trzymając wyciągniętą rękę.

Anders spojrzał za siebie na Aidę, która nie potrafiła wyrwać się z uścisku Lucasa. Szarpała się gwałtownie, łkając i powtarzając, że on ich zabije. Jej syn zaczął płakać, siedząc teraz na kanapie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą spał. Był zdezorientowany.

Anders zamknął drzwi i przesunął zamek, po czym ponownie je otworzył.

Uścisnął rękę tajemniczego mężczyzny.

- Wszystko, byle wyjechać z tej pieprzonej dziury.

Cofnął się do brata i pomógł mu skrępować kobietę.

- Wybacz, kochanie - powiedział Anders i skrępował jej rękę, po czym poprowadził do drzwi.

- On nas zabije, rozumiesz? Kim jesteś? Kim ty jesteś?!

Krzyczała głośno. Anders wymierzył jej policzek otwartą dłonią. Tą samą, na której widniała jej krew, teraz już zaschnięta. Uderzenie było na tyle słabe, że nie zemdląta, lecz na tyle mocne, że umilkła. Zatoczyła się na próg drzwi. Z jej wargi zaczęła się sączyć krew. Na jej czole nadal widniał dziwny, krwawy znak. Tak samo zaschnięty jak krew na jego dłoni.

- Frankie... - wydusiła. - Mój syn, Frankie, uciekaj.

Jej oczy były zamglone, straciła zdolność widzenia. Nie zauważyła, że mały był już obok niej.

- To dobra noc na interesy z właściwymi ludźmi - odrzekł mężczyzna. Stał prawie przy wejściu, ale nie postąpił naprzód. Anders, widząc to, wypchnął za próg mieszkania Aidę, następnie to samo zrobił z Frankiem.

Mężczyzna dotknął wymownie kapelusza, który lekko uchylił.

- Żegnam was. Spakujcie się i wejdźcie do auta. Do zobaczenia, szanowni państwo.

Objął Aidę ramieniem i sprowadził ostrożnie po schodach. Wciąż była w szoku i Anders był pewny, że zaraz się przewróci.

- Nie jedziesz z nami?

- Och, to zbyt piękna noc, a ja spędziłem w aucie za dużo czasu. Przejdziemy się i znajdziemy jakiś hotel po drodze. Mój kierowca wróci po nas.

Zbyt piękna noc, pomyślał Anders. Skoro tak, niewiele nocy musiał w życiu widzieć.

- Wątpię, byście znaleźli jakiś nocleg, ale jak tam chcesz - dodał, po czym rzucił do Lucasa: - Weź broń i kurtkę. Spadamy stąd.

Kolejny szczegół jednak umknął Andersowi. Szczegół, który może uratowałby im życie.

Ale wiecie, jak to jest, kiedy staracie się wyprzeć wątpliwości na rzecz swoich pragnień.

ROZDZIAŁ 54

Wsiedli do auta i faktycznie, dokładnie jak to wyobrażał sobie Anders, błogie ciepło rozgrzało mu od razu policzki. Wsiadł do przodu, z tyłu usiadł jego brat.

Poczuł się wspaniale. Wnętrze samochodu było zadbane, kierowca był niski, przysadzisty i równie zadbany. Nie spodobał się mu tylko zapach. Czuł zapach spalenizny.

- Coś tu śmierdzi, kolego - zauważył Lucas. - Jakimiś przypalonymi włosami czy coś.

- Och, wybaczcie. Pewnie znowu kuna albo inny zwierzak dostał się pod silnik. - Odrzekł mężczyzna i przełączył dźwignię automatycznej skrzyni na literkę D, która teraz była podświetlona jasnym, białym światłem.

- Spoko, mogłoby tu nawet śmierdzieć trupem, a i tak wolałbym tu zostać niż w tym przeklętym miasteczku choćby minutę dłużej. Jedźmy.

- Tak jest, panowie. Zapnijcie pasy.

Samochód ruszył bez najmniejszych problemów, co również zdziwiło Andersa. Jakby jechali po idealnie prostej nawierzchni, a nie półtora metrowych zaspach.

Gdy zawrócili po lewej stronie, chodnikiem (którego już w ogóle nie było widać) szedł mężczyzna z Aida i jej synem. Trzymał ją, obejmując w pasie. Mały powłóczył nogami za matką. Gdyby Anders nie znał sytuacji, pomyślałby, że rodzina wybrała się na spacer. Choć przyjemniejszy byłby teraz spacer po Antarktydzie, pomyślał. Gdy ich mijali, mężczyzna ponownie sięgnął do kapelusza i się uklonił.

Zostawili ich w tyle. We wstecznym lusterku trzy postacie znikają powoli za kurtyną śniegu.

- Gdzie oni pójdą? - zapytał Anders, rozkładając się w fotelu.

- Tylko diabeł wie - odparł kierowca.

- U nas mawia się: Bóg wie dokąd - zauważył Lucas.

- Bóg, diabeł. Kogóż to obchodzi, prawda? - odparł mężczyzna. - Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę w te brednie. To tylko puste powiedzonka.

Mężczyzna był spokojny i musiał być dobrym kierowcą, nie wpadł w najmniejszy poślizg ani razu.

Jechali powoli, ale pewnie, mijając przydrożne domy, które nadal wydawały się całkowicie opuszczone. Anders czuł się jak w łodzi podwodnej przy dnie oceanu, rozświetlającej ciemne, zimne, morskie głębiny. Tylko zamiast wody tu był śnieg, choć teraz nie padał.

- Ten facet - powiedział po chwili Anders. - Skąd pochodził? Miał dziwny akcent.

- Och, to prawda. To może się wam wydać ciekawe, ale pracuję u niego całe wieki i do dzisiaj nie wiem, skąd pochodzi. Jestem tylko kierowcą. Rzucam go tu i tam, zależnie od tego, gdzie ma ochotę się udać, a możecie mi wierzyć, różne ma zachcianki. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie się zjawi. Taki to z niego cwany lis.

- Cwany lis - powtórzył Anders.

- Och tak, to naprawdę trafne określenie. Lisy to wspaniałe zwierzęta, czyż nie?

- Jasne, chociaż teraz mam to w dupie, za przeproszeniem - odparł Lucas. - Idę w kimę, obudźcie mnie na miejscu.

- Gdzie nas jesteś w stanie podrzucić? - zapytał Anders. - Wystarczy poza miasto, na jakiś przystanek czy coś. Potem sobie już poradzimy. W tym mieście nie działa już nawet pralka, a co dopiero samochód. Działy się tu dziwne rzeczy, słowo daję.

- Doprawdy? - zapytał mężczyzna.

- Tak, to popieprzone. I tak pan nie uwierzysz w nic, co bym powiedział. Słuchaj, czy możemy zrobić coś z tym zapachem? Mdli mnie jak cholera.

- Jasne, wkrótce się zatrzymamy i zrobimy z tym porządek.

- Dzięki.

Anders zamknął oczy. Słyszał cichy dźwięk silnika. Czuł się dobrze, potrzebował drzemki.

Co chwilę na wpół otwierał oczy, sprawdzając, czy facet sam nie zasypia, ale wyglądał na obudzonego. Kiedy zamykał oczy po raz ostatni, widział, jak wjeżdżają do lasu, tą samą drogą, którą przyjechali. Już wszystko jest dobrze, pomyślał. Już wszystko dobrze. Byle uciec stąd jak najdalej. Poluzował pas i rozłożył się wygodniej. Otarł zmarznięty nos i poczuł krew. Otworzył oczy i zobaczył tę samą zaschniętą krew kobiety. Poślinił drugą rękę i przetaił dłoń. Krew znikła. Prawie. Za chwilę o niej zapomni. Na pewno tak się stanie. Już wszystko będzie dobrze. Zamknął oczy.

ROZDZIAŁ 55

Było upalne lato, mieli niecałe osiem lat. To był ten dzień, który dobrze pamiętał. Ojciec zabrał ich nad jezioro. Zapakowali przenośny grill, w teorii jednorazowy, ale kiedy ich ojciec nie pił, potrafił zająć się gospodarstwem. Była z nimi również ich mama. Jechali we czwórkę spędzić ten upalny dzień nad wodą.

To był dobry dzień. Zarzucili wędki, ich ojciec nauczył ich wszystkiego, od przygotowania przynęty po odpowiednie ciągnięcie

linki, gdy ta chwyciła.

- Najpierw powoli, pozwolisz, by ryba pobawiła się swoją zdobyczą. Ryba skubie ją delikatnie. Ty czekasz. Ryba nie wie, że wpadła w pułapkę, Anders, ale ty wiesz. Czekasz tylko na odpowiedni moment.

Anders patrzył na tatę i napełniała go duma. Nigdy wcześniej ojciec niczego go nie uczył z taką powagą.

- Tato, już? Kiedy w końcu złapie? - Anders dopypywał z ciekawością, pocierając ręce wilgotne od kremu do opalania.

- Cierpliwości - odpowiedział ojciec. - Cierpliwości, synu.

Więc czekali. Ich matka opalała się w pełnym słońcu bez żadnych kremów, czytając podrzędne brukowce i co chwilę na głos komentując jakieś plotki.

Lucas udawał obojętnego, ale z równie wielką fascynacją czekał, aż ryba złapie przynętę.

Po niecałej godzinie, kiedy ich tata już rozpałił mały grill, używając jak zawsze kawałków drewna pozbieranych z okolicznych polan, Anders dostrzegł to pierwszy. Linka delikatnie się poruszyła. Z początku nie wiedział, czy to nie podmuch wiatru, ale kolejne szarpnięcie rozwiało jego wątpliwości.

- Tato, jest! Tato!

- Ciii! - Ojciec energicznie podszedł do wędki. - Cicho, bo ją spłoszysz. Jeszcze jej nie mamy.

Więc czekali. Mijała minuta, dwie, trzy. Dla Andersa cała wieczność. Wyczekiwali w ciszy, gdy nagle linka naprężyła się, zawijając szybko drobny uchwyt.

- Teraz! Krzyknął ojciec i szybko złapał wędkę, manewrując nią w taki sposób, by ryba dostawała trochę luzu i jednocześnie nie pozwalając jej się zerwać z wędki.

Udało się i po chwili ich oczom ukazała się ogromna ryba, która wciąż próbowała wydostać się z haczyka. Wiła się w tę i we w tę. Ojciec szybko wyciągnął ją na brzeg. Trzepot ryby rozrzucał krople wody na spalony słońcem żwir. Jej skrzela poruszały się

w spazmatycznym rytmie, coraz wolniej. Gdy ojciec wyciągnął haczyk z ryby, Anders nieśmiało powiedział.

- Tato?

- Czyż nie jest piękna? Dawno nie złapałem takiego okazu. To sandacz. Ma delikatne mięso, stworzone tylko pod sól i cytrynę.

- Tato, możemy ją wypuścić? - zapytał Anders, który próbował powstrzymać płacz.

Ojciec znieruchomiał i popatrzył na syna.

- Słucham?

Wzrok ojca przeszywał małego chłopaka. Oczy, które z entuzjizmu przechodziły w ten zimny przeszywający wzrok. Jego usta znieruchomiały. Jedną ręką trzymał rybę, przyszpilając ją do gorących kamyczków, drugą zacisnął w pięść.

- Jesteś głupi? - zapytał ojciec.

- Nie, tato. Przepraszam, żartowałem - odrzekł blady teraz chłopak. - Chcę ją zjeść. Proszę, jestem głodny.

Położył małą dłoń na rozgrzanym ramieniu ojca, który wciąż patrzył na niego tymi samymi oczyma.

- Kochanie? - rzuciła mama. - Kochanie, już dobrze, wszyscy chcemy zjeść tę rybę. Proszę, zrób ją dla nas.

Ojciec nie spuszczał oczu z chłopaka, który teraz opuścił rękę i patrzył na suchy żwir. Kątem oka dostrzegł, że ryba się prawie nie ruszała. Tylko czasem machnęła płetwą, poruszając bezgłośnie małym pyszczkiem, z którego ciekła strużka krwi.

- Jasne, przecież już ją robię, co wy tacy smutni? - Oczy ich taty z powrotem odzyskały ten sam entuzjizm, który tak nagle potrafił zniknąć. - Czas na ucztę!

Rozczochrał blond włosy na głowie Andersa i wziął rybę.

- Chodźcie, chłopcy. Nauczę was teraz równie ważnej rzeczy.

Wziął nóż z ciemnej, starej torby, na której wyhaftowana była białą nicią ryba.

- Anders, synku. Chwyć nóż prawą ręką. Chyba, że jesteś leworęczny, ale to by znaczyło, że twoja matka mogła się puścić

z listonoszem, prawda?

Anders nie wiedział, czy prawo- lub leworęczność zależy od tego, kim jest biologiczny ojciec, ale wiedział, że jeśli nie zrobi prawidłowo tego, o co poprosi go jego ojciec, ten dzień nie skończy się tak wspaniale, jak się zaczął. Więc robił to dokładnie. Prowadził nóż wpierw przez cały środek podbrzusza ryby. Wyciągnął dłoń wewnątrzności, z całych sił próbując nie wymiotować. Kątem oka widział, jak Lucas zamyka oczy. Na końcu jednym cięciem odciął rybie łeb.

Śmierdział, czuł ten smród na swoich dłoniach. Pragnął już tylko wskoczyć do jeziora i zmyć to z siebie. Przeszedł mu głód.

- Nieźle, chłopaki, nieźle się spisaliście.

Zawsze mówił w liczbie mnogiej, nawet jeśli całą robotę wykonał jeden z nich.

- A teraz stary upiecze wam tę dobrą rybę, co wy na to?

- Jasne! - krzyknęli równocześnie, błagając tylko niebiosy, by ojciec znowu nie wpadł w swój trans.

Pozwolił im się wykąpać. Anders jako pierwszy wskoczył do wody, nurkując i pocierając całe ciało energicznie. Nie czuł już smrodu. Znowu się śmiali, kiedy Lukas ochlapał go wodą. Widział, jak jego matka się uśmiecha. Nieczęsto to robiła, ale uważał, że wtedy wyglądała pięknie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego ojciec nie chciał widzieć tego uśmiechu częściej.

Gdy słońce zaszło za chmury, ich matka zawołała ich na brzeg, kładąc wyjąć już z wody.

Zapach ryby teraz był aromatyczny. Skwierczała na grillu, nie przypominając tego, co złowili. Andersowi zaburczało w brzuchu.

- Osuszcie się, chłopcy, za chwilę zjemy i zbieramy się, bo moje kości czują w powietrzu burzę. A moje kości się nie mylą w tej sprawie nigdy.

Dała im ręczniki, którymi się owinęli i usiedli na kocu.

Ojciec stał przy grillu, obracając rybę, która teraz wydawała się przypieczona.

- Patrzcie, chłopcy - powiedział, a niebo zaszło gęstymi chmurami - tak kończą wszyscy, którzy połknęli przynętę. Oczy ryby były teraz całkiem wypalone. Spoglądała na nich jednym oczodołem. Była już prawie ciemna.

- Tato, czy ona się nie przypala?

Ojciec jednak nie słyszał. Poczł, jak mięso się przypala. Ryba była całkowicie wysuszona, przypominała teraz spalony kawałek drewna. Nagle ryba zapłonęła.

Anders spojrzł na matkę, która stała obok ojca. Jej falowane, rude włosy sięgały jej do pasa. W tali owinięta była ręcznikiem. Ciało miała krwście czerwone od słońca.

- Mamo?! - krzyknął, ale ona nie odpowiedziała.

Chmury przesłoniły słońce już niemal całkowicie, w oddali zagrzmiało.

Ryba syczała, a z jej pustych oczodołów skapywała teraz ludzka krew.

- Mamo? Tato? - krzyczał przerażony Anders. Spojrzł na brata. Był równie przerażony jak on.

Po chwili wstał. Podeszedł do matki, której ramiona opadały wzdłuż talii. Dotknął jej ręki. Była gorąca.

- Co się z wami stało, synu? - zapytała. - Kim wy jesteście?

- Mamo? - powiedział łamiącym głosem Anders, próbując ją odwrócić do siebie.

- Ja wiem, kim jesteście. Doskonale wiem.

Odwróciła się. Jej oczodoły były równie puste i ciemne, jakby miała w oczy wsadzone kawałki węgla, z których pociekła na policzki gęsta, czerwono-czarna krew, tworząc idealnie proste linie.

- Ja wiem, kim jesteście. Pomiotami szatana. Czekaemy tu na was z tatą, chłopaki. Czekaemy. Tu, na dole.

Kobieta uśmiechnęła się, ale Anders już ledwo ją widział. Dym i łzy zasłoniły mu niemal cały obraz.

- Kim jesteście? - powiedział na głos.

Otworzył oczy. Czuł, jak dym wypełnia mu płuca, nie mógł się ruszyć. Wszędzie były płomienie. Dostrzegł obok Lucasa, który był nieprzytomny. Spróbował nim potrząsnąć. Rozejrzał się. Niemożliwe. To niemożliwe, pomyślał.

Kim jesteście?

To sen, pomyślał. To musi być sen.

Ale było mu tak ciepło. Czuł zapach spalenizny, tej samej, którą czuł w aucie.

„To nie kuna ani zwierz, mój przyjacielu. To ty się palisz”. Usłyszał głos kierowcy.

„Mój pan lubi psikusy. Lubi pojawiać się tu i tam. Cwany lis”.

Przyłożył koszulę do ust. Było gorąco.

„Gorąco jak w piekle, co Anders?”. Znowu ten głos.

- Dlaczego? - krzyknął Anders. - O co tu chodzi?!

Wrzeszczał, ale nie mógł zrobić nic więcej. Nic więcej niż uzyskać odpowiedź. Kaszłał coraz mocniej. Płomienie zajęły kanapę, na której jeszcze niedawno siedzieli razem z Aidą i jej synem.

Spróbował ściągnąć brata na podłogę, na jedyny mały fragment, który nie płonął. Byli uwięzieni w płonącej klatce. Pomyślał, że jeśliby mu się udało, mógłby z rozpędu trafić na szybę i przez nią wyskoczyć na zewnątrz, ale w tym momencie nie widział już nic. Oczy łzawiły mu z dymu. Obrócił się i trafił na drewniany stolik, który także płonął, wyrócił się na ziemię i padł obok twarzy Lucasa.

- Dlaczego? - wykrztusił ostatkiem sił.

„Kim jesteście?”. Usłyszał teraz głos Aidy. Ten sam, pełny przerażenia głos. „Jesteście pomiotami szatana”. Ten głos należał do jego matki, tej bez oczu, przypominającej wielką rybę.

Auto, pomyślał Anders, zamykając oczy. Czuł, jak ogień zaczyna go parzyć. Zasłonił twarz. Cały czas kaszłał.

To pieprzone auto, nie było na nim śniegu. Śnieg nie padał na auto.

Ogień powoli zaczął trawić jego ciało, rozszarpując każdy jego milimetr na drobne kawałeczki.

„Czekamy tu na was z tatą. Tu na dole, Andy”.

Zaczął krzyczeć i wić się, jak ryba, którą niegdyś złapał ze swoim tatą.

ROZDZIAŁ 56

Przebudzili się przed świtem, choć tak naprawdę nikt z nich nie spał, prócz Amy. Ognisko wypaliło się, pozostawiając po sobie tylko zwęglone, całkiem już wyschnięte drewno.

Eddie przygotował wszystkim ostatnie porcje jedzenia, nikt jednak nie był w stanie nic przełknąć, toteż spakował pozostałe resztki do plecaka.

Stephen zaproponował, że weźmie Amy, ale Katie stanowczo zaprotestowała.

- Przy mnie jest spokojniejsza - powiedziała bez przekonania i nie patrząc mu w oczy, podniosła córkę. - Pomóż mi z nią.

Nie oponował. Wiedział, jak bardzo musi być zmęczona, ale mimo to wykonał jej polecenie.

Gdy chcieli wyjść na zewnątrz, okazało się, że śnieg, którego w nocy przybyło, zablokował drzwi, toteż Eddie musiał je pchnąć, tym razem silniej, zanim otworzyły się na tyle szeroko, by mogli przejść.

Wiatr ponownie przypomniiał im, jak ciężka droga ich czeka. Próbował ich zatrzymać. Mimo to szli. Szli przed siebie w takim samym układzie jak dotąd, widząc tylko towarzysza przed sobą. Stephen prowadził. Co raz, kiedy już myślał, że się zgubił, dostrzegał w oddali znajomy punkt, który oznaczał, iż idą w dobrym kierunku. Za sobą zostawiali tylko ślady butów na śniegu, które na bieżąco z powrotem zasypywał śnieg.

Robili postoje, coraz częstsze, im bliżej celu byli. Katie w końcu ustąpiła i dała ponieść Amy Robowi, Samancie, a w końcu, po długim wahaniu, nawet Tony'emu. Była już zbyt wyczerpana, by się klócić. Stephen zauważył też, z ogromnym bólem gdzieś w środku siebie, że

traciła nadzieję. Lecz z godziny na godzinę, coraz bardziej tracili ją wszyscy.

Nawet Tony przestał się odzywać i narzekać na „te cholernie drogie, a tu tak kurewsko nieprzydatne buty”. Co raz upadał z małą, ale na pytanie, czy wszystko dobrze, odpowiadał: „Jasne, szefie, nigdy nie czułem się lepiej”, po czym od razu wstawał wyprostowany i z uśmiechem na ustach szedł dalej.

Stephen zastanawiał się, po co ta trójka zjawiała się tutaj. Jaką rolę mają w tym chorym spektaklu?

Czy mieli za zadanie pomóc im w uzdrowieniu córki? A jeśli tak, dlaczego oni? Młody chłopak, młoda dziewczyna i starszy, szemrany typ spod ciemnej gwiazdy? Nic nie trzymało się tu kupy, ale w zestawieniu z całą resztą tych dziwnych zjawisk, których doświadczali, problem trzech nieznanomych ludzi w ich życiu był tym najmniejszym.

Szli dalej. Zapadał zmrok, a w pobliżu nie było żywej duszy.

Nie przetrwamy tej nocy, pomyślał Stephen. Nie przetrwamy jej.

Przystanął i spojrzał na ciemne niebo.

Mamo, nie damy rady, przepraszam. Próbowałem, pomyślał, lecz krzyknął tylko:

- Chwila przerwy. Muszę złapać oddech.

Spojrzał na swoich towarzyszy.

- Nie śpiesz się - odrzekł Tony i przyklęknął.

Eddie podszedł do niego i odpiął mu szelki, ale ten zaprotestował.

- Niesiesz ja już dobre trzy godziny. Za chwilę tu padniesz. Oferowałeś mi pracę, a z tego, co wiem, trupy nie są najlepszym szefostwem.

- Więc myślisz o tym - powiedział Tony, a na jego zaśnieżonych policzkach pojawił się blady uśmiech.

- Jasne, dzień i noc. Daj mi małą.

Odpiął Amy i wziął na ramiona, podchodząc do Stephena. Tony położył się na śniegu i zamknął oczy.

- Wszystko gra?

Stephen spojrzął za siebie, upewniając się, że nikt ich nie słyszy.

- Nie, Ed. Nie wiem, co dalej. Nie wiem, gdzie jesteśmy. Jeszcze trzydzieści minut temu wiedziałem, a teraz nic. Tylko ten cholerny śnieg. Wydaje mi się, że zabłądziliśmy, chociaż znam te tereny od dziesięciu lat.

- Zawracamy?

- Teraz? Równie dobrze możemy się tu położyć i spokojnie umrzeć. Śnieg z pewnością zasypał nasze ślady, poza tym za chwilę nastanie całkowita ciemność. To koniec, Eddie.

- Step...

- To koniec - warknął Stephen. - Możemy iść dalej przed siebie i zostawiać po kolei za sobą wszystkich, którzy padną z wycieńczenia albo...

- Albo co? Zostać tu i tak po prostu umrzeć?

- A może to o to chodziło, Eddie? Nie pomyślałeś o tym? Co, jeśli tak właśnie miało się to skończyć?

Eddie patrzył przez chwilę na przyjaciela, po czym chwycił Amy i dał Stephenowi.

- Więc powiedz to swojej córce.

Eddie poszedł do przyjaciół, którzy siedzieli na śniegu, wyczekując jakichś wyjaśnień. Nie powiedział jednak nic.

Stephen trzymał córkę w swoich ramionach i spojrzął tak samo na resztę, która teraz patrzyła na niego. Odwrócił się i usiadł na śniegu, wciąż trzymając córkę.

- Kochanie, śpisz? - zapytał cicho.

Amy jednak nie odpowiedziała. Przyłożył dwa palce z boku jej szyi. Oddychała.

Pierwszy raz od dawna czuł się tak beznadziejnie. Czuł się za wszystko odpowiedzialny. Czuł, że zawiódł żonę, córkę i swoich przyjaciół.

- Amy, nie wiem co zrobić. Pomóż mi.

Czuł wstyd, prosząc o pomoc swoje dziecko. Nie takiej roli pragnęli rodzice dla swoich dzieci. To ojciec miał chronić rodzinę,

a on nie potrafił. Teraz, w tym najcięższym okresie nie umiał sobie poradzić. Próbował walczyć, ale oczy zaszyły mu łzami. Wtulił głowę w kruche i bezwładne teraz ciało dziewczynki.

„Szukajcie, a znajdziecie, mój synu. Już blisko”. Głos dochodził z dala, usłyszał go jednak wyraźnie. To była Rose.

Otarł oczy przemarznąętą rękawiczką i pociągnął nosem, który był zatkany katarem, tym, który zwykle łączy się z łzami. Spojrzał przed siebie. W oddali mrugnęło coś, jakby ktoś bawił się latarką. Jedno małe mignięcie, które zgasło w ułamku sekundy. Przetarł oczy raz jeszcze i odwrócił się za siebie.

- Eddie - wychrapał nieudolnie, po czym zawołał jeszcze raz, tym razem głośniej i pewniej: - Eddie! Przynieś mi latarkę, szybko!

Eddie potruchtał szybko w jego stronę i podał mu małą, ciemną latarkę, której jeszcze nie używali. Stephen miał nadzieję, że temperatura nie wpłynęła na jej funkcjonowanie. Nie działała elektronika, a nawet broń, więc wahali się, czy w ogóle ją brać, ale stwierdzili, że nie zaszkodzi.

Stephen wstał i oddał córkę Eddiemu, po czym przełączył w latarce przycisk na „ON”. Zapaliła bez problemu. Skierował światło pod stopy, szukając czegoś i gdy Eddie już miał zapytać, o co chodzi, dostrzegł to, czego Stephen szukał.

- O cholera - powiedział Eddie.

- Pora ruszać dalej - odrzekł Stephen i popatrzył z ulgą na przyjaciela. - Zbierz resztę, myślę, że jesteśmy niedaleko.

Eddie kiwnął głową i cofnął się, pomagając wstać pozostałym.

Stephen spojrział przed siebie, tam, gdzie wcześniej widział błysk, jednak nie zobaczył już nic więcej. Skierował światło z powrotem pod nogi.

Wciąż tam były. Ledwo widoczne, ale na tyle, by mogli iść dalej.

Ślady małych, bosych stóp, prowadzące w kierunku błysku, który zobaczył.

ROZDZIAŁ 57

Ostatnie dwie godziny, a przynajmniej tak się zdawało Stephenowi, pokonywali w całkowitym mroku, widząc tylko wąskie światło latarki przed sobą. Ślady stóp były ledwo widoczne, jednak doprowadziły ich do niewielkiego kościoła, który Rose wraz ze swoim zmarłym mężem wybudowali w latach młodości.

Kiedyś wydawał mu się większy, ale to pewnie dlatego, że z czasem człowiek zapomina, jak coś wyglądało naprawdę. A może to czas zdążył nadszarpnąć już niegdyś nowe, zadbane drewno, z którego kościół był zbudowany. Może śnieg, który zasypał całkowicie jego stożkowy dach, pomniejszył go wizualnie. Nie wiedział, lecz nie było to teraz istotne. Dotarli i to się liczyło.

Drzwi kościoła były uchylone, a z wewnątrz widoczne było światło, padające na stopień przed wejściem.

Nad sporymi, topornymi drzwiami widniała zawieszona rzeźba Marii trzymającej małego Jezusa w objęciach. Twarz miała lekko przechyloną, usta otwarte, jakby zamarła w momencie usypiania swojego jedyne syna.

Stali przed wejściem do kościoła, nie wiedząc, czy mają wejść.

Stephen odwrócił się w stronę Katie, która wreszcie na niego patrzyła. Jej oczy były otwarte szeroko, odzyskały nadzieję, pomyślał. Na jej plecach spoczywała ich córka. Bez słowa objął ją i przytulił, a ona uległa.

- Teraz będzie wszystko dobrze, prawda? Nasza córeczka się obudzi? - zapytała, znowu patrząc na Stephena.

- Tak, kochanie. Teraz wszystko będzie dobrze.

Nie mógł pozwolić sobie na to, by znowu straciła nadzieję. Cokolwiek się stanie, będzie walczył do utraty tchu.

Stephen odsunął delikatnie Katie i spojrzał na resztę. Patrzyli na niego, wyczekując. Jakby on znał odpowiedzi na wszelkie pytania. Przyprowadził ich tu, podążali za nim, więc stał się ich przywódcą, pomyślał. Tak o nim myśleli.

- Dziękuję wam. Każdemu z was - powiedział Stephen. - Pomogliście nam w tym trudnym czasie, poświęciliście się

i ryzykowaliście życiem, by pomóc nam przyprowadzić tutaj naszą córkę. Podobno tu... - Stephen wskazał palcem za siebie i wskazał na kościół. - Podobno tutaj ma zostać uzdrowiona. Nie wiem, co czeka nas w środku, ale wierzę, że wszystko skończy się dobrze i wrócimy do swoich domów jeszcze przed świtem.

Czekali, ale on nie wiedział, co mógłby powiedzieć więcej.

- Przekonajmy się zatem - odparł Tony i pierwszy postąpił naprzód, przechodząc przez drzwi.

Pozostali spojrzeli na siebie i postąpili za nim.

Eddie jako ostatni, przechodząc przez próg, spojrzął za siebie, ale dostrzegł tylko to, co widzieli od dłuższego czasu. Dźwięk ostrego jak brzytwa wiatru i nieustępliwie padający śnieg.

Zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 58

Gdy drzwi zamknęły się z łoskotem, echo rozbrzmiewało jeszcze chwilę, odbijając się od ścian i ławek poustawianych w dwóch rzędach naprzeciw siebie. Czuli delikatną woń kościelnych kadzideł. Świątynię oświetlała co najmniej setka świec. Połowa z nich poustawiana była na wąskich parapetach pod okiennicami, oświetlając kolorowe witraże z mozaiki. Druga połowa poustawiana była na modlitewnikach.

Na głównej, wysokiej ścianie, wisiał srebrny, duży, metalowy, wypolerowany krzyż. Pod nim znajdował się niewielki, pusty ołtarz, nakryty białym płótnem.

Było tu ciepło i na swój sposób przytulnie, gdyby nie okoliczności, w jakich się znaleźli, pomyślał Eddie.

- Jesteście!

Głos rozległ się zza ściany, na której wisiał ogromny krzyż. Ich oczom ukazała się postać mężczyzny, który pośpiesznym krokiem wyszedł do nich, jakby przepaszając za to, że tyle czekali.

Mężczyzna był wysoki, miał na sobie ciemny płaszcz. Szedł do nich przez środek kościoła, między ławkami. Słyszeli odgłos jego butów stukających o posadzkę.

Eddie postąpił naprzód, stając na równi ze Stephenem. Mężczyzna podszedł do nich i wyciągnął rękę. Poznali go. To był starzec, którego widzieli w noc, kiedy pochowali Scarlett.

Eddie spojrzał na niego groźnie.

- Och, nie grzeszycie uprzejmością, co? - Mężczyzna uśmiechnął się i cofnął po chwili rękę. Nawet jeśli był urażony, nie dał po sobie nic poznać. - Rozumiem, chyba mieliście za sobą ciężką podróż.

- Kim jesteś? - zapytał Eddie, przybierając ostrzejszy ton.

Mężczyzna spojrzał na niego i przez ułamek sekundy Stephen dostrzegł, jak jego przyjazny wzrok się zmienia. Poczł dreszcz.

- Mówiłem wam, że jeszcze się zobaczymy, czyż nie? - Mężczyzna w czarnym płaszczu ponownie się uśmiechnął. - Wybaczcie mi moje maniery, panowie, ale nie przywitałem się z waszymi pięknymi kobietami. Czy mogę?

Mężczyzna wskazał dłonią za Eddiego.

- A czy mamy wybór? - zapytał Eddie.

- Zawsze macie wybór - odparł.

Czekał. Eddie odsunął się.

- Sammy, witaj. Długo cię nie widziałem, moja droga.

Mężczyzna podszedł do niej, a ona cofnęła się.

- Ciii, moje dziecko. Skąd tyle strachu w tobie?

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, po czym przejechał po nim palcem wzdłuż.

- Niewiarygodne, czyż nie? - powiedział.

- Skąd mnie znasz? - zapytała Samantha i popatrzyła mu w oczy, po czym spuściła od razu wzrok. W jego przyjaznym nastawieniu było coś wrogiego. Przeszywał ją wzrokiem, wciąż gładząc policzek.

- Och, kochanie, znam was wszystkich.

Cofnął dłoń i patrzył jeszcze przez chwilę na Samanthę, nadal się uśmiechając, jakby był z niej dumny, po czym powoli się odwrócił.

- Robbie, Tony, Katie. - Ukłonił się każdemu z osobna. - I nasza mała księżniczka.

Spojrzał na Amy i wyciągnął do niej rękę, na co Katie od razu zrobiła krok w tył.

- Ani się waż ją tknąć - warknęła, wytrzymując jego wzrok.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział od razu. - Jesteście zmęczeni. To już niemal koniec waszej drogi. Wiem, dlaczego przybyliście tutaj i znajdziecie tu odpowiedzi oraz... lekarstwo. Czyż nie dlatego tu jesteście? Szczerze powiedziawszy, wątpiłem, że wam się uda - dodał i rozłożył ręce, wznosząc je ku górze. - Chwalmy Pana Boga Ojca Wszechmogącego.

Przeżegnał się pośpiesznie i udał z powrotem w stronę ołtarza.

- Chodźcie, moi kochani. Już spieszę z odpowiedziami na pytania, które was trapią.

- Nie chcemy odpowiedzi - powiedziała Katie. - Chcemy, by nasza córka się obudziła. Tylko tyle, rozumiesz? Zrobiliśmy, co chciałeś, omal nie zginęliśmy, idąc tutaj. Teraz zrób, co masz zrobić, i uzdrów moją córkę.

Mężczyzna obrócił się do nich w połowie drogi.

- Oczywiście, Katie, oczywiście. Mała przeszła długą drogę. Połóż Amy tu na ołtarzu i zaraz wszystko załatwię. Znam dobrze tego na górze - powiedział mężczyzna i wskazał palcem na sufit kościoła, po czym mrugnął do niej i udał się z powrotem w kierunku ołtarza. - Zaraz do was dołączę.

Mężczyzna zniknął za ścianą, zza której się wcześniej wyłonił.

Spojrzeli na siebie.

- Zróbmy, co mówi, Katie - rzekł Eddie, widząc jej obawy. - Nie mamy chyba wyjścia.

- To jakiś szalowiec - odparła. - Kim on jest?

- Nie wiem, ale znał nasze imiona, a pierwszy raz go widzę na oczy - odparł Robbie.

- Dokładnie - potwierdził Tony. - Sugeruję zrobić, co mówi. Zresztą widać, że chce nam pomóc.

Podeszli do ołtarza. Stephen ściągnął Amy i ostrożnie położył na nim. Jej ręce opadły bezwładnie poza krawędzie marmurowej konstrukcji. Położył jej dłonie wzdłuż, obok ciała.

Dotknął jej policzków i zaniemówił. W końcu się odezwał. To była prawda.

- Katie - powiedział. - Gorączka ustała.

Dotknęła czoła córki i z ulgą spojrzała na Stephena, który tak samo patrzył na nią.

- Zdrowieje - powiedział Eddie, a na jego twarzy pojawił się uśmiech ulgi. - To działa.

Samantha podeszła i również dotknęła Amy, która wyglądała już znacznie lepiej. Jej czoło było teraz chłodne. Jej twarz nabrała kolorów. Katie ściągnęła jej czapkę oraz gruby szal i rozpięła kurtkę.

- Przyjdźcie do mnie, a uzdrowię was. - Głos rozbrzmiewał echem w kościele. Wydobywał się z małych głośników ustawionych w rogach świątyni. - Chwalmy Pana, alleluja.

Za ściany ponownie wyszedł mężczyzna w czerni, tak samo uradowany jak przed chwilą. Trzymał w ręce mikrofon.

- Zawsze chciałem to zrobić - powiedział, po czym odłożył na ławkę mikrofon, który zabuczał krótkim przeciążeniem i kontynuował wciąż donośnym głosem: - Jesteście świadkiem cudu. Ta noc jest pełna cudów, lecz tak jest w te noce. Noc cudów. Noc interesów.

Mężczyzna podszedł do Amy i położył ostrożnie swoją dłoń na jej czole, na co Katie chciała zareagować, lecz Stephen ruchem ręki ją powstrzymał.

- Jesteś mało ufna, Katie - powiedział, teraz ostrożnie gładząc palcem jej policzek.

- Kiedy się obudzi? - zapytała nerwowo Katie.

- A kto powiedział, że się obudzi? - zapytał mężczyzna. Jego uśmiech zniknął z twarzy. Wsadził obie ręce do kieszeni płaszcza i patrzył na Amy obojętnym wzrokiem.

- Powiedziałeś... powiedziałaś, że ją uzdrowisz - odparła Katie.

- Och, tak, uzdrowię. Ale czy obudzę? - Mężczyzna skrzywił się i przechylił głowę, jakby myślał. - Cóż, głowę daje, że tego nie powiedziałem. Ale dotrzymuję obietnic. Amy była na skraju śmierci, a teraz jest zdrowa. Jej funkcje życiowe są w normie, zaręczam. Jest tylko w śpiączce. Od was zależy, czy się obudzi.

- Skończ te gry - warknęła gniewnie Samantha. - Odpowiedz wreszcie, kim jesteś i czego od nas chcesz.

- Cóż, to całkiem proste. To noc interesów. Noc wyborów. Daję wam więc wybór, a sam mam w tym swój interes, lecz na niektóre pytania możecie nigdy nie znaleźć odpowiedzi, chociaż wy zawsze musicie ją poznać, prawda? Musicie czegoś dotknąć, poczuć, zobaczyć, by w coś uwierzyć. A przecież jasno jest napisane: „błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. Wy jednak dostąpiliście tego daru, którego dostąpią nieliczni. Widzicie. A choć widzicie, wciąż nie wierzycie. Macie jednak szansę uwierzyć i dostąpić odkupienia. Każdy z was. Dzisiaj podejmiecie decyzję.

- Jaką decyzję? - zapytał Stephen, choć obawiał się odpowiedzi.

Mężczyzna odwrócił się teraz do nich, badając ich wzrokiem. Jego oczy były czarne i przenikliwe. Odezwał się, przybierając poważny ton. Mówił powoli, tak, by dobrze zrozumieli.

- Poświęćcie Amy i przeżyjecie, tym samym ocalicie wasze miasto i nędznych ludzi od katastrofy, którą sam przygotowałem, albo ocalicie Amy, ale umrzecie wy, a z wami całe miasto. No dobra, byłbym zapomniał - niektórych istnień nie zdołacie już uratować. W noc interesów, w niektórych, ciężkich przypadkach, dano mi większą władzę.

- Kim ty jesteś? - odezwał się teraz Tony.

- Kim jesteś - ostentacyjnie powtórzył mężczyzna. - Kim jesteś. Ludzie tak często zadają to pytanie innym, a tak często sami nie potrafią sobie na nie odpowiedzieć. Czyż nie? Nie jest ważne, kim jestem. Ważniejsze jest, kim jesteście wy.

- Dlaczego to robisz? - zapytała teraz Samantha. - Dlaczego my?

- Dlaczego - powtórzył znów mężczyzna i zamyślił się. - To pytanie równie często słyszę.

- Jestem tylko znużonym, starym wędrowcem, Sammy. Znasz mnie dobrze. Spotkałaś mnie nieraz. Nawet gdybym zdradził wam wszystko, co chcecie wiedzieć, i tak nigdy nie zrozumiecie. Nie jesteście pierwszymi ani ostatnimi, którzy mnie zobaczą. A teraz dokonajcie wyboru. To wasza próba. Amy albo wy. Zdecyduje większość głosów.

Mężczyzna położył małą świeczkę przy głowie Amy i zapalił ją zapalką.

- Gdy świeczka zgaśnie, skończy wam się czas i zaczniemy głosowanie.

Wyszedł, zostawiając ich samych.

ROZDZIAŁ 59

- Blefuje.

Eddie przerwał ciszę. Wszyscy wpatrywali się w świeczkę oświetlającą policzek Amy.

- Czyżby? - odparł Tony. - Nie wygląda mi na kanciarza.

- Co może nam zrobić? Weźmiemy stąd Amy, sam jeden nie zdoła nas powstrzymać, a jeśli spróbuje, zabiję go własnoręcznie. Steve? Co myślisz?

Stephen wpatrywał się w Amy i minęła długa chwila nim odpowiedział:

- Oddam za nią życie bez wahania, jeśli będę musiał.

- Czy możemy na razie pomyśleć, jak to zrobić bez oddawania życia? - zaproponował Tony.

- To niesprawiedliwe - wtrąciła się do rozmowy Katie. - Nikt oprócz mnie i Stephena nie odda za nią życia. Będzie cztery do dwóch. To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe.

Katie zaczęła kręcić głową i powtarzać: „niesprawiedliwe”.

Samantha podeszła do niej i przytuliła ją.

- Katie, spokojnie, nie jesteście z tym sami.

- Czyżby? A kto niby jeszcze odda za nią życie, ty? Szanowana kurwa z Vernon ze swoim nowym chłopakiem?

Samantha cofnęła się, jakby raził ją prąd. Rob spojrział na nią.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- Och, to ty nie wiesz? Coś takiego! - Katie zaczęła się śmiać na głos. - Poznaj Samanthę, najwytworniejszą damę do towarzystwa w całej północnej Luizjanie. A to jej szef, Tony. Chlebodawca, jeśli można to tak ująć. Gangster, alfons i Bóg wie, kto jeszcze. Takich ludzi mamy tutaj do tego głosowania, Steve. Jeśli to sprawka Wszechmogącego, to moja matka miała rację co do niego. Amy oddaje swoje życie w ręce trzech przypadkowych osób. Życie mojego dziecka znaczy więcej niż wasze, rozumiecie? Nie pozwolę, aby ktoś ją dzisiaj skrzywdził, choćbym miała zginąć.

Rob patrzył na Samanthę, która przecierała oczy.

- To prawda, Sam?

- Tak, Rob. To prawda, przykro mi. Ja... ja byłam kimś innym. Do czasu, aż nie zobaczyłam jej na ulicy. I ty. Zmieniłeś mnie tak bardzo. Jestem już kimś innym, Robbie, ale ona ma rację. Nie zmienię swojej przeszłości, zrób z tym, co chcesz. Ale ty - wskazała na Katie - nie waż się mnie nigdy więcej oceniać, bo nie wiesz, jak zagłosuję. A w tej sytuacji na twoim miejscu szukałabym sobie sojuszników, nie wrogów.

Spojrziała na Roba, który patrzył na nią, lecz po chwili odwrócił wzrok. Samantha czuła w środku wściekłość i żal. Nie tak wyobrażała sobie swoją ostatnią godzinę życia.

- Dość - ryknął Eddie. - Nie pora na to. Mam tego dosyć. Zabieramy stąd Amy, znajdziemy pomoc gdzieś indziej. - Wziął Amy na rękę. - Wychodzimy stąd.

- Poczekaj - rzucił Tony, lecz Eddie nie słuchał. Postąpił już kilka kroków naprzód, a ciało Amy dostało torsji. Z jej ust pociekła krew.

- Eddie, wracaj tu! - krzyknął Stephen, ale Eddie stał tylko w szoku, patrząc, jak ciało Amy miota się w jego rękach.

Stephen wyrwał mu ją z rąk i położył ponownie na ołtarzu. Drgawki natychmiast ustały. Kilka szarpnięć dogasało w jej ciele i ponownie znieruchomiała. Stephen ręką usunął krew z jej ust.

- To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe... - mówiła Katie, stojąc tylko i patrząc na bezwładne ciało córki.

Zapadła cisza. Stali i patrzyli na świeczkę, która świeciła już płomieniem. Mamy może z dziesięć minut, pomyślał Eddie i w końcu się odezwał:

- Nie mamy zbyt wiele czasu, musimy decydować. Kimkolwiek jest ten ktoś, ma jakąś moc, której nie znamy. Byliśmy świadkami różnych dziwnych rzeczy, które się działy i były one prawdziwe.

Jeśli Amy umrze, kiedy zabierzemy ją z ołtarza, to znaczy, że nie mamy wyjścia, musimy...

- ...głosować - odpowiedział Tony.

Nikt się nie odezwał, toteż Eddie kontynuował:

- Właśnie - powiedział, po czym wskazał na ołtarz. - Każdy, kto decyduje się oddać swoje życie za tą małą, niech stanie tam przy niej.

Stephen stał przy Amy, do niego dołączyła Katie. Objął ją. Wyglądali na całkowicie wypalonych i zrezygnowanych, jakby wiedzieli, że nie mają szans.

- Katie, Steve. Wiecie dobrze, jak kocham was i Amy. Byliście dla mnie w najtrudniejszych dniach mojego marnego życia. Będę z wami do końca i w tym ciężkim dniu. - Przeszedł pod ołtarz. Stephen kiwnął mu głową, jakby na tylko tyle było go teraz stać.

Samantha spojrzała na Roba, który wreszcie spojrzał na nią.

- Wybaczysz mi? - zapytała.

Rob popatrzył jej w oczy i kiwnął głową.

- Oczywiście. To przeszłość. Kocham cię za to, kim jesteś i kim się stałaś.

- Ja też cię kocham, Robbie. A teraz czuję, że nie bez powodu tu jestem. Nie wiem, jaką decyzję podejmiesz ty, ale ja podjęłam ją w momencie, kiedy tu wyruszyliśmy. Cokolwiek się nie stanie, kocham cię.

- Sam, poczekaj, ja... ja nie mogę, moja rodzina mnie potrzebuje, nie mogę, rozumiesz?

- Rozumiem - odrzekła spokojnie. - Wiem o tym.

- Jeśli pójdziesz tam, ja umrę. Ty także. Ocalisz Amy, ale zginiemy, a ja zostawię swoją rodzinę na pastwę losu. Nie dadzą beze mnie rady. Proszę, nie rób tego.

Samantha spojrzała na Amy i zdała sobie sprawę, że to co mówi Rob, było prawdą. Uratują Amy, ale przez to umrze także Rob, a do tego Tony, który również miał rodzinę.

- On ma rację - powiedział Tony. - Wiecie, mam już w dupie to, czy tu umrę. Odkąd tu przyjechałem, byłem pewny co najmniej trzy razy, że już po mnie. Więc jestem gotowy. Ale jeśli myślicie, że oddam życie swoje w imię waszej córki, to muszę was rozczarować. Nie mam pojęcia, dlaczego się tu znalazłem, ale na mnie nie liczcie.

- Właśnie dlatego się tu znalazłeś - powiedziała Samantha. - Nie miałeś zabić mnie. Miałeś przeszkodzić w ocaleniu Amy.

Czy to mogła być prawda? Samantha była tego bardziej niż pewna. W końcu to coś doprowadziło Tony'ego prosto pod ich drzwi nie bez powodu.

- Dlaczego ona jest tak ważna? - zapytał Rob. - Przepraszam, że o to pytam, ale dlaczego Amy warta jest sześciu istnień? Czy może mi to ktoś wyjaśnić?

- Mnie zastanawia coś innego - odparł Eddie. - Co w przypadku remisii? Co, jeśli zagłosowalibyśmy po równo?

- Wtedy pewnie nie wyjdziemy z tego pieprzonego kościoła - odparł Tony.

Stali rozdzieleni, a pomiędzy nimi leżała Amy. Świecek wypaliła się więcej niż do połowy.

- Poczekajcie - krzyknęła Samantha. - To wasza próba, czy nie tak powiedział?

- Owszem - przytaknął Rob.

- Próba... pomyślcie, dlaczego Amy jest na ołtarzu? Dlaczego decyzję musimy podjąć tu, w kościele? Nie jestem wierząca, nie znam

się na Biblii, ale czy nie tego samego chciał Bóg od Mojżesza? By udowodnił swoją wiarę, zabijając swoje dziecko? Kate, jesteś z nas chyba najbardziej wierzącą osobą, czyż nie?

Kate spojrzała na Samanthę, a w jej oczach pierwszy raz zabłyśła iskra nadziei.

- Co, jeśli całe to głosowanie jest bzdurą? - ciągnęła Samantha. - Co, jeśli próbę przejdziemy, jeśli każdy z nas postanowi poświęcić Amy w imię tych wszystkich niewinnych żyć?

- Czy weźmiesz odpowiedzialność za jej śmierć, jeśli nie masz racji?

- Nie - odparła Samantha. - Ale nie umiem znaleźć innego wytłumaczenia. Katie, wydaje mi się, że to tak naprawdę twoja próba, nie nasza. Zanim tu dojechaliśmy, byłam świadkiem pewnego cudu. Zostałam uzdrowiona, tak jak w Biblii, choć nie wierzyłam nigdy w takie rzeczy. Na wszystkich drzwiach, które mijaliśmy, widzieliśmy znaki, tak samo było w Biblii przed wypuszczeniem plag, prawda? Wszystko to nabiera większego sensu. To ostatnia próba. Nie wierzę, że Bóg pozwoli Amy umrzeć, kimkolwiek ten mężczyzna by nie był.

Katie ujęła dłoń córki i spojrzała na nią.

Tego chcesz ode mnie? Chcesz sprawdzić moją wiarę? Chcesz zobaczyć, czy poświęcę swoje jedyne dziecko dla ciebie?

Zamknęła oczy. Próbowwała na szybko myśleć. Co, jeśli Samantha mówi prawdę? Co jest tu prawdą? Jeśli to Bóg chce od niej tej ofiary, dlaczego to on się nie pojawił tutaj? Tak wiele wątpliwości przeszywało jej umysł. Czy to był sprawdzian wiary?

Świeczka przygasła. Za chwilę on znowu się pojawi i będzie musiała zdecydować. Powstrzymała łzy. Spojrzała przed siebie, wszyscy wpatrywali się w nią. Czekali na decyzję.

- Niech każdy zagłosuje tak, jak chce. Nie oddam swojej córki nikomu, nawet Bogu. Prędzej sama umrę.

Zamknęła oczy i uklękła przy Amy. Jeszcze chwilę stali, nie wiedząc, co powiedzieć. Co chwilę patrzyli na świeczkę, która po bardzo długiej chwili zgasła.

Usłyszeli stuk butów rozlegający się gdzieś z daleka.

- Już czas - powiedział mężczyzna i posłał im uśmiech.

Samantha przysięgłaby, że był to najbardziej nieszczerzy uśmiech, jaki w życiu widziała.

ROZDZIAŁ 60

- Głosowanie jest anonimowe. Proszę, stańcie obok siebie w jednym rzędzie. No już, nie mamy zbyt wiele czasu. Jakkolwiek głosowanie się nie potoczy, będziecie mieli szansę pożegnać się z Amy, macie moje słowo.

Samantha ustawiła się obok Roba i Tony'ego. Eddie podszedł do Katie i położył jej dłoń na ramieniu.

- Chodź, Katie. Wszystko będzie dobrze. - Pomógł jej wstać, po czym spojrzał na Stephen'a. - Steve, chodź.

Stephen pogładził Amy po twarzy i dołączył do reszty, stając obok Tony'ego. Miał spuszczoną głowę. Gdy Eddie z Katie dochodzili do reszty, Katie krzyknęła:

- Nie ważcie się głosować za jej zabiciem, rozumiecie? Nie ważcie się.

Stanęli naprzeciwko ołtarza, przy którym stał teraz mężczyzna, patrząc na nich ze spokojem.

- Musicie zdać sobie sprawę, że każda decyzja jest nieodwracalna. W przypadku niezdecydowania lub remisu głos traktowany jest jako ocalenie waszego życia.

Mężczyzna podszedł do Roba, stając blisko niego. Trwało to chwilę, po czym skinął głową i podszedł do Samanth'y. Stał tak naprzeciwko niej trochę dłużej, spoglądali sobie w oczy, w końcu mężczyzna skinął jej również. Gdy podszedł do Tony'ego, ten powiedział na głos:

- Wybieram siebie, nie musisz mnie pytać.

- Wiem, nie zamierzałem - odparł mężczyzna i podszedł teraz do Eddiego, który spojrzał wpierw na Samanthę, potem na Katie.

- Tyle wątpliwości - powiedział mężczyzna i cmoknął ustami, kręcąc głową, jakby odczuwał smutek - ale musisz wybrać Eddie.

Minęły może trzy sekundy, kiedy mężczyzna się ponownie uśmiechnął i skinął głową. Po czym podszedł do Stephen.

- Jak to się odbywa? Nikt tu jeszcze nie zagłosował - powiedział Stephen.

- Wystarczy, że spojrzę w głąb ciebie. To tam decydujesz, czyż nie?

Popatrzyli na siebie, aż w końcu Stephen odwrócił wzrok. Mężczyzna uśmiechnął się i podszedł do Katie.

- Nie oddam jej. Nikomu. Mam gdzieś całą próbę, będziesz musiał zabić mnie, mojej córki nie dostaniesz, rozumiesz?

- Katie, kochanie - odparł mężczyzna. - Twój głos jest już nieważny. - Próba dobiegła końca.

Katie patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami i spojrzała na Amy za nim.

- Czas już na mnie - odrzekł mężczyzna i założył na głowę kapelusz, który wyjął z kieszeni marynarki.

- I już? Dlaczego Amy się nie budzi? Dlaczego żyjemy? - zapytała Samantha.

- Sammy, Sammy. Amy się właśnie budzi, skarbie.

Katie podbiegła do Amy, która poruszyła ręką.

- Mamo? - Do ich uszu dobiegł słaby głos dziewczynki.

- Jestem tu, Amy. Już wszystko dobrze, kochanie, już wszystko dobrze - powiedziała Katie.

Mężczyzna wyprostował się i uśmiechnął do nich.

- Cóż, przede mną długa droga. To był zaszczyt was poznać, moi drodzy. Pewnie jeszcze kiedyś się zobaczymy, a tym czasem, żegnam was. Bywajcie zdrowi.

Mężczyzna minął Tony'ego, po czym odwrócił się do niego i położył dłoń na jego piersi.

- Byłbym zapomniał, Klara ma się już całkiem dobrze. Bywaj, Tony. Do zobaczenia.

Uklonił się im po raz ostatni i odszedł, zostawiając za sobą echo swoich butów. Otworzył drzwi i zamknął je, zostawiając ich samych.

Samantha podeszła do Amy, która teraz patrzyła na nich rozespana.

- Hej, mała - powiedziała Sam. - Gotowa na powrót do domu?

Samantha uśmiechnęła się promiennie i spojrzała na Katie, która odwzajemniła jej uśmiech. Pierwszy raz, pomyślała Samantha.

- Ja jestem w domu, Sam - powiedziała Amy i popatrzyła na Samanthę, a potem na Katie.

- Co ty pleciesz, kotku - odrzekła Katie. - Będiesz tam niedługo.

Eddie dołączył do Stephen, który teraz również stał przy córce.

- Mamo, nie mogę nigdzie wrócić.

Uśmiech Katie nagle zgasł, zastąpiony najpierw przez wątpliwość, a potem przez strach.

„Będziecie ją mogli pożegnać”. To zdanie wybrzmiewało teraz w jej głowie raz po raz.

- Amy, przecież jesteś zdrowa. Możemy wracać - powiedziała Katie, blokując panikę, która coraz mocniej wdzierała się w jej serce.

„Będziecie ją mogli pożegnać”.

- Mamo, znowu chce mi się spać. Tak bardzo chce mi się spać.

Amy zasypiała.

- Nie, Amy słyszysz? Nie zasypiaj, zostań tu. Zostań ze mną, rozumiesz? Kocham cię, słyszysz? Kocham cię, zostań tu.

Katie prosiła córkę, by ta nie zasypiała, następnie rozkazywała jej, lecz Amy nie była posłuszna i nie chciała posłuchać. Jej powieki zamykały się na coraz dłuższy czas, a gdy jej oddech ustał, a ona nie mogła słyszeć już nic, dźwięk kościoła wypełnił rozpaczliwy krzyk, pełny złości, niedowierzania i bólu. Krzyk, który zna tylko matka, żegnająca swoje dziecko.

Na zewnątrz przestał padać śnieg.

ROZDZIAŁ 61

Rose obudziły krzyki. Otworzyła oczy i poczuła duszącą woń palonego drewna. Nie panikowała. Spojrzała na zegar, który znowu tykał. Było pięć minut po północy.

Spała długo, dokładnie pamiętając, o czym śniła, o ile można było nazwać to snem.

Zabrała okulary z szafki. Pierwszy raz od dawna poczuła ciepło na swym ciele. Wsiadła na wózek i skierowała go pod okno. Nie padał już śnieg, nie było też wiatru. Było... spokojnie? Owszem, chyba było spokojnie, jeśli pominąć to, że jej dom płonął. Miała jeszcze trochę czasu.

Dostrzegła, że ze wszystkich latarni tylko Migotka oświetlała pustą ulicę. Ile miała jeszcze czasu? Może dziesięć minut. Dostrzegła, jak w domu na lewo zapala się światło w pokoju. Najpierw jedno, potem zaraz obok drugie. Ktoś szybko przemknął między dwoma pokojami, szukając czegoś. Rose sięgnęła do kieszeni spodni i wyciągnęła pomietą paczkę papierosów.

- Głupcy - powiedziała. - Musieliście otworzyć te drzwi?

To nie ona kazała im nie otwierać, ale widziała wszystko dokładnie. Była obok nich, choć jej nie widzieli. Czy gdyby nie to, przeżyłaby? Nie wiedziała, to nie miało jednak znaczenia.

Trzaski palonego drewna były coraz głośniejsze, odpaliła papierosa. Wydmuchwała powoli dym, wciąż patrząc na ulicę. W domach obok zaczynało się zapalać coraz więcej świateł. Pierwszy zza drzwi wyskoczył Robert Lynn, uprzejmy sąsiad, właściciel lokalnej gazetki Tensas, wychodzącej co miesiąc. Lubił komentować na bieżąco wszelkie sprawy związane z wydarzeniami tego miasta. Zawsze spokojny i ułożony, teraz wpadł w panikę. Wymachiwał i krzyczał coś, pukając do jednych i drugich drzwi sąsiadów.

- No, pokaż się w końcu! Pokaż się ten ostatni raz, skoro mam tu umrzeć, chyba mogę cię tylko o to prosić.

Zaciągnęła się ponownie i przetarła szybę, na której kiedyś widniała wiadomość.

Teraz rozumiała. Nie bała się.

Coraz więcej ludzi wychodziło na ulicę, jedni gorączkowo mówili coś do siebie nawzajem, inni tylko stali, patrząc, jeszcze inni, w tym syn Franka Dumpseya, robili zdjęcia telefonem. A może nagrywali filmik? Cóż, nie wiedziała.

Zobaczyła, jak Patrick krzyczy coś do niej, ale w tym momencie nie słyszała nic. Papieros wypadł jej z ręki na dywan obok jej wózka. Dotknęła dłonią szyby, a jej serce zabiło szybciej. Spojrzała w stronę Migotki, która ponownie rozświetliła się blaskiem jeszcze silniejszym niż wcześniej, ale teraz oczy miała otwarte.

- Jesteście - powiedziała. - Nie boję się już, Charles. Nie boję się.

Patrick skakał, wymachując nadal rękami w jej stronę, ale nie widziała tego. Natomiast on zobaczył to i do końca życia nie zrozumie tego, co się stało. Ani on, ani nikt inny więcej.

Zobaczył, jak Rose Abrams uśmiecha się przez szybę swojej sypialni na poddaszu, a jej dom płonął.

ROZDZIAŁ 62

Samantha otworzyła oczy i zobaczyła ubrudzony sufit. Dźwignęła się na łokciach, rozejrzała się po pokoju. To był ten hotelowy pokój, a raczej speluna, pomyślała. Obok niej spał Rob, jeśli dobrze pamiętała, tak się nazywa. Co tu robiła? Nie wiedziała za bardzo. Zaraz. Spróbowała sięgnąć pamięcią. Pamiętała gwałt i dziewczynkę, która ją uleczyła, choć pamiętała to przez mgłę. Dotknęła policzka, który jeszcze niedawno był rozcięty, teraz czuła tylko gładką skórę. Wstała, czując znowu delikatny ból w żebrach. Numery, miała jakieś numery.

Poszła do swojej torebki, przeszukała ją, ale nie znalazła nic.

W takim razie, co robili tutaj? Mieli się dokądś jechać, ale nie wiedziała gdzie.

Usiadła obok śpiącego Roba. Wpatrywała się w niego.

Nie wiedziała, czy to, dokąd mieli jechać, było ważne. Wiedziała, że ważne jest to, że była tu z nim, obok niego.

- Robbie? - powiedziała.

Otworzył oczy, uśmiechnął się.

- Nie możesz spać? - zapytał i przeciągnął się, po czym złapał ją i przewrócił na łóżko.

Zaśmiała się głośno.

- Nigdy nikt mnie nie zabrał w równie paskudne miejsce, wiesz?

- Nie byłaś jeszcze w moim pokoju - odparł i pocałował ją namiętnie. - Gotowa?

- Na co?

- Na podróż.

- A dokąd jedziemy? - zapytała i uchwyciła jego dłoń. Czowała się tak dobrze jak nigdy wcześniej.

- Nie wiem, gdziekolwiek - odparł.

Wyszli, czując świeże powietrze w płucach.

- Kupiłem to cacko, ładne?

Spojrzała na mustanga, który błyszczał w słonecznym świetle.

- Nada się - odpowiedziała. - Ruszajmy.

Rob spojrział na plastikowe, czarne urządzenie, zwane potocznie GPS-em.

- Kupiłem to, ale nie pamiętam za bardzo po co.

Samantha otworzyła schowek i wrzuciła tam urządzenie.

- Zabierz mnie po prostu stąd dokądkolwiek, byle daleko.

Zrobił to, o co prosiła.

ROZDZIAŁ 63

Tony obudził się w pokoju hotelowym, czując smak kaca. Nie lubił tego smaku. Podszedł do lodówki i wyciągnął wodę mineralną.

Czuł się zmęczony. Śnił, ale nie pamiętał o czym.

Zadzwoił do Andersa, ale włączyła się tylko poczta. Wykręcił numer Lucasa, tam linia jednak była głucha. Postanowił spróbować jeszcze raz później.

Ubrał się i wyszedł z pokoju, w którym trochę narozrabiał. Najwyżej przyślą mi rachunek, pomyślał.

Potrzebował zobaczyć żonę i córkę. Wciąż nie palił, był z siebie dumny.

Nie umrze na raka, co to, to nie. Pokona go wszystko, ale nie pieprzony rak.

Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Czuł, że miał coś załatwić, ale nie wiedział co, a jeśli nie pamiętasz, co miałeś załatwić, to znaczy, że nie było to zbyt istotne, pomyślał.

Opony samochodu ruszyły ze zwirowego parkingu, wzniecając za sobą kurz.

ROZDZIAŁ 64

Katie otworzyła oczy i poczuła zapach naleśników. Spojrzała na miejsce obok siebie i zobaczyła delikatnie wgniecioną poduszkę. Z dołu dochodziły dźwięki radia. Usiadła na łóżku, przecierając oczy.

To był tylko sen, pomyślała. Przeklęty sen. Była w swoim domu, byli bezpieczni.

Z radia na dole usłyszała tego samego spikera, który zapowiadał, że to będą wyjątkowe święta, a pogoda ma być wyjątkowo korzystna w najbliższe dni. Spojrzała na swoją koszulę nocną, to była ta sama. A więc to wszystko sen.

Włożyła szlafrok i zeszła po schodach, dostrzegając Stephena, który miał na sobie fartuch kucharski, który dostali od Eddiego z okazji wprowadzenia do nowego domu. Zeszła do niego powoli, czuła się wyczerpana przez tą noc.

- Hej, kochanie - rzucił Stephen, przekrzykując radio - pomyślałem, że zrobię wam dzisiaj niespodziankę i upiekę ulubione danie naszego głodomora.

Podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

- Dobrze spałaś? Za chwilę ma być Eddie i zajmiemy się lampkami. O ile ten stary koleś znowu się wczoraj nie zarwał nocki w barze. Obudzisz Amy?

- Jasne.

Gdy Stephen chciał wrócić, by obrócić naleśnik na drugą stronę, Katie przyciągnęła go z powrotem.

- Kocham cię, wiesz?

- Wiem. Chyba wiem.

- To dobrze.

Dała mu wielkiego buziaka, po czym udała się do sypialni Amy.

Otworzyła drzwi do jej pokoju.

- Amy, dość spania, tata...

Łóżko Amy było puste, na rozrzuconej kołdrze spoczywał tylko niedbale rzucony miś.

- Te święta będą cudowne, czyż nie? - Spiker w radiu był podniecony. - Znowu będziemy świętować urodziny naszego Pana, alleluja! Czy możecie powiedzieć alleluja?

Poszła szybkim krokiem do toalety.

- Ścisz radio! - rzuciła do Stephena.

- Co? - odkrzyknął Stephen.

- Ścisz to pieprzone radio!

Katie sprawdziła łazienkę, ale była pusta. Następnie ich sypialnię, pokój gospodarczy, drugi pokój. Nigdzie jej nie było. Zbiegła po schodach.

- To będzie wspaniała noc! - krzyknął spiker. - Noc zmartwychwstania.

- Gdzie ona jest? - rzuciła Katie, biegając teraz po domu i otwierając wszystkie drzwi?

- Kochanie, o co chodzi? - spytał Stephen.

- Gdzie Amy? Ścisz to cholerne radio!!

Katie otworzyła w panice drzwi wejściowe i zobaczyła, jak na podjazd wjeżdża Eddie, z tyłu dostrzegła Scarlett.

- Nie, to nie możliwe - powiedziała.

- To będzie noc cudów. Noc interesów - powiedział spiker. -
Jesteście gotowi?

- Radio jest wyłączone, kochanie. O co chodzi? - zapytał Stephen,
ale Katie go nie słyszała.

Upadła na kolana. Załkała, próbując złapać oddech. Płakała
jeszcze długo, leżąc na tarasie, czując zimne deski na twarzy,
a chłodny wiatr osuszał jej łzy.

EPILOG

TENSAS NEWS, WYDANIE SPECJALNE

27 grudnia 2000

Zaginęła Amy Abrams, córka Kate oraz Stephena Abramsów. Wzrost: metr trzydzieści trzy, oczy zielone, czarne, długie włosy, brak znaków szczególnych na ciele. Ostatnio widziana była w swoim domu w dniu poprzedzającym zniknięcie tj. 24 grudnia 2000.

Możliwe uprowadzenie.

Osoby, które ją widziały, proszone są o ostrożność oraz kontakt z biurem szeryfa lub bezpośredni telefon do rodziców, czynny całą dobę.

062777629

Rodzice proszą także o pomoc w akcji poszukiwawczej, która trwa obecnie całą dobę.

Zaginienie to może mieć związek z pożarem domu przy Lane Street 24, w którym zginęły trzy osoby, w tym babcia zaginionej, Rose Abrams.

Aktualnie trwa śledztwo w celu ustalenia, czy pożar był nieszczęśliwym wypadkiem, czy ogień został podłożony celowo.

Osoby, które tej nocy widziały coś podejrzanego, proszone są również o niezwłoczny kontakt telefoniczny z biurem szeryfa.

Łączymy się w bólu z poszkodowaną rodziną i wierzymy, że córka odnajdzie się cała i zdrowa.

Redakcja Tensas News.

Patrick Dempsey nie chciał tego robić, ale nie miał wyboru. Na spotkaniu sąsiedzkim, które wyjątkowo odbyło się właśnie u niego w domu, postanowili zgodnie, że to już czas. Nie do końca zgodnie, jeśli miał być szczery. On miał wątpliwości, ale nie przyznał się do tego głośno. Nieczęsto zabierał głos w różnych sprawach. Nie był

nigdy osobą, która stawia na swoim. Nie odzywał się niepytany, wychodził z założenia, że są mądrzejsi od niego, więc niech oni decydują. Nawet jeśli czuł się z czymś źle, akceptował taki stan rzeczy.

Westchnął głośno, po czym podszedł do słupa latarni, poprawił czapkę na głowie i odnalazł w torbie szczypce, które kupił w sklepie na rogu Buldewar Street. Ekspedientka była radosna i zaczynała właśnie wymieniać, jakie kwiaty zamierza posadzić wkrótce na swoim ganku w domu, skoro słońce zagłąda zza chmur częściej niż raz w tygodniu. Terkotała tak, dopóki nie położył tych właśnie szczypiec na schludną, czystą ladę. Spojrzała na nie, jakby położył na nią co najmniej martwego szczura, po czym spojrzała na niego ze strachem.

- Panie Dempsey, czy to...

- Tak - uciął. Nie miał ochoty na drażnienie tematu. Wkrótce zresztą, jak tylko stąd wyjdzie, zapomni o tym. Wróci do rozmyślania o swoich kwiatkach. I dobrze.

- Więc niech to będzie na mój koszt. Chociaż tyle mogę zrobić.

- Dzięki.

Skinął do niej głową i wyszedł. I tak właśnie znalazł się tu, patrząc w oczy uśmiechniętej dziewczynki, ubranej w schludną, białą koszulę. Chyba białą, pomyślał, gdyż zdjęcie było czarno-białe.

Chwycił rozszywacz i robił to, do czego został wybrany. Powinien skończyć przed piętnastą.

„Ona mówi, że widziała ją”.

Kto to powiedział? Tak, chyba Betsy, pomyślał. Tak, Katie Abrams ześwirowała. Wiedział to już każdy w miasteczku.

Na okrągło gadała o tym, że ich córka musi żyć, bo widziała ją kilka dni po zaginięciu.

Na pytanie szeryfa Quinna, czy córka była sama czy z kimś, odpowiadała, że chyba sama, ale nie pamięta, bo była noc i ledwo ją widziała.

Ale co miała powiedzieć, pomyślał. Widziała ją czy nie, taka informacja sprawia, że szeryf powinien wznowić intensywne

poszukiwania. W dodatku mała była ubrana tylko w sukienkę, w której spała, co wzmocniało przekaz:

Hej, moja córka jest tam gdzieś sama, w dodatku niemal naga, a wy wstrzymujecie poszukiwania?

Odpisał kolejny plakat, który był już mocno wypłowiały. Minęły trzy miesiące od zaginięcia, a plakaty tylko pogłębiały i tak już głębokie rany.

Świeciło słońce, wiosna nadchodziła coraz większymi krokami, śnieg już stopniał choć wieczory nadal były chłodne.

Dochodził właśnie do latarni przed domem Rose. Starej poczciwej Rose, z którą często zamieniali słówko lub dwa. Lubił tę kobietę. W zasadzie nie znał kogoś, komu by nadepnęła na odcisk.

Zdjął kolejny plakat i z wielką ostrożnością spakował do torby.

Spojrzał na dom, a raczej to, co z niego zostało. Całe górne piętro zapadło się, zanim dojechała straż. Pamiętał, że były ogromne zaspasy śniegu tej nocy, ledwo zdołał otworzyć drzwi. Wybiegł w pizamie, ale nie pamiętał chłodu. Może z powodu paniki, a może z powodu ciepła, jakie wytwarzały płomienie.

Przypomniawszy sobie Rose, która wpatrywała się w coś na ulicy i uśmiechała się. Nigdy tego nie zapomni. Pamięta, że patrzyła chyba na Migotkę, która tej nocy dostała ogromnego przeciążenia. Na niej również tkwiło zdjęcie Amy Abrams. Podeszedł do niej i ten plakat również ściągnął.

Gdy skończył, nie minęła piętnasta, a dziewiętnasta. Naliczył ponad tysiąc plakatów. O Amy głośno było już nie tylko w lokalnej telewizji Tensas, ale i w całej międzystanowej Luizjanie, a nawet w głównych wiadomościach. Domniemywano różne wersje, wśród nich ludzie podejrzewali nawet, że Amy mogła zostać zabita nawet przez własnych rodziców.

Patrick zaparzył herbatę i usiadł w swoim saloniku. Był zmęczony i zmarznięty. Podeszedł do okna, chcąc pożegnać w duszy Rose i małą. Nie wierzył, że żyła.

Spojrzał na ulicę, Migotkę miał z prawej strony. Dostrzegł tam kogoś, nie wiedział, czy wzrok go nie myli.

Na zewnątrz było już ciemno, toteż podreptał szybko do włącznika i zgasił światło, by nie odbijało się w szybie.

Na chodniku ktoś siedział, mężczyzna. Rozpoznał go od razu. To był Stephen, ojciec zaginionej Amy. Pomyślał, że może ten przyszedł do niego, aby rozpętać burzę za ściągnięcie plakatów. Po chwili odrzucił jednak ten domysł.

Stephen siedział tylko na krawężniku, wpatrując się w ulicę.

Po chwili zobaczył, jak wyciąga przed siebie rękę. On też się uśmiechał i... płakał. Siedział z wyciągniętą ręką i płakał, uśmiechając się. Coś mówił, nie wiedział jednak co. Światło Migotki zaiskrzyło, migocząc kilka razy, po czym zgasło z wszystkimi latarniami na ulicy, pozostawiając tylko ciemność.

Próba sił

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8147-738-3

© T.S. Tomson i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Agata Sawicka-Korgol

KOREKTA: Dominika Mikołajewska

OKŁADKA: Grzegorz Araszewski

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.